

1975

SPOT KANIA

NIEZALEŻNE PISMO
MŁODYCH KATOLIKÓW

ZBIORY OŚRODKA KARTA

NR 24

GRUDZIEŃ
1970

SPIS TRESCI

str.

GDYNIA

D o k u m e n t y

Protokół porozumiewawczy między delegacją siedmioosobową zakładów pracy Stoczni Komuny Paryskiej, Stoczni Remontowej, Zarządu Portu i Dalmoru a przedstawicielami Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gdyni, opisany w dniu 15 grudnia 1970 r. w Prezydium MRN w Gdyni	5
Ulotka ze Stoczni im. Komuny Paryskiej	7
Odezwa Głównego Komitetu Strajkowego dla Miasta Gdyni	7
Zapis magnetofonowy rozmów prowadzonych przez grupę operacyjną MO w dniu 17 grudnia 1970 r..	10
Protokół z posiedzenia Egzekutywy Komitetu Miejskiego w Gdyni w dniu 23 stycznia 1971 r.	92
List Prymasa Polski Stefana kardynała Wyszyńskiego do Księdza prałata H.Jastaka, proboszcza parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni	118
R e l a c j e	
Relacja Teresy Remiezewskiej, pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni	121
Relacja Stanisława Słodkowskiego /lat 26/ ze Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni	126
Relacja Tadeusza Jaroszyńskiego, pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni	133
Relacja Ryszarda Swista, pracownika zakładów "Unimor" /obecnie "Radmor"/	153
Relacja Tadeusza Nowaka /lat 19/, pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni	159

Relacja Weroniki Mizerskiej /z d.Szymańskiej/, lat 21, pracownicy PMRN w Gdyni	168
Relacja Andrzeja Niecki, pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, z września 1981 r.	172
Relacja Mariana Gintrowskiego	189
Relacja Pawła Prangi, pracownika Zarządu Portu Gdynia /fragment większej całości, dotyczący wydarzeń grudniowych/	192
Relacja Zbigniewa Grabowicza, inżyniera Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, złożona w październiku 1981 r.	204
Relacja Wojciecha Drożaka /lat 19/, pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni	207
Relacja Eleonory Karczewskiej, pielęgniarki Przychodni Przychyładowej Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni	210
Relacja Pawła Marczewskiego	214
Relacja Edmunda Peplińskiego	217
Relacja Stanisława Kodzika, ucznia	219
Relacja Edwarda Stasińskiego, ucznia Technikum Hotelarskiego w Gdyni	221
Relacja Leona Kaszubowskiego	224
Relacja Huberta Kaczkana	230
Relacja inż. Ireneusza Dunsta, pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, z października 1981 r.	235
Relacja Andrzeja Gawlika z września 1980 r....	236
Relacja Szymańskiego, pracownika Zakładu Energetycznego w Gdańsku	240
Relacja Barbary Jurkowskiej	243
Relacja Cecylii Dobkowskiej, złożona w styczniu 1981 r.	244

Relacja Stanisława Budzińskiego, pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni	247
Relacja Stanisława SteŃki	248
Relacja Ireneusza Drogocza, junaka hufca OHP w Gdyni, wersja z maja 1981 r.	250
Relacja Jacka Węglarza /lat 23/, pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni	260
Relacja Wiesława Kasprzyckiego, syna Henryki Halman, z października 1980 r.	267
Relacja Henryki Halman, pielęgniarki, matki Wiesława Kasprzyckiego, z listopada 1980 r....	274
Relacja Krystyny Zajczonko	278
Relacja ojca Zbigniewa Nastałego	283
Relacja Leonardy Wycichowskiej, z października 1980 r.	287
Relacja matki Apolinarego Formeli	292
Relacja rodziców Zygmunta Polito z września 1980 r.	294
Relacja ojca Stanisława Sieradzana	298
Relacja ojca Janusza Żebrowskiego	303
List Renaty Kropielnickiej, córci Emiliana E.Bilińskiego	306
Relacja lekarza /anonimowa/	307
Relacja pielęgniarki /anonimowa/	309
Relacja lekarza ze Szpitala Miejskiego w Gdyni złożona w październiku 1980 r.	310
Relacja mężczyzny mieszkającego w pobliżu cmentarza w Witominie /anonimowa/	312
Relacja pielęgniarki /anonimowa/	313
Relacja pielęgniarki /anonimowa/	315
Relacja inż. Ireneusza Dunsta, pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej, złożona w październiku 1981 r.	317

str.

Relacja Zygmunta Rosiaka, dyrektora Zarządu Portu Gdynia /w momencie składania relacji - I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR w Gdyni/	327
Relacja ks. Franciszka Kaszubowskiego	330
Relacja Hugona Malinowskiego, I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR w Gdyni /większa część relacji zaginęła, publikujemy dwa ocalałe fragmenty/	332
N o t a t k i	
Notatka z rozmowy z zastępcą naczelnika więzienia w Wejherowie Biegajem, z lipca 1981 r.	335
Notatka z rozmowy z prokuratorem rejonowym w Wejherowie, z lipca 1981 r.	335
Notatka z rozmowy przeprowadzonej z kmr por. Zdzisławem Betlejewskim w lipcu 1981 r.	335
Notatka z rozmowy z dr Jaszczenką, kierowni- kiem Zakładu Anatomii Patologicznej szpitala w Redłowie, przeprowadzonej we wrześniu 1981 r.	336

Protokół

porozumiewawczy pomiędzy delegacją siedmioosobową zakładów pracy Stoczni Komuny Paryskiej, Stoczni Remontowej, Zarządu Portu i Dalmoru, a przedstawicielami Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gdyni, spisany w dniu 15 grudnia 1970 w Prezydium MRN w Gdyni.

1s/. Wszyscy ponownie w czwartek 17.XII.70 zbierają się tu ponownie dla dalszego trwania strajku w godz. rannych.

Delegacja zgłasza następujące postulaty pod adresem władz:

1. Zredukowanie rozpiętości zarobków pomiędzy zarobkami pracowników umysłowych /kierownictwa zakładów/ a zarobkami pracowników fizycznych.
2. Wobec wprowadzonej podwyżki cen artykułów spożywczych - płace robotników winny być w odpowiedniej wysokości podniesione.
3. Zarobki pracowników fizycznych winny być mniejsze o około 100 zł od zarobków pracowników z wykształceniem średnim zawodowym.
4. Różnica między zarobkami pracowników fizycznych i z wykształceniem wyższym winna wynosić około 200 zł.
5. Dyrektor przedsiębiorstwa powinien zarabiać nie więcej niż jeden tysiąc złotych od pracownika z wykształceniem wyższym.

6. Należy bezwzględnie podwyższyć minimalne wynagrodzenie pracowników a przede wszystkim kobiet najniżej zarabiających.
7. Zasiłki chorobowe winny być stu procentowe, tzn. w pełni odpowiadać utraconemu zarobkowi.
8. Strajk okupacyjny trwać będzie tak długo, aż nasze postulaty zostaną spełnione. 3/

Na tym postulaty zakończono.

Gdynia dnia 15 grudnia 1970 r.

podpisy przedst. Prezydium:		podpisy delegacji:	
Mariański	S.K.P.	Ślódkowski Stanisław	
/przewodn. PMRN/		S.K.P. Marian Walas	
Latra		S.K.P. Krzysztof Muskała	
Z-ca Przew. Prezydium	S.K.P.	Grześkowiak Sławomir	
T. Biernacki	ZPG	Kozłowski Emilian	
Z-ca Przew. Prezydium	Dalmor	Krzysztof Bojko	
B. Karzeł	ZPG	Ilnicki Włodzimierz	
sekretarz Prez. MRN			

9. Pracownicy 4/ wybierają nowe władze związków zawodowych.

/-/

Edmund Hulsz

- 1/ dopisek ręczny
- 2/ dopisek ręczny - prawdopodobnie zrobiony przez E.Hulsza.
- 3/ dopisek ręczny, słowa "zostaną spełnione" podkreślone - prawdopodobnie zrobiony przez E.Hulsza.
- 4/ dopisek ręczny, prawdopodobnie również zrobiony przez E.Hulsza.

Ulotka ze Stoczni im. Komuny Paryskiej¹

"Obywatele! Wszyscy staśmy do walki o lepsze jutro!

Precz z reżimem PZPR! Czerwona burżuazja chce na' zagłodzić!"

Odezwa Głównego Komitetu Strajkowego dla Miasta Gdyni²

Luđu Pracy! Trwa strajk okupacyjny, którego zadaniem jest poprawienie warunków bytowych każdego

-
1. Ulotka formatu A-6 została odbita na drukarence dziecięcej. Pochođzi prawdopodobnie z 15 grudnia.
 2. Maszynopis formatu A-4. Zawiera również postulaty spisane w PWRN w Gdyni 15 grudnia /na ten dzień datujemy cały ten dokument/. Postulaty te są zgodne z tytuł, które figurują w "Protokóle porozumienia" - taki tytuł nosił tekst podpisany przez delegatów robotniczych i przedstawicieli władzy administracyjnej PWRN w Gdyni m.in. Mariańskiego. Cenny ten dokument przekazany zespołowi historycznemu MKZ w Gdańsku, niestety zaginął. W "Protokóle" było jednak o dwa postulaty więcej: postulat 8-my dotyczył przyznawania takiej samej wysokości urlopu pracownikom fizycznym, co umysłowym; postulat 9-ty, dopisany ręcznie, mówił o powołaniu nowych władz związkowych. Dlaczego pominięto je w "Odezwie" można tylko spekulować.

Postulat dziewiąty dopisał Hulsz, a jak z relacji Stanisława Słodkowskiego wynika, wieczorem w ZDK zarysowała się różnica zdań między obu przywódcami. Może więc uznano, że Hulsz postąpił sanoualnie, dopisując postulat? A może ten w ostatniej chwili dopisany punkt figurował tylko na tekście pozostawionym w PWRN? /stamtąd pochođził przekazany zespołowi oryginał/. Dlaczego jednak pominięto punkt ósmy, pisany jak pozostałe na maszynie? Zadawalającej odpowiedzi na te pytania nie znamy. "Odezwa" zawiera w tekście liczne skreślenia i poprawki.

z nas. Obywstele! Zwraca się do Was Główny Komitet Strajkowy reprezentowany przez zakłady m.Gdyni. Strajk okupacyjny trwa od 25 grudnia 1970 roku godz.23.00, przez właściwą postawę strajkujących - strajk nasz uznany przez Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gdyni i podpisany przez jej przewodniczącego. W imieniu strajkujących Główny Komitet Strajkowy przedłożył władzom centralnym następujące postulaty:

1. Zredukowanie rozpiętości zarobków między zarobkami pracowników umysłowych, a zarobkami pracowników fizycznych.
2. Wobec wprowadzonej podwyżki cen artykułów spożywczych, płace robotników winny być w odpowiedniej wysokości podwyższone.
3. Zarobki pracowników fizycznych winny być mniejsze około 100,- zł od zarobków pracowników z wykształceniem średnim-zawodowym.
4. Różnica między zarobkami pracowników fizycznych, a z wykształceniem wyższym winna wynosić około 200,- zł.
5. Dyrektor przedsiębiorstwa powinien zarabiać nie więcej niż 1000 /zł/ od pracownika z wykształceniem wyższym.
6. Należy bezwzględnie podwyższyć minimalne wynagrodzenie pracowników, a przede wszystkim kobiet najniżej zarabiających.
7. Zasiłki chorobowe winny być 100% tzn. w pełni odpowiadać straconemu zarobkowi.

Obywatele!!! Strajk nasz trwać będzie aż do spełnienia naszych słuszných żądań. Ludu Pracy!!! Zdecydowanie potępiamy wszelkie ekscesy chuligańskie, które godzą bezpośrednio w dobro naszego społeczeń-

1. Pomyłka w datowaniu /zamiast 15 grudnia - 25 grudnia/ jest zwykłą literówką.

stwa. Obywatele!!! Zwracamy się do was o niedopuszczenie przez właściwą Waszą postawę do wystąpienia podobnych ekscesów chuligańskich, jakie miały miejsce w Gdańsku, w wyniku których przelana została krew i zniszczono nasze dobro. Ekscesy te zdecydowanie potępiamy. Jednocześnie zaś solidaryzujemy się z żądaniami ludu pracy m.GDAŃSKA. Ludu Pracy! Łącz się we wspólnej walce o słuszne żądania strajkujących...¹

1. Wielokropek na końcu tekstu nie pochodzi zapewne od autorów. "Odezwe" wyrywano z maszyny w momencie wtargnięcia MO do ZDK, stąd brak zakończenia.

Zapis magnetofonowy rozmów prowadzonych
przez grupę operacyjną MO
w dniu 17 grudnia 1970 r.¹

- Słuchaj, słyszysz? Świętojańską z powrotem te niedobitki nadciągają.
- Dobrze, zrozumiałem. Świętojańską idą, tak?
- W kierunku Prezydium. Te niedobitki z powrotem się schodzą.
- Słuchaj, zgłoś się Czereśnis.
- Tak, zgłasza się.
- Ten tłum jest przy Komitecie...
- Dobrze, zrozumiałem. Dużo jest tych zielonych?²
- Sporo, sporo. Tam w środku, weszło nie wiadomo ile.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Asan, Asan tu Gujana. Czwórka dopływa do Flory. Asan, Czwórka dopływa do Flory. Czwórka, Czwórka tu Reda. Flora wie o tym, Flora wie i czeka.
- Tak, tu Alaska.
- Tak Alaska, dziękuję wam.
- Słuchaj, ten tłum co rozpędzili znowu wraca i jest po tym... Z boków schodzą się pod Radę.³
- Dobrze, zrozumiałem. Ten tłum, który był rozpędzony znowu zbiera się pod Radą.
- Tak. Tu jest dużo gapiów i wszyscy ściągają z powrotem.
- Dobrze, zrozumiałem.

-
1. Autorem nagrania jest anonimowy amator krótkofalowiec. Zapis obejmuje sześć godzin.
 2. Określenia "zieloni" używają rozmówcy w stosunku zarówno do wojsk lądowych, jak i marynarki wojennej.
 3. Ustalając czas, w którym zaczyna się zapis, trzeba wziąć pod uwagę, że pierwsze strzały padły na przystanku kolejki elektrycznej Gdynia-Stocznia między godziną 5.20 a 5.55.

- Kasztan, Kasztan. Simka zatrzymał się przy WRN.
- Od dworca ciągną takie grupki po 10, 20, 50 osób w stronę Stoczni...
- Rozumiem. Od dworca w stronę Stoczni⁵ ciągną grupki po 10, 20. Całym ciągiem.
- Tak, tak.
- Podała Alaska, tak?
- Sliwa, Sliwa tu Gujana. Jak tam sytuacja?
- Gujana przestań. Powtórz mi jeszcze raz, za chwilę.
- Coś tam słychać pod Stoczną. Jakby seria. Jakby seria broni.
- Dobrze. Słychać odgłosy strzałów. Słychać odgłosy strzałów pod Stoczną.
- Tak. Als to nie jest sprawdzone.
- Rozumiem, to nie jest sprawdzons.
- Sliwa, Sliwa tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Jak tam sytuacja pod Prezydium, jak tam pod Komitetem?
- Odpowiadam ci: pod Komitetem jest spokój, pod Komitetem jest spokój. Pod Prezydium było rozproszenie, było rozproszenie, ale w tej chwili znowu zbierają się.
- Ile tego może być?
- No więc tam było około dwóch tysięcy, było około dwóch tysięcy. W tej chwili trudno powiedzieć, bo to się dopiero dołącza.
- Dobra, zrozumiałem.
- Halo Gujana, zgłoś się.

Pierwszy pochód dotarł do Prezydium około godz. 7-ej, został rozpędzony i zbiera się znowu. Orientacyjnie można przyjąć, że jest godz. 7.30.

4. Powinno być: przy PNRN.

5. Tzn. od Gdyni Głównaj Osobowej do Gdyni-Stoczni.

- Słuchaj. Kwadrat A. Pod Komitetem spokój, pod Prezydium rozproszyli częściowo, ale z powrotem zbierają się. Będzie gdzieś około dwóch, dwóch tysięcy.
- Zgłasza się Sliwa.
- Pod Komitetem jest nadal spokojnie.
- Rozumiem. Spokój pod Komitetem.
- Sliwa, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Pod Prezydium petardy, petardy dają.
- Rozumiem. Pod Prezydium petardy.
- Na placu Kaszubskim spokój, na placu Kaszubskim spokój.
- Gujana dla Zarany. Na placu Kaszubskim spokój. Świętojańska cała wolna.
- Tu Gujana. Świętojańska do Prezydium jest cała wolna i przejezdna.
- Tak, rozumiem cię.
- W kwadracie K, w kwadracie K spokój. W centrum spokój. Dużo mniej, dużo mniej ludzi niż wczoraj, gdzieś o połowę mniej.
- Sliwa zgłoś się.
- Zgłasza się Sliwa.
- Tutaj, na przystanku Stocznia, strzały słyszę, tylko nie wiem, co to jest.
- Na przystanku Stocznia słyszysz strzały, tylko nie wiesz jeszcze co.
- To jest seria. Cała seria strzałów. Słuchaj, czy możesz mi potwierdzić, czy to może być od petard? Wiesz, to takie głuche.
- To prawdopodobnie petardy są. Słuchaj, ty jesteś gdzieś w pobliżu Stoczni?

6. "Wczoraj", tj. we środę 16 grudnia, na ulicach Gdyni ani Gdańska nie było pochodów. Natomiast wielki, około pięcioletni pochód szedł ulicami Gdyni we wtorek. Być może Gujana o nim właśnie mówi.

- Gujana zgłoś się, tu Alaska.
- Co macie dla Alaski?
- Słuchaj, Sliwa. Bez przerwy kanonada w porcie, kanonady w porcie, strzelanina jest seryjna.
- Ale określić nie możesz z czego, tak?
- Maszynowa broń, maszynowa broń. Bez przerwy strzelanina.
- To jest pod Stocznią, tak?
- Pod Radą petardy i pojedyncze strzały.
- Słuchaj, ale to jest gdzie konkretnie?
- W porcie, pod Komuną, tam na dworcu, na terenie portu. Bez przerwy maszynowa broń.
- Zrozumiałem, zrozumiałem.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, to helikopter ładuje tu petardami, rozumiesz. W tej chwili Czerwonych Kosynierów bombarduje.
- Tak jest. To helikopter rzuca petardy.
- Tak. On tutaj zrzuca całymi seriami.
- Słuchaj, a teraz powiedz mniej więcej ile tam jest w ogóle tego tłumu, mniej więcej. Bardzo dużo? W tym terenie?
- Jest tutaj bardzo dużo, bo tutaj częściowo poszła od strony "Żelaznego".
- I to jest, i to jest pod Komuną, tak?
- Nie, nie, z drugiej strony.
- To powiedz mi dokładnie. Teraz.
- Ale to jest z drugiej strony, przy torach, rozumiesz?
- Więc to jest przy dworcu Stocznia, tak?
- Tak jest, od stron...
- My tu wiemy coś o tym.
- Bardzo słabo... nic cię już nie słyszę. Jąkasz się, nic cię nie słyszę... ja się muszę wyłączyć.

7. Z przystanku Gdynia-Stocznia prowadzą drogi do Portu i Stoczni im. Komuny Paryskiej.

ja się muszę wyłączyć. Jak będę miał coś poważnego to ci to dam.

- Dobra.
- Sliwa tu...
- Zgłasza się.
- Sliwa. W okolicy dworca, placu tłum rzednie... Jedyne przy Dworcu Wschodnim czołgi stoją w tłumie... rozmawiają normalnie z żołnierzami.
- W okolicach dworca, placu i arki, tak? Jest spokój.
- Tak jest, tak jest.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Asan tu Gujana. Słuchaj, ta muzyczka 06-47. Bazalt mi podał, ale bardzo słabo go już słyszałem. Był za kwadratem C i prawdopodobnie w kierunku na Bydgoszcz płynęli. A bardzo dobrze.
- Bawaria zgłoś się.
- Zgłasza się, zgłasza.
- Jesteś przy Prezydium.
- Poczekaj, poczekaj, zaraz.
- Jesteś przy Prezydium?
- Byłem przed chwilą.
- Słuchaj, to tą wuzetkę wpuścić, gdzie wpuścić? Są...
- Asan, Asan... stoją tam przy dworcu.
- Wpuścić, wpuścić, wracaj do mnie.
- Do wazystkich od Sliwy, od Sliwy. Ja się wyłączam na jakieś 10-15 minut. Podawajcie bezpośrednio na Gujanę, na Gujanę.
- Tak jest.
- Gujana, słuchaj. Sliwa się na 10 minut wyłączył.
- Słuchaj, tam Bawaria mi coś podawał, ja go nie mogę zrozumieć. Jak tam sytuacja przy Prezydium, podaj mi.

8. W Gdyni nie ma dworca wschodniego, nowa zapewne o dworcu głównym.

- Więc. Ja w tej chwili jestem tutaj w pobliżu, w pobliżu jestem. Częściowo rozgonili, rozgonili, ale gapie uciekli na tory, dużo jest na torach.
- A pod samym Prezydium ile będzie?
- ...rozgonione, tylko po bokach, po bokach.
- To w pobliżu tu Wzgórza wszystko i na torach przy stacji.
- Tak, tak, tak. Helikoptery, wiesz, rzucają wiesz, te.
- A na kanale "Świętym" i na "Czwartego"⁹ jak sytuacja?
- A wiesz, trudno mi powiedzieć, bo ja w tej chwili tam nie przejeżdżałem.
- Dobra, zrozumiałem.
- Kasztan, zgłoś się.
- Tak jest.
- Przy Prezydium, przy Prszydium w zasadzie jest spokój.
- Sliwa zgłoś się, tu Legia.
- Legia, wołaj Gujanę, wołaj Gujanę, bo Sliwa wyłączony.
- ...na Wzgórze i na tory.
- A na którym Gujana?
- ...przy Wzgórze przy stacji.
- Na trzy, na trzy.
- Gujana zgłoś się, tu Legia.
- Gujana dla Legii.
- Przy Radzie w A, przy Radzie nadal drobne potyczki. Ale nasi spokojnie, spokojnie, petardy tylko.
- Dobra, zrozumiałem, zrozumiałem. Kasztan, Kaszten, przy Radzie nasi, nasi rzucają petardy.

9. W żargonie reżerów "kasz" oznacza ulicę. Nowa o ul.Świętojańskiej i Władysława IV.

- Zaraz sprawdzę. Tu Gujana, tu Gujana. Jak sytuacja w innych rejonach? Przy Komitecie? Kto wie, niech poda.
- Tu Asesor, tu Asesor. Przy Komitecie jest spokój, przy dworcu spokój, arka spokój i te inne też spokój.
- A ten tłum, co szedł Władysława w kierunku na Komitet, gdzie poszedł?
- To wszystko się rozproszyło, rozproszyło i jest tutaj wiesz. Wokół Prezydium rozpędzone.
- Dobra, zrozumiałem.
- Kasztan, Kasztan tu Gujana.
- Ataman wołaj Gujanę. Sliwa wyłączona.
- Gujana dla Atamana. Sliwa jest na 10 minut wyłączona, jak coś będziesz miał dawaj do mnie.
- Dobra, zrozumiałem, Kasztan zgłoś się. Słuchaj, Ataman podaje, że na Czerwonych Kosynierów, na Czerwonych Kosynierów helikoptery tam podlatują z petardami. Jest kilku rannych, kilku rannych. Wywożę samochodami osobowymi rannych. No i Ataman musi tam uciekać, uciekać, bo go zablokują.
- Dobra, zrozumiałem. Kwadrat N, jak Natalia, tak?
- Kasztan, Kasztan w kwadracie N jak Natalia spokój.
- Od Alaski zgłoś się, Asesor zgłoś się.
- Tak, Asesor się zgłasza.
- Słuchaj Lanca, kto od ciebie płynie, kto od ciebie płynie do kwadratu A?
- Dobrze, zrozumiałem. W rejo, w rejonie twoim jest cisza.
- Tak, tak, rozumiem, rozumiem. Słuchaj, powtórz mi Legis, powtórz mi Legia. Legis, Lapis i Lanca, i Lanca, nie Lech, tak?
- Zrozumiałem, że Lanca i Legis, Lanca i Legis.

- Słuchaj Legia, wpływ ty do mnie, wpływ ty do mnie, jak możesz.
- Sliwa dla Atamana.
 - Słuchaj. Na Chylonii nie można się już przebić, zablokowane całkowicie jest.
 - Na Chylonii nie można przejść, bo zablokowane, tak?
 - Tutaj jest "Czerwone"¹⁰ zablokowane i tam już nie ma żadnego przejazdu.
 - Rozumiem, rozumiem.
 - No dość dobrze, ale w dużych szumach, w dużych szumach. Staraj się zatrzymać, jak będziesz mi podawał.
 - Alaska tu Aseor, zgłoś się.
 - Alaska, słucham.
 - Alaska, moje dwie... się rozkleiły, co z nimi zrobić?
 - Powtórz.
 - Mówię, że moje te, te dwie..., które tu były się rozkleiły i co mam zrobić?
 - Sklej, aklej i wróć
 - Błysk zgłoś się, tu Sliwa.
 - Zgłasza się Błysk dla Sliwy.
 - Słuchaj, słyszę cię teras, cały czas wołałem, nie miałem z tobą łączności.
 - Słuchaj, ja cię w tej chwili bardzo słabo, nie mogę cię zrozumieć. Może któryś z... innych zrozumiał go.
 - Zgłaszam się dla Komara.
 - ...z okrzykami "Wojsko z nami", "Chleba", śpiewali Międzynarodówkę i hymn Polski.
 - Tak Sliwa, rozumiałem, tu Alaska.
 - ... bo już nie mogę, nie mogę.
 - W którym kierunku?

- Pod Radę, pod Radę duża grupa idzie i śpiewają hymn, krzyczą "Mordercy", "Dajcie chleba, dajcie chleba".
- Zrozumiałem. Początkowe, początkowe mi podaj literki tylko, cyferki mam.
- Gujana, Gujana zgłoś się, tu Błysk.
- Słuchaj Błysk, ja rozmawiam w tej chwili, momentik zaczekaj. Błysk. Powtórz literki. Maria, Irena, Zenon. Maria, Irena, Bolesław, tak? Zrozumiałem. Dziękuję. Zgłaszam się dla Sliwy. Zgłasza się Gujana dla Sliwy.
- Kasztan, Kasztan zgłoś się.
- Tak jest, tak jak powtarzałem: Maria, Irena, Barbara 74 328 Italiano. Płynie w kierunku kwadratu II.
- Sliwa, Sliwa co chciałeś?
- Zgłasza się Alaska, podaj.
- Słuchaj, pokazały się ulotki na Zygmunta...
- ...zdobyć jedną.
- Sliwa zgłoś się, tu Alaska.
- Słuchaj, pisane jest to ołówkiem, czerwonym, czerwonym ołówkiem. Ołówkiem, ale czy czerwonym?
- Tak, czerwonym.
- Gujana zgłoś się, Gujana zgłoś się, tu Sliwa.
- Gujana dla Sliwy.
- Słuchaj Gujana. Mam do ciebie taką prośbę. Ponieważ mnie tutaj... obstawiły, że słabo je słyszę. Ty się zorientuj, proszę ciebie, na czwartym kanale co słyszać o Błysku, Bawarii i Asesorze.
- Dobra.
- Postaraj się.
- Błysk, Błysk zgłoś się, tu Gujana.
- Zgłasza się Błysk dla Gujany.
- Co tam u ciebie.
- No słuchaj. Podawałem tam Alasce dla Sliwy

co jest. Więc jest taka sytuacja... ulotki na szybach było widać z przeciwnej strony szyb wystawowych. Pisane czerwonym ołówkiem, że: "Precz z ludźmi... którzy nie mają prawa rządzić". "KC jest..."

- Dobra, zrozumiałem.
- Gujana zgłoś się.
- Zgłasza się Gujana.
- Co tam u ciebie.
- To samo, to samo co podawałem przed chwilą.
- Dobra. Asesor zgłoś się.
- Zgłaszam się.
- Jak tam u ciebie.
- To samo, wszystko pod Radę.
- Sliwa, Sliwa zgłoś się, tu Gujana. Sliwa, Sliwa tu Gujana.
- Zgłasza się Sliwa.
- Słuchaj, więc Błysk, Błysk podał, że wszyscy płyną pod Radę, pod Radę. Ulotki, ulotki są, proszę ciebie, na szybach sklepów, że KC jest dwulicowy, że Cyrankiewicz i precz z chwiejnym rządem itd. To samo mi podał Asesor i Bawaria. Wszystko płynie pod Radę.
- Zrozumiałem.
- Sliwa, tu Asesor.
- Lanca, Lanca zgłoś się, Lanca zgłoś się.
- Słuchaj, Asesor się zgłasza, Asesor się zgłasza. Na czele są azturmówki.
- Lanca, Lanca zgłoś się, Lanca zgłoś się.
- Gujana tu Asesor.
- Zgłaszam się dla Asesora.
- Na czele czołówki, na czele czołówki tego całego pochodu jest niesiona flaga między, narodowa flaga.
- Tu Sliwa. Kto mnie słyszy niech odpowie.

- Błysk słyszy bardzo dobrze.
- Asesor słyszy.
- Gujana, Gujana słuchaj, tu Sliwa. Zapytaj się tam kogoś, Błysku albo proszę ciebie Bawarii, ile...
- Gujana dla Komara.
- ...na kanale "Świętojańskim". Zrozumiałeś mnie Gujana?
- Dobrze, w porządku.
- Lazur, Lazur zgłoś się. Lazur zgłoś się.
- Gujana zgłoś się, tu Sliwa.
- Gujana dla Sliwy.
- Słuchaj Gujana. Zorientuj się tutaj, albo Błysk, przez Błysk, albo Bawaria albo Asesor, niech podadzą mniej więcej ile jest ludzi, ile jest ludzi na kanale Świętojańskim.
- Około trzech tysięcy, około trzech.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Asesor, zgłoś się.
- Gujana zgłasza się.
- Asesor zgłoś się.
- Długo wołasz?
- Czy masz Lecha? Czy masz Lecha?
- Dobra. To trzymaj Lecha.
- Sliwa tu Asesor, zgłoś się.
- Podawaj dla Gujany, co z tą Sliwą, ta Sliwa nie słyszy.
- Słuchaj, w tej chwili cały ten tłum liczący około czterech tysięcy powiększa się cały czas, proszę ciebie, normalnie o ludzi przebywających na ulicy, powiększa się. I wszyscy razem pod Radę płyną. Wołają hasła. Skandują takie hasła: "Nie ma kołka nad Kociołką", "Nie masz kołka nad Kociołką", "Chodźcie z nami, chodźcie z nami".
- Asesor zgłoś się.

- Tak, Asesor się zgłasza.
- Co u ciebie, co u ciebie.
- Ależ podałem ci, podałem ci. Ten tłum się powiększa, że cały czas powiększa się. I wszyscy skandują, wiszz, "Nie ma kołks nad Kociołks" itd.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa. Wszystko pod Radę, wszystko pod Radę idzie. Ogromny tłum, ogromny tłum tutaj jest.
- Alaska zgłoś się.
- Sliwa, Sliwa tu Asesor, zgłoś się.
- Podaj mi teraz, bo cię słyszę dobrzs.
- No więc woła cię, woła cię, Alaska cię woła.
- Słuchaj, Alsski nie słyszę, podaj ty mnis od Alaski.
- Alaska, Alaska tu Asesor. On cię nie słyszy. Podaj co mam mu przekazać.
- "Precz z mordercami".
- Słuchaj Sliwa, tu Asssor, zgłoś się.
- Tak, zgłaszam się.
- Przy Radzie skandują "Precz z mordercami, precz z mordercami", "Wojsko z nami, wojsko z nami".
- Gujana zgłasza się.
- Więc ile tam jest mniej więcej osób w tej chwili przy Radzie.
- W tej chwili jest gdzieś około pięć.
- 4880 D.
- A ile jest przy Radzie.
- A kto to zgłaszał.
- Już dobijają do Rady.
- Dobra.
- Dobrze, Alaska, już cię usłyszałem teraz, usłyszałem cię.
- Gujana zgłoś się.
- Zgłasza się Gujana.
- Więc słuchaj. Już dochodzą do Rady, dochodzą

do Rady. Jest około pięć tysięcy, około pięć tysięcy i skandują.

- Dobra, w porządku.
- Kasztan, Kasztan zgłoś się, tu Gujana.
- Gujana zgłoś się.
- Tsk, zgłasza się.
- Zgłasza się Ataman. Zgłasza się Ataman.
- Zrozumiałem.
- Mnie chodzi o informację co się dzieje koło szkoły morskiej, szkoły morskiej.
- Nie ma żadnego przelotu, wszystko pozamykane, nie można przejść.
- Sliwa, Sliwa zgłoś się.
- Z Atamanem, łączyć?
- Tak, zgłaszam się.
- Tak, zrozumiałem.
- No przecież ci podałem, że tam nie można przepłynąć, jest blokada, jest blokada, ja się wycofałem.
- Z kwadratu C, z kwadratu C do kwadratu A. Co się tam dzieje?
- Ważne jest, ważne jest, żeby jakoś Ataman, Ataman przedostał się na tamtą stronę.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Wiecie co, to nic nie wyjdzie.
- Sliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Tak, tak, tak, zgłasza się.
- Słuchaj. Od kwadratu C do kwadratu A wszystko idzie piechotą, piechotą.
- Słuchaj, słuchaj, podaj mi, bo ja nie wiem...
- ...do ciebie, wszystko na piechotę idzie.
- Dobrze, zrozumiałem. Słuchaj, czy możesz podać mniej więcej jaka grupa?
- Słuchaj, to jest różnis. Zależy gdzieś, bo nie ma żadnej komunikacji. Zrozumiałeś? Nie ma komunikacji.

- Rozumiem. Więc nie ma komunikacji, idą pieszko.
- Tak jest.
- Zrozumiałem cię, że przy dworcu jest spokój, jest spokój, wszystko jest przy Radzie.
- Na "Trzeciego", na kanale "Trzeciego" sam wpływaj.
- Słuchaj, teraz taka sprawa... "Świętojańska".
- ...na Świętojańską, na Świętojańską, tak?
- Rozumiem cię, rozumiem.
- ...bo teraz wszystko leci na "Władka" tutaj.
- Tak, wszystko przy poczcie, wszystko przy poczcie jest.
- Orator, Orator, Orator 4158.
- Gujana zgłoś się, tu Sliwa.
- Gujana...
- Słuchaj, kanałem "Dziesiątego" od dworca, kanałem "Dziesiątego" w kierunku Świętojańskiej płynie nowa grupa ludzi, płynie nowa grupa ludzi.
- Kto to podał?
- Alaska.
- Alaska. Dobra. Ile, ile?
- Słuchaj, to w tej chwili nie można tego tak obliczyć.
- Na razie.
- Słuchaj. Bo tam już rzucają z helikopterów, rzucają z helikopterów i on musi uciekać.
- Dobra. To z "Dziesiątego", z "Dziesiątego" do Świętojańskiej, tak?
- Tak, tak.
- Dobra, dziękuję.
- Kasztan słyszałeś, słyszałeś? Duża grupa idzie z "Dziesiątego" do "Święto", do "Święto".
- Zgłasza się Sliwa.
- Czy jest ktoś przy Komunie, przy Komunie.

11. Ul. 3 Maja.

12. Poczta główna na ul. 10 Lutego

- Tam nie ma, tam nie ma, tam trudno się dostać, nie puszczają od dworca tam dalej nie puszczają.
- Tu Sliwa. Gujana zgłoś się, tu Sliwa.
- Gujana dla Sliwy.
- Słuchaj. Zawołaj na czwartym i spytaj się, czy ktoś jest przy Komunie, czy ktoś jest z naszych... przy Komunie.
- Przy Komunie dojdzie zablokowane.
- Sliwa, Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Aldona podała, że Komuna i port, obydwie strony, są zablokowane. Wojskiem. Nie można się przedostać.
- Dobrze, zrozumiałem.
- I wszystko, wszystko płynie pod Prezydium.
- Dobrze, zrozumiałem. Czyli obie strony są zablokowane.
- Tak, obydwie strony.
- Sliwa, Sliwa zgłoś się, tu Błysk.
- Sliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Błysk, Błysk podał, że przy Radzie, przy Radzie się wszystko zbiera i ze wszystkich stron jest obstawione wojskiem.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Tu Gujana. O jakie ci kutry chodziło, co miały przypłynąć do ciebie.
- Słuchaj...
- Sliwa zgłoś się. Tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Błysk, Błysk podał, że przy Radzie, przy Radzie się wszystko zbiera i ze wszystkich stron jest obstawione wojskiem.
- Dobrze. Zrozumiałem.
- Słuchaj. Jak tam, proszę ci bis, tutaj, proszę ciebie, Sliwa prosił, żeby Kasztan, Kasztan

dwa kutry przysłał. Więc nie wiem, czy te kutry
 wypłynęły do nas czy nie, bo nie miałem wiadomości
 o tym. Dodatkowo.

- Sliwa, tu do mnie. Tu mam coś ważnego dla ciebie.
- Tu Asesor, zgłoś się Gujana, tu Asesor, zgłoś się. Sliwa, tu Asesor, zgłoś się.
- Asesor zgłoś się, Asesor zgłoś się, tu Sliwa.
- Tu Asesor, co chciałeś Sliwa.
- Co u ciebie, co u ciebie.
- Więc słuchaj. W tej chwili helikoptery puszczają te dymne, dymne i część się rozchodziła, ale zaraz, bo mi się zdaje, że oni skierowali się tutaj na Wzgórze Nowotki, na Wzgórze Nowotki. Nis rozumiałem się, nie rozumiałem cię. Jest cię bardzo słabo słychać.
- Tu Ataman, jak mnie słyszysz?
- Ludzie się rozchodzą, rozchodzą się, bo pigułki puszczali.
- Sliwa, tu Ataman, zgłoś się.
- Jakoś tam, jakoś teraz ustawiliście się tak, że nis mogę was zrozumieć, nie mogę was zrozumieć.
- Sliwa, tu Ataman, jak mnie słyszysz?
- Asesor podaje, że ich odsunęła, odsunęła...
- Tam w kierunku Prezydium przebija się tłum, gdzieś tak tysiąc, tysiąc pięćset. Na czele cztery biało-czerwone flagi.
- Dobra, rozumiałem. Od strony, od strony jakiej?
- Od skweru Kościuszki, od strony "Dziesiątego", "Dziesiątego".
- Dobra. Baza zgłoś się, Baza zgłoś się.
- Baza zgłasza się.
- Słuchaj, ten kuter, ten kuter co wrócił na Bazę zablokować, zablokować, nie puszcząć. Zaraz tam nasi przyplyną.
- Sliwa, Sliwa zgłoś się, tu Alaska.
- Gujana dla Alaski.

- Podaj Sliwie, że to wojako źle rzuca, tylko nie do celu, powinni rzucać przy dworcu na Wzgórzu. A rzucają tu przy Prezydium, a ci łapią i rzucają na wojsko te granaty.
- Dobra, powinni przy dworcu rzucać, tak?
- Tak. ...w tą stronę i będzie na tłum, a tak ten tłum odrzuca i na wojsko, na wojsko wazytko idzie.
- Alaska tu Sliwa.
- Tak, zgłasza się Sliwa.
- No pięknie cię teraz słyszę, dobrze cię teraz słyszę. Podaj mi teraz.
- Słuchaj. Helikoptery powinny rzucać przy dworcu, na Wzgórzu. A oni rzucają przy Prezydium. Ci łapią te granatniki i rzucają na wojsko. Wojsko całe zadymione. A tłum stoi w miejscu.
- Dobrze. Zrozumiałem, zrozumiałem.
- Gujana zgłoś się, tu Legia. Gujana zgłoś się, tu Legia.
- Sliwa, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj Sliwa. Alaska podał, żeby powiadomić tam sztab, proszę ciebie, że ci z helikopterów źle rzucają, źle rzucają. Nie rzucać na Radę, tylko w pobliżu dworca Wzgórze Nowotki, bo ci spod Rady odrzucają na wojsko z powrotem to. Żeby rzucać w pobliżu dworca Wzgórza Nowotki.
- Już powiadomiłem. Alaskę słyszałem.
- Słuchaj, drugi grajek robiłem, dlatego, że ten pierwszy mi wysiadł.
- Sliwa, Sliwa tu Alaska, zgłoś się.
- Tak, zgłaszam się.
- Już rzucają prawidłowo, prawidłowo teraz rzucają.
- Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj, czy do ciebie po drucie jest kierunkowy.

- Jest, jest, 2-7-0, 2-7-0 i musisz, musisz na to, co jest, wiesz. To jest wewnątrz.
- Sliwa zgłoś się, tu Legia.
- Zgłasza się Sliwa dla Legii.
- ...płynie w stronę...
- Ale skąd, ale skąd?
- Od "Żelaznego".
- Od "Żelaznego" płynie w stronę... kilkaset osób.
- Tak, tak.
- Zrozumiałem cię Legis.
- Zgłasza się Alaska.
- Słuchaj Alaska. Ja mam szyperkę od ciebie, szyperkę od ciebie. Ona nie może dotrzeć do twego kwadratu.
- Niech u ciebie zostanie, jak nie może dotrzeć... kursują, to nie zawody.
- Płynię do kwadratu A.
- No to niech będzie u ciebie.
- Alaska dla wszystkich w kwadracie A.
- Legia zgłoś się, tu Sliwa.
- Zgłaszam się.
- Słuchaj, ale ta grupa płynie jaką ulicą?
- ...
- Dobrze, zrozumiałem.
- Tak, zgłaszam się.
- Gdzie ty jesteś, ja mam dla ciebie coś.
- Jestem tu pod Radą, ale z drugiej strony, u góry... Kopernika.
- Dobra.
- Nie zrozumiałem.
- Tutaj podawali, że podobno do was jest kierunek, rozumiesz, to jak tutaj w moim kwadracie.
- Ja mam kierunek do was, to tak, ale do mnie to mi nie podawali.
- Alaska zgłoś się.

- W kierunku K to prowadzi. Jeżeli wyjdzie poza kwadrat K, to go puścić.
- ...bo tu nie widzę teraz.
- Tu Asesor, tu Asesor. Helikoptery, helikoptery w operacji są.
- Ile tam tego zgrupowania przy Prezydium?
- Teraz to jest tak trudno określić, dlatego, że to się wszystko podzieliło na grupki i ucieka od tego dymu. Więc całe te place są pozajmowane jeszcze, pozajmowane... po okolicy wszystko się tak porozbijało.
- Zrozumiałem.
- ...zgłoś się.
- Zgłasza się Bawaria.
- ...
- To postój, co tam jest za tą ulicą idę zobaczyć.
- Tu Sliwa, tu Sliwa, kto jest przy Komunie, kto jest przy Komunie z was?
- Nikogo. Tam nie można przejechać.
- Czyli nie macie żadnych wiadomości, tak?
- Obstawione wejście. Tam ani w tą, ani w tą.
- A od nas tam są czy nie, wewnątrz?
- Nie wiem, nie wiem.
- Dobrze, zrozumiałem.
- A kto jest przy dworcu, kto jest przy dworcu?
- Alaska niedawno była, tam jest spokój, spokój.
- Zrozumiałem, tam przy dworcu jest spokój.
- Zgłasza się Bawaria.
- No słuchaj chłopie, powiedz dokładnie ulicę.
- Słower Czolgistów, skwer Czolgistów.¹³ To ja tu jestem obok.
- Tu Gujana.
- Czy od morza?
- Jak od morza to po lewej, jak od morza to po lewej.
- Dobra.

13. Chodzi o Aleję Czolgistów.

- Sliwa, Sliwa tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Podaj mi, podaj, chcę wiedzieć jaka sytuacja jest tam u ciebie.
- No więc słuchaj. Całość jest w tej chwili skupiona przy Radzie. Całość jest, całość jest przy Radzie skupiona.
- Ile tego będzie?
- To zaraz się dowiem. Alaska zgłoś się, tu Sliwa.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, Kasztan chce mniej więcej wiedzieć, czy możesz określić jaki duży jest tłum przy Radzie.
- Przy Radzie - tak mniej więcej około trzech.
- Koło trzech tysięcy. Zgłoś się Gujana.
- Tak, zrozumiałem.
- Tu Sliwa, tu Sliwa. Słuchaj, kto jest może przy placu Kaszubskim? Wie, co się tam dzieje? Może ty wiesz, który z kutrów jest tam?
- Ja byłem niedawno, to był spokój. A przy skwerze wojsko, wojsko. Cały skwer.
- Byłeś niedawno, tak? Więc przy skwerze jest wojsko, a na placu jest spokój, tak?
- Dwa kutry, dwa kutry Kasztan miał wysłać, co z nimi jest?
- Dawno to temu było?
- Jakies dzieńce temu.
- Słuchaj Alaska, jeżeli jest możliwość, to chodzi o sprawdzenie tych okolic.
- Kasztan, Kasztan. Simka się pyta, co z tymi dwoma kutrami. On jest na lotnisku, Simka. Simka podaje, że było już lądowanie, mają bagaż i Flora miał podesłać dwa kutry przed ósmą już. I co jest z tymi kutrami? Czy Flora wysłał czy nie?

- A ty gdzie teraz?
- Ja tu jestem na Dzierżyńskiego i chcę się przedostać na drugą stronę moze.
- Słuchaj, tam nie ma... sprawdź tam.
- Więc dla Simki załatwione, wysłane kutry, tak?
- Sliwa, kto jest w okolicach dworca?
- Simka, Simka tu Reda. Kutry wysłane są, wysłane są.
- Zgłoś się, tu Sliwa.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj, chodzi mi o sprawdzenie okolic dworca, okolic dworca.
- Flora podał, że wysłał, Flora podał, że wysłał. Powinny być w każdej chwili.
- ...zaraz sprawdzę.
- Dobra Ataman, Ataman postaraj się sprawdzić okolice dworca.
- Kasztan, Kasztan tu Gujana.
- ...Władysława, Władysława płynię z flagami w kierunku "Dziesiątego", tak?
- Z raketnic do helikopterów, z raketnic do helikopterów, zrozumiałeś?
- Ile tego może być tak na oko?
- Tłok, nadal jest tłok, koło trzech tysięcy.
- Kasztan, Kasztan. Jaka jest sytuacja na trasie od lotniska, tam gdzie jest Simka, Simka, do kwadratu K. Czy można przepływać? Czy jest czysto?
- Simka, Simka tu Reda. Można, można. Czysta, czysta trasa.
- Zgłasza się Sliwa dla Błysku.
- Gujana dla Błysku.
- Słuchaj Legis. Powiedz mi jak gęsto, jak gęsto flagi są.
- Dobra, miejcie u siebie na razie. Kasztan zgłoś się.

- Narodowe flagi? Zaraz sprawdzę. Na razie nie ma ich.
- ...od Rady.
- Co z nimi zrobić.
- Tak, tak. Ale... ich więcej tam od Rady.
- Tak jest w kwadracie A.
- Słuchaj. Więc ona odłączyła się i ciągnie w kierunku 10 Lutego.
- ...pełny plac, zawałona cała ulica.
- Co mam przekazać?
- Z transparentem.
- Sliwa zgłoś się, tu Ataman.
- Słuchaj Legis, możesz podać treść transparentu?
- Sliwa zgłoś się, tu Ataman.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, więc tak...
- Dobrze, zrozumiałem.
- ...tutaj okolice, dworzec, całkowity spokój.
- Zrozumiałem. Plac Kaszubski i dworzec całkowity spokój.
- Tak jest. Pojedyncze osoby idą od kierunku, tego, od Komuny, ale to tylko pojedyncze osoby.
- Dobrze, zrozumiałem cię.
- Sliwa, Sliwa zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, Błysk ma dwie ulotki, ma dwie ulotki, które tam rozrzucali... Podaj mu, podaj mu. On ma zabrać od Błysku te rzeczy.
- Słuchaj, słuchaj, ale jedna by się przydała tutaj dla nas.
- Błysk zgłoś się do Alaski, zgłoś się do Alaski.
- ...zaraz zgłoś się, żeby jedna tutaj dostarczona była.
- Dobra, dobra.
- Sliwa zgłoś się, tu Ataman.

- Sliwa, Sliwa tu Gujana. Więc jeżeli Sokół będzie do mnie płynął, to niech jedną przyniesie dla nas.
- Dobrze, zrozumiałem. Ataman zgłoś się, tu Sliwa.
- Zgłasza się Ataman.
- Masz coś dla mnie?
- Tak, tak. Że Czerwonych, Czerwonych Kosynierów cała jest wolna w tej chwili. I jest komunikacja normalna...
- Dobrze, dobrze, zrozumiałem cię.
- Ja w tej chwili jadę na Chylonię zobaczyć jak tam jest.
- Powtórz mi jeszcze.
- Ja jadę na Chylonię, na Chylonię tam w głąb.
- Dobrze, Ataman, więc obejrzyj okolicę szkoły morskiej.
- Sliwa zgłoś się do Bawarii.
- Zgłaszam się.
- Tu na tej... morza przypłynęła milicja, milicja.
- Na całym, na całym "Świętym" jest zajęta, blokada.
- Tu na zalewie, tu na zalewie, to znaczy tuż przy Prezydium.
- Słuchaj Błysk, tam Alaska ma się do ciebie zgłosić. Masz jedną tą ulotkę dostarczyć Alasce.
- ...dopływa do "Dziesiątego", do "Dziesiątego", gdzieś kilkaset, gdzieś kilkaset, gdzieś kilkaset osób, do tysiąca.
- Rozumiem. Czy możesz tan transparent, co tam pisze, podać mi.
- Nie, to są flagi narodowe.
- Zrozumiałem, Błysk.
- Zgłasza się Sliwa dla Atamana.
- Szkoła, szkoła na Czerwonych Kosynierów. Jest spokój. Natomiast w Gdynia-Stocznia jest zgrupowanie...
- Dobrze, zrozumiałem. Gdynia-Stocznia, tak?

Gdynia-Stocznia jest zgrupowanie, ale na zewnątrz czy wewnątrz?

- ...od Czerwonych do... stoją. W każdym razie dużo ich nie ma.
- Sliwa zgłoś się dla Bawarii.
- Zgłasza się Sliwa dla Bawarii.
- Dobrze się ustawiają, milicjs, milicjs od strony morza i będą atakować.
- Gujana, Gujana tu Alaska.
- Gujana dla Alaski.
- Przy Komunie i w porcie umilkły strzały, umilkły strzały.
- Przy Komunie usilkły strzały, tak?
- Tak. Natomiast przy Radzie nadal helikoptery, tylko źle rzucają, więcej przy dworcu trzeba rzucać. Rzucają w tłum, a tłum rzuca na milicję pod Prezydium. I na wojsko.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa zgłoś się.
- Tak, tak. I powinni rzucać petardy rozpalone, a oni rzucają i dopiero na ziemi się rozpalają. Ona nim doleci powinna się rozpaść. Z opóźnieniem rzucać, z opóźnieniem.
- Dobrze, zrozumiałem, że mają z opóźnieniem wyrzucać, z opóźnieniem i tutaj w kierunku dworca i na Władysława, Władysława IV, tak?
- Tak, tak. Bo tak zabierają i w milicję rzucają.
- Gujana tu Asesor, zgłoś się. Ja wołam, bo pod Prezydium rzucają kamianiami, kamieniami biją w wojsko.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Asesor, Asesor, Sliwa już jest gotowy, już słyszy.
- Słuchaj, co ci podaję, podaję ci, tu Asesor, pod Prezydium rzucają kamianiami w wojsko.
- Dobrze, zrozumiałem. Duży ten jest tłum jeszcze przy Prezydium?

- Tam jeszcze po bokach, po bokach, tam petardami rozganiają to wszystko, ale podbiegają i rzucają kamieniami w wojsko.
- Tak, tak. Na czwartym kanale podawaj do Alaski wszystko. Sliwa jest nieczynna, Sliwa jest nieczynna, podaje wszystko Alaska.
- Zgłasza się Sliwa.
- Przecież nieczynny, nieczynny byłeś.
- Tak, bo ja zgłaszałem, że 10 minut będę nieczynny. Już jestem czynny, można podawać.
- W tej chwili petardy rzucają z helikopterów i tłum rzuca kamieniami do milicji. Żeby te petardy bliżej dworca, bo rzucają na milicję. Muszą z opóźnieniem, z opóźnieniem trochę.
- Dobrze, dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Aseor, zgłoś się.
- Zgłasza się Sliwa.
- Przy Prezydium teraz jest bójka, bójka kamieniami.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Tu Sliwa, tu Sliwa. Co jest przy dworcu Stocznia? Kto mi może podać?
- Legia tam jest, zaraz ci poda.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Z tamtego kierunku jest karetka na sygnale, tak?
- Zgłasza się Bawaria.
- Co możesz powiedzieć?
- Przy Komitecie spokój, przy Komitecie spokój.
- Dobrze, dziękuję.
- Sliwa, tu Aseor, zgłoś się.
- Sliwa dla Aseora.
- Słuchaj, wiesz, takie wyrostki atakują kamieniami wojsko. Ci petardami odpowiadają.
- Wyrostki, wyrostki atakują wojsko kamieniami, tak?
- Tak, a ci petardami, a ci rzucają petardy do góry.

- Dobrze, zrozumiałem
- Sliwa zgłoś się, tu Legia.
- Zgłasza się.
- Z dworca tłum z transparentami w stronę "Dziesiątego" płynię.
- Więc z dworca jest duży ruch z transparentami, tak?
- Tak. Z samego wału, z samego wału wypłynęli.
- I w którą stronę płyną. I w którą stronę. Legia, płyną?
- Tu od głównego dworca do "Dziesiątego".
- Od głównego dworca do "Dziesiątego" płyną, z dworca z flagami czy z transparentami?
- Z flagami, z flagami. Kilka flag i transparent.
- Słuchaj, czy mógłbyś odczytać?
- Tam nic nie pisze, tylko czarną wstążką przewiązane niektóre.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Gujana. Ile ta grupa może liczyć? Spytaj się.
- Legia, ile ta grupa może liczyć?
- No, jeszcze wypływają. Zaraz ci podam mniej więcej.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Tam przy Stoczni, przy Stoczni raczej spokoj.
- Tylko trzecia karetką stamtąd już.
- Tak, tak, tu jakiś wypadek był.
- Ach tak, był wypadek.
- Tak, tak... i karetką tam jest.
- Legia, Legia tu Gujana.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj, oni idą z samymi flagami, czy transparent też mają?
- Flagi, flagi i transparent, ale bez napisu, taki biało-czerwony.
- Sliwa zgłoś się, tu Legia.

- Tak, zgłaszam się dla Legii.
- Gdzieś około trzysta, około trzysta wypłynęło z "Żelaznego".
- Zrozumiałem. Około trzysta wypływa i płynie w kierunku "Dziesiątego".
- Tak, tak.
- Sliwa, Sliwa tu Gujana. Ja to słyszałem. Dowiedz się, jak sytuacja przy Prezydium i podaj mi.
- Więc pod Prezydium, proszę cię, jest bójka. To znaczy tam młodzież przeważnie rzuca kamieniami, a nasi i zieloni odrzucają petardami do nich.
- Dobra. A na tych kanałach? Na "Świątym" i na "Czwartym"?
- Tam jest spokój.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Kasztan, Kasztan zgłoś się.
- Halo.
- Kasztan, więc... idą w kierunku 10 Lutego. Przy Prezydium młodzież, młodzież uderza na naszych i na wojsko kamieniami, a nasi atakują petardami. Przy Komitecie spokój i na tych kanałach "Świątym" i...
- Cały czas z broni ręcznej.
- Zgłasza się Sliwa.
- Słyszać przy Radzie strzały z broni ręcznej.
- Gdzie słyszać?
- Przy Radzie, przy Radzie.
- Z broni ręcznej, tak? Słyszać. Słuchaj, słuchaj, może się upewnisz, czy to nie są petardy.
- Skąd petardy, to jest z broni ręcznej.
- Z ręcznej, nie maszynowej, tak?
- Nie, nie. Od czasu do czasu słyszę strzał z ręcznej.
- Dobrze, zrozumiałam. Gujana zgłoś się.
- Gujana się zgłasza.

- Tutaj, przy Prezydium, proszę ciebie, słyhać pojedyncze strzały, pojedyncze strzały i to są z broni.
- Dobra. Kasztan, tu Gujana. Przy Prezydium, przy Prezydium słyhać pojedyncze strzały z broni.
- Sliwa dla Bawarii.
- ..."mordercy".
- Ten tłum niesie zabitego i krzyczy "mordercy", tak?
- ...
- Dobrze, 'dziękuję. Na jakiej oni są wysokości?
- ...
- Gujana zgłoś się, Gujana zgłoś się.
- Gujana się zgłasza.
- ...niosą zabitego i krzyczą "mordercy".
- Tu Gujana. Ta grupa co z dworca, co z dworca z flagami szła.
- Słyhać petardy przy Radzie i z broni ręcznej.
- ...zabitego i krzyczą "mordercy".
- Słyhać petardy, petardy i z broni ręcznej.
- A ty coś słyszysz?
- Ja tu od czasu do czasu podaję.
- Aldona mówi, Aldona. Zgłasza się dla Bawarii. Słuchaj, kto to podawał, podawał, że niosą zabitego?
- Bawaria podawała, Bawaria.
- Słuchaj Bawaria, więc płyncie cały czas za nimi.
- Gujana dla Lancy /na taśmie słyhać detonacje/.
- Dobrze, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan, przy Prezydium w dalszym ciągu nasi atakują. Przeważnie tam młodzież, młodzież jest, rzuca kamieniami.
- Mijają Władysława i idą do Świętojańskiej.
- Tak.
- No dalej nie wiem, nie wiem nic na ten temat.

- Sliwa, Sliwa, tu Gujana. Czy coś bliżej wiesz o tych strzałach, o tych strzałach przy Prezydium?
- No na razie... przy Prezydium.
- Legia, Legia możesz mi coś podać?
- No cóż ci podam. No szum, rzucają kamieniami, petardy wybuchają, strzały od czasu do czasu i więcej nic.
- No więc podaj mi jeszcze raz, podaj mi jeszcze raz o tych strzałach dlatego, że już zdublowałeś się.
- Strzały od czasu do czasu z broni ręcznej, petardy, świece dymne, no wiesz tam szum, no nie mogę podejść bliżej jeszcze.
- Rozumiem. A kto ci to podał? Alaska?
- Tak, tak Alaska. Nareszcie tam szturm. Wojsko i milicja daje szturm. Uciekają.
- Rozumiem. Wojsko i milicja szturm zrobiło.
- Zgłoś się.
- Słychać strzały z broni ręcznej.
- Gujana.
- Tam jest trochę kotłowania, bo tam słychać pojedyncze strzały i petardy i kamienie, ale w tej chwili... słychać strzały z broni ręcznej. Pojedyncze. /Na taśmę słychać detonacje i pojedyncze strzały./ Słyszysz?
- Słuchaj, więc bliżej co do tych strzałów, to nie wiadomo.
- Słyszałeś, Sliwa?
- Nasi i zieloni petardy rzucają i przeprowadzili szturm.
- Leci pogotowie tu na sygnale, nie wiem.
- Sliwa zgłoś się dla Bawarii.
- Tak, zgłasza się.
- Oni już są na Świętojańskiej, właśnie wychodzą ze Świętojańskiej. Wiesz, na czele jest taki biało-czerwony, skrwawiony, skrwawiony sztandar.

- Na czele jest sztandar, skrwawiony, biało-czerwony.
- ...był, ...był za sztandarem.
- ...był za sztandarem, rozumien.
- Gujana zgłoś się.
- Gujana się zgłasza dla Sliwy.
- Słuchaj, ta grupa z tym, z tym, z tym zabitym, proszę cię, jest na Świętojańskiej. Sztandar niosą zakrwawiony i za nim tego trupa.
- Idą w kierunku Prezydium, tak?
- No idą Świętojańską.
- Kasztem, Kasztem ta grupa, ta grupa z tymi flagami, co nieśli tego zabitego jest już na Świętojańskiej. Idzie dalej. Kasztem, zrozumiałeś? Zrozumiałeś? Ta grupa, ta grupa co z flagami, co nieśli tego zabitego, jest już na Świętojańskiej. I idzie dalej. Ona poszła na kierunek na Prezydium.
- Sliwa zgłoś się dla Bawarii, Sliwa.
- Tak, zgłasza się Sliwa dla Bawarii.
- Z tym trupem, z tym trupem to są, wiesz, albo młodzież akademicka, albo akademicka, albo szkolna, albo szkolna, bo na czele to są wyrostki.
- Czy z tym trupem w każdym razie jest młodzież.
- Na czele młodzież, na czele młodzież, raczej akademicka albo szkolna.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Gujana zgłoś się.
- Gujana dla Sliwy.
- Sliwa zgłoś się, tu Ataman.
- Z tym trupem, z tym trupem, proszę cię...
- Sliwa, tu Ataman, zgłoś się.
- ...posądzono jest, że to akademicka albo jakaś szkolna.
- Kasztem zgłoś się, tu Gujana. Ta grupa z tymi flagami i z tym trupem, na czele idzie młodzież, młodzież. Podają, że akademicka albo szkolna.

Idą dalej w kierunku Prezydium.

- Sliwa...
- Tak, zgłasza się.
- ...
- Powtórz mi.
- Wiele się zatrzymało. Ludzie czapki z głowy. Płaczą. Płaczą. To nie jest tego tak dużo, tak dużo.
- Dobra, zrozumiałem.
- Tu, przy tym kościele, przy PKO¹⁵...
- Sliwa, Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, tu Ataman podawał, że tego, co niosą, to niosą od Gdyni-Stoczni. Od tego bombardowania, co helikoptery rzucały. I Kasztan, Kasztan pyta się, żebyście podali w sprawie tej grupy, jakie też środki, jakie środki stosują przeciw nami.
- Więc podaj, podaj proszę ciebie, Kasztanowi, że właśnie nie stosuje się żadnych środków i jest niebezpieczeństwo, bo ponieważ ludzie się zatrzymują, zdejmują czapki, płaczą i może urosnąć duża grupa.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa, Sliwa, na jakiej wysokości są teraz?
- Są teraz naprzeciw PKO na Świętojańskiej.
- Dobra. Kasztan, Kasztan zgłoś się. Ta grupa, co niesie tego trupa jest w tej chwili na Świętojańskiej na wysokości PKO i na razie nie stosuje się żadnych środków i jest niebezpieczeństwo, że może urosnąć ta grupa. Bo wazycy dołączają, dołączają, stają, czapki zdejmują i płaczą. Dołączają do tej grupy, ta grupa rośnie.
- Sliwa zgłoś się.

15. Kościół BNP przy ul. Świętojańskiej.

- Zgłasza się.
- ...przekazał, że prawdopodobnie chcą sabotować, sabotaż, wysadzić wiadukt. Żeby tam eprowadzili. I dlaczego żadnych środków przeciw tej grupie nie etosują.
- No to ja przekazałem tutaj, przekazałem.
- Legia zgłoś cię.
- Zgłaszam cię.
- Słuchaj, jest taka sprawa, jest prawdopodobne, jest prawdopodobnie taka możliwość, że może być sabotaż mostu, mostu, mostu, żeby ktoś pojechał, zorientował się, jak tam wygląda.
- Który to most?
- Wisduktu, wiaduktu.
- Ale którego?
- Przy, przy... stoczniach.
- Dobra, tam wojsko. Już jest po waszyetkim.
- Już jest po wszystkim, tak?
- Tak...
- Gujana zgłoś się.
- Gujana się zgłasza.
- Słuchaj, mnie Legia podaje, że przy tym wiadukcie jest po wszystkim, dlatego, że tam wojsko opanowa-
ło.
- Dobra, zrozumiałem.
- Kasztan, Kasztan zgłoś się. Wiadukt jest opanowany przez wojsko.
- Sliwa, Sliwa, jak z tą grupą na Świętojańskiej.
- Na razie nic się nie dzieje.
- ...
- Nie rozumiem. Ale tu chodziło mi o zabezpieczenie, żeby to jakoś poszło, wiesz, tu wiadomość, czekam na tą.
- Ta grupa w dalszym ciągu idzie, tak?
- Ona już do Prezydium dochodzi.
- Kasztan, Kasztan.

- Legia zgłoś się.
- Zgłaszam cię.
- Słuchaj. Mnie chodzi od tego wisduktu z tą grupą, jak tam jest z tym sztandarem?
- Grupa z tym sztandarem w tej chwili jest przy poczcie.¹⁶
- Ja cię rozumiem, ale tam mówiłeś coś o krwi.
- ...poplamione krwią i szminką. "Krew dzieci" napisane.
- Dobrze, zrozumiałem. Słuchaj, czy to jest Legia duża grupa?
- Nie.
- Dobrze, zrozumiałem. Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłaszam cię.
- Gdzie ta grupa jest teraz.
- Słuchaj, ona w tej chwili na "Dziesiątego", na "Dziesiątego" jest.
- Przecież na Świętojańskiej już była. Podobno PKO minęła.
- Słuchaj, ale jest druga, mała, młodzieżowa, która, proszę cię, ma umazany sztandar, więc prawdopodobnie w szmince czy w czymś i napis "Krew dla dzieci", "Krew dzieci".
- Słuchaj Sliwa. Chodzi mi o tą grupę z tym trupem.
- Jest pod Prezydium już.
- Sliwa tu Gujana, Sliwa tu Gujana.
- Słuchaj Gujana. Więc ta grupa już dochodzi do Prezydium, dochodzi. I tam trzeba coś zrobić, żeby to rozproszyć.
- Słuchaj, a ty coś mówiłeś o jakiejś drugiej grupie.
- Tak, pokazała się niewielka grupka młodzieży, znowu, którzy niosą sztandar z napisem "Krew dzieci". Jest to pomazane chyba szminką albo

16. Poczta Gdynia 8 /róg Świętojańskiej i Traugotta/.

- czyś. Tak podali mi.
- Dobra, zrozumiałem. Ona jest na "Dziesiątego", tak?
 - Tak, ona już była na "Dziesiątego".
 - Kasztan, Kasztan tu Gujana. Druga grupka, druga grupka młodzieży na "Dziesiątego", na "Dziesiątego".
 - Rozumiem. Ja tutaj wszystko przekazałem, ja czekam sam na decyzję.
 - ...napis "Krew dzieci", "Krew dzieci".
 - Słuchaj Sliwa, ...tego trupa niosą.
 - Tak, wiem, wiem, dziękuję.
 - Sliwa tu Bawaria. Koło PLO, koło PLO jest pięćdziesiąt osób, jest pięćdziesiąt osób. Niosą estandar taki biało-czerwony, niby skrwawiony i coś tam krzyczą. Ale pięćdziesiąt osób...
 - Rozumiem, pięćdziesiąt osób przy PLO jest ze zastandarem.
 - Będą się posażu posuwali...
 - Dobrze, zrozumiałem.
 - Sliwa, Sliwa zgłoś się, tu Legia.
 - Gujana zgłoś się.
 - Gujana się zgłasza.
 - Słuchaj, mój wewnętrzny teraz zmieniony na 293.
 - Dobra, jak tam sytuacja przy Prezydium.
 - No na razie nic, proszę ciebie, nic.
 - A doszli już do Prezydium, tak?
 - Tak.
 - ...zatrzymali, zatrzymali się tutaj.
 - Dobrze, dobrze.
 - ...
 - Dobrze, dobrze, zrozumiałem. Słuchaj, mi chodzi o tę grupę z tym, z tym, z trupem.

- ...we Władysława...
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, Sliwa zgłoś cię.
- Tak, zgłasza się Sliwa.
- Tu Ataman. Słuchaj, na wysokości Prezydium włączyły się dwa helikoptery i bombardują gazami. Prawdopodobnie na ich wysokości są.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Gujana zgłoś cię, ja Lanca.
- Gujana dla Lancy.
- Tak, zgłasza się dla Legii.
- ...
- Słuchaj, a ta grupa, która...
- Powtórz mi jeszcze raz.
- Wojsko też atakuje, wojsko też atakuje w kierunku Wzgórza, tak?
- Tak, tak, w kierunku Wzgórza... i z helikopterów.
- Strzelają, strzelają z broni.
- Tak, tak, ale petardy, petardy.
- Dobra. Kasztan zgłoś cię, Kasztan tu Gujana. Pod Prezydium nasi z wojskiem atakują. Petardy i helikopter jest w akcji. Tutaj w kierunku na Wzgórze i na dworzec.
- ...Gujana. 10 Lutego idzie teraz na Władysława na poziomie Delikatesów.
- Do Prezydium dotarła.
- ...
- Powtórz mi jeszcze raz.
- No przy Prezydium straszny tłum, straszny tłum. Trudno jest zorientować się, jak to wygląda...
- Słuchaj. Sliwa, więc ta grupa, rozumiesz, z tym trupem doszła pod Prezydium, połączyła się tam z tą grupą, która była przy Prezydium i tam jest stakowana w tej chwili gazami z helikopterów. Trudno jest w tej chwili dojrzeć

co się tam dzieje dlatego, że to wszystko się rozpryskuje.

- Dobra, zrozumiałem, zrozumiałem.
- Bawaria mówi... dwie grupy widać tam uciekają.
- Dobrze, zrozumiałem cię. Alaska zgłoś się. Alaska zgłoś się, tu Sliwa.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj, ilu ty teraz dysponujesz wozami, iloma?
- Nie wiem. od Alaski jest trzy, i chyba dwa, plus dwa jeszcze, to razem pięć.
- Ale Legia przecież u ciebie jest jeszcze.
- Od Alaski trzy, Legia i Błysk.
- Słuchaj, a co się stało z Basztą?
- Nie wiem, nie słyszę go.
- No ja, ja proszę ciebie, nie mam też żadnych od niego wiadomości.
- Sliwa tu Legia. Tu Lanca, tu Lanca idzie.
- Ale Baszta spływa?
- Ja nie wiem. Od Lecha Legia i Lanca miały być.
- Gujana zgłoś się, tu Sliwa.
- Gujana dla Sliwy.
- Słuchaj jest taka sytuacja, że tam u mnie miała być Baszta, nie? Słuchaj, to ja nie mam z nią żadnej łączności, z Basztą i proszę ciebie Alaska też z nią nie ma. Czy nie mógłbyś poszukać ją?
- Dobra, poczekaj. Baszta, Baszta zgłoś się.
- ...
- Słuchaj, gdzie ty jesteś teraz?
- ...
- A czy ty nie miałeś płynąć do kwadratu A? Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj, tam miał do ciebie, Błysk i Bawaria tam są w twoim kwadracie.
- Aha, Błysk i Bawaria tak? Dobrze, zrozumiałem.

- Tam jest Legia, proszę ciebie i Lanca jeszcze.
- No widzisz, ja Lancy nie mam, ja z Lancą nie mam żadnych kontaktów.
- Ja mam, ja mam za to z Lancą.
- Słuchaj, a gdzie on jest w tej chwili?
- Przy Wzgórzu. I tam nie może dotrzeć do ciebie.
- A słuchaj, czy jest jakiś dopływ, dopływ do nas, dopływ do nas do kwadratu C?
- Zaraz się dowiem.
- Dobrze.
- Tu Gujana, tu Gujana. Czy jest dopływ z kwadratu C, z kwadratu C tam na "Dziesiątego"? Lanca zgłoś się, Lanca, Lanca zgłoś się.
- Słuchaj Gujana. Jest dopływ... od Orłowa... tam koło lasu.
- Sliwa, Sliwa, głównymi kanałami nie ma, nie ma dopływu, można bocznymi, można bocznymi tam koło lasu.
- No ja rozumiem. Mnie chodzi o ludzi, mnie chodzi o ludzi obcych. Czy dopływają?
- Dobra, zrozumiałem.
- Lanca zgłoś się.
- Tak, zgłasza się Lanca.
- Tu Gujana, tu Gujana. Kto jest tu przy głównym kanale przed Wzgórzem, przy głównym kanale przed Wzgórzem?
- Asesor, Asesor jest.
- Asesor, czy jest dopływ, czy jest dopływ z kierunku kwadratu C do kwadratu A? Czy ludzie dopływają?
- No, chodzą, idą, idą.
- Sliwa, Sliwa, Aseeor przekazuje, że dopływ jest, że dopływają z kwadratu C.
- Sliwa zgłoś się, tu Alaska.
- Tak, zgłaszam się.

- Na Świętojańskiej, na Świętojańskiej zieloni, zieloni. Bardzo dużo. Idą całą szerokością. W stronę Rady płyną.
- Dobrze, zrozumiałem. Czyli zieloni całą szerokością Świętojańskiej, tak?
- Tak, tak.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Słuchaj, kto podawał o tych zielonych, że idą szerokością Świętojańskiej?
- Legia podawała.
- Słuchaj, ale oni idą w jakim kierunku?
- W stronę Rady, w stronę Rady. Nie widzimy ile tego jest... wyłoniły się dwa czy trzy, to dalej po bokach tłumy ludzi etajy.
- Dobrze, zrozumiałem.
- ...zgłasza się, tak, zgłasza się dla Atamana.
- ...
- Ale słuchaj, to jest czym wypełnione, obcymi, tak?
- ...
- Na jakiej wysokości oni są?
- ...
- Ataman, na jakiej wysokości są?
- ...
- Gujana zgłoś się. Zgłoś się.
- Gujana się zgłasza. Kto mnie woła?
- ...Słuchaj, tutaj pod Prezydium jest spokój.
- ...Kto to podaje?
- Podaje Błyak, że przy Prezydium jest spokój...
- Dobrze, zrozumiałem. To gdzie to... się rozeszło, w jakich kierunkach, podaj mi.

17. W grudniu 1970 r. panowała opinia, że wojsko w rozruchach pełniło rolę bierną, uszelkie zaś akcje przeprowadzała milicja przebrana w wojskowe mundury.

- Na dworzec Nowotki, rozumieez i na boki, na boczne.
- Dobrze, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się, tu Gujana.
- Błysk, Błysk zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Ta grupa z tym trupem, jak tam sytuacja, czy coś bliżej wiesz?
- Zaraz ja to postaram się sprawdzić.
- Kasztan, Kasztan zgłoś się, tu Gujana.
- Tu Sliwa, tu Sliwa, kto jeet przy przystanku Stocznia, kto jest w pobliżu przystanku Stocznia.
- ...przez naszych i przez wojsko. Rozproszyli, rozproszyli wszystkich.
- Legia tam była niedawno. Ale tam spokój, spokój panował.
- Dobrze, zrozumiałem Legia, że tam spokój panował.
- Tak, tak.
- Gujana zgłoś się.
- Zgłasza się Gujana.
- ...oni rzucają...
- Słuchaj. Na Wzgórzu, przy tym dużym kościele¹⁸, tam jest duży tłum ludzi, duży tłum ludzi...
- Przy kościele na Wzgórzu, tam jest duży tłum.
- Tak, tak...
- Zrozumiałem, że jak użyją środków chemicznych, to mam ci podać.
- Nie, nie ma.
- Gujana zgłoś się, Gujana zgłoś się, tu Sliwa.
- Wyłącz się Sliwa na razie, bo ja z Kasztanem.
- Sliwa, Sliwa tu Gujana. Czy dostaliście środki chemiczne? Potas w postaci środków chemicznych. Sliwa, tu Gujana.

18. Kościół OO.Franciszkanów, pod uzurazien św.Antoniego.

- Gujana. Na Wzgórzu przy kościele, podała mi Lanca, podała mi Lanca, tam na stacji jest bardzo duży tłum ludzi.
- Dobra, zrozumiałem. Słuchaj, Kasztan cię pyta, czy dostaliście potas w postaci środków chemicznych? Sliwa, odpowiedz.
- Słuchaj Gujana. Ja osobiście, my osobiście nie dostaliśmy nic. Czy dostali ci, co tu są, tego się nie orientuję. My osobiście nic nie wiemy.
- Dobra, zrozumiałem. Jak będziesz coś wiedział, to mi podaj.
- Dobrze, zrozumiałem.
Kasztan, Kasztan zgłoś cię.
- Zgłoś cię Sliwa dla Legii.
- Kasztan, tu Gujana.
- Sliwa dla Legii.
- Słuchaj, ten tłum na Wzgórzu, co podawała Legia, to gapiowie, gapiowie. Mają lornetki i wiesz, cały czas cię przyglądają, co się dzieje pod Radą.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Gujana zgłoś się.
- Zgłaszam się, zgłaszam.
- Słuchaj Gujana. Więc ci, co są na skarpie tam na Wzgórzu mają lornetki i obserwują, co się dzieje przy Prezydium.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa, Sliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Tak, zgłasza cię Sliwa.
- Tam w sprawie tych kierowców, niech się tam Sliwa dowie, niech się Sliwa dowie, bo tu sztab przywieźli.

19. Chyba: przy kościele i na stacji. Kościół stoi w odległości około 1 km od stacji /jeżeli Sliwa mówi o podniejaskim dworcu kolejki elektrycznej przy Wzgórzu Nowotki/.

- Zgłasza się Sliwa.
- Gujana zgłoś się, ja Błysk.
- Gujana dla Błysku.
- Znowu elektryczne kolejki poszły.
- Powtórz Błysk.
- Błysk podaje. Kolejki elektryczne ruszyły.
- W kwadracie A, w kwadracie A?
- Tak, tak. W kierunku tam do ciebie.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się, Kasztan, Kasztan tu Gujana. Słuchaj, sytuacja jest taka: przed Prezydium rozpedzili, rozpedzili. Duża grupa jest przy kościele na Wzgórzu, pozostali rozpedzeni na tory i tutaj na dworzec przy Wzgórzu. Puścili kolejki, kolejki elektryczne chodzą.
- Gujana, Gujana przy kościele są gapie, myśny tam byli... /głos kobiecy, słysząc helikopter/
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan, przy kościele są gapie, gapie, cywile i kobiety. Patrzą tylko co się dzieje. Nic nie ma tam, sami gapie tylko.
- Gujana dla Błysku. Odbiór.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, tan, ten wiesz, którego nieśli, trup, leży na chodniku tam koło Prezydium. Tam tylko nasi są.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan tu Gujana. Więc słuchaj. Przy Prezydium opanowana sytuacja. Ten trup, co nieśli, leży przy Prezydium. Nasi rozgonili.
- Sliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, tu mi podali, że tego trupa, co nieśli, zostawili przy Prezydium. Przekaż tam, że mają tego trupa sprzątnąć.

- Dobrze, zrozumiałem.
- Gujana dla Daniela.
- Bawaria zgłoś się.
- Więc słuchaj. Tylko tutaj od strony, głównym kanałem nie da rady, po bokach, w pobliżu lasu.
- Kto jest przy Prezydium niech mi szybko poda sytuację.
- Przy lesie, po bokach możesz płynąć.
- Kto jest przy Prezydium, kto jest przy Prezydium niech poda mi sytuację szybko.
- Legia dopływa.
- Słuchaj, zwróć uwagę jak tam wygląda. Bo tam prawdopodobnie są sygnały, że ten trup leży przy Prezydium sam.
- Dobrze, podam ci zaraz.
- Gujana, ja Błyak.
- Gujana dla Błysku.
- Sliwa, tu Aldona, zgłoś się.
- Więc tutaj na bocznych jest jeszcze dużo, grupki, i na "Czwartaków"²⁰ też sporo.
- Zgłasza się dla Aldony.
- Słuchaj, tu przy Prezydium słychać strzały z broni krótkiej.
- Przy Prezydium słychać strzały z broni krótkiej.
- Aldona zgłoś się... Gujana zgłoś się.
- Gujana się zgłasza.
- Słuchaj, sztab o tym wie, sztab o tym wie.
- Sliwa zgłoś się.
- Dobra. Słuchaj, Kasztan cię pyta, kto wydał decyzję, żeby pociągi puścić.
- Przynajmniej ja nie wiem, mnie nie maldowali o tym, nie zdążyli.
- A to dowiedz się tam.
- Słuchaj, ale tam jeden ma WC, niech się dowie. Słuchaj Gujana, tu przy Prezydium słychać strzały.

20. Władysław IV.

- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Bawaria...
- ...ja rozmawiałem z Gujaną, powtórz.
- ...często podpływają karetki i tłum się coraz większy zbiera. Chodzi o to...
- Rama, Rama zgłoś się.
- Nie przeszkadzaj Gujana na razie. Więc mówisz: pod Szpitalem Miejskim, tam gdzie przyjeżdżają karetki, zbiera się tłum.
- Tak jest, chodzi o to, żeby rozpraszać ich.
- Gujana zgłoś się.
- Gujana dla Sliwy.
- Słuchaj, tam przy Szpitalu Miejskim, przy Szpitalu Miejskim, gdzie wyjeżdżają karetki zbiera się tłum, zbiera się tłum i należałoby to rozproszyć.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan zgłoś się. Tak, tak tu Gujana. Kasztan, przy Szpitalu Miejskim tłum się zbiera, tłum się zbiera. Trzeba to rozproszyć, podał Sliwa.
- Od Bora, zgłóście się od Bora.
- Słuchaj Rama, słuchaj Rama, kuter Radnego, kuter Radnego jest gotowy do odebrania, gotowy do odebrania. Na stacji.
- Sliwa zgłoś się, tu Bawaria.
- Tak, dla Bawarii.
- Gujana dla Kołacza.
- Znów się tłumy zbierają...
- Przy Prezydium, tak.
- Przy pogotowiu na Władysława IV, na Władysława IV.
- Gdzie ty jesteś, w jakim kwadracie?
- Dobrze, zrozumiałem, zrozumiałem.
- Sliwa, Sliwa tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Kasztan się pyta, jak z tymi środkami? Chemicznymi.
- Poszli sprawdzać, poszli sprawdzać, nie mam

na razie jeszcze wiadomości o tym.

- Sliwa, jest już Bawaria przy Prezydium, przy Prezydium. Ulica opanowana. Nie ma już żadnych osób przy Prezydium, tylko dalej, tylko dalej. Wokół placu tutaj przy Wzgórzu Nowotki dużo jest.
- Zrozumiałem cię. Przy Prezydium nie ma prawie nikogo. A słuchaj, z tym trupem co się stało?
- Nie wiem, tam sama milicja jest. Mundurowi, mundurowi.
- Dobrze, zrozumiałem. W każdym bądź razie nie widzisz jego.
- Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, to wszystko uciekło tutaj, jak jest wał, wał, hotel... po tych górach co pouciekali, wracają z powrotem.
- Rozumiem. Z Prezydium uciekali, a teraz z powrotem wracają.
- Tak jest.
- Z powrotem zbierają się na Wzgórzu, z powrotem na Wzgórzu.
- Słuchaj Gujana, słuchaj Gujana, ten tłum, który został rozpędzony od Prezydium znowu, znowu powoli się zbierać zaczyna.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się, tu Gujana.
- Sliwa zgłoś się, Sliwa zgłoś się dla Bawarii.
- Zgłasza się dla Bawarii.
- Sliwa...
- Ten tłum, ten tłum co nasi rozpędzili przy Prezydium, z powrotem zaczyna zbierać się.
- ...
- Dobrze, zrozumiałem. Mówisz, że dużo ludzi chce odpłynąć w kierunku Gdańska, ale są zatrzymywani.
- Odpłynąć do Gdańska nie mają czym, dojechać do Gdańska nie mają czym.

- Dobrze, zrozumiałem.
- Gujana zgłoś się.
- Gujana się zgłasza.
- Słuchaj, jest taka sytuacja, że dużo, dużo ludzi chce odpłynąć w kierunku Gdańska, chce odpłynąć w kierunku Gdańska, ale nie ma czyna, nie ma czym.
- Słuchaj, to gdzie oni się gromadzą? Na Wzgórzu?
- Tak, na Wzgórzu.
- A kolejki nie chodzą.
- Nie wiem na razie.
- Bo tam podobno puścili, puścili kolejkę.
- Słuchaj, a w sprawie tych środków, mieli przywieźć z dostawą, mieli... Jak będziesz wiedział, jak będziesz wiedział, to mi podaj.
- Sliwa zgłoś się, tu Legia.
- Powiedz, żeby nas poinformował.
- Sliwa zgłoś się, Sliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, sztab wysłał do was, sztab wysłał i żąda potwierdzenia, czyście otrzymali czy nie. Jak będziesz coś wiedział, to mi podaj.
- Słuchaj, prawdopodobnie do marynarki wysłał, nie do nas.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa zgłoś się, tu Legia.
- Zgłasza się.
- Tam przy Radzie całkowicie opanowane przez naszych i przybyło kilkadziesiąt naszych i oni w tej chwili po górkach tam chodzą.
- Słuchaj Legia. Powtórz mi, bo się Lapis w tym czasie włączył, nie zrozumiałem cię. Powtórz Legia jeszcze raz.
- Niedawno przybyło kilkadziesiąt naszych i oni w tej chwili łąją po górkach tam. A przed samą Radą całkowicie przez naszych opanowane.

- Dobrze, zrozumiałem. Lapis zgłoś się. Lapis zgłoś się.
- Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Co z tym trupem? Czy go sprzątnęli sprzed Prezydium?
- Więc słuchaj, to jest opanowane przez naszych, jest opanowane przez naszych i tam nie można nic dojrzeć.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Czy z milicją macie łączność?
- No mam, ale pośrednią. A co chciałeś Gujana?
- No ja, chwilę, chwilę.
- Sliwa zgłoś się, tu Lapis.
- Zgłasza się dla Lapisu.
- Sliwa słuchaj. Tutaj koło "Bałtyku", wiesz, koło hotelu "Bałtyk" zatrzymują chuligani i benzynę chcą, rozumiesz, od taksjarzy.
- Dobrze, zrozumiałem. Przy "Bałtyku" chuligani zatrzymują taksjarzy i chcą benzynę.
- Sliwa, Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, dowiedz się tam w milicji co z tym trupem, czy oni coś wiedzą?
- Dobrze, zrozumiałem. Zgłoś się Bawaria.
- Zgłaszam się, zgłaszam.
- Słuchaj, czy na Świętojańskiej jest prześwit przez całą ulicę?
- Przed chwilą jechaliśmy i był prześwit, takie pojedyncze osoby, pojedyncze osoby niezwarłe tylko są.
- Sliwa tu Gujana. Jak tam, jak tam, dowiedziałeś się?

- Nie, poszedł Sliwa osobiście do szefa.
- Dobra, zrozumiałem.
- Co Sliwa nam przekazała?
- Zgłasza się Gujana dla Lazura. Lazure zgłosił się. Powtórz jeszcze raz: płynie z kwadratu C do kwadratu A, tak?
- ...
- Ale są na miejscu w kwadracie C, czy podążają do kwadratu A?
- ...
- Dobra, zrozumiałem.
- Baza, tu Gujana, zgłoś się.
- ...
- Dobra, w porządku, to płyn do kwadratu A, kwadratu A, tam cię poszukują.
- Baszta, Baszta, coś chcę od ciebie, Baszta zgłoś się.
- ...
- Słuchaj Baszta. To w tej chwili Baza, Baza dopływa do kwadratu A. Jest na... w tej chwili. To bądź włączona i go wołaj.
- Gujana zgłoś się.
- Gujana dla Sliwy.
- W sprawie tego trupa. Więc na polecenie marynarka wojenna ma zabrać go, zabrać go i przewieźć do, do Redłowa.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa zgłosił się.
- Zgłasza się.
- Słuchaj, łebki w dalszym ciągu są przy hotelu.
- W dalszym ciągu przy hotelu są, tak?
- Tak. Mają flaszki i do flaszek biorą paliwo...
- Biorą paliwo przy Wzgórzu.
- Flaszki napełniają, flaszki napełniają.

21. Do Szpitala Morskiego w Redłowie przywiezione ciało Zbyszka Godlewskiego.

- Rozumiem, rozumiem, rozumiem cię.
- ...kłada na chodniku.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Gujana zgłoś się.
- Gujana zgłasza się.
- Słuchaj. Tu chuligani, proszę cię, w obrębie "Bałtyku", tego na Wzgórzu²², proszę cię, zabierają kanistry, zabierają kanistry z benzyną i baki opróżniają. Trzeba szybko zareagować tam.
- Dobrze, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się. Słuchaj, przy Wzgórzu, tam przy "Bałtyku", przy "Bałtyku" opróżniają kanistry, zatrzymują samochody, opróżniają kanistry z benzyną.
- Na Szenwalda.
- Zamknąć dopływ na Witomino, tak? Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- W sprawie tej benzyny tam. Zamknąć ruch w kierunku na Witomino. W obydwu kierunkach.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Gujana tu Błysak, odbiór.
- Gujana dla Błysaku.
- Słuchaj, tu na "Czwartego", na wysokości Delikatesów stoją trzy opancerzone...
- Dobrze, zrozumiałem.
- Gujana zgłoś się, Gujana zgłoś się.
- Gujana dla Sliwy.
- Słuchaj, kto wydał taką decyzję?
- Kasztan mi to przekazał.
- Niech Kasztan, proszę cię, poda osobowo kto wydał taką decyzję. Bo tutaj nie chcą tego realizować.

22. Hotel "Bałtyk" terytorialnie nie należy do Wzgórza Nowotki, położony jest przy ul. Kieleckiej, wiodącej do dzielnicy Witomino.

- Dobrze. Kasztan zgłosił się, Sliwa, Sliwa się pyta, kto wydał tę decyzję, żeby zablokować te drogi od "Bałtyku" na Witomino. Dobrze, zrozumiałem. Sliwa zgłosił się, Sliwa zgłosił się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, Kasztan przekazał mi, że oni uważają, że tak należałoby zrobić. Jeżeli sztab u ciebie uważa inaczej, to niech oni decydują.
- Ale posłuchaj! Posłuchaj. Słuchaj, u nas ten główny, który jest, od Kasztana decyzji nie uwzględnia.
- Jeżeli nie uwzględnia, niech decyduje sam. Tak mi tu Kasztan polecił.
- Zgłosił się Gujana.
- Zgłasza się Gujana.
- Co ty mówisz? Powtórz.
- Że Kasztan tak zalecił. Jeżeli oni uważają inaczej, ten nasz główny jeżeli uważa inaczej, to niech on sam decyduje.
- Słuchaj, to może niech Kasztan nie daje decyzji, bo tutaj u nas jest głównym BB, rozumiesz, i on - proszę ciebie - nie realizuje tego.
- No więc w porządku, w porządku, w takim razie w porządku.
- Kto jest w pobliżu Komitetu? Kto jest w pobliżu Komitetu?
- Bawaria jest, Bawaria.
- Słuchaj, sprawdź co się dzieje przy "Listku", sprawdź co się dzieje przy "Listku".
- Dobrze, sprawdzę.
- Gujana zgłosił się, tu Lazur.
- Gujana dla Lazura.
- ...
- Na jakiej wysokości?
- Na wysokości tramwaju.²³

23. W Gdyni nie ma linii tramwajowej, tylko trolejbusowa.

- Lazur, Lazur, jaka grupa liczna?
- Tego nie wiem. Dosyć liczna, gdzieś trzysta, czterysta osób. Więcej nie mogę zobaczyć, nie mogę się kręcić za mocno.
- Wszystkie wozy! - tu Gujana - Wszystkie wozy! Dla wszystkich wozów podaję. Jeżeli będzie ciasno, jeżeli będzie ciasno, to wycofywać się, wycofywać się w kierunku na kwadrat T. Jeżeli nie będzie można przepłynąć, to w kierunku na Chwaszczyno, na Chwaszczyno. Kutry na Chwaszczyno, a pozostali zostają, piesi zostają.
- ...niedużo, ze sto osób na Świętojańskiej, róg Świętojańskiej i "Dziesiątego".
- Dobrze, zrozumiałem.
- Tam przy Komitecie spokój.
- Słuchaj Lazur, Lazur. Jeżeli będzie ciasno, jeżeli będzie ciasno, to kutry się wycofują, wycofują w kierunku na kwadrat T, a piesi pozostają w kwadracie A, a kutry w kierunku na kwadrat T. Jak nie będzie można przepłynąć, to na Chwaszczyno. Zrozumiałeś?
- ...
- A zrozumiałeś to, co ci podałem?
- Zrozumiałem, zrozumiałem...
- Tak jest. Sliwa tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Przekaż wszystkim kutrom. Jak będzie ciasno i gorąco w kwadracie A, to kutry mają się wycofać w kierunku na kwadrat T. Piesi pozostają, piesi pozostają, same kutry. Jeżeli nie będzie przepływu przez kwadrat T, to na Chwaszczyno niech płyną.
- Dobrze, zrozumiałem. Alaska zgłoś się.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj, jest takie polecenie, jest takie polecenie, ty to przekazasz wszystkim kutrom. Że

- gdyby było coś gorącego, gdyby się zdarzyło coś gorącego, kutry mają się wycofać w kierunku kwadratu T, w kierunku kwadratu T. Jeżeliby nie można było tam, to na Chwaszczyno, na Chwaszczyno jakoś się dostać trzeba. Piesi zostają.
- Dobra, dobra, zrozumiałem.
 - Alaska, czy zrozumiałeś to?
 - Tak, tak.
 - Dobra. To tam przekaż i awoim kutrom, bo nie wiem, czy wazyscy słyszeli.
 - Dobra.
 - Bawaria słyszała, Bawaria słyszała.
 - Legia też.
 - No to pięknie.
 - Sliwa, Sliwa. Podajcie sytuację, podajcie sytuację jaka jest.
 - Ja Legia. Przy Prezydium bez zmian, bez zmian.
 - Przy Prezydium jeat spokój, tak? Opanowana?
 - Tak, tak. Tak jak oatatnio było.
 - A z tym trupem nie wiesz jak jast?
 - No tam nie można, nie można się dostać. Nasi obatawili.
 - Dobrze, zrozumiałem. Już teraz dowiedziałem się, że wzięli.
 - Sliwa, tu Gujana. Jak tam aytuacja.
 - No właśnie w tej chwili chcę się o to pytać. Więc przy Prezydium jest opanowane, spokój. Komitet jaat spokój. Dalej muszę aię zorientować.
 - Lapia, Lapia zgłoś aię.
 - Zgłasza się Lapia dla Gujany.
 - Dla Sliwy, dla Sliwy, jak u ciabia?
 - W taj chwili na wysokości, na wysokości Traugutta płynia do Prezydium duża grupa z transparentami i z okrzykami, ze śpiewem. Podawałem to pięć temu.
 - Dobrze, dobrze, zrozumiałem cię. Gujana zgłoś się.

- Gujana się zgłasza.
- Słuchaj, proszę ciebie, od Traugutta, od Traugutta, proszę ciebie, płynie duża grupa, duża grupa ludzi.
- W jakim kierunku?
- Do Prezydium, do Prezydium. Zrozumiałeś Gujana? Do Prezydium.
- Tak, zrozumiałem.
- Kasztan, Kasztan zgłoś się, Kasztan, Kasztan zgłoś się.
- Gujana zgłoś się, tu Lazurowy.
- Kasztan. Przy Prezydium spokój, opanowane przez naszych i wojsko, przy Komitacie spokój, ale od Traugutta, od Traugutta płynie duża grupa, duża grupa ludzi i młodzieży.
- ...granaty izywiące i to się tylko rozlatuje. Tam jest jakiś wielki ruch i dużo dymu. Z daleka tylko widzę.
- Dobra, dziękuję.
- Z Traugutta na "Czwartego" w kierunku na Prezydium.
- Nie, nie, nie. Od głównej do "Czwartego", od głównej Świętojańskiej do "Czwartego".
- Od Świętojańskiej do "Czwartego", do "Czwartego" płyną.
- Gujana dla Komara.
- ...
- Kasztan zgłoś się. Komar, Komar podał w moim kwadracie przy gnieździe, przy gnieździe stoją przed bramą około dwieście - trzysta osób z opaskami.
- ...
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan, te dwieście-trzysta osób jest przed głównym wejściem do budynku. A przed bramą, przed bramą stoją z opaskami i kontrolują.

- Dobrze, zrozumiałeś, zrozumiałem.
- ...
- Powtórz, powtórz Kasztan.
- Dobra, dobra, zaraz. Chyba to, chyba to z marca. Komar zgłoś się.
- To co żeśmy mieli kiadyś, tak?
- Z marca.
- Przy Świętojańskiej.
- Nie, nie, teraz nia...
- Lapia, ty jesteś przy Świętojańskiej?
- ...
- Kto jest przy Świętojańskisj?
- ...jaatem przy placu.
- Słuchaj. Tam prawdopodobnie idzie grupa około pięćset osób. Na czele idzia mężczyzna z kobietą. Potwierdzić.
- Ja nia mam możliwości, bo tutaj jest - rozumiesz - tłoczno, tam nic nis puszczają, ale tam moi azyprowia wypłynęli. Wiesz, jak oni wrócą, to ci podam dane wszystkie.
- Czy ktoś może wpłynąć na Świętojańską?
- Nie da rady, tu wiecie nie da rady, tam nic, tam jest ciasno i gorąco.
- Bawaria. Ja dopływam, ja dopływam. Jestem na Obrońców²⁴, na Obrońców, zaraz powiem ci coś.
- Zgłoś się Gujana, ja Błysk.
- Gujana dla Błysku.
- Słuchaj, ta grupa, co podawałem, jast już na "Czwartego" i idzia w kierunku Wzgórza Nowotki.
- Dobra, zrozumiałem. Ile będzie ta grupa liczyła?
- No ciężko mi jest w tej chwili powiedzieć, sła tak około patyka.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się. Ta grupa, ta grupa co była na "Czwartego", na "Czwartego", idzie dalej...

24. Ul. Obrońców Wybrzeża.

- Alaska zgłoś się, Alaska zgłoś się tu Sliwa.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj. Trzeba przekazać wszystkim swoim... Przekaż wszystkim swoim... niech słuchają. Jest taka sytuacja, że prawdopodobnie nas, nas mogą słuchać i trzeba podawać krótko. I starać się trochę żargonem.
- Tak, rozumiałem.
- Dobra, rozumiałem. Kasztan zgłoś się, Kasztan zgłoś się.
- Słuchaj Sliwa, jakaś delegacja płynie...
- Ta grupa, co Komar podawał przy... zwiększa się, zwiększa się, napływają z zewnątrz.
- Dobra, płynie jakaś delegacja, trzy wołgi, trzy wołgi w ochronia milicji.
- A ta grupa co z zewnątrz, co z zewnątrz, ona...
- W ochronia milicji tak.
- Tak, dwa wozy milicji...
- Dobrze, rozumiałem.
- Kasztan, Kasztan, przepuszczają ich, bo to są chyba z obawy, z obawy.
- Kto jest w okolicy pogotowia, kto jest w okolicy pogotowia niech się zgłosi.
- Bawaria przed chwilą była, Bawaria.
- Słuchaj, tam prawdopodobnie jest około czterysta osób.
- Tak, tak było, tak było.
- A w tej chwili też jest.
- No przed dwoma minutami, przed dwoma.
- Dlaczego mi nie podałeś?
- Miałem ci podać, bo moi z kutra poszli sprawdzić.
- Dobrze, rozumiałem.
- Gujana zgłoś się, ja Błysk.
- Gujana dla Błysku.
- Ta grupa zatrzymała się na wysokości Delikatesów tutaj.

- Lapis, Lapis zgłoś się.
- Powtórz na jakiej wysokości.
- Lapis zgłoś się.
- Na wysokości Delikatesów, rozumiesz, na "Czwartego".
- Lapis, Lapis zgłoś się.
- Dobrze, zrozumiałem, że ta grupa zatrzymała się na wysokości Delikatesów i dyskutuje tam z tymi przy pancernych. Kasztan zgłoś się tu Gujana. Ta grupa, co Władysława IV płynęła, zatrzymała się na wysokości Delikatesów, przy żelaznych tych, pancernych i dyskutują tam.
- Ataman zgłoś się.
- Kto go woła?
- Atamana, Atamana wołam. Słuchaj, mi chodzi o Chylonię. On tam chyba opłynął, nie?
- Nie, Ataman tutaj jest, w pobliżu Rady.
- Słuchaj, niech on tam popłynia, przeleci, przeleci się tam.
- Błysk, Błysk zgłoś się. Błysk zgłoś się.
- Sliwa, Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj. Jak byś miał tam na łączności Błysk, to spytaj się, czy mogą powiedzieć, jaka tam dyskusja jest między tymi z żelaznych, z żelaznych a tą grupą, co jest na Władysława IV.
- Słuchaj Gujana, zgłoś się.
- Tak.
- Słuchaj Gujana. Nie wiem, czy ty wiesz, ale tu są takie słuchy, że prawdopodobnie jest możliwość nas nasłuchiwać. Żeby trochę może oszczędnisj.
- No to może przejdziemy na inne kanały, czy jak?
- To nam nic nie pomoże.

- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Ataman, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, ja nie wiem czy ja tam się przedrę jeszcze raz.
- Słuchaj, a gdzie jest takie skupisko?
- No trudno mi powiedzieć, bo ja jestem troszeczkę z boku teraz, wycofałem się lekko.
- Powtórz mi Ataman, bo miałem zakłócenia.
- Mówię, że ja się wycofałem na razie na bok.
- Dobrze. Ale co się dzieje w tej okolicy, gdzie ty jesteś?
- Nic. Spokój jest.
- Dobrze, zrozumiałem. Jak będziesz mógł, to tam podskoczysz.
- No. Ja zawsze próbuję.
- Światnia.
- Gujana zgłoś się, ja Błyak.
- Gujana dla Błysku.
- Słuchaj. Ta grupa ruszyła, ruszyła od tych żelaznych i idą w kierunku Wzgórza.
- Dobra, zrozumiałem. Tylko tam teraz uważajcie, uważajcie, bo prawdopodobnie jest nasłuch.
- Gujana zgłoś się, tu Lazur.
- Zgłaszam się. Słuchaj, czy ty jesteś w obrębie tam "Bałtyku"?
- Ta grupa ruszyła, ruszyła dalej w kierunku Wzgórza.
- ...i wywalili do naszych parę razy z rakielic.
- I co się z tym tłumem stało?
- W tej chwili jest rozproszony i na "Władka" przeniósł się.
- Na "Władka" przeniósł się ze Świętojańskiej?
- Tak. Ja tam zaraz popłynę. Zaraz ci podam później.
- Dobrze.

- Sliwa, Sliwa zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, Kasztan tutaj podajś, że mamy przejść na dwójkę wszyscy.
- Dobra.
- To tam wszystkim kutrom przekaż. Przechodzimy.
- Słuchaj, ty masz silniejaze, a ilniejsze możliwości, ty raczej przekaż dla nich. A ja przejdę. Zrozumiałeś Gujana?
- Tak, rozumiałem.
- Tu Gujana. Wszystkie kutry przechodzą na dwójkę, wszystkie kutry przechodzą na dwójkę.
- Słuchaj Gujana, podaj ile.
- Sliwa cię słyszy.
- Aldona cię słyszy.
- Gujana, słyszysz mnie?
- Kto to, kto to się...
- Gujana zgłoś się.
- On tam jest wewnątrz.
- Poczekaj chwilę. Przechodzimy wszyscy na dwójkę. Tu Gujana. Wszyscy na dwójkę przechodzimy.
- Sliwa zgłoś się.
- Zgłasza się Sliwa.
- Trzecie, trzecie, trzecie, 7 - 4.
- Tak, zgadza się.
- Danial zgłoś się.
- Alaska zgłoś się, Alaska zgłoś się, tu Sliwa. Słuchaj Gujana, czy tym od Alaski kazałeś przejść na dwójkę? No bo ja nia mam...
- Dobrze, Asesor cię słyszy dobrze.
- Od Alaski, zgłoś się.
- Zgłasza się Aldona.
- Słuchaj Gujana. Spróbuję jeazcze na trójca, może oni nie zrozumieli albo nie przeszli jeszcze.
- Aldona zgłoś się.

- Ja jej w ogóle nie słyszę Sliwa.
- Gujana zgłoś się, tu Lazur.
- Słuchaj, jest dosyć duża grupa, jakieś czterysta osób na Władysława...
- Sliwa zgłoś się.
- ...i w stronę dworca Nowotki...
- Sliwa zgłoś się.
- Słuchaj, słuchaj Gujana. Czy masz, proszę ciebie, od Alaski...
- Bo słuchaj. Bo ja nie mam w tej chwili na dwójce dużo pracy... Żaden prawie mi się nie zgłasza na dwójce.
- To chyba Sliwa wywiadła, bo ja też jego nie słyszę. A ciebie bardzo dobrze.
- Słuchaj Gujana, zgłoś się Gujana, tu Sliwa.
- Sliwa jest na dwójce, na dwójce pracujemy wszyscy.
- Sliwa, zgłoś się Sliwa.
- Gujana zgłoś się, tu Sliwa. Słuchaj, musisz nas przerzucić na czwórkę, tak jak myśmy chcieli, proszę ciebie, bo ja nie będę miał z nimi łączności, ze względu na układ kwarcowy...
- Dobrze, zrozumiałem. Gujana zgłoś się. Zamelduj tam, proszę ciebie, Kasztanowi, że Pokój jest u mnie i już wypływa. Że Pokój jest u mnie i już wypływa, wypływa.
- Słyszę cię, dobrze słyszę.
- Alaska zgłoś się, Alaska zgłoś się, tu Sliwa.
- Słuchaj Kasztan, słuchaj Kasztan. Powiadom Florę, że Wiktor wraca, że Wiktor...
- Bawaria zgłoś się, Bawaria zgłoś się.
- Sliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Zgłasza się.
- No masz teraz tam z wszystkimi.
- No słuchaj, nie wiem, czy oni przeszli, czy oni przeszli. Spróbuj ty najpierw.

- Tu Gujana, tu Gujans. Kto mnie słyszy, niech się zgłosi.
- Słyszysz cię Ataman.
- Bawaria.
- Już ją słyszę, słyszę, słyszę Gujana, słyszę.
- Bawaria zgłosił się.
- Zgłasza się Bawaria.
- Jak sytuacja?
- Wiesz do tego tam... część tego tłumu z flagami próbuje iść do Nowotki, do Nowotki.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- No, jak tam sytuacja?
- Trudno znaleźć te wiadomości, dlatego że nie miałem dłuższy okres kontaktu. W każdym razie ta grupa, która była przy pogotowiu rozproszona, rozproszona, ale za sztandarami próbują przejść do Nowotki.
- Dobra. Dowiedz się tam dokładnie, jak jest tutaj, w tych punktach i podaj mi.
- Na Kaszubakim spokój, na Kaszubakim spokój.
- Ataman, Ataman zgłoś się, Ataman zgłoś się.
- Zgłasza się Ataman.
- Jak tam u ciebie?
- ...jeatem na tym²⁵ Nie ma możliwości przejścia na Świętokrzyską.
- To znaczy teraz jesteście w jakiej okolicy konkretnie?
- Nie rozumiem.
- W jakim rejonie jesteście w tej chwili?
- ...
- Dobrze, zrozumiałem.
- ...

25. Pomyłka, nowa jest naturalnia o ulicy Świętajańskaj.

- Zgłasza się. Zaraz zobaczymy. Kto to podawał? Słuchaj Aldona, zgłoś się.
- Tak, zgłaszam się.
- Jak tam jest u ciabie?
- Pod Radą małe grupki azumią jeazcze, ale z dalaka.
- Małe grupki z daleka.
- Błyak, Błyak zgłoś się. Legia, Legia zgłoś się.
- Tak, zgłaszam się.
- Podaj mi co u ciebia.
- No ja tam przy "Żelaznym" byles, chciałem na drugą stronę, ale tam nia można, nie można nigdzie.
- Ala jest spokój, jeat spokój, tak?
- Tak, tak.
- Opanowane w każdym bądź razie.
- Tak.
- Czy jest jakiś tam tłum?
- Tylko małe grupki.
- Dobrze, dobrze. Lapia, Lapia zgłoś się, Lapia zgłoś się. Lazur, Lazur zgłoś się.
- Sliwa tu Gujana.
- Zgłaszam się.
- No, jak tam aytuacja w tych poszczególnych punktach.
- No więc słuchaj: przy dworcu, przy dworcu spokój jeat, małe grupki są; tu przy placu Kaszubskim jest spokój; przy Prezydium, przy Prezydium też są małe tylko grupki, proazę ciebia, więcej na razie nie mają, nia mają możliwości podać.
- Gujana dla Bawarii, zgłoś się Gujana.
- Gujana, tu przy Delikatesach, przy Delikatesach... jeat jakiś tłum, ale bierny, bierny, taką wiess, ze trzysta osób, a reszta płynia do Wzgórza

tylko bokami, bokami.

- Dobra, zrozumiałem.
- Przy pogotowiu koło trzysta, ale bierny jest.
- Dobra, w porządku.
- Kasztan, Kasztan zgłoś się, tu Gujana. Jest grupka około trzysta przy pogotowiu, ale spokojni, bierni, bierni. Gapie raczsj.
- Alaska zgłoś się.
- Tak, zgłaszam się.
- Słuchaj. A nas interesuje, jak jest tam przy przystanku Stocznia, Stocznia.
- Tam nie można się dostać.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Przy pogotowiu to jeet duży tłum. Ale to wiesz, to jeet z boku, na chodnikach, wojsko, milicja, no i dużo ludzi.
- Sliwa zgłoś cię, tu Aldona.
- Tak, zgłasza się.
- Przy Komitecie spokój, wojsko.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Baza, Baza zgłoś się.
- Spokój też na Świętojańskiej.
- A jak tam w twoim kwadracie jest.
- ...
- Dobra.
- Komar zgłoś się.
- Sliwa zgłoś się, tu Aldona.
- ...przy głównym "Żelaznym"...
- Dobrze, zrozumiałem.
- Słuchaj, Ataman się pyta, Ataman cię pyta czy na Chylonię można się przedostać.
- ...
- Dobrze, zrozumiałem. Nie da rady Ataman. Nie da rady.
- Kasztan, Kasztan zgłoś się. Słuchaj, Wiktor,

- Wiktor jest jakieś 20 od nas, bo tam wodę, wodę miał zamkniętą.
- Sliwa, tu Legia.
 - Zgłasza się Gujana dla Kasztana.
 - Przy dworcu pusto.
 - Zaraz, zaraz. Wiesz, bo tu Simka się do nas zgłaszała tutaj przez drut, Simka. I on...
 - Na pancernych.
 - Tak, tak...
 - Wisi dwóch cywilów na pancernym, tak?
 - Tak, tak.
 - Gujana, tu Lazur, zgłoś się.
 - Gujana dla Lazura.
 - ...
 - Ile tego będzie?
 - ...
 - No dobra, dobra. Ale z powrotem cię rozprasa, tak?
 - ...
 - Dobra.
 - Aldona zgłoś się.
 - Kasztan, Kasztan tu Gujana. Kasztan tu Gujana. Przy Prezydium ponownie, ponownie zbiera się, zbiera się. I są rozpraszani przez naszych. Gazem, gazem. I znów się skupiają z powrotem.
 - Sliwa zgłoś się, tu Asesor. Sliwa tu Asesor, zgłoś się.
 - Zgłasza się Sliwa.
 - Tutaj przed Prezydium małe grupki są...
 - Dobra, dziękuję.
 - Będziesz rzucał środki...
 - Zrozumiałem...
 - Jak rzucisz środki wszystkie, będziesz ładował w... na moją komendę.
 - Zrozumiałem.

- 357 lądować zezwalam.
- Kasztan, Kasztan zgłoś się, tu Sliwa.
- Alaska zgłoś się, tu Sliwa.
- ...przed Prezydium nic się nie dzieje, tak?
- ...
- Lazur, Lazur, podaj tej Sliwie.
- Słuchaj, dokładnie sprawdź, bo ja mam tutaj słuchy, że tam wzywają, wzywają w ogóle helikoptery.
- Z karabinów maszynowych strzelają.
- Lazur, co z tym trupem...
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Dowiedz się, jak tam sytuacja pod Prezydium, bo coś mi tu przekazują, że znów jakiś trup, że strzelanina, co tam jest?
- No widział, proszę cię, Asesor mi podaje, proszę cię, że tam... tylko on od Świętojańskiej nie widzi... pojechał tam sprawdzić.
- Będziesz coś wiedział, to przekaz.
- ...zgłasza się.
- Duża grupa, duża grupa...
- Tak, zgłoś cię.
- ...
- Tak jest, przynajmniej mi tak podała Legia.
- Dobra. Lazur, słucham cię.
- Otrzymałem informację, że z zewnątrz jednego trupa niosą pod Prezydium jeszcze raz. Manifestacyjnie. Zrozumiałeś?
- Zrozumiałem.
- ...
- Zgłaszam się.
- Od strony kwadratu T płynęły dwie na sygnałach karetki do śródmieścia.

- ...
- Tak jest, przynajmniej mi tak podała Legia.
- Dobra. Lazur słucham ciebie.
- Otrzymałem informację, że z zewnątrz jednego trupa niosą pod prezydium jeszcze raz. Manifestacyjnie. Zrozumiałeś?
- Zrozumiałem.
- ...
- Zgłaszam się.
- Od strony kwadratu T płynęły dwie karetki do śródmieścia.
- Dobrze. Od kwadratu T płynęły dwie karetki, tak?
- Tak. Na sygnałach.
- Dobrze, zrozumiałem. Zorientuj się, co się tam dzieje przed prezydium, przed prezydium na wzgórzu.
- Śliwa, Śliwa tu Gujana. Czy coś bliżej wiesz już?
- Więc słuchaj, proszę ciebie, mnie podała Legia, że tam, proszę ciebie, rzucają petardy, rzucają petardy i że, proszę ciebie, od kwadratu T wyjeżdżają na syrenach dwie karetki.
- Dobra. Słuchaj tylko Lazur, Lazur mi coś tu podawał z trupem. Czy oni tego trupa sprzątnęli, czy nie?
- Więc tego sprzed prezydium wzięli, wzięli, zabrany jest.
- Ale coś mi podaje, że ponownie coś tam nosili. Lazur zgłoś się.
- Śliwa zgłoś się dla Bawarii.
- Zgłasza się.
- Śliwa, nasi przy prezydium nawołują przez tubę do rozejścia się, tylko to jest nie przy prezydium, tylko przy żelaznym, przy żelaznym. I tam wiesz, ci rzucają, a ci odrzucają im i jest taka, wiesz, walka. I helikopter rzuca tam.

- ... zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Słuchaj ... na Świętojańskiej nie dojeżdżając do prezydium. Tu jest taka stacja benzynowa na Świętojańskiej. Tu jest właśnie całe zgrupowanie.
- No więc słuchaj, podaj mi o tym zgrupowaniu.
- Lazur zgłoś się, tu Gujana.
- No więc całego dobrze nie widziałem. Byłem na Świętojańskiej. Tam jest, rozumiesz, jak ta stacja benzynowa.
- Na całej jezdni?
- Na całej jezdni. Cała jezdnia. Pełno.
- Ale słuchaj, tam gdzieś, proszę cię, są oddawane strzały do nas, są oddawane strzały. Prawdopodobnie są ranni.
- No nie wiem, nie stwierdziłem tego, nie widziałem.
- Więc słuchajcie od Alaski. Spróbujcie, spróbujcie całą okolicę spenetrować, co się tam dzieje.
- Śliwa, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Co tam ciekawego?
- Ode mnie nie podają nic takiego, żeby tam się coś działo bardzo. Ale mam, proszę cię, informację, że tam prawdopodobnie odbywają się strzały, proszę cię, ale w stosunku do nas, w stosunku do nas. I są ranni u nas. Nie wiem, czy to prawda jest.
- Dobra.
- Lazur zgłoś się, tu Gujana. Aldona zgłoś się.
- Aldona.
- No Aldona, co tam masz?
- Kogo wołasz?

- Czekaj, zaraz przyjdzie.
- Zgłasza się Sliwa. Gujana, ty mnie wołałeś?
- Nie, nie.
- Alaska zgłoś się. Legia, Legia zgłoś się.
- Zgłaszam się.
- Możesz mi powiedzieć bliżej o Prezydium?
- Js tu jestem na terenie kwadratu C.
- I co tam widzisz?
- Tam trudno się przedostać. Jest w tej chwili zatarasowane.
- ...
- Zrozumiałem. Kto może coś bliżej powiedzieć, co się dzieje w pobliżu Prezydium?
- Sliwa tu Gujana, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- No jak tam sytuacja?
- No słuchaj. Nie mogli się tam dostać, nie mogli się tam dostać... tu mam dla ciebie. Podaję ci: 826 KK. K jak Krystyna. Dwa razy K. 16, biały volkswagen. Zrozumiałeś, Sliwa.
- 826 KK 16, biały volkswagen.
- Tak. Gdyby się pokazał tam w kwadracie A, to go przepędzić.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Alaska zgłoś się. Lazur zgłoś się. Stryzeliście, co podawała Gujana?
- Tak, tak.
- To go przepędźcie.
- Sliwa, tu Asesor, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Próbowałem podbić się tam bliżej do Prezydium, ale nie daję rady...
- Mogę, tak, mogę podpłynąć.

- Sliwa, tu Gujana.
- Nie możesz tam, nie możesz w żaden sposób odpłynąć.
- Sliwa, tu Asesor, zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj. Ja tam w tej chwili nie mogę pod płynąć, bo w tej chwili jeszcze petardy rzucają, proszę ciebie, i jest tak zadymione, że nie można pod płynąć.
- Dobrze, zrozumiałem cię, dobrze.
- Sliwa, Sliwa, tu Gujana, przejdź na dwójkę.
- Ja mam przejść na dwójkę.
- Sliwa zgłoś się, Sliwa zgłoś się, tu Gujana.
- Zgłasza się Sliwa.
- No jak tam, no jak tam sytuacja jest.
- Więc słuchaj. Od Alaski nie mogę się tam, proszę ciebie, zbliżyć. Jest tłum. Tam się coś dzieje, proszę ciebie, ale są dymy i nie mogę się tam dostać.
- Kasztan zgłoś się, Kasztan zgłoś się, tu Gujana.
- Sliwa, tu Bawaria, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Ja jestem na Czołgistów, w pobliżu Prezydium, wiesz, w pobliżu. Więc z tej strony tu nie ma nic. Względny spokój. W ogóle przy Prezydium nie ma nikogo. Tylko przy torach, w kierunku "Żelaznego", tam są takie grupki chuliganów, no i milicja z nimi tam walczy. Rzuca petardy. Ale nic groźnego tu nie ma. Zamelduj im.
- Mogę ci podać, mogę ci podać.
- ...więc rozbiegli się, rozbiegli się... ale na dworzec i znowu się stłoczyli.
- Już z tej strony od Czołgistów nie ma, nie

- ma... Nie wiem, na torach tem jeszcze. Ale to takie grupki chuliganów tylko. Z milicją, z milicji. Zwartego tłumy nie ma.
- Dobrze, zrozumiałem. To mówiła Bawaria, tak?
 - ...
 - To ta grupa... tylko flagi kirem ozdobione nieśli, tak?
 - ...ale co się tam dalej stało, to już nie wiem. Daleko byłem.
 - Gujana, słuchaj. Czy wiesz coś o tym, czy wiesz coś o tym?
 - Sliwa zgłoś się, tu Alaska, zgłoś się, tu Alaska.
 - ...grupy chuliganów, z którymi nasi walczą, ale to są małe.
 - Sliwa, Sliwa słuchaj, ja Błysk, ja Błysk. Byłem w pobliżu ulicy Szenwalda, Szenwalda, rozumiesz, chuligani stoją, lat 14, 15, 16, kamieniami obrzucają...
 - Ale to teraz było, czy to jeszcze pierwszy wypadek?
 - Zaczniemy od tego, że ja się wycofałem, rozumiesz?
 - Sliwa, Sliwa, tu Alaska, zgłoś się.
 - ...rozumiesz, 14, 15, 16 lat.
 - Dobra. Błysk, słuchaj...
 - No właśnie... tam dopłynąć ze względu, wiesz...
 - Ja tam byłem...
 - Lazur, Lazur zgłoś się, tu Gujana.
 - Zgłasza się Lazur dla Gujany.
 - Lazur, czy to był ten pierwszy, czy to już inny?
 - ...
 - Tak, słuchaj, czy ty słyszałeś o pierwszym wypadku... i położyli przed Prezydium. Czy to był ten sam?
 - To ja nie wiem, czy to ten sam.
 - Sliwa zgłoś się.

- ...
- Kasztan, Kasztan zgłoś się. Słuchaj, Lazur, Lazur mi podawał, że nieśli jakiegoś młodego chłopaka. Trup.
- Przy samym Wzgórzu, tak?
- Tak, przy samym Wzgórzu, tam.
- Nie mógł Lazur potwierdzić, nie mógł Lazur potwierdzić, tylko stwierdził, że młody jakiś chłopak był niesiony. I nie wie, czy to był ten pierwszy, czy inny przypadek.
- Bardzo dużo, bardzo dużo gapiów...
- ...pod Prezydium, pięć jakieś temu.
- Sliwa zgłoś się, tu Alaska, Sliwa zgłoś się, tu Alaska.
- Sliwa jest na czwórce.
- Sliwa zgłoś się, tu Alaska.
- Zgłasza się.
- Słuchaj. Ogólna reakcja jest taka, że gdyby ich wycofali, to by był spokój. A wojsko by patrolowało. A tak, to ta smarkateria lata, z nimi drażni się, a ci nie mogą dać rady... żeby milicja się wycofała, wojsko patrolowało, byłby święty spokój, bo do wojska w zasadzie nie rzucają, tylko do milicji, do milicji.
- Słuchaj, a to jest w okolicach Wzgórza.
- Tak, tak, w okolicy Wzgórza. A tu najwięcej milicji pchają. Jak wojsko stoi, to ci nie rzucają.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Bawaria, zgłoś się.
- Zgłasza się.
- Więc kanał "Święty" przy Prezydium również jest wolny, proszę ciebie, można jechać również w kierunku kwadratu C, tak samo wolny jest.
- Dobrze, zrozumiałem. Kto to podawał?

- Bawaria, Bawaria. Ja właśnie płynę "Świątym" kanałem.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Gujana. Bawaria mi podała w tej chwili, że przejechała trasę Świętojańską aż do, proszę ciebie, wylotu na kwadrat C. I powiada, że tu jest spokojnie i można przelatywać. A tylko na Wzgórzu, przy przystanku są takie grupki...
- Przy Partii także spokój, spokój.
- ...rzucają i prowokują milicję. Wojska nie ruszają.
- Dobra, zrozumiałem. Kasztan zgłoś się. Bawaria, Bawaria przepłynęła od kanału "Świątego" do kwadratu C. Jest spokojnie, jest spokojnie. Można przepływać. Tylko w okolicy Wzgórza, Wzgórza grupy chuliganów prowokują, prowokują naszych. Rzucają kamieniami. Zielonych nie ruszają tylko naszych.
- Na "Czwartego", na "Czwartego" w stronę Gdańska jest...
- No pod Prezydium czekam na dane.
- Jest tłum.
- ...przy tych karetkach, przy tych karetkach.
- Tam jest przy karetkach bierny tłum, tak? Jaka mniej więcej ilość.
- Trzysta - czterysta osób.
- To podawała Alaska, tak?
- Tak.
- Jak przy Prezydium jest? Czy masz jakieś bliższe dane?
- Na razie bliższych danych nie mam, nie mam, to co ci podawałem przed chwilą. Tak wyglądało, jak mi podała Alaska, podała mi i Bawaria mi podała.
- Dobrze.

- Ale Gujana zgłoś się, zgłoś się Gujana, zgłoś się.
- Zgłasza się Gujana.
- Jest za to na Władysława, na Władysława naprzeciw pogotowia, naprzeciw pogotowia jest około trzysta osób. Bierne, bierne.
- Dobra, zrozumiałem.
- Sliwa zgłoś się, tu Legia.
- Zgłasza się dla Legii.
- Przy pogotowiu... na karetki tylko... bierny, bierny jest.
- Tak, chociaż liczny dosyć.
- Sliwa tu Bawaria.
- Tak, dla Bawarii.
- Przy Prezydium ze wszystkich stron wolny, wolny przejazd. Można wpływać.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Od Zapory zgłoś się.
- Czy wiesz, gdzie jest Zapora?
- ...
- Dobra, zrozumiałem.
- Komar, zgłoś się.
- Komar, Komar zgłoś się. Komar zgłoś się, tu Gujana. Czy jest Zapora u ciebie? Komar, Komar przejdź na trójkę i podaj mi co z Zaporą.
- Retman zgłoś się. Słuchaj, czy masz łączność z tymi dwoma kutrami od Lecha, od Lecha, co zostały w kwadracie K? Tam miał być Lapis i Legia.
- ...się zgłasza.
- ...oznakowany czerwonym krzyżem.
- Powinni być gdzieś. Albo na dwójce, albo na czwórce.
- To znaczy żuk, żuk z oznakowaniem czerwonym, tak? Czerwonym krzyżem wywozi ze szpitala rannych.

- Nie, przywozi, przywozi.
- Tak. Gujana.
- ...
- Rozumiem. Przywozi rannych.
- ...
- Żuk, żuk, rozumiesz. Rannych przywozi, tak?
- Tak, tak.
- Słuchaj, nie wiesz z jakiego kwadratu?
- Zrozumiałem, zrozumiałem Błysk.
- Od strony Wzgórza, tak?
- Tak, tak. I tu na Migaly.
- Wiśnia, Wiśnia zgłoś się, tu Ataman.
- Tak, zgłasza się dla Atamana.
- Gujana zgłasza się, kto mnie wołał?
- ...i posiada z boku napis "krwiodawcy"...
- Słuchaj. Tak. Ty jeateś w jakim kwadracie, Lapis?
- Ach rozumism, rozumiem.
- Więc tam cię Retman, Retman poszukuje. Skontaktuj się z Retmanem, wołaj Retmana, jest u Bazalta.
- Tu Alaska, tu Alaska dla wszystkich! Nie przesadzaj, nie wyolbrzymiać. Prawdziwe podawać, prawdziwe fakty podawać.
- Tak jest, tak jeat, Alaska upomnij. Bo po prostu okazuje się, że to nie są ranni, a po prostu krwiodawcy.
- Twoje też, pod twoje też. I masz, proszę ciebie, tutaj sprawdzać mój kwadrat, kwadrat N i skrzydła.
- Sliwa, Sliwa, zgłasza cię Bawaria, Bawaria.
- Zgłasza się dla Bawarii.
- Js jestem koło Prezydium teraz, koło Prezydium. No jsst na placu tłum, ale bierny, bierny. Przyglądają się wszystkim, przyglądają się.
- Ale przyglądają się czemu?
- No w kierunku Prezydium. Obserwują milicję.
- Dobrze, zrozumiałem.

- Duże zgrupowanie ns torsch, na torach koło "Żelaznego" i wiaduktu.
- Dobrze, zrozumiałem. Duże zgrupowanie na torach, na torach.
- Gujana zgłoś się, tu Sliwa.
- Gujana dla Sliwy.
- Słuchaj, jest duże, jest duże zgrupowanie, proszę ciebie, na torach, na torach, proszę ciebie, przy Wzgórzu.
- Dobra, zrozumiałem. Kaeztan zgłoś się, tu Gujana. Duże zgrupowanie na torach, na torach przy Wzgórzu. No na razie ich tam rozproszyli i to wszystko na torach czeka.
- ...tam nie mieszajcie za dużo. Lapis zgłoś się. Lapis tu Gujana, wołaj Retmana, Retman cię tam woła.
- Gujana zgłoś się, tu Legia.
- Gujana się zgłaeza. Kto mnie woła?
- Legia, Legia. Na czwartym ja nikogo nie słyszę. Mnie chyba też nie.
- Słabo cię słyszę. Ty na trójce mi dawaj.
- Rakietą, Rakietą zgłoś się.
- Ja na czwórce nikogo nie słyszę, nikogo nie słyszę.
- No ja tu jestem, tu jestem. Tu Gujana. Co masz dla mnie Legia?
- Przejdź na czwartym..., bo ja nie słyszę nikogo na czwartym.
- ...
- Tam jest jeszcze z tobą Lanca, tak? Tam tylko nas... Dwa kutry miały być od was.
- Od Bora zgłoś się, od Bora zgłoś się.
- Rozumiemy. Na drugim.
- Ataman pod Robota podpłyni, pod Robota.
- ...10 Lutego wolne.

- ...od Świętojańskiej do Prezydium.
- Autor, Alzacja woła.
- ...
- Alzacja, Alzacja wzywa Ciężar Drugi.
- ...Świętojańską około pięćset osób zbliża się.
- Tu Gujana, tu Gujana. Wszystko przekazywać dla Gujany. Sliwa chwilowo wyłączona.
- Dobra, na czwartym, tak?
- Tu Gujana. Przekazywać wszystko dla mnie na trójce.
- Na podsłuchu, na podsłuchu. Nie tak szybko. Na zmianę będziecie wykonywać.
- Autor, tu Alzacja. Autor tu Alzacja.
- Gujana zgłoś się, tu Legia.
- Autor, Autor...
- ...spokój, tam w okolicy.
- Alzacja, Alzacja, jak mnie słyszysz, odbiór.
- Słyszę dobrze na stałe. Tu Alzacja. Słyszę dobrze na stałe.
- Alzacja, Alzacja, ja Autor, jak mnie słyszysz. Alzacja, Alzacja, jak mnie słyszysz, odbiór.
- Autor, tu Alzacja. Bardzo dobrze.
- Alzacja, Alzacja, ja Autor, jak mnie słyszysz, odbiór.
- Całkiem dobrze.
- Alzacja, Alzacja, ja Autor, jak mnie słyszysz, odbiór.
- W kwadracie A wygląda tak sytuacja: dworzec, Komitet, kanał "Święty", plac Kaszubski - to wszystko czyste. Na kanale "Czwartego" przy pogotowiu jest małe zbiorowisko przy czołgach wojskowych i tam rozmowy są z żołnierzami. Następnie większy tłum jest na wysokości skrzyżowania Czołgistów i "Czwartego", tam na tym nasypie przy torach.

- Dobra, dobra, zrozumiałem. I pod Prezydium, tak?
- Poczekaj, zaraz ci podam. Prezydium odpiera ten tłum i dlatego to zgrupowiało jest tu na tym, wiesz, na tym wale i tu przy tej szkole, wiesz, jak ta azkoła jest.
- Na wysokości?
- No i tu cała ta strona jak, wiesz, Wzgórze Nowotki. Po tej stronie, może coś tam, wiesz, i tam jest tłum. Wysokość Prezydium i tutaj rozciągnięty. Reszta Gdyni czysta.
- Dobra, zrozumiałem, zrozumiałem. Kasztan, Kasztan, tu Gujana. Kasztan. Przy Prezydium i przy Wzgórzem, tam na nasypach przy torach jedynie tłum. Pozostałe rejony w kwadracie A są czyste.
- ...dobra, czekaj, czekaj.
- 285, jaka sytuacja na Wzgórzem przy torach?
- 285. Tensor Dwa.
- Czyszczony jest kanał "Czwarty".
- Tak, tak. Tylko na bokach. Tam wojsko weszło.
- Sliwa, zgłoś się.
- Gujana dla Atamana.
- 55-235. Tensor Dwa.
- ...słuchaj. Jaka sytuacja jest na Wzgórzem, na torach.
- ...zgłoś się, tu Gujana.
- Na wzgórzem, na torach. Zrozumiałeś od 285?
- Ja Tensor Drugi... Podaj sytuację na torach na Wzgórzem Nowotki.
- Zrozumiałem, ale podaj jaka sytuacja tam jest.
- Rozumiem.
- 285-ty. Tensor Drugi. Podaj sytuację na torach na Wzgórzem Nowotki.

- Dobrze, zaraz ci będę podawał sytuację.
- Alzacja, Alzacja, tu Autor. Zgłoś się.
- Wiesz. Stoją pociągi elektryczne jeden za drugim. Następnie... pociąg towarowy... przed samym dworcem. Na samym dworcu jest grupka ludzi czterysta, sto pięćdziesiąt, dwieście i pociąg elektryczny stojący. Natomiast trószeczkę dalej... około 250-300 osób. Rozumiesz?
- Petardy jeszcze masz?
- Mam.
- Używać, używać.
- Używać?
- Tak, używać.
- 2-8-7. Start.
- Będzie tego.
- Alzacja, tu Autor, zgłoś się.
- 2-8-7. Miejsce.
- 2-8-7. Miałeś lecieć.
- ...
- A kiedy chcesz 84 pracować?
- Gujana dla Bawarii, zgłoś się.
- 900.
- Na tej wysokości wykonywać do dalszej. Od dalszej wykonywać zejście.
- ...eżeśćset metrów nie wchodzi nad Trójmiasto.
- Zrozumiałem, Tenzor.
- Podaję. Ciężar 16, ciśnienie 763, wiatr z lewej pod 58 metrów będziesz miał. Tylko wykonaj... i dopiero przymierz się na blok. Za chwilę. No, u mnie podają około 160 metrów. Możliwe, że jest wyższa, a tych niskich jest niedużo, bo tu widzę...
- Spokój. N jak Natalia. Spokój.
- ...
- Dobra, zrozumiałem, Kasztan, Kssztan zgłoś się, tu Gujana.

/kilkuminutowa przerwa/

- Helikopter teraz tam, wiesz, czeka. Helikopter.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Słuchaj, mnie chodzi, prozęę ciebie, mnie chodzi tutaj koło Wzgórza, koło Wzgórza, co się dzieje?
- Sliwa, tu Gujana, tu Gujana.
- Tak, zgłasza się dla Gujany.
- Tutaj Alaska. Alaska przekazał, że w rejonie Wzgórza spokój, spokój, wszystko rozpędzone i podaje, że należałoby czerwone, czerwone uruchomić, bo dużo czeka na przystankach.
- Dobrze, zrozumiałem.
- Sliwa, tu Ataman, Sliwa tu Ataman.
- Słuchaj...
- Dobrze, rozumiem. Więc Starowiejska ściana wschodnia jest wolna no i około dworca też.
- Słuchaj Bawaria, słuchaj Bawaria. Na razie nie, na razie nie. Wycofajcie się gdzieś w boczne i kontrolujcie.
- ...bo nami się tu już interesują, interesują.
- Na razie musicie kontrolować tutaj.
- Rozumiem.
- Bawaria, zgłoś się.
- Zgłasza się, zgłasza.
- Słuchaj, tam prawdopodobnie coś się dzieje koło "Bałtyku", koło "Bałtyku", na Wzgórzu. Podpłyńcie tam
- ...ustawić, bo za dużo ludzi.
- Alaska zgłoś się.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj, my już drutu... nie mamy. Myśmy się przenieśli w inne miejsce.
- Dobra, zrozumiałem. Przez drut nie można?
- Do nas bezpośrednio nie ma możliwości.
- Kasztan, Kasztan tu Gujana. Sliwa, Sliwa się

- przeniósł w inne miejsce, drutu nie ma, tylko przeze mnie.
- Bawaria zgłoś się, Aldona zgłoś się, Gujana zgłoś się.
 - Gujana się zgłasza.
 - Słuchaj, ty zapytaj się tam Bawarię albo Alaskę co się dzieje na Kieleckiej, na Kieleckiej obok "Bałtyku", tam na Wzgórzu, proszę ciebie, bo my nic nie wiemy.
 - Dobra. Gujana, tu Gujana. Kto jest w pobliżu "Bałtyku"? Jak sytuacja w pobliżu "Bałtyku"? Alaska, podaj mi, Alaska zgłoś się, Alaska, Alaska. Jak w pobliżu "Bałtyku" i na Kieleckiej.
 - ...
 - Sliwa, tu Ataman, zgłoś się.
 - Zgłasza się.
 - Słuchaj. Tam od twojego kierunku z ulicy Świętojańskiej...
 - Rozumiem, rozumiem. Bo tam gdzieś koło stacji, koło stacji...
 - Rozumiem...
 - Od Lecha, zgłoś się.
 - Słuchaj Ataman. A co tam koło Bazy na Śląskiej, koło Bazy na Śląskiej, samochodowej.
 - Dobra jest. Kasztan, Kasztan tu Gujana. W obawie, w obawie rozchodzą się, rozchodzą do domu.
 - Alaska, Alaska zgłoś się. Ataman zgłoś się, Ataman zgłoś się tu Sliwa.
 - Jeet Ataman.
 - Gdzie ty w tej chwili jesteś?
 - Na czołgietów. Koniec tutaj.
 - Gdzie jesteś?
 - W końcu Czołgistów.
 - Słuchaj Ataman. Słuchaj Ataman, chodzi mi o to, żeby ktoś na Śląską podskoczył, na Śląską.

- Słuchaj, nie ma możliwości. Pod wiaduktami stoją czołgi, nie przejedziesz.
- Dobrze, zrozumiałem cię.
- Dobra, słuchaj, a żelazne kursują?
- ...
- Dobra. Kasztan zgłoś się, tu Gujana. Kasztan tu Gujana. Zgłoś się Kasztan.
- Zgłasza się.
- ...
- Dobra, zrozumiałem. Sliwa, Sliwa tu Gujana.
- Tak, zgłasza się.
- Słuchaj Sliwa. Spokój koło "Bałtyku" i Kielecka spokój. Czerwone już kursują normalnie. W kwadracie A spokój.
- Dobra, dziękuję.
- Kasztan, Kasztan zgłoś się. W kwadracie A spokój, spokój. Czerwone zaczęły kursować.
- 480, 455 do mnie.
- Zrozumiałem. Wraca 40.
- 2-8-7. Lądować zezwalam. 287 zadanie otrzymujesz... nie zrzucać środków bez naszego zezwolenia. Jak zrozumiałeś?
- ...
- Podaję pogodę...
- ...2-8-4. Po rozładowaniu startować z powrotem na Witomino i zwozić...
- Ja Autor, ja Autor. Tam nade mną będziesz siadał. Odbiór.
- W porządku.
- Sliwa zgłoś się, tu Alaska. Sliwa tu Alaska, zgłoś się.
- Zgłasza się Sliwa.
- ...
- Zezwalam lądować, zezwalam lądować.
- ...podobno już kursują żelazne. Tam jest spokój.
- Dobrze, zrozumiałem.

- Zgłasza się dla Alaski.
- ...kieruje ruchem, żeby tam karetki miały dojazd. Tu jest spora grupa, gdzieś około trzysta będzie.
- Retman, Retman zgłoś się. Retman zgłoś się. Bazalt zgłoś się.
- Słuchaj Alaska. Ale tam zachowują się spokojnie, tak?
- Spokój jest, spokój. Tu wojsko rządzi. Spokój jest...
- Niech przyjdzie natychmiast do Kasztana.
- Dobrze.
- Wchodzę na Chylonię...
- Autor, Autor zgłoś się.
- ...nie wyłączaj silnika pod żadnym względem.
- Alaska zgłoś się.
- Słuchaj, a Błysk, Błysk pływa tutaj.
- Na podsłuchu, na podsłuchu.
- O, ty miałeś z nim kontakt. Ale przez cały ten okres nie masz.
- Będziesz mi meldował wówczas, jak coś zauważysz. Na razie nie melduj...
- Zrozumiałem...
- Gdzie ty jesteś teraz?
- Na "Czwartego".
- Tak, zgłasza się Błysk.
- Słuchaj...
- Zaczekaj. Zaraz spróbuję, tylko ci podam, że tutaj na "Czwartego" na wysokości, rozumiesz, Delikateśów jest duża, duże zgromadzenie jest takie. Wiesz, tam gdzie stoją te opancerzone. Po bokach i nawet na ulicy stoją.
- Dobra, to wołaj Sliwę na czwartej.
- I to przekazać.
- Nie, no zgłoś się do niego.
- Sliwa, Sliwa, tak, słyszę ciebie dobrze.

- No to świetnie, bo ja cię szukałem, szukałem. Co u ciebie jeat?
- Jestem teraz na "Czwartego" na wysokości Delikatesów, gdzie stoją opancerzone. I tam jest trochę, jeat trochę na chodnikach i nawet na jezdni przy tych opancerzonych.
- Ale zachowują się spokojnie, tak?
- Tak, tak. Biernie atoją. Teraz słuchaj. Mam przy sobie ulotki. Gdzie ty jesteś? To ja ci podrzucę może?
- No wiesz, ja jestem w robocie, ja jeatem w robocie, tutaj w kwadracie A.
- To co? Podrzucić to tam? Zapytaj.
- ...
- Już płynę.
- Jak będziesz w pobliżu to podaaz mi.
- Dobra. Już zaraz będę. Za chwilę.
- Dobra...
- Już wypływa Sliwa, już wypływa.
- Kasztan, Kasztan tu Gujana. W kwadracie U jak Urszula epokój.
- Na zachód od hotelu "Bałtyk", jak te górki eą, tam jest koło szkoły grupa... w takich grupkach po 4, 5, 6 oaób, rozumiesz.
- 287 zrozumiał. Żebyście aię nie zderzyli tam. 87 zrozumiał 84 tego. 84 wracając przaz miasto podaj sytuację.
- Rozumiem, rozumiem. To wszystko? Na Wzgórzu Nowotki jeat spokój.
- Bawaris, Bawaria zgłoś się.
- Zgłasza się Bawaria, zgłasza się.
- Co u ciebie, co u ciebie?
- ...to tych pojedynczych atakują, atakują.
- Zrozumiałem.
- Sliwa tu Asesor, zgłoś się.

- Słuchaj Gujana. Ja mam 270. Już mam podłączone.
- Sliwa tu Aseeor. Zgłoś się Sliwa.
- Ty spróbuj na cztery dwójki do Józka, do Józka, niech powiedzą, gdzie jest światło tam.
- Słuchaj. U mnie jest bardzo trudne wyjście. Ja tutaj nie wyjdę z tego.
- A ja w ogóle, a ja w ogóle nie mam wyjścia.
- Sliwa zgłoś się..
- Zgłasza aię.
- Sliwa tu Aseeor. Tam, wiesz, na "Władka", na Władysława IV... przy pancernych, tam coraz więcej tam dochodzi. Ale to i młodzi, i starzy. Tak różnie. Spokojnie rozmawiają z żołnierzami.
- Rozumiem. Ile ich tam może być? Assor powiedz mi, ile ich tam może być?
- No tak wieez...
- Gujana zgłoś się, tu Lazur.
- Zgłasza się Gujana. Kto mnie woła?
- Gujana zgłoś się, tu Lazur.
- Bardzo słabo cię słyszę, Lazur. Nie mogę nic zrozumieć.
- Od Bora, od Bora zgłoś się. Od Bora, od Bora zgłoś aię. Tu Gujana.
- 84. Sprawdzę. Sprawdzę zaraz.
- Ataman. Czy Bor jest u ciebie? Słuchaj, niech Bor przyjdzie do mnie po drucie.
- Ataman. Ty wyrzuć tych swoich ezyprów. Niech oni tam wiesz pochodzą, pochodzą tam. Tak samo Aseeor. Wyrzucić wszystkich, wyrzucić.

Protokół z posiedzenia
Egzekutywy Komitetu Miejskiego w Gdyni
w dniu 23 stycznia 1971 r.

Obecni członkowie Egzekutywy:

1. Hugon Malinowski
2. Jerzy Gruszka
3. Edward Piakutowaki
4. Stanisław Legucki
5. Józef Bejm
6. Franciszek Badowicz
7. Jan Ginter
8. Ryszard Jagiełło
9. Jan Mariański
10. Kazimierz Misiejuk
11. Wiesław Kawczyński
12. Stanisław Rożek
13. Alfona Wróbel

Zaproszeni na Egzekutywę:

1. Zenon Jundziłł - sekretarz KW PZPR
2. Feliks Pieczewski - członek Egzekutywy KW
3. Stanisław Bejger - członek Egzekutywy KW
4. Zawiaślak - instruktor KC
5. Kuźma - instruktor KC

Otwarcia posiedzenia Egzekutywy dokonał tow. Hugon Malinowski. Otwierając posiedzenie atwierdził, że jest to dalszy ciąg posiedzenia Egzekutywy z dnia 21 stycznia br. Przypomniał zebrany, że złożył na ręce egzekutywy KW rezygnację ze stanowiska I sekretarza KM PZPR w Gdyni, której to rezygnacji egzakutywa KM na poprzednim posiedzeniu nie przyjęła. W związku z powyższym dzisiejsze posiedzenie poświęcone jest temu samemu problemowi.

92

Tow. Jundziłł - W nawiązaniu do wypowiedzi tow. Malinowskiego stwierdził, że sprawa może być załatwiona tylko jednomyślnie i nie przewiduje się w tej sprawie głosowania. Członków egzekutywy Komitetu Miejskiego nadal obowiązuje uchwała Komitetu Wojewódzkiego. Proszę o dyskusję i takie zabieranie głosu abyśmy mogli znaleźć rozwiązanie. Musimy brać pod uwagę przede wszystkim interes partii. Uważam, że do poprzedniej dyskusji wracać nie trzeba. Dziś musimy zdecydować o przyjęciu rezygnacji tow. Malinowskiego. Kandydatura poprzednio przedstawiona na pierwszego sekretarza KM PZPR w Gdyni nie obowiązuje i możemy szukać innych rozwiązań. Można brać pod uwagę kandydaturę z SKP. Na dzisiejszym posiedzeniu mówić powinniśmy o dwóch sprawach: przyjęcie rezygnacji tow. Malinowskiego i omówienie kandydatury na to stanowisko.

Tow. Malinowski - Ocena pracy pierwszego sekretarza KM nie należy do mnie, a do instancji nadrzędnej i egzekutywy. Rezygnację złożyłem z powodu nadal utrzymującego się napięcia. Uważam, że moje ustąpienie może sytuację rozładować, uważam, że jest to przeciwdziałanie a nie tchórzostwo. Odchodząc ze stanowiska I sekretarza nie odchodzę z życia partyjnego. Chciałbym, by nie rozumiano, że odchodzą winni a rezygnacja tak niestety będzie prawdopodobnie przyjęta. Wydaje mi się, że istnieje potrzeba dokonania oceny pracy kierownictwa Komitetu Miejskiego w Gdyni i pokazanie tego abym nie musiał się kryć.

Tow. Jundziłł - Obecna sytuacja jest skomplikowana. Był okres wyciszenia a obecnie nastąpiło zaostrzenie. Wypłynęła sprawa Elbląga, gdzie wystąpiły strajki i przerwy w pracy. Przyłączyły się do tego nawet małe zakłady, trwało to przez tydzień

czasu. Przyczyną tego była fala plotek o tym, że inne wydziały lub zakłady strajkują. Szczytem było wstrzymanie komunikacji. Sytuacja ta przeniosła się później do Gdańska i Gdyni. Były dni gdy 23 jednostki stały. Dziś mamy już spokój ale wystąpiły wydarzenia w Szczecinie. Nie umiemy sobie wytłumaczyć jak to się dzieje, że 100-200 młodych ludzi może wprowadzać takie zakłócenia. Aktyw partyjny nie przeciwdziała dość stanowczo. Rozumiem, że każdy członek partii ma bardzo trudną sytuację, gdyż pod jego adresem padają słowa bardzo twarde, twardsze niż na masówkach i wiecach. Musimy partię bardziej skonsolidować i dlatego potrzebne są zmiany personalne. Tym manewrem skupimy wokół nowego kierownictwa większe grupy aktywu. Dziś nie możemy szukać winnych lub niewinnych, gdyż to niczego nie załatwia. W Gdyni jest najwięcej niedomówień gdyż nie było palenia i rabunku, a zabitych niestety jest najwięcej.

Tow. Gruszka - Proszę o powrót do uzasadnienia złożonego przez tow. Stażewskiego. Nam mówicie o tym, że wina jest w Gdyni, a my tego nie widzimy, gdyż według nas większość dyskusji dotyczy Gdańska, Elbląga i Szczecina. W wielu wypadkach umieliśmy opanować sytuację i przeciwdziałać. Mamy dużo dobrego aktywu, który nie boi się wychodzić do przedsiębiorstw i podejmować dyskusję ale efekty jego pracy są mierne z powodu skostniałych form działania. Nadal nie wiemy jakie czynniki leżą u podstaw decyzji o odwołaniu tow. Malinowskiego. Uważam, że muszę bronić każdego uczciwego członka partii, a więc i tow. Malinowskiego.

Tow. Misiejuk - Jeśli mamy wracać do poprzedniego posiedzenia egzekutywy stwierdzam, że wszyscy członkowie egzekutywy swoje zdanie na ten temat

powiedzieli. Według wypowiedzi tow. Stażewskiego pierwszemu sekretarzowi KM tow. Malinowskiemu rezygnację ze stanowiska zaproponowano. Chciałbym wiedzieć co się zmieniło w uzasadnieniu od poprzedniej egzekutywy.

Tow. Rożek - Od zakończenia poprzedniej egzekutywy rozważałem, czy tow. Malinowski musi odejść i doszedłem do wniosku, że musi odejść. Musi się znaleźć człowiek, który znajdzie posłuch w szerokich masach członków partii. Według naszej oceny tow. Mariański cieszy się wysokim autorytetem na terenie naszego miasta i w związku z tym ta kandydatura powinna być brana pod uwagę. Wracając do sprawy uważam, że tow. Malinowski musi odejść, a musi objąć funkcję ktoś z naszego, gdyńskiego środowiska.

Tow. Pieczewski - Uczestniczyłem w posiedzeniach egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego, która wypracowywała opinię i wnioski i dlatego trwało to tak długo. Jako uzasadnienie zmian przyjęto, że trzeba dokonać manewru kadrowego, aby można było rozpocząć pracę, a zakończyć wiecowanie. Mamy potwierdzenie słuszności naszych decyzji na przykładzie Elbląga, gdzie tow. Smagała wolno, ale systematycznie opanowuje sytuację. Wokół Gdyni krąży najwięcej nieudomówień, że nie było palenia i bicia, a padło najwięcej zabitych. Uważam, że nowy człowiek może powiedzieć - kończymy z rozpamiętywaniem, a zaczynamy realizować nową politykę KC. Należy rozważyć formę odejścia tow. Malinowskiego, aby nie obarczono go odpowiedzialnością za wydarzenia w Gdyni. Należy na plenum Komitetu Miejskiego dokonać oceny pracy instancji miejskiej i jej kierownictwa. Należy postanowić co będą robić towarzysze, którzy w wyniku zmian odejdą. Uważam,

że nie możemy przyjąć rezygnacji całego sekretariatu czy egzekutywy Komitetu Miejskiego. Towarzysze odchodzący muszą odejść "z twarzą". Odchodzący muszą objąć odpowiedzialne stanowiska. Nowy człowiek pozbędzie się pewnych obciążeń psychicznych i będzie mógł zastosować nowe formy pracy. Nasza dyskusja powinna iść w tym kierunku, aby rozważyć, jak to najlepiej załatwić. Stanowiska objąć muszą gdynianie.

Tow. Bejm - Podnosiłem na poprzedniej egzekutywie, że sprawę zmian kadrowych rozpatrujemy nie w tym czasie w jakim to się odbywać powinno. Dotychczas instancje wojewódzka i miejska nie dokonały oceny naszych wydarzeń grudniowych jak również nie ustosunkowały się do szeregu postulatów zgłoszonych pod adresem resortów. W tej sytuacji każdy zakład, nawet najmniejszy, uważa za konieczne strajkować, aby wygrać własne korzyści i to jest przyczyną przeciągania się przerw w pracy i napięcia w mieście.

Na poprzedniej egzekutywie stawiałem bardzo twardo i dziś to podtrzymuję, że przywiezienie kandydata jest rzeczą niemożliwą. W Gdyni sytuacja jest nadal bardzo napięta. Mamy sygnały, że sytuacja szczecińska powtórzy się w poniedziałek w Gdyni i w Gdańsku. W związku z tym uznaję za konieczne dokonanie zmian personalnych.

Tow. Bejger - Uważam, że należałoby dokonać najpierw oceny sytuacji w mieście i miejskiej instancji partyjnej, lecz sytuacja zmusza nas abyśmy decyzje personalne podjęli teraz, gdyż po ocenie trzeba by ich uznać winnymi w wypadku odejścia. Jest pytanie - czy generalna rekonstrukcja i głębokie zmiany personalne nie spowodują dalszych żądań. Rozważaliśmy to również na szczeblu KW i doszliśmy

do wniosku, że mimo wszystko zmian należy dokonać przed oceną. Mamy sygnały, że zmiany w składzie Komitetu Wojewódzkiego przyjmowane są różnie i nie zadowolają wszystkich. Na egzekutywie Komitetu Wojewódzkiego stwierdzono, że aczkolwiek będą próby traktowania tych dymisji jako winy to my się temu poddawać nie musimy. Ocena egzekutywy KW jest taka, że zmiany personalne przyczynią się do poprawy sytuacji.

Tow. Mariański - Obecnie stanął znowu przed nami problem sumienia i dyscypliny partyjnej. Na Gdynię instancja wojewódzka nigdy nie patrzy obiektywnie. Założenie, że odejście tow. Malinowskiego i Piekutowskiego coś da, jest założeniem błędnym. Błędnie ocenia się sytuację, że rozrabia grupa młodzieży. Przecież załogę SKP stanowią w większości ludzie młodzi i to niestety trzeba przyjąć do wiadomości. Wymyślił ktoś w Gdańsku, że trzeba zmienić jednego sekretarza i przewodniczącego WKKP, a teraz to samo robi się w Gdyni. Towarzysze z Komitetu Wojewódzkiego nie wyjaśnili nam konkretnych przyczyn, dla których należy dokonać zmian. Nikt z nami sprawy zmian nie konaultował, nie pytano nas, kogo należy zmienić. To, że tow. Malinowski załamał się w czasie jednej z rozmów w Gdańsku o niczym nie stanowi. Nie wiemy jakie kryterium oceny przyjęto w Komitecie Wojewódzkim. Nadal jesteśmy nieszczerzy, nadal robimy to co kiedyś. Chciałbym, abyśmy sobie wyjaśnili wszystko, gdyż dotychczas to co robiono nie zawsze robiono dobrze. Nasza ocena była taka, że charakter zajęć grudniowych daje podstawę do przypuszczeń, że będą one wygasały powoli, że tak powiem falowo, ale nikt nam nie uwierzył. Ludzie, którzy byli na ulicy to nie byli ci najbiedniejsi, ale i z tego nie

wyciąga się do tej pory wniosków. Na poprzedniej egzekutywie powiedzieliśmy, że obecnie robione zmiany nic nie dadzą. Ponownie "góra" zdecydowała za nas. Przekonajcie nas, że wasze "ja" ma uzasadnienie.

Tow. Gruszka - Chciałbym być przekonany o tym, co mamy zrobić. Manewry personalne były robione przez partię zawsze, ale nie zawsze były udane. Jako przykład można podać weryfikację kadr w stoczniach, która nie dała żadnych pozytywnych rezultatów. W tychże stoczniach podejmowane zobowiązania potraktowano jako przejawy rozbijania klasy robotniczej. Nieudanym manewrem była zmiana trzech sekretarzy w Komitecie Wojewódzkim w Szczecinie - zmian dokonano a Szczecin stoi. Nikt nam nie może powiedzieć, czy dotychczas dokonane zmiany dały pozytywny efekt czy nie, a dziś znowu mamy dokonać zmian, nie mogąc powiedzieć czy to coś da.

Tow. Wróbel - Rzeczy, które się dzieją w Gdyni i Gdańsku są już szeroko komentowane w społeczeństwie naszego miasta. Ja jako chory byłem izolowany, a wiadomości o próbie zmian w kierownictwie KM w Gdyni do mnie dotarły. Złe się dzieje towarzysze, gdyż żadnej decyzji nie podjęliśmy, a już jest komentarz. Proszę o odpowiedź - czy to coś da? Na wiecach i masówkach wysuwane są wciąż dalsze żądania, gdyż zakłady chcą coś wygrać. Nasz zakład też zrobił masówkę, aby się dowiedzieć, czy normy w najbliższym czasie nie zostaną zmienione. Zły jest system, gdyż krążymy w kółko, a rozpoznania nam brak. Brak nam jednolitości działania. Proponowane zmiany personalne problemu na długo nie załatwią. Nie wiem czy nasze pociągnięcia są najsłuszniejsze.

Tow. Jundziłł - My decyzji wymuszać nie chcemy, ale chcemy doprowadzić do tego, aby decyzje o zmianach personalnych podjęte były z pełną świadomością, że to jest konieczne. Zastanówmy się, czy chodzi tu o problemy ekonomiczne. Parlamentarzyści ze Szczecina wyjechali i chcą doprowadzić do strajku generalnego. Problemy ekonomiczne są bardzo chwytliwe, ale chodzi o problemy polityczne. Musimy szukać środków, które załagodziłyby sprawę. Nie możemy wam powiedzieć, czy proponowane zmiany personalne załatwią problem. Decyzja o zmianach musi być podjęta jednogłośnie, gdyż nie wiemy co może zdarzyć się w poniedziałek. Nasze działanie jest działaniem na próbę, nikt nie może nam podpowiedzieć jakie środki należałoby zastosować. Zmiany mogą nam dać jednak oddech i czas nowemu człowiekowi na zorganizowanie pozytywnej pracy. Mam propozycję, aby przerwać dyskusję i zacząć szukać kandydata według wypowiedzi tow. Rożek - może to nam ułatwi załatwienie sprawy. Obecnie nie możemy robić oceny, gdyż brak nam danych, a czas nagli. Musimy szukać doraźnych środków. Trudno ocenić, czy to co robiliśmy, było dobre czy złe. Egzekutywa KW taką decyzję podjęła, gdyż uważała ją za słuszną. Nie konsultowaliśmy z wami tego, gdyż nie wiadomo czy byłoby to dobre.

Tow. Legucki - Rozumiem, że odbył się sekretariat KC na temat sytuacji w województwie gdańskim. Czy w zamierzeniach przedawianych Komitetowi Centralnemu uwzględnione były zmiany na stanowiskach partyjnych, czy zmiany te były zaakceptowane przez KC.

Tow. Jundziłł - Tak, były konsultowane.

Tow. Piekutowski - Jeśli dzisiejsze posiedzenie

odbywa się w sytuacji ujawnienia decyzji KW w sprawie zmian, to dyskusja nic nie daje, gdyż ludzie, o których mowa nie mogą dłużej kierować, nie będą poważnie przez nikogo traktowani, ci ludzie muszą odejść. Czy zmiany załatwią sprawę? Uważam, że może się tak stać, gdy na stanowisko wejdzie człowiek, który będzie umiał pociągnąć za sobą aktyw. Dlaczego zmiany robi się tylko w Gdyni? W komitetach dzielnicowych nie zmieniono w Gdańsku nikogo, w Komitecie Wojewódzkim zmieniono jednego sekretarza. Uważam, że to jest nieporozumienie. Zmiany muszą być dokonane w świetle oceny pracy instancji miejskiej i jej kierownictwa obecnie z naszym udziałem, a nie wtedy gdy nas już nie będzie, gdyż były już różne wypadki, a ja nie chciałbym się znaleźć, w świetle późniejszej oceny dokonanej bez mnie, gdzieś na marginesie. Sprawy są poważne i muszą być podjęte decyzje zarówno w sprawach ekonomicznych jak i politycznych. Ktoś, kto chodzi na zebrania ma swoją ocenę i wie co należy robić.

Tow. Jagiełło - Byłem przeciwny zmianom w partii. Swoje zdanie na ten temat wyraziłem zarówno na egzekutywie KW jak i na poprzedniej egzekutywie KM. Wokół pierwszego sekretarza KM tow. Malinowskiego skupił się najlepszy, a zarazem najbardziej upadłszy aktyw gdyński. Zdjęcie tow. Malinowskiego bije obecnie w ten aktyw. Tow. Malinowski nie będzie mógł podjąć rozmowy z zakładami pracy. Odejście jego będzie potraktowane jako odejście winnego. Gdynia nie załatwi sprawy całego województwa gdańskiego. Tow. Malinowski nie będzie mógł panować nad sytuacją w mieście i musi odejść. Trzeba pamiętać, że odchodzi niestety w sytuacji jednoznacznej. Kto może być brany pod uwagę jako

kandydat na I sekretarza? Wiem, że padły już nazwiska m.in. tow. Mariańskiego. Jeśli tow. Malinowski nie będzie I sekretarzem to w Gdyni długo nie będzie dla niego miejsca, dla niego i dla jego rodziny. Trzeba dziś zabezpieczyć dla niego miejsce pracy nie tu, bo to jest niemożliwe. Trzeba zabezpieczyć byt jego rodzinie.

Tow. Legucki - Nawiązując do mojego wystąpienia z poprzedniej egzekutywy to uważam, że jeśli potrzebna jest jakaś zmiana, i że zmiana ta coś załatwi, to jestem za taką zmianą. Istnieje niebezpieczeństwo wystąpienia strajków powszechnych, gdyż włączają się elity zorganizowane, nasilają się żądania polityczne.

Uważam, że argument, iż instancją miejską kierują nowi ludzie jest argumentem przekonywającym. Uważam tym niemniej, że ludzie, którzy poświęcili partii tyle sił muszą odejść z zabezpieczeniem zarówno moralnym jak i materialnym. Podjęcie decyzji może nastąpić tylko po ocenie pracy tych ludzi, zarówno przez instancję miejską, jak i wojewódzką. Kandydat musi być taki, aby był przyjęty przez wszystkie środowiska. Uważam, że rozwiązania nie leżą w naszych rękach, a w rękach władzy centralnej.

Tow. Misiejuk - Na poprzedniej, czwartkowej egzekutywie zebraliśmy się, aby mówić o dalszej pracy partyjnej, a o godz. 22 tego dnia, aby uzupełnić to zmianami personalnymi. Ustępujemy krok po kroku, a ja w te ustępstwa nie wierzę. Nie oceniamy skutków tych ustępstw. Przecież manewr kadrowy w skali Gdyni niczego nie załatwia. Na żadnym zebraniu nie padły głosy żądające zmian i dlatego uważam, że brak jest podstaw do dokonania takich zmian. Dziś również uważam, że dramatyczne decyzje

w sprawie tow. Malinowskiego były niesłuszne. Tow. Jundziłł twierdzi, że nasilają się wystąpienia polityczne, a my im ustępujemy krok po kroku. Dziś niestety uważam, że tow. Malinowski musi odejść, gdyż załatwili to za nas inni. W sprawach zmian personalnych przyjeżdża się do nas co drugi dzień a w sprawach pracy partyjnej wcale. Tow. Malinowski - przykro mi, ale taka jest prawda. Uważam, że zmiany personalne sprawy nie załatwią. Jaki cel chcemy osiągnąć w rozmowach indywidualnych? Co powie członek partii bezpartyjnemu? Chyba nie to, że tow. Malinowski odszedł ze względu na moment polityczny. Dokumenty tworzone dzisisj zabezpieczają opinię tym ludziom tylko w gronie aktywu, a co dalej?

Tow. Bejm - Jaki będzie dalszy los towarzyszy, którym dzisiaj podziękujemy za pracę, gdzie oni dostaną pracę, jaki będzie los ich rodzin? Ja już nie mówię o sprawie bezpieczeństwa tych ludzi, gdyż to jest inna sprawa. Pozostaje jeszcze sprawa człowieka, który zajmie to miejsce, dla niego także powinny być jakieś gwarancje.

Tow. Jundziłł - Pierwsza zasada jest taka: czy tym manewrem załatwiamy sprawy, czy stawiamy partię na nogi. Towarzysze wiedzą, że jesteśmy łapani za gardło i przyduszani do muru. Nie wiem co władze centralne będą nadal dawały lub obiecywały. Myśmy im tylko te sprawy zasygnalizowali. Dla przykładu zupa nie załatwia sprawy, gdyż obecnie żądają ekwiwalentu pieniężnego. Z tego wniossek, że sprawy nabierają aspektu politycznego. Żądania się rozszerzają i przechodzą z jednych zakładów na drugie. Załatwienie jednej sprawy powoduje następną.

Musimy znaleźć taką siłę, aby przeciwdziałać,

gdyż jeśli takiej siły nie znajdziemy to możemy zajść daleko. Plotek na temat zmian personalnych poważnie traktować nie można. Podobnie komunikatów RWE, gdyż oni podają wiadomości potwierdzone i nie potwierdzone. Jeśli towarzysze uznają, że odwołanie tow. Malinowskiego jest dla Egzekutywy KM nie do przyjęcia, to będziecie musieli iść z tą sprawą na Egzekutywę KW, ale w tym przypadku odpowiedzialność za wydarzenia jakie nastąpić mogą od poniedziałku bierzecie na siebie.

Tow. Kawczyński - Uważam, że dziś decyzje muszą być podjęte, gdyż po poprzedniej egzekutywie w "Dalmorze" była dyskusja na temat odwołania tow. Malinowskiego. Ja będę musiał tłumaczyć robotnikom przyczynę odejścia tow. Malinowskiego, a nie wiem jakie tłumaczenie przyjąć. Musimy wyrobić sobie na ten temat jakieś zdanie. Należy zagwarantować tow. Malinowskiemu i Piekutowskiemu, że nie będą w stosunku do nich wyciągane wnioski lub wytknięcia. Muszą usłyszeć, że mają zagwarantowaną nieskazitelną opinię. Jestem członkiem partii długo i wiem, że różne rzeczy się zdarzały. Chciałbym się dowiedzieć, czy ci towarzysze zawinili w oczach Komitetu Wojewódzkiego, czy nie.

Tow. Pieczewski - Nie ma problemu winy. Pytanie jest niezasadne, gdyż wcześniej już nasze stanowisko w tej sprawie znalazło wyraz w protokole Egzekutywy KW. Jest natomiast problem jakiegoś działania, gdyż trzeba doprowadzić do skonsolidowania członków partii do bardziej stanowczego działania. Musimy dać członkom partii jakieś argumenty, pozyskać nowych, przekonanych towarzyszy. Musi być opracowany konkretny program działania, który pozwoli opanować sytuację. Myślę, że proponowane zmiany mogą nie załatwić sprawy, lecz trzeba je zrobić. Jeśli

partią kierować będą ci sami ludzie to nie wiem czy uda się zmienić styl pracy. Musi się znaleźć dla towarzyszy odchodzących zabezpieczenie miejsca pracy i warunków życia dla ich rodzin.

Tow. Jundziłł - Powiedźcie czy się zgadzacie na dokonanie zmian, a potem będziemy mówić co dalej z towarzyszami, którzy odchodzą - w przeciwnym wypadku taka rozmowa nie ma sensu. Ja ponoszę największą winę, gdyż proponowałem tow. Malinowskiego na sekretarza KM. Tow. Malinowski może mieć największe pretensje do mnie. Zasługą tow. Malinowskiego jest to, że przy rozmowach nie zadał pytania za ile przyjdzie mu pracować - przyszedł i stracił. Obecnie przyszły wydarzenia i wszystko niezależnie od nas zmieniły.

Tow. Bejm - Uważam, że muszę otrzymać konkretną odpowiedź kto jest odpowiedzialny za zabezpieczenie pracy dla tow. Malinowskiego i Piekutowskiego.

Tow. Jundziłł - Taka odpowiedzialność ciąży na Komitecie Wojewódzkim, ale musi być jednomyślność przy podejmowaniu decyzji o zmianach, gdyż w przeciwnym wypadku musimy wrócić ze sprawą na posiedzenie egzekutywy KW.

Tow. Gruszka - Sprawy dzieją się poza nami i wydaje mi się, że powinien odejść cały zespół kierownictwa KM. Trzeba przyjąć manewr głęboki, aby wstrząsnąć wszystkimi.

Tow. Mariański - W pytaniu moim kryje się dylemat - jest dyscyplina partyjna czy nie? Jest pytanie: czy czas, w którym dokonujemy zmian jest właściwy? Gdynia nie rozpoczęła zajęć, lecz Gdańsk i tam się nikogo nie zmienia. I jest następne pytanie: jak postąpić, aby nie rozbić aparatu partyjnego, a dać satysfakcję? Zmiana tow. Hajera nikogo nie satysfakcjonuje. Ze zmianami w Gdyni

możemy poczekać, gdyż obecnie strajku nie ma i nic się nie dzieje. Był z tą sprawą u nas tow. Stażewski i sprawy nie załatwił, a obecnie jest tow. Jundziłł i co? Jak to ma wyglądać? Podejmujemy decyzje po troszku - małe podwyżki, zupy, zmiany kadrowe i wszystko zawodzi. Myślę, że nasze stanowisko członkowie Egzekutywy KW, obecni tu dzisiaj przekażą ponownie na posiedzeniu Egzekutywy KW. Tow. Bejger - Jestem gdynianinem i prawdą jest to co powiedział tow. Mariański, że istnieje kompleks Gdyni. Zaczęło się w Gdańsku, a wnioski dotyczą Gdyni. Brak pewności, że decyzje w sprawie zmian personalnych coś załatwią, a poza tym występuje brak jedności. Nie możemy dać odpowiedzi czy zmiany coś dają. Nie wiemy czy pozostanie na stanowiskach przez towarzyszy da możliwość pozytywnego załatwienia sprawy. Odpowiedzialnością nie obarczamy nikogo, stwierdzamy, że tow. Malinowski był krótko, ale mówi się, że jest problem moralny, że jeśli już doszło do zajść, nawet wbrew woli Egzekutywy KM, to czy ludzie ci powinni podać się do dymisji czy nie. Sytuacja w Gdyni jest taka sama jak w całym kraju i dlatego uważam, że zmiany trzeba robić. Pozostaje forma załatwienia i to było tematem dyskusji na Egzekutywie KW. Są w tej kwestii rozbieżne oceny. Uważam, że nie należy robić oceny sytuacji w ogóle, lecz dokonać tylko oceny kierownictwa KM i to pozytywnej. Uważam, że odejście towarzyszy nie będzie łączone z sytuacją w Gdyni. Propozycje pracy dla tow. Malinowskiego zostały złożone i uważam, że propozycje te są do przyjęcia. Takie samo zabezpieczenie należy zrobić dla tow. Piekutowskiego. Czujemy, że istnieje nadrzędny cel w partii, który chcemy osiągnąć przez zmiany personalne. Pewności osiągnię-

cia tego celu nie ma, ale zmiany robić trzeba. Uważam, że zmiana sekretarzy nie zatrzyma strajków, ale to nie ma znaczenia. Nowi ludzie muszą podjąć działanie w nowych formach. Efekty będą lepsze jeśli dokonamy zmian personalnych.

Tow. Gruszka - Sprecyzuję swój pogląd. Cały czas omawiamy stronę moralną, a nie widzimy ludzi. Stanowisko tow. Jundziłła jest takie, że trzeba zmienić skład. Jeżeli jesteśmy w stanie w obecnym składzie działać dalej, to głosuję przeciw zmianom. Będę głosował za, jeżeli będą wyraźne symptomy wymagające zmian. Na razie są to wszystko tylko przypuszczenia. Jak do tej pory mamy odwagę uczestniczyć w zebraniach w zakładach pracy. Proces skupiania się aktywu ma miejsce, brakuje nam natomiast treści politycznej w naszym działaniu. Byłem w zakładach pracy i obserwowałem reakcję na już dokonane zmiany w Komitecie Wojewódzkim. U jednych obserwowałem uczucia niedosytu, a inni przeszli rad nimi do porządku dziennego. Czy zmiany u nas dadzą efekty pozytywne? Z każdym nowym człowiekiem wiążą się nowe spekulacje i nowe oczekiwania - kto za nim stoi? Kto nim kieruje? Uważam, że w dotychczasowym składzie możemy działać dalej.

Tow. Legucki - W naszych rozważaniach trzeba wziąć pod uwagę, że o treści poprzedniej egzekutywy już krążą plotki.

Tow. Gruszka - Plotka nie może sterować naszą działalnością.

Tow. Kawczyński - Nie rozumiem dyskusji. Sekretarze są solidarni. Niech tow. Malinowski zdeklaruje się wyraźnie, czy chce dalej pracować z nami czy nie. Jest broniony przez pozostałych sekretarzy i nie rozumiem na jakim stanowisku stoimy.

Tow. Piekutowski - Każdy ma swój własny sąd. Uważam, że obojętnie jaka jest postawa poszczególnych członków egzekutywy, sprawa jest z góry przesądzona i my nie mamy warunków obecnie na normalną pracę. Towarzysze, którzy oponują robią nam złą przysługę. Tow. Gruszka wypowiada się na własny rachunek i rozumiem jego rozterkę.

Tow. Malinowski - Chcę uczciwie powiedzieć: do wczoraj było pytanie - czy Malinowski może czy nie może pracować z egzekutywą KM. Oświadczam, że moja roczna praca partyjna w KM jest okresem, który będę wspominał jako najlepszy w całej mojej dotychczasowej pracy partyjnej. Od samego początku cały kolektyw KM przyjął mnie życzliwie i pomagał mi we wprowadzeniu się w trudne sprawy instancji miejskiej. Uważam, że współpracowaliśmy dobrze. Jest nawet dwóch towarzyszy, z którymi w pracy partyjnej spotykałem się już wcześniej. Nie dlatego złożyłem rezygnację, że nie mogę czy nie chcę pracować dla partii. Nie dlatego też, że nie chciałbym dołożyć wszelkich starań, by zadania partii realizować jak najlepiej. Składając rezygnację uważałem, że nowa twarz lepiej skupi wokół siebie aktyw w obecnych warunkach. Moje osobiste "ja" jest przede mną stawiane bardzo daleko poza sprawami partii. Nie ma mądrego, który powie, że zmiany dadzą pozytywny rezultat, ale domniemywam, że może powieje świeży wiatr i odnowi się chociaż częściowo atmosferę. Jeżeli mówimy o doświadczeniach, to trzeba sobie powiedzieć prawdę w oczy: nie mamy żadnych doświadczeń z tak tragicznych wydarzeń. Należy przypuszczać, że nowy człowiek może mieć na wiele spraw nowe spojrzenie. W całej sprawie najgorzej boli mnie to, że to co się mówi w małym gronie towarzyszy wycieka na zewnątrz.

W swoich komentarzach sekretarze komitetów zakładowych uprzedzają instancje partyjne. Mam o to żal. Rozważając aktualną sytuację, trzeba jeszcze zwrócić uwagę na jeszcze jedną sprawę. Ktoś powiedział, że 200 ludzi może poderwać załogę do wystąpienia. To nie jest prawda. Obecnie na zebraniach i wiecach powtarzają się te same nazwiska mówców. Smiem twierdzić, że ruch antypartyjny organizuje się i konsoliduje się. Nie chcę tu tworzyć paniki, ale są już przywódcy - trzeba to wyraźnie stwierdzić i o tym pamiętać. Kończąc podkreślam, że złożyłem rezygnację, bo to może pozytywnie wpłynąć na poprawę nastrojów. Mam jeszcze ostatnią prośbę. Proszę, aby również tow. Piekutowskiemu, tak jak i mnie, zapewnić warunki życia i pracy.

Tow. Jundziłł - Proponuję wpisać do protokołu następujący wniosek: "Egzekutywa Komitetu Miejskiego w Gdyni wyraża jednomyślnie największe uznanie dla tow. Malinowskiego za całokształt jego pracy w Komitecie Miejskim". /Wniosek przyjęto jednomyślnie/

Tow. Misiejuk - Cały czas dyskutujemy o jednej osobie, a przecież rozpatrujemy sprawę dwóch towarzyszy. Egzekutywa Komitetu Miejskiego nie jest władna zapewnić warunki życia i pracy obydwu towarzyszom. Niech więc w tej sprawie wyraźnie wypowie tow. Jundziłł. Proponuję by wnioskiem tow. Jagiełły objąć również tow. Piekutowskiego. /Wniosek zostaje przyjęty jednogłośnie/

Tow. Jundziłł - Zapewniamy opiekę i pracę tow. Piekutowskiemu. Sprawa wymaga jednak czasu, trzeba będzie szukać.

Tow. Jagiełło - W obecnej atmosferze towarzysze ustępujący nie będą mogli podjąć pracy w Gdyni.

Tow. Pieczewski - Czy jest aż tak, że towarzysze muszą z terenu Gdyni odejść?

Tow. Piekutowski - W obecnej sytuacji jakie, towarzyszu, środowisko mnie zaakceptuje?

Tow. Malinowski - Towarzysze znacie przecież sytuację - wobec naszych rodzin już miały miejsce przypadki dyskryminacji. Po naszym ustąpieniu ataki będą jeszcze silniejsze.

Tow. Mariański - Jeżeli jest możliwość niech towarzysze wyjadą na wczasy wraz z rodzinami na miesiąc lub dwa.

Tow. Jundziłł - Aktualnie takich warunków nie ma.

Tow. Jagiełło - To są zasadnicze sprawy życiowe towarzyszy, którzy odchodzą i muszą otrzymać gwarancję pozytywnego załatwienia ich potrzeb.

Tow. Jundziłł - My, obecni tu, czterej członkowie Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego podejmujemy się zagwarantować towarzyszowi Malinowskiemu i Piekutowskiemu i ich rodzinom warunki życia i spokojnej pracy. Z tow. Piekutowskim prowadziliśmy już rozmowy wcześniej na temat jego przejścia do innej pracy. Wypadki grudniowe zupełnie pomieszały nam szyki.

Tow. Legucki - Zrozumiałem, że jest to gwarancja złożona w imieniu Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego i tak to Egzekutywa Komitetu Miejskiego rozumie. Rozumiem również, że o sposobie załatwienia spraw towarzyszy Malinowskiego i Piekutowskiego Egzekutywa KM zostanie powiadomiona.

Tow. Misiejuk - Jest zjawiskiem niedobrym, że po 15 latach pracy w partii o sprawach ustąpienia ze stanowiska rozmawia się z zainteresowanymi pięć minut przed zdjęciem. Zainteresowani powinni o tym wiedzieć prędzej niż osoby postronne.

Tow. Gruszka - Jeżeli już jesteśmy przy omawianiu warunków nowej pracy nie mam tu nic do dodania. Jeżeli chodzi o sprawy poprzednio omawiane, zachowuję swój pogląd.

Tow. Malinowski - Uważam, że jeżeli chodzi o przyjęcie rezygnacji mojej i tow. Piekutowskiego egzekutywa jest jednomyślna i proponuję do tych spraw już w dyskusji nie powracać. Musimy się zastanowić nad propozycjami towarzyszy na nasze miejsce. Proszę o kandydatury.

Tow. Mariański - Proponuję tow. Porzyckiego. Podczas wydarzeń grudniowych był cały czas na zakładzie i niezależnie od plotek cieszy się wśród robotników sympatią. Wykazał, że ma właściwe podejście do robotników i znajduje z nimi wspólny język. Na pewno stoczniowcy przyjmą z aprobatą jego wybór.

W wypadku przyjęcia propozycji przez tow. Porzyckiego będzie możliwość dokonania demokratycznego wyboru sekretarza w SKP. Poczucie stoczniowców, że ich człowiek kieruje instancją miejską, na pewno wpłynie pozytywnie na rozładowanie nastrojów.

Tow. Piekutowski - Mój pogląd jest następujący: propozycja tow. Mariańskiego nie załatwia sprawy, a przynajmniej nie w takim układzie. Proponuję tow. Porzyckiego na moje miejsce, natomiast tow. Mariańskiego na pierwszego sekretarza. Sądzę, że taki układ w obecnych warunkach lepiej zda egzamin. Uważam, że tow. Porzycki nie jest najlepszym kandydatem na I sekretarza. Proponowany przeze mnie układ gwarantowałby osiągnięcie zamierzonych celów przynajmniej na czas najbliższy.

Tow. Kawczyński - Jestem za tow. Mariańskim. Już w czasie wypadków grudniowych zdobył sobie swoją postawą popularność wśród społeczeństwa.

Nie obawiał się rozmawiać z demonstrantami.

Tow. Legucki - Proszę zwrócić uwagę - kandydatura tow. Mariańskiego jest dobra, ale grozi nam uproszczeniem problemu popularności. Tow. Mariański jest i awansował, bo rozmawiał z demonstrantami, a tow. Malinowski i Piekutowski zostali zdjęci, bo nie rozmawiali. Jeżeli chodzi o kandydaturę tow. Porzyckiego, uważam, że jest dobra lecz nie na miejsce pierwszego sekretarza KM.

Tow. Misiejuk - Argument uproszczeń mnie nie przekonuje. Przychyłam się do propozycji tow. Piekutowskiego.

Tow. Badowicz - Tow. Mariański jest popularny i jeżeli mamy iść na popularność to warto brać pod uwagę koncepcję tow. Piekutowskiego.

Tow. Ginter - Tow. Mariański jest popularniejszy niż tow. Porzycki. Ten ostatni będzie miał więcej do powiedzenia w SKP ale mam wątpliwości, czy na miejscu tow. Piekutowskiego obejmie całokształt problemów ekonomicznych Gdyni jako organizmu wielogałęziowego. Nie tak dawno ukończył studia.

Tow. Bejm - Ci dwaj towarzysze najlepiej w naszej sytuacji załatwiają problemy, które przed nami stoją i nie ma co się bawić w wielką ekonomię. Potrzebny nam jest spokój i praca a te dwie rzeczy przy pomocy tych towarzyszy można osiągnąć.

Tow. Wróbel - Popieram obydwie kandydatury.

Tow. Jagiełło - Kandydatura tow. Mariańskiego na I sekretarza jest jedyną, która nam załatwia cel jaki sobie stawiamy.

Tow. Rożek - Popieram obie kandydatury.

Tow. Malinowski - Obecnie na pierwszym miejscu stawiamy działanie partyjne. Do tej pory liczyliśmy liczby, które dawno były obliczone. Teraz jest problem działania partyjnego, jest problem autory-

tetu i popularności. W tej sytuacji kandydatura tow. Porzyckiego jest słuszna. Kandydatura tow. Mariańskiego jest również trafna. Zna miasto, jest dobrym politykiem i poradzi sobie ze wszystkimi problemami. Życzę mu powodzenia i sukcesów w działaniu jak również i tego, by jego odejście nie przebiegało w takiej atmosferze i w ten sposób. Tow. Gruszka - Popieram dotychczasowe propozycje. Ponieważ nie ma tow. Porzyckiego, proszę tow. Mariańskiego o przyjęcie propozycji w obliczu jedności egzekutywy KM.

Tow. Mariański - Mamy to w swojej mentalności, że cenimy gesty a nie patrzymy trzeźwo. Sprawa mojej popularności w Gdyni też jest sprawą gestu. Tak się w czasie wypadków grudniowych złożyło, ale wcale mnie ten gest nie kwalifikuje na pracownika politycznego. Jest i było dużo szumu. Jest również dla mnie dużo niewyjaśnionych sytuacji, a między innymi to, że cieszę się popularnością wśród kudłatej młodzieży jak i to, że aresztowano komitet strajkowy wiedząc, że ja tam będę. Takie problemy pozostawiają moralne obciążenia i napięcia. Egzekutywa KZ jednogłośnie obdarzyła mnie zaufaniem i dlatego wierzę, że tym więcej zrobię dobrego na dotychczasowym stanowisku. Z moim odejściem z KZ wiązałyby się cały szereg trudności proceduralnych.

Jest i druga sprawa, to stan mojego zdrowia. W najbliższym czasie, jeżeli zawiódą środki farmakologiczne, będę się musiał poddać operacji nerki, co wytrąci mnie na dłuższy czas z działania. Wobec tego proszę o jeszcze dokładniejsze przeanalizowanie mojej kandydatury.

Tow. Jundziłł - Tow. Porzycki jest dobrą kandydaturą do kierownictwa Komitetu, ma popularny sposób bycia. Z tow. Mariańskim rozmawialiśmy już przedtem.

Braliśmy pod uwagę również problem poruszony przez tow. Leguckiego, ale sytuacja jest taka, że żebyśmy nie wiem co robili, komentarze będą zawsze i będą różne. Gdy tow. Mariański zrozumie sytuację - propozycję powinien przyjąć.

Tow. Pieczewski - Istotne jest to, że cała Egzekutywa KM zgodziła się z proponowanymi kandydaturami bez naszego podpowiadania. Choroba tow. Mariańskiego nie wyklucza go jako kandydata. Główny argument "za" to jego popularność. Komentarze będą zawsze. Jeżeli Egzekutywa jest jednomyślna to należy przyjąć, że będzie dobrze.

Tow. Legucki - Chyba tow. Mariański źle zrozumiał moją intencję.

Uważam, że jeżeli ma on jakiegokolwiek wątpliwości czy nasza przyszła współpraca ułoży się dobrze to jego wątpliwości są zupełnie bezpodstawne.

Tow. Mariański - Ja i tak jestem w pierwszej linii więc nie uciekam. A tej propozycji nie mogę przyjąć. Będą znów spekulacje co się będzie działo w PMRN. Proponuję podać nową kandydaturę bo czas biegnie.

Tow. Gruszka - Bądźmy konsekwentni w całym przebiegu egzekutywy. Wybory obydwu kandydatów są bezsporne.

Tow. Piekutowski - Jeżeli ma być lepiej, to w moim przekonaniu jest to jedyne słuszne rozwiązanie i jedyna szansa osiągnięcia pozytywnych rezultatów. Po partyjnemu trzeba tę szansę wykorzystać bo jest jedyna. Musi być nazwisko teraz, już, bo w poniedziałek może być za późno.

Tow. Legucki - Partii jest potrzebny manewr kadrowy, manewr człowiekiem i to jest nasza szansa, a nie tworzenie legendy zbawcy.

Tow. Mariański - Ja się nie migam i nie boję. Wewnętrznie mam wątpliwości i co do nowego manewru

nie jestem przekonany. Jestem impulsywny i nie jestem taktykiem. Mam np. żal, że w ten sposób załatwiliśmy sprawę tow. Malinowskiego.

Obrady Egzekutywy zawieszono na przeciąg 10 min.

Tow. Gruszka - Proszę tow. Mariańskiego o ostateczne sprecyzowanie swojego stanowiska w stosunku do przedłożonych propozycji.

Tow. Mariański - Nie czuję się na siłach. Uważam, że moja kandydatura jest nieprzemyślana. Konsekwentnie postępując odpowiadam - nie!

Tow. Gruszka - Kandydatura tow. Porzyckiego jest dalej aktualna, proszę o nowe propozycje.

Tow. Piekutowski - Inne propozycji nie mam.

Tow. Kawczyński - Nie wiem czym się kieruje jeszcze tow. Mariański. Samo nazwisko już by pomogło. Dodatkowym elementem pozytywnym byłoby to, że kandydat na to stanowisko wyszedł z PMRN.

Tow. Gruszka - Proszę o nowe kandydatury.

Tow. Misiejuk - Towarzyszu Mariański weźcie pod uwagę, że będą pytania czemu was nie wzięto pod uwagę przy manewrze. Jest kwestia odbioru prawd, które przekazujemy - nie będziemy mogli odpowiedzieć żeście nie przyjęli.

Tow. Mariański - Każdy członek partii ma prawo zgodnie ze swoim sumieniem dysponować sobą i zgodnie z tym sumieniem odpowiadam - nie.

Tow. Gruszka - Stanowisko jest jednoznaczne. Proszę o nowe propozycje.

Zawieszenie obrad na konsultacje

Tow. Malinowski - W imieniu czterech członków Egzekutywy proponuję do rozpatrzenia kandydaturę tow. Radowicza - sekretarza OOP I Rej. ZPG na I sekretarza KM w Gdyni. Tow. Radowicz ma doświad-

czenie partyjne. Jest dobrym pracownikiem, cieszy się autorytetem i zaufaniem wśród załogi.

Tow. Radowicz - Dziękuję za zaufanie, ale nie podołam. Co innego działać na rejonie, a co innego na takim szczeblu.

Tow. Jagiełło - Półśrodkami nic nie załatwimy. Zmiany muszą być głębokie.

Tow. Legucki - W pracy Komitetu Miejskiego nie ma takich sytuacji, że podejmuje się decyzje jednoosobowo. Pracuje cały kolektyw - sekretarze i Egzekutywa. W dalszym naszym działaniu nie będziemy nikogo zastępować.

Tow. Gruszka - Jest więc propozycja kandydatura tow. Radowicza na I sekretarza KM.

Tow. Radowicz - Rzetelnie mówię, że nie czuję się na siłach. Ja chcę pracować dla partii ale nie w tym układzie. Jestem mocno zaskoczony przedstawioną mi propozycją.

Tow. Pieczewski - Jest bardzo pozytywnym momentem gdy robotnik mówi do robotnika.

Tow. Radowicz - Nie mam umiejętności występowania ani nie jestem do tego przygotowany.

Tow. Pieczewski - W partyjnej rozmowie z robotnikami im prostszy język tym lepiej.

Tow. Jagiełło - W dyskusji warto by wrócić do kandydatury tow. Latry.

W związku ze zgłoszoną kandydaturą tow. Porzyckiego został on wezwany na posiedzenie Egzekutywy. Po przybyciu tow. Pieczewski poinformował tow. Porzyckiego o dktychczasowym przebiegu Egzekutywy.

Tow. Porzycki - W SKP sytuacja jest jeszcze nie najlepsza i trzeba na miejscu działać.

Tow. Malinowski - Wszędzie sytuacja jest napięta.

Członkowie Egzekutywy KM tow. tow. Legucki, Wróbel, Misiejuk, Rożek, Radowicz, Ginter, Malinowski, Mariański, Jagiełło, Piekutowski, Bejm i Gruszka wypowiedzieli się za kandydaturami:

tow. Porzycki na I sekretarza KM

tow. Radowicz na sekretarza KM

Tow. Gruszka - Jaka jest wasza decyzja, tow. Porzycki?

Tow. Porzycki - Propozycja jest nagła i wymaga namysłu. Zdaję sobie sprawę z odpowiedzialności. Wynik mego działania zależny jest od współpracy z Egzekutywą i odchodzącymi. Chciałbym by wtedy gdy sytuacja wróci do normy było można rozważyć jakąś nową kandydaturę. A chodzi mi tu o sprawy zaufania do tow. Malinowskiego w związku z tym co powiedziałem.

Tow. Radowicz - W dalszym ciągu nie jestem przekonany do mojej kandydatury.

Tow. Malinowski - Nasze prace i program działania idą w kierunku środowisk. W nowej strukturze KM nowym sekretarzom łatwiej będzie włączyć się do pracy. Tow. Porzycki zna SKP, a tow. Radowicz zaś ZPG.

Tow. Jagiełło - Rozumiem opory tow. Radowicza. Sytuacja jest nietypowa. Niech spróbuje, a gdyby nie dał rady damy mu gwarancję powiatu.

Tow. Pieczewski - Zmiana ma dodatkowy akcent - robotnik został sekretarzem.

Tow. Misiejuk - Próba jest warta celu jaki stawiamy przed nami.

Tow. Radowicz - Zgadzam się ale liczę towarzysze na waszą pomoc i współpracę.

Tow. Gruszka - Dziękuję towarzyszom za wyrażenie zgody. Należy jeszcze ustalić w jakim trybie i kiedy należy zwołać Plenum Komitetu Miejskiego.

W wyniku dyskusji Egzekutywa ustaliła zwołać Plenum na dzień 24 stycznia 1971 r. godz. 17.00 w trybie nadzwyczajnym. Jako program Plenum przyjęto jeden punkt poświęcony sprawom kadrowym.

Na zakończenie Egzekutywy głos zabrał tow. Jundziłł. Podziękował zebranych za dyskusję i zapewnił, że przekaze tow. w KW przebieg i uwagi dotyczące Egzekutywy KM w Gdyni.

Na tym posiedzenie Egzekutywy zakończono.

Protokołowali:

St.Jackowiak

A.Plewa

/podpisy nieczytelne/

List Prymasa Polski,
Stefana kardynała Wyszyńskiego
do księdza prałata H. Jastaka proboszcza
parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa
w Gdyni

P R Y M A S P O L S K I

15.II.1971

Warszawa,
ul. Miodowa 17.
N.391/71/P.

Drogi Księżu Prałacie

Bardzo Mu jestem wdzięczny za Jego dobre słowa z 27.I.71., oraz za pełne zrozumienie inicjatywy Rady Głównej Episkopatu Polski.

Rozważając wytworzoną sytuację, na skutek niebaczących posunięć władz lokalnych, uważaliśmy za niebędne uczynić wszystko, by szybko położyć kres wzrastającemu niepokojowi. Ja, osobiście, ogromnie bałem się o Szczecin, by jakieś obce siły nie wykorzystały niepokojów, z nieodwracalną szkodą dla Państwa Polskiego. Przecież wiadomo, ile wrogów ma Polska, którzy czyhają głównie na obecność naszą w Szczecinie.

Rzecz jasna, że stokroć ważniejsze są problemy pokoju wewnętrznego. I dlatego należało wszystko, co możliwe uczynić, aby ten pokój rychło wrócił. Stąd mój Apel z 25.XII. ub.r. Byłem gotów osłonić wszystkich, byleby tylko rychło zapanował pokój w Polsce. Przecież od tego tak wiele zależało. Jestem przekonany, że boleści dni grudniowych otworzyły oczy wielu ludziom na problem władania w Polsce. To przecież ma być służba, którą mogą prowadzić ludzie wysoce bezinteresowni.

To, że przy tej bolesnej okazji ujawniły się kontrasty - miłość - nienawiść - tym lepiej dla naszej pracy duszpasterskiej. Na skutek drastycznych wyczynów, wystąpiły one w sposób wyjątkowo jaskrawy. Ale to było w podziemi serc ludzkich. Zobaczyć, do czego może doprowadzić zachwalana zasada "walki klasowej", jakie może wydać owoce - to dobrze czyni. Teoretycznie może to nie wydawać się tak groźne, zwłaszcza, że ludzie oswajają się ze sloganami propagandowymi. Ale - przy bolesnych sytuacjach - odsłaniana jest prawda. Jednak "gutta cadendo cavat lapidem" - a ludzie osłuchani o wrogości klasowej, uważają ją za broń do walki przy lada sposobności. I wtedy powstaje mobilizacja nienawiści, jako obrona przed "wyszkoloną nienawiścią" aparatu obrony ładu społecznego.

Jest rzeczą pożyteczną dla nas - ze względów obywatelskich - poznać prawdę, jak mianowicie jest przygotowany "aparat obrony" - przeciwko wystąpieniom obywateli. Pożyteczną - bo widać, że trzeba zmienić system szkolenia tego aparatu. Ale też i ze względów społeczno-duszpasterskich, jest rzeczą doniosłą zobaczyć, do czego może prowadzić nienawiść, która zyskała sobie prawo obywatelskie. Będziemy musieli wiele pracy włożyć w to, by ostrze tej nienawiści stępić. To nasze zadanie. Ufam, że przyrzeczenie obywatelom ich prawa do krytyki, do wolności opinii i godziwych warunków pracy - może rozładować napięcie nienawiści, a duszpasterzom ułatwić pracę.

Jestem pełen uznania dla Drogiego Księdza Prałata, że ten problem łatwo dostrzegł i dlatego przyszedł mi z pomocą, gdy szło o to, by Apel i Komunikat Rady Głównej, co rychlej dotarł do Wiernych i przyczynił się do złagodzenia napięc.

Że nie wszyscy to tak zrozumieli, nie dziwię się. Wszak wiele jest zaciętrzewienia nawet wśród najlepszych. Tym większa jest zasługa Drogiego Księdza Prałata.

Słowa uznania, wdzięczności i czci braterskiej przesyłam, z serca błogosławiąc Mu i powierzonej Mu Owczarni Chrystusowej.

W miłości
+ Stefan Kard. Wyszyński
Prymas Polski

Przewielebny
ks. Prałat H.JASTAK
G d y n i a

Zgodność z oryginałem
stwierdzam /-/ ks.W.Wiśniewski

Relacja Teresy Remiszewskiej,
pracownicy Stoczni im. Komuny Paryskiej
w Gdyni

Pracowałam w Stoczni Komuny Paryskiej w dziale inwestycji. Byłam taką jednoosobową komórką do likwidacji środków trwałych. Jeździłam do pracy o dwie godziny później niż cała Stocznia, zaczynałam pracę o ósmej.

We wtorek rano, w momencie gdy trolejbus numer 23, którym jechałam do pracy, skręcał w prowadzącą do Stoczni ulicę Czechosłowacką, zobaczyłam fantastyczny widok: ogromny, robotniczy pochód skręcał w wiodącą do portu ulicę Polską; ślicznie uformowane czternastkami czy szesnastkami szeregi robotników w kombinezonach, hełmach, z kluczami w rękach. Szli jak wojsko, szli w ciszy. To był kapitalny widok, sprawiający niesamowite wrażenie. To była siła, potęga i ogromna godność.

Potem, gdy trolejbus, który na czas przejścia pochodu się zatrzymał, dojechał do Stoczni, zobaczyłam wyłamaną bramę. Strażnik, który przerażony stał przy tej bramie, mówi: - "Proszę pani, oni siłą swoich ciał tę bramę wyważyli".

I wtedy po rsz pierwszy w życiu zrozumiałam, że istnieje klasa robotnicza. Dotąd była to dla mnie utopia i głupia propaganda, nie wierzyłam w żadne klasy. A wtedy ją zobaczyłam.

Weszłam do Stoczni. Był taki śmieszny układ, że - choć byłam bardzo małym, szarym pracownikiem - pracowałam w pięknym pokoju z panią, która była żoną prominenta. Nie miałyśmy żadnych służbowych powiązań, po prostu miałam tam biurko. Była to straszna baba, pięćset pierścionków na palcach, brzydka, wulgarna. I ta pięknie zawsze uczesana,

wystrojona w bogate ciuszki, złotem oblepiona babka siedzi przy biurku z rozczesaną świeżo zrobioną fryzurą, ze zmytym makijażem, z pochowanymi pierścionkami. Maksymalnie przerażona.

Zabrałam się normalnie do roboty, ale na Stoczni szum... Poszłam niby do kiosku po bułki, zobaczyć co się dzieje. Pod Kładą Zakładową jakiś wiec, Stocznia stoi, zaczęłam się przysłuchiwać, ale wtedy włączył się radiowęzeł, wróciłam do pokoju. Zaraz potem szef produkcji wydał urzędnikom zakaz opuszczania budynków. No i słuchamy tych przemówień.

Mówi jakiś robotnik: - "Koledzy, dość już tego, my chcemy żyć jak ludzie, a nie jak bydło, na Zachodzie robotnicy żyją jak ludzie, a my jak bydło itd.". Potem głos pana Cupisza, etatowego przewodniczącego Rady Zakładowej: - "Towarzysze, wracajcie do pracy, proszę o spokój, nawołuję was". I znowu głos jakiegoś robotnika. Głośnik włączał się i wyłączał, było więc to wszystko dosyć porwane. Mówił jeszcze dyrektor i jacyś ludzie z zarządu i te fragmenty wiecu dochodziły do nas.

O dwunastej urzędników zwolniono do domów, poinformował mnie o tym mój bezpośredni szef. Wtedy ta prominentka zaczęła mnie ze łzami w oczach błagać, żebym ją przeprowadziła przez bramę, bo ona się boi. Na swoje piękne suknie włożyła jakiś fartuch sprzątaczkowski i tak przeszliśmy przez bramę.

Wieczorem przyniesiono mi do mieszkania pismo podpisane przez mojego szefa z poleceniem nie przychodzenia do pracy. Więc nie poszłam. Problem przyłączenia się do strajku nie istniał wtedy. W czasie tych kilkugodzinnych obserwacji wyczułam, że oni byli niechętnie nastawieni do urzędników,

122

nawet tych nisko postawionych; do niektórych inżynierów produkcji, których znali lepiej - mniej. Tak to wyglądało wtedy. I w ogóle mnie ta myśl nie zaświtała, aby pójść do nich, przyłączyć się do strajku.

We środę o jedenastej podeszłam pod Stocznę - podjeżdżały właśnie czołgi, więc się cofnęłam i wróciłam do domu. Około dwunastej i nas zaczęły obstawiać czołgi, transportery, pancerne samochody, mieszkalam w budynku banku naprzeciw poczty.

Zerwało nas ze snu dudnienie. Wozy pancerne, transportery, czołgi jechały w stronę morza. Wydaje mi się, że te czołgi stały potem na skwerze Kościuszki, koło sztabu Marynarki Wojennej. Pamiętam, że gdy przejeżdżały ulicą 10 Lutego, staraliśmy się rozpoznać, czy to rosyjskie czy polskie.

Położyłam się znowu. Zawsze śpię przy otwartym oknie, słyszałam chodzące wzdłuż naszej ulicy patrole. Jakiś chłopak na dole kaszał tak okropnie, tak go ten kaszel rozrywał, że nie wytrzymałam, zagrzałam mleko z masłem i miodem, wlałam do termosu i zlażłam na dół, do nęgo. Przecież to był grudzień, taka wilgotna, chłodna noc - - "Masz tu chłopie, wypij, bo nie mogę słuhać, jak kaszlesz".

Był to chłopaczek osiemnastoletni, prawie się rozplakał, zaczęłam z nim rozmawiać. - "Co ty tu właściwie robisz?" - "Proszę pani, mnie powołali do wojska dwa miesiące temu." - "Skąd jesteś?" Był z jakiejś wsi spod Radomia. Mówi: - "Nas wieźli spod Słupska, powiedzieli nam, że jedziemy do Gdańska uspokajać Niemców, prohitlerowców, którzy się oburzają tym, że Gomułka chce zawrzeć pakt". - "Kto wam to mówił?" - "Nasi oficerowie kulturalno-oświatowi. A co tu jest,

proszę pani?". Powiedziałam mu o strajku, o pochodzie, o rozmowie robotników z Mariańskim. - "No to co my mamy robić?" - "Tylko nie strzelać do ludzi." - "A jak nam każą?" - "Nie strzelać." - "No to mnie rozstrzelają." - "To cię rozstrzelają, ale nie wolno ci być mordercą." I z tym się z nim rozstałam. Gnębiła mnie potem ta rozmowa, bo chłopak słuchał bardzo przejęty, ale może nie dostał takiego rozkazu.

Obudził mnie huk. Popatrzyłam na zegarek - była godzina piętnaście po piątej. Wszyscy twierdzą, że wystrzał armatni i pierwsze strzały na Stoczni były za pięć szósta, więc może mój zegarek źle chodził, ale w mojej pamięci zakodowało się, że obudził mnie piętnaście po piątej potężny huk i potem słychać było strzały.

Około dziewiątej przyszła do mnie znajoma ubrana na bojowo, w spodnie, z chlebakiem - idziemy na miasto manifestować. I wtedy jakieś odgłosy z ulicy przyciągnęły nas do okna. Szedł duży pochód młodzieży - wyglądali na młodzież z techników czy szkół zawodowych - i do nich przyczepiona duża grupa ludzi z flagą - pamiętam czerwień, nie mogę więc powiedzieć, że była biało-czerwona. Śpiewali "Jeszcze Polska", a ludzie z okien bili im brawo.

Wyszliśmy z domu około dziesiątej. Natknęliśmy się na niewielki pochódzik - z 60-80 osób, chłopców w mundurkach szkolnych, a w środku tego pochodu zwykle domowe drzwi, na których leżało ciało. Gdy ten pochód się zbliżał, zdążyliśmy jeszcze przejść na drugą stronę 10 Lutego i wtedy zaczęły padać strzały. W narożnym domu 10 Lutego mieszka moja rodzina, Wojtek wychylił się z okna i zaczął krzyczeć: - "Uciekajcie, bo strzelają!". Wbiegliśmy

do niego, na piętro. Gdy spojrzałam z okna jego mieszkania, pochód zaczął już skręcać w Świętojańską, już chyba przeszedł przez te strzały. Nikogo zranionego nie widziałam, strzały były jednak na pewno. Kiedy ucichło, wyszliśmy, i na Świętojańskiej, gdzieś koło kościółka zobaczyłam te drzwi z ciałem leżące na środku ulicy. I widziałam, jak ludzie wynoszą kwiaty z tej kwiaciarni naprzeciw kościółka i okrywają ciało kwiatami. Ale przy nim ludzi było mało - osiem, może jedenaście osób. Ktoś tam te kwiaty niósł, kładł i uciekał. Przeszliśmy koło tego ciała, jeszcze syn stanął i czapkę zdjął, znowu gdzieś zaczęli strzelać, skręciliśmy więc w boczną uliczkę i w Bema, do matki, o którą byłam bardzo niespokojna.

Relacja Stanisława Słodkowskiego,
spawacza /lat 26/
ze Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni

Pracowałem w Stoczni im. Komuny Paryskiej na wydziale K-1. Byłem wtedy po wypadku, wybuchła cyna i oblało mi oczy, dali mi pracę zastępczą. We wtorek jakiś szum. Do mnie podleciało kilka osób, no i zaczęło się wszystko toczyć. W końcu zgaszono światło. Ludzie krzyczą - "Co wy robicie! Tu trzeba pracować!". W końcu, gdy wygaszono gazy techniczne uznaliśmy, że coś konkretnego się dzieje. Ja mówię - "Chodźcie, zobaczymy, co się dzieje". Poszliśmy pod bramę. Tam dyrektor został wygnany, zebrało się chyba ze dwa czy trzy tysiące osób. Gdzie idziemy? Pod Komitet żądać naszych praw.

Wyszliśmy ze Stoczni na ulicę. Po drodze zaczęli dołączać ludzie z różnych zakładów, tłum rósł. To dojście do Komitetu Partii w Gdyni, to była zbieranina ludzi zdeterminowanych, czujących krzywdę. I już pod Komitetem wyłonił się pan, który nazywał się Hulsz, który próbował dowodzić, a faktycznie był prowodyrem, dużo mówił, ale dawał takie bardzo niebezpieczne propozycje. Tłum bez przerwy pęczniał, domagano się rozmowy z pierwszym sekretarzem, którego nie było, czy też się schował. Wewnątrz milicja uzbrojona w automaty czekała na jakiś ruch. I w pewnym momencie pan Hulsz powiedział, żeby wyważyć drzwi do środka, a jak nie, to my go s...syna wyciągniemy. Powstrzymałem ich, jakże, byłem też w waciaku, w kasku. Wytworzyła się samoistnie jakaś straż porządkowa.

Skoro nie było z kim rozmawiać w Komitecie, no to

idziemy do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. I pochód zaczyna się ruszać. Oczywiście, panowie, co byli w straży porządkowej, zaczęli huczeć, idą z przodu. Idę z przodu - stoi jakiś samochód. No i podbiega kilka osób, chcieli go przewrócić. Mówię - zostawcie, przecież nie wiadomo, czy ten człowiek nie idzie z nami. I po tej interwencji mijamy bez kłopotów wszystkie samochody. Pochód spokojnie idzie pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej.

Tam, no szum straszny. Chcą, domagają się, żeby ktoś wyszedł. Po jakimś czasie wychodzi Mariański, ale nie jest w stanie rozmawiać, bo toto krzyk jest, każdy mówi. W międzyczasie jakiś chłopak chciał kamieniem rzucić, to go złapałem za rękę. "Co ty robisz?" Bo tam też widać, że stoją. Punkt zapalny, rzucenie kamieniem - to przecież nie ma sensu, żeby nas powystrzelali. To między innymi zwróciło na mnie uwagę, byłem dosyć wysoki itd. W końcu proponuje Mariański, żeby wytypować delegatów, bo ze wszystkimi rozmawiać nie jest w stanie. Nie wiem, jakim cudem znalazłem się w środku, chyba dosłownie przeniesiono mnie. Znalazłem się w środku i tyle.

Faktycznie, jak myśmy byli w Prezydium, to wystraszone były obie strony. Wszystkie te panie urzędniczki, panowie, to wszystko się trzęsło ze strachu. Jak się widzi, że pod ścianami stoją - jak w takich dobrych amerykańskich filmach, pistolet maszynowy do przodu - to włos na głowie i na brodzie się jeżył. Taki zimny pot poczułem na plecach, ale nic, skoro człowiek z woli ludu został wytypowany do prowadzenia pertraktacji... Weszliśmy na górę, na salę obrad.

Pierwsze słowa - Mariański mówi, że on nie

może z nami pertraktować, nie ma żadnego upoważnienia. Tym szaleje pod balkonem, wychodzimy na balkon co jakiś czas uspokajać, wychodził Hulsz, ja wychodziłem. Dostaliśmy taki megafon na baterię, to się mówiło, że wszystko w porządku, pertraktacje trwają. Nie wiem w jaki sposób znalazł się zastępca i jakaś pani z maszyną, siadamy, zaczynamy pisać postulaty.

Chodziło nam o podwyższenie najniższych zarobków, żeby nie było różnicy między umysłowym a pracownikiem fizycznym, o urlopach, o podnoszeniu rodzinnego. Kupa się tego uzbierało. Napisaliśmy jedno porozumienie, trzeba było coś tam jeszcze poprawić, potem drugie żeśmy podpisali. Potem zobowiązaliśmy Mariańskiego, żeby to dotarło do instancji wyższych, my czekamy na wiadomość, która zostanie podana przez telewizję.

Podaliśmy do wiadomości, że zostało podpisane porozumienie, wychodzę z Prezydium, plac zawalony, że nie było się już gdzie zmieścić. W końcu padła propozycja, że idziemy do "Dalmoru". Wszystko krzyczało z radości, jest jakieś porozumienie - w końcu ktoś potraktował nas wszystkich poważnie.

Idziemy na plac w "Dalmorze". Tam na rampie dużo osób przemawiało i głupoty niektórzy opowiadali. Między innymi był pan Hulsz. Jak to w takich gorących chwilach, jedni mówili mądre rzeczy, inni głupie. Każdy chciał coś powiedzieć, bo wiadomo - chciał się pokazać. Pamiętam, chyba Mizerski Kaziu, którego wtedy oczywiście jeszcze nie znałem, zaproponował, żeby wszyscy delegaci spotkali się w Domu Kultury, który należał do Zarządu Portu. No i pochód wraca tą samą trasą, ludzie topnieją, wracamy do Stoczni.

Ja w Stoczni zaproponowałem rozpoczęcie tak

zwanego strajku okupacyjnego. Zabraliśmy klucze kierownikom, żeby nic nam tam kątem nie stawiali, żeby nie niszczone żadnych urządzeń, bo to wszystko jest nasze, naszą krwawicą wypracowane. Pamiętam jak dzisiaj - ktoś ze mną szedł, dotarliśmy na stołówkę, prosiłem panie, które nie mają dzieci, żeby zostały i przygotowały jakąś kawę, w związku z tym, że będzie strajk okupacyjny. No, ale jak wyszedłem na Stocznę, już wszystko się zaczęło rozchodzić. Polak zrobił swoje i do domu. Wyobrażam sobie, że oni nie mieli pojęcia w ogóle o strajku okupacyjnym, nie byli przygotowani, uważali, że to, co zrobili, to już dobrze, a jutro zacznie się normalny dzień pracy, w którym coś wypłynie. Więc, gdy już nie było dla kogo gotować, zwolniłem panie ze stołówki, a ja, a my udaliśmy się do Domu Kultury na Polską.

Było tam już chyba ze trzysta osób. Na dole, w sali kinowej ludzie, którzy mieli nas ochraniać, na górze, w kawiarni też sporo osób się zebrało. W pewnym momencie jeden zaczął krzyczeć: "Wódka w górę, piwo na dół!" - i jakieś takie głupie postulaty. Wyrzuciliśmy też wtedy pierwszego sekretarza Zarządu Portu. W końcu zaproponowano, żeby utworzyć jakieś ciało organizacyjne. Przewodniczącym wybrano mnie, zastępcą był Mizerski i jeszcze ktoś, chyba miałem dwóch zastępców. Weronika Szymańska była do spraw kolportażu, do spraw związanych z nspisami, ulotkami, dokładnie już nie pamiętam, jaką ona funkcję pełniła, ale dosyć ważną. Ona przyszła z Prezydium, gdzie była jakimś referentem. Teraz to ładnie motywuje, że rodzina miała powiązania rewolucyjne. I zastanawiano się nad nazwą, co to będzie za organizacja. Po kilku propozycjach nastąpiło, że będziemy się nazywać Główny Komitet Strajkowy dla Miasta

Gdyni. No i zaczęły się obrady.

W międzyczasie przyjeżdża z panem Mariańskim Hulsz. Skoro on przez cały czas pełnił taką ważką rolę, był tym prowodyrem, chciałem, żeby przyjął moje stanowisko. Hulsz się nie zgodził i reszta osób będących na sali się nie zgodziła. W ogóle nie chciał wejść do komitetu. Byliśmy zaskoczeni, jego zbyt długo nie było. Ukrywa się i pod koniec przyjeżdża. W międzyczasie daje Mariański samochód, samochód jedzie do Prezydium, przywozi maszynę, na tej maszynie piszemy. To był pracowity okres, bardzo dużo się pisało. Żeby Stocznia Marynarki Wojennej nie wychodziła na ulicę, żeby wszyscy w zakładach się trzymali. Przedtem, chyba jeszcze przed przyjazdem Mariańskiego, zwolniłem naszą obstawę, która poszła do domu, nas zostało na górze kilkanaście osób.

Po opracowaniu całego programu bez przerwy czekaliśmy na wiadomość z telewizji, jak została potraktowana nasza odezwa, nasze postulaty. Nic mądrego nie było. Mija godzina pierwsza, druga w nocy. Po zapięciu wszystkiego na ostatni guzik czekaliśmy na samochód, który miał dostarczyć Mariański, żeby umożliwić nam kolportaż ulotek, któreśmy napisali, do innych zakładów. Naraz słyszę jakiś szum. To samochody przyjechały. Wyłamują drzwi, które nie były zamknięte, wpadają. Pamiętam jak dzisiaj, że miałem cały schemat i spis całego zarządu tego komitetu strajkowego, schowałem za pazuchę. Dostałem parę pałek, skuto nas kajdankami, znalazłem się w samochodzie. Była tam między innymi Weronika Szymańska, miała jabłko. Zacząłem jeść ten papier. Gryzę, gryzę - taki duży arkusz, jeszcze chyba na papierze kredowym... Do dzisiaj czuję smak papieru i czcionki

130

drukarskiej. Zagryzłem tym jabłkiem. No i znalazłem się w więzieniu.

Przesłuchanie. Zaskoczony byłem strasznie, bo oni znali cały skład. Nie wiem skąd. Pierwsze pytanie: kto organizował, skąd mieliśmy wzorzec, kto nam dopomógł, kto nami kierował. Nie przypuszczali, żeby robotnicy mogli sami coś takiego wymyślić.

Wypuścili nas przed świętami Bożego Narodzenia, nie pamiętam którego. Po świętach dostaję pismo, że jestem zwolniony z pracy, jakiś paragraf numer dwa, bez podania przyczyny.

Zawiązaliśmy wtedy taką organizację o dwóch nazwach: Ogólnopolski Komitet Strajkowy i Polska Partia Robotnicza.¹ Ludzie z całej Polski przyjeżdżali i dopytywali się nas, bo myśmy wtedy byli tą organizacją konkretną, która miała szkielet, przecież Gdynia dała początek organizacyjnie, była wzorem dla innych miast, no i dlatego została tak srogo ukarana. Przewodniczącym tej tajnej organizacji byłem ja, zastępcą chyba Muskała i Mizerski, Weronika Szymańska była jakby Najwyższą Izbą Kontroli, miała nawet prawo wydawania kary śmierci za zdradę, tak że to było poważne. Oczywiście złożyliśmy przysięgę, tekst przysięgi został spisany i po zaprzysiężeniu od razu spalony. Ten Komitet działał bardzo krótko, dwa czy trzy dni, potem zostaliśmy aresztowani. Były to, pamiętam, imieniny Weroniki, spotkaliśmy się w kawiarni "Panorama" na Kamiennej Górze. Stamtąd nas wzięto. Zawieziono nas do komendy MO na Portową i tam nas wałkowali. Jakiś pułkownik tam siedział, powiedział do mnie: - "Panie Słodkowski, jak

1. Pomyłka. W rzeczywistości nazwa brzmiała: Polska Partia Komunistyczna.

będziecie wicherzycielem, to zamkniemy was tak, że was nawet pod ziemią nie znajdą. Bez nakazu aresztowania, bez sankcji, bez niczego. Jeśli w ciągu pięciu lat zobaczymy was na Wybrzeżu, to koniec z wami". Potem wsadzili mnie do samochodu i odwieźli do rodzinnych Głubczyc. Tam miałem prawo pracować w zakładzie liczącym nie więcej niż trzystu pracowników. SB w Głubczycach przez lata całe wzywało mnie do siebie na rozmowy.

Relacja Tadeusza Jaroszyńskiego,
pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej
w Gdyni

Jestem byłym pracownikiem Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Pracę w Stoczni podjąłem w lutym 1951 roku i pracowałem do roku 1973, w którym to uległem wypadkowi podczas pracy, trzynastcie miesięcy pobytu w szpitalu, renta i obecnie jako inwalida grupy trzeciej pracuję na pół etatu w PGM.

Pragnę przekazać wszystko, czego osobiście doświadczyłem w tamtym tragicznym grudniu 1970 roku.

Jest dzień piętnasty grudnia 1970 roku. Jak zwykle przyszedłem do pracy na wydziale E Stoczni. Po przebraniu się w robocze ubranie poszedłem na warsztat, gdzie zauważyłem dyskutujące grupki pracowników. Dołączyłem do jednej z grup. Ktoś mówił, że w Gdańsku strajk, stoczniowcy i port urządzili manifestację. Inny głos przekonywał, że to gdańscy studenci wyszli na ulicę. Jeden z pracowników wchodząc w drzwi warsztatu niemal krzyczy: "U nas pod bramą Stoczni wiec!". Po chwili już szedłem w kierunku bramy. Pod bramą jest już duża grupa ludzi z różnych wydziałów, optycznie około tysiąca, nadciągają ze wszystkich stron. Tłum w oczach powiększa się. Wszyscy zachowują się głośno, gestykulują, na zaimprovizowanym podwyższeniu ktoś przemawia, a raczej krzyczy: "Nie dopuścić do podwyżki cen! Żądamy podwyżki płac! Precz z Gomułką!". Na podwyższeniu dyrektor Stoczni: - "Zachować spokój, wracajcie do pracy! To nic nie da! To warcholstwo!"- Lecz był to już głos wołającego na puszczy. Z różnych stron

padają okrzyki: "Precz z łobuzem! Dostyc kłamstw! Wont oszucicie!". Dyrektor znika, na podwyższeniu przewodniczący Rady Zakładowej Tadeusz Cupisz podnosi rękę, mówi: - "Kochani! Zostańcie w zakładzie, nie róbcie głupstw!" - Z tłumu okrzyki: - "Dołącz do nas! /A przyznać trzeba, że człowiek ten miał autorytet wśród nas./ Idziemy na miasto! Wszyscy pod komitet!".

I tak w roboczych ubraniach przez bramę Stoczni wychodzimy w kierunku miasta. Koło wiaduktu dołączają do nas portowcy, jest coraz więcej ludzi. Idę gdzieś w końcówce pochodu, mówię do idącego obok mnie: - "Zobacz, przeważnie młodzi robotnicy, mało tych z nadzoru i kierownictwa". - "Co się martwisz - odpowiada - to śmierdziele, zawsze bali się o swoje stołki, zresztą co, źle im?" I tu jakby cień refleksji: są oni - my, brak jedności, zbyt na żywioł to wszystko, brak organizacji. I tak nie zorganizowani, lecz w dużej masie dochodzimy do ul. Starowiejskiej. Ciągłe dołączają ludzie. Z czoła słychać skandowanie: "Suche bułki dla Gomułki". Z chodnika, gdzie stoją ludzie, którzy wyszli ze sklepów, pytania: - "Dokąd idziecie?". Okrzyki - "Gońcie łobuzów! Nie dajcie się!". Jeszcze kilka minut marszu i jesteśmy pod Komitetem PZPR.

Zajmujemy cały plac i przyległą ulicę, tu zaczyna się coś dziać, z tej masy ludzi zaczynają się jakby samorzutnie wyłaniać przywódcy. Jestem tu w grupie kolegów ze Stoczni, widzę znajomych z innych zakładów pracy. Po raz pierwszy wystąpiliśmy przeciwko władzy, która była jakby tabu, czymś ponad nami. Tego nie da się opisać, to trzeba przeżyć. W masie czujemy siłę, lecz mam i uczucie, że w tej olbrzymiej masie jestem sam. Czy inni też to czują?

Któryś z kolegów mówi: - "Tadek, idź pod drzwi, tam są organizatorzy, dołącz do nich". Przedostałem się pod drzwi, na schodach jacyś młodzi ludzie usiłują wprowadzić ład. Jeden z nich - słyszę, jak mówią do niego "Mundek" - mówi: - "Wejdziemy do Komitetu na rozmowę, ubezpieczajcie nas w razie czego". Bliżej stojący aprobują to i tak z biernego uczestnika tej manifestacji wszedłem w grono tych, którzy zaczęli przewodzić. Wchodzimy do Komitetu, napotykam portiera. Jest wystraszony, mówi: - "Panowie, nikogo nie ma, z kim chcecie rozmawiać?". Zostaję w holu, inni z Mundkiem szukają, lecz nie znajdują nikogo z członków Komitetu. Rzeczywiście portier miał rację, Komitet pusty jak dzwon. Pomyślałem: - Widocznie panowie z Komitetu nie mają okólnika na taką okoliczność. Ktoś głośno mówi: - "Kochani reprezentanci klasy robotniczej uciekli". Inny dodaje: - "Zostawili portiera, powinien być sekretarzem". Wychodzimy przed budynek, padają pytania: - "Dlaczego nie chcą z nami rozmawiać? Gdzie oni są? Czego się boją?". Lecz na to nikt nie umie znaleźć odpowiedzi.

Mundek mówi: - "Idziemy pod Prezydium!". Padają okrzyki: - "Pod Prezydium!" - ruszamy, ale pochód jest już bardziej zorganizowany. Pytam idącego obok mnie młodego człowieka w skórzanej kurtce, kto to jest ten Mundek? Odpowiada: - "To Mundek Hulsz z `Dalmoru`". Obok niego idzie stocznowiec, wiem, że jest z E-1, nosi brodę, nazywają go "Brodacz", nikt nie operuje nazwiskami. Idący obok wysoki młodzieniec ma na ramieniu miotłę, pytam go: - "Po jaką cholere to niesiesz?". Odpowiada: - "Nie wiesz, że trzeba robić porządki?".

Wchodzimy w ulicę Świętojańską, idziemy całą

szerokością ulicy. Oglądam się za siebie - pochód jest już olbrzymi! Spiewamy hymn, Rotę, inne pieśni patriotyczne. W domach na całej długości ulicy wszystkie okna są otwarte, w nich wychyleni ludzie wiwatują, klaszczą, stojący na chodnikach, zdejmują nakrycia głowy, śpiewają z nami. Odczuwam przypływ jakiejś niespotykanej energii, czuję więź ze wszystkimi, odpadają wszystkie wątpliwości. Ktoś chwytą mnie za ramię, mówi: - "Jest dobrze, ludność jest z nami". I ta atmosfera wpływa na spokój i porządek, nie ma żadnych ekscesów, a przecież jest to olbrzymia masa ludzi nie ujęta w jakieś ryzy organizacyjne, po prostu spontaniczna manifestacja. Tak dochodzimy do Urzędu Miejskiego przy ulicy Czołgistów.

Ludzi jest coraz więcej - pracownicy zakładów, ci w roboczych ubraniach i kaskach ochronnych. Jest coraz więcej mieszkańców miasta, nigdzie nie widać milicji. Mundek mówi: - "Złożymy petycję prezydentowi miasta, że domagamy się zezwolenia na wiec i manifestację. Na jutro zwołamy ludzi z wszystkich zakładów pracy". Stojący obok Mundka mówi: - "Ogłosimy strajk we wszystkich zakładach pracy". - "Wybrać komitet strajkowy" - dodaje ten w skórzanej marynarce. Tłum skanduje: "Prezydent! Prezydent!". Na balkon wychodzi prezydent miasta, pan Mariański. Padają okrzyki: - "Chcemy rozmawiać!". Ktoś głośno krzyczy: - "Ile zarabiasz?" Prezydent podnosi rękę: - "Zachowajcie spokój!". I wymienia sumę swej pensji. - "Będę rozmawiał - mówi - wybierzcie delegatów. Nic z tego nie wyjdzie, jeśli będziemy się przekrzykiwać".

Na placu uspokaja się. Mundek, Brodacz i jeszcze inni po krótkiej naradzie decydują: - "Idziemy na rozmowę. Ty - mówi do mnie - ubezpiecz drzwi, nikogo więcej nie wpuszczaj". Chodziło o to,

136

że nie wiedzieliśmy, czy w gmachu urzędu nie ma przypadkiem milicji i nie zostaniemy zatrzymani. Sześciu czy siedmiu wchodzi do góry, ja z czterema zostaję w holu i zabezpieczamy drzwi.

Kozmowy trwają około dwudziestu minut. Mówię do jednego, który był z nami przy drzwiach: - "Skocz do góry, zobacz co się tam dzieje". Po chwili wraca: - "Wszystko w porządku, Mundek będzie mówił z balkonu". Zostawiam kolegów i wychodzę na jezdnię. Na balkonie nasza delegacja i prezydent. Mundek ma w ręku tubę i mówi: - "Otrzymaliśmy zezwolenie na wiec i manifestację, jest telefonogram podpisany przez pana Karkoszkę z Warszawy potwierdzony przez prezydenta pana Mariańskiego i przez nas. Jutro nie pracujemy, wszyscy z zakładów przychodzą na wiec, teraz idziemy do `Dalmoru`". Delegaci wracają. Przy drzwiach Mundek pokazuje dokument potwierdzający rozmowę. Mówię do niego: - "Ten dokument trzeba przechować, by nikt go nam nie odebrał, bo mogą się wypierać, że takie coś było". Ktoś proponuje: - "Dać go na statek marynarzom". - "Zobaczymy w `Dalmorze`" - odpowiada Mundek. - "Lepiej idźmy do Stoczni" - proponuję. - "Stoczniovców jest i tak dużo, pociągniemy kemontówkę i cały port rybacki" - odpowiada Mundek.

I tak ruszamy sprzed Urzędu Miejskiego ulicą Świętojańską. I znów oklaski, wiwaty. W pewnej chwili podchodzą do mnie junacy z OHP. Jest ich kilkunastu ze starszego rocznika /w tym czasie szkoliłem z przedmiotu wojskowości junaków, którzy w ramach OHP odbywali służbę wojskową/, pytają: - "Co mamy robić?" - "Idziemy do `Dalmoru`" - odpowiadam - pilnujcie porządku, w `Dalmorze` ustalimy co dalej".

Dochodzimy do Stoczni Remontowej /obecnie "Nauta"/. W bramie Stoczni tłum ludzi. Odgradzają ich przy wyjściu ci z nadzoru, poznać ich po białych kaskach, starają się nie wypuścić ludzi za bramę. Nawołujemy: - "Chodźcie z nami!". W bramie zamieszanie, grupy ludzi przerywają kordon, dołączają do nas, ci z nadzoru nawołują do pozostania, z naszej strony padają okrzyki: - "Czego się boicie? Dostyc wami rządzi! Na wiec!". Padają pod ich adresem i wyzwiska: - "Tchórze! Lizusy! Wazeliniarze!". Część dołącza, zostawiamy wahających się i idziemy dalej. Dołączają do pochodu kobiety z fabryki konserw w białych fartuchach, wnoszą okrzyki: - "Precz z wyzyskiem, żądamy uczciwych zarobków!". I tak olbrzymi ten pochód wchodzi na teren "Dalmoru".

Wypełnia się ludźmi cały plac. Na biegnącą obok budynku rampę wchodzi Mundek Hulsz, przez ręczny okrętowy megafon mówi: - "Teraz odbędzie się wiec, kto chce zabrać głos, niech wchodzi kolejno na rampę". Zabiera głos jakiś młody człowiek, nie widziałem go przedtem, mówi: - "Jestem studentem z Gdańska, my studenci jesteśmy z wami, możecie na nas liczyć, zawsze będziemy z robotnikami walczyć o sprawiedliwe prawo i zarobki dla wszystkich". Oklaski, okrzyki: "Niech żyją studenci!". Przemawiają inni, mówią o niskich zarobkach, o niesprawiedliwości społecznej, że w kraju rozpanoszyła się czerwona burżuazja, że ludzi dzieli się na lepszych i gorszych. Mówią, żeby ogłosić strajk, o niesprawiedliwości eadów, rozgrabianiu mienia społecznego przez ludzi, którzy są przy władzy, padają i takie okrzyki: - "Niech żyje Gomułka, ale za naszą pensję". Przemawia Mundek Hulsz: - "Organizujemy komitet strajkowy, który

będzie w Zakładowym Domu Kultury przy ulicy Polskiej. Wybierzecie delegatów, którzy wejdą w skład komitetu, komitet w czasie obrad podejmie decyzje o dalszym działaniu".

W pewnym momencie ludzie stojący przy wejściu zaczęli krzyczeć: - "Wojsko!". I z rampy widzimy, jak szpaler marynarzy z Marynarki Wojennej odgradza ulicę biegnącą do "Dalmoru". Wśród nas konsternacja. "Brodacz" ze Stoczni mówi: - "Zachowajcie spokój". Ktoś inny woła: - "Wojsko z nami!". Ale widać, że obecność wojska wprowadza zdenerwowanie. My, stoczniowcy idziemy do Komuny. Idę w czołówce tej dużej grupy, obok mnie kolega z wydziału M.Biernacki mówi: - "Tadek, czy oni nas przepuszczą?" - "Strzelać nie będą, a zresztą zobacz, ilu ich jest" - odpowiadam. Gdy byliśmy w odległości około pięćdziesięciu metrów od żołnierzy słyszymy komendy oficerów i żołnierze odchodzą, ustawiają się w szpaler pod Marynarką Wojenną.

Przechodzimy ulicą Portową obok gmachu MO. Po drodze spokojnie naradzamy się, jak dalej działać, wszystko to jest improwizowane w marszu. Umawiamy się ze starszymi junakami na spotkanie w ZDK. Przez port dochodzimy do Stoczni, za bramą rozchodzimy się do swoich wydziałów. Na wydziale koledzy, którzy nie wyszli ze Stoczni pytają, co robimy dalej, jak wyglądają sprawy. Mówię: - "Jutro nie pracujemy, jest strajk, dzisiaj w ZDK będzie obradował komitet, który ustali dalsze działanie, wybierzemy delegatów do komitetu". Na to sekretarz POP: - "Strajk jest nielegalny, władze nie pozwolą". Odpowiadam mu krótko: - "Tacy jak ty, nie mają tu nic do powiedzenia i tak za dużo otwierałeś swój dziób". Janek Gra-

bowski, Gosiewski i ja idziemy do ZDK.

W ZDK jest już dużo ludzi. Rozglądam się po sali widowiskowej, na której się znajdujemy - jest "Brodacz" z K-1, są grupki z niemal wszystkich wydziałów Stoczni, są pracownicy portu i innych zakładów pracy, około pięćset osób, przeważa młodzież, są i junacy z OHP. Zbieramy się w rogu sali i wiszemy postulaty. Są to żądania socjalne, dotyczące wszystkich spraw związanych z zakładem pracy i postulaty ogólne. Wszyscy na sali robią to samo. Na salę wchodzi Mundek Hulsz: - "Kto ma napisane postulaty, niech da swoim delegatom i chodźcie na górę, wybierzemy komitet". Krótko się naradzamy. Grabowski zwraca się do mnie: - "Tadek, będziesz naszym delegatem". Inni to aprobują, ja też zgadzam się. Biorę kartki z naszymi postulatami i idę na górę. Po niedługim czasie kawiarnia na górze wypełnia się ludźmi. Ktoś głośno mówi: - "Podajcie z jakich zakładów jesteście". Padają nazwy: Komuna, "Dalmor", Zarząd Portu Gdynia, Mors, Remontówka, Malmor i inne. Z Komuny w skład komitetu wchodził "Brodacz" /Słodkowski/ z K-1, jeszcze czterech /młodzi, nie znam ich nazwisk/ i z mojego wydziału ja. Mówię do niego: - "Ja zajmę się zorganizowaniem służby porządkowej". - "Dobra myśl" - mówi "Brodacz". Schodzę szybko na dół, na sali widowiskowej krótka rozmowa z junakami. "Mam dla was zadanie: - Przyjdźcie wszyscy ze starszego rocznika w mundurach, jest was ponad dwustu ludzi, zapewnicie porządek, nie dopuścimy do żadnych zamieszek, ja będę tym kierował". - "Zrobi się" - odpowiadają. Z junakim Taborem opracowujemy plan działania: rano przychodzimy do Stoczni, z pomocą junaków zajmujemy radiowęzeł zakładowy, komitet ogłosi

strajk i poinformuje załogę Stoczni o dalszym działaniu. Przedstawiam mój plan Mundkowi - aprobeuje go.

W tym czasie z radia, które było na sali, spiker ogłasza komunikat specjalny o wprowadzeniu godziny milicyjnej, wobec tego faktu postanowiono: komitet będzie pracował w sali ZDK, przeanalizuje postulaty i opracuje plan działania, a ci, co mają wyznaczone zadania na jutro, idą do domu. Oddaję kartki z naszymi postulatami "Brodaczowi". Wychodzę z Tabor, mówię do niego: - "Jurek, przyjdź rano do mego mieszkania, razem pojedziemy do Stoczni". - "Dobra" - odpowiada i rozchodzimy się. Nie myśleliśmy o tym, że wszystko potoczy się według planu, ale ułożonego przez kogoś innego.

W domu opowiadam żonie, która też pracuje w Stoczni na wydziale HM, o wszystkich wydarzeniach dnia. Oglądamy telewizję, w której przedstawiono komentarz z gdańskich zajęć, nazywając je wystąpieniem chuligańskich elementów, mówiono o podpaleniu budynku Komitetu Wojewódzkiego, o wprowadzeniu godziny milicyjnej. Cholernie zmęczony tym dniem około godziny dwudziestej drugiej poszedłem spać.

- "Tadeusz, Tadek obudź się, ktoś puka!" - mówi żona. - "To Tabor". Wskakuję w spodnie i otwieram drzwi - i jest już za późno. Do mieszkania wchodzi milicja. Jest ich dwóch w przedpokoju, trzech żołnierzy Marynarki Wojennej na korytarzu. Jeden z milicjantów czyta moje nazwisko z kartki - niestety wszystko się zgadza. - "Ubierać się, aresztujemy pana". - "Za co" - pytam. - "To nasza sprawa". - "Dowiecie się" - dodaje drugi. Co można zrobić? Spojrzałem na zegar - dochodzi trzecia. Ubieram się zły na siebie, że sam otworzyłem drzwi. Przed domem stał samochód

wojskowy. Wsiadamy i odjazd. Zatrzymujemy się przy gmachu komendy MO na ulicy Portowej. Jeden z milicjantów wysiada. Czekamy około dziesięciu minut, potem jedziemy dalej, na ulicę Starowiejską do aresztu miejskiego. W pomieszczeniu, do którego mnie wprowadzono jest około dziesięciu ludzi, co jakiś czas wprowadzają nowych. Nie znam nikogo, zaczynamy rozmowę. Pytam - "Skąd jesteście?". Takie pytania zadają wszyscy. Historia u wszystkich podobna: zostali wzięci z domu, tylko nikt z nich nie był w ZDK. Przedstawiamy się, kilku jest z Morsu /obecnie Radmor/: Swist, Wański, Płaczek.

Po godzinie wyprowadzają nas milicjanci. Ładujemy się na duży samochód typu star z plandeką. Jest ciemno. Wsiadają konwojenci w mundurach i w cywilu, trudno rozemnić ilu ich jest, są uzbrojeni, jeden z nich mówi: "Nie palić, nie rozmawiać". Ktoś pyta, gdzie jedziemy - "Nie gadać! Cisza!". Jedziemy około dwóch godzin, samochód zatrzymuje się, jakieś rozmowy tych z konwoju, zgrzyt otwieranej bramy, jeszcze manewr samochodu - krzyki: "Wysiądać!". Po przejściu w szpalerze milicji w drzwi jakiegoś budynku wprowadzają nas grupami po kilku do pomieszczeń, skąd po jakimś czasie wyczytują nazwiska. Kolejno wchodzimy. Idę korytarzem, cywil prowadzi. Staję przed okienkiem, gdzie każe mi zdać pasek, sznurowadła i drobne przedmioty, papierosy zostawia, schodzimy po schodach do pomieszczeń leżących poniżej parteru. Przy jednych z licznych drzwi stoi strażnik, otwiera je i wchodzę do celi. Jest tam już cztery osoby, znajomi z gdyńskiego aresztu: Wiśniewski, Płaczek, Wański, Swist. - "Gdzie my do cholery jesteśmy?" - "Strażnik mówił, że w wejherowskim więzieniu" - odpowiada któryś. Po jakimś czasie przychodzą

strażnicy, wychodzimy na korytarz, tu nas rewidują. Jeden z nich szeptem pyta: - "Panowie, co się dzieje? Wszystkie pomieszczenia w suterenach zajęte, całą noc zwożą ludzi". Opowiadam mu krótko o sytuacji. Mówi, że od wczoraj nie puszczają ich do domów. Po rewizji idziemy jakby do kancelarii, gdzie spisano nasze personalia i kolejno korytarzem odprowadzają nas do celi o wymiarach dwa na cztery metry. W celi znajduje się już pięć osób, teraz w dziesiątkę jest trochę ciasno, jest sześć prycz, siadamy na pryczach, zaczynamy rozmawiać.

Ci, którzy byli przed nami w celi są z Gdańska, dwu z nich jest pobitych, siedzą już od wieczora dnia poprzedniego, jest i młody szesnastoletni chłopczyk. Z ich relacji wynika, że zostali zatrzymani w różnych okolicznościach w czasie rozruchów. Mówią ci dwaj pobici: - "Jesteśmy z jednego zakładu pracy, idziemy ulicą. Koło kina "Drukarz" zatrzymuje się obok nas samochód MO, jeden z siedzących w nim cywil otwiera drzwi i krzyczy: - "To oni! poznaję ich! rozbijali okna wystawowe". Wyskakują milicjanci, biją ich pałkami i wciągają do samochodu, wiozą do komisariatu MO. Nie pomagają tłumaczenia, że w czasie rozruchów byli w pracy. Ostrzyżono im włosy /są ostrzyżeni tak połowicznie/. W komisariacie są schody, na których ustawił się szpaler milicjantów, gdy ich prowadzili milicjanci /i cywile też tam byli/ krzyčili: "Podpalacze! Bandyci! Chuligani!" oczywiście w takt bijąc pałkami. Po jakimś czasie wyprowadzili ich z powrotem na podwórko, załadowali na samochody i zawieźli do więzienia w Wejherowie. Przed nimi dojechał samochód też załadowany ludźmi, słyszeli, jak oficer MO mówił do kierowcy: - "Jedźcie do

Kartuz". Widocznie i tam wywieziono niektórych ludzi.

Ten młody szesnastolatek mówi: - "Wysiadam z kolejki we Wrzeszczu, na peronie milicja i cywile, jeden z milicjantów mówi: - "Gdzie idziesz?" - odpowiadam, że do domu. Dostaję pałką i zabierają mnie do samochodu - komisariat i Wejherowo". /Tego chłopca nazywaliśmy Niuniek, miał na imię Norbert./

Jest z nami i pechowiec, gość ze Śląska, który w Goleniowie odsiadywał pięcioletni wyrok za włamania. Czternastego grudnia zwolniono go z więzienia, ma list kolegi z więzienia, który dostarczyć miał jego rodzinie mieszkającej w Oksywiu. Piętnastego na dworcu w Gdyni zatrzymano go i odwieziono do Wejherowa.

Wiśniewski, Wański i Świst mówią, że zabrano ich z domów. Na pochodzie nie byli. Płaczek jest z "Dalmoru", był na wiecu w "Dalmorze", nie zabierał głosu, wzięli go z domu. Podałem wersję podobną do ich relacji, w celi na wszelki wypadek nikomu nie zwierzam się.

Następny dzień nie przynosi zmian. W trzecim dniu, gdy rano wyprowadzono nas do ubikacji mijamy na korytarzu grupkę ludzi, widzę wśród nich znajomego, który był w komitecie. Podbiega do mnie, mówi: - "Zabrali nas wszystkich z ZDK, cały komitet z Mundkiem i "Brodaczem", wymieniali twoje nazwisko, trzymaj się". Był to Bogdan Palicki, pracował w warsztatach "Dalmoru", a mieszkał w jednym domu ze mną na ulicy Świętojańskiej.

W ciągu dnia postanawiamy zawołać kogoś z władz więzienia, walimy w drzwi, strażnikowi mówimy, by zawołał naczelnika, bo rozwalimy wszystko, co jest w celi. Po piętnastu minutach przychodzi

oficer w stopniu kapitana i dwu innych, kapitan mówi: - "Jestem naczelnikiem, o co chodzi?". Mówię do niego: - "Nie mamy papierosów, na jakiej podstawie nas przetrzymują, o co jesteśmy oskarżeni?" /pouczył nas ten, który odsiadywał wyrok w Goleniowie, że każdy, kto przebywa w więzieniu, musi mieć wyrok./ Kapitan mówi: - "Panowie nie jesteście więźniami, jesteście w rejestrze zakładu, ja jako naczelnik mam tylko dać wam jedzenie i pomieszczenie, we wszystkich celach jest ciasno. Jest stan wyjątkowy, od trzech dni nie wychodzimy do domów. Nie wiem, dlaczego znaleźliście się w więzieniu. Jesteście do dyspozycji SB - tyle wam mogę powiedzieć". Dalej prosi byśmy nie robili awantur. Papierosy nam kupi za swoje pieniądze, załatwi nam kąpiel. Zrobił to. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że w czasie naszego pobytu w więzieniu personel zachowywał się w stosunku do nas dobrze.

Wieczorem wyprowadzają nas na korytarz, każdy otrzymał tabliczkę z numerem i robią nam zdjęcia en face i z profilu. Na drugi dzień strażnik informuje nas, że przyjechała jakaś większa ekipa cywili, chyba chcą nas przesłuchać i prowadzi nas schodami na pierwsze piętro. Jest tam duży korytarz i wiele takich dwójek jak nasza w asyście strażnika. Poznaje niektórych, m.in. widzę "Brodacza" i jednego, który był u prezydenta. Kiwamy do siebie. Wchodzimy do pomieszczenia, w którym stoją dwa biurka, a przy każdym z nich cywil.

Cywil wstaje z miejsca i gestem wskazuje mi drugie krzesło przy biurku. Podchodzę, siadam, tak samo Niuniek przy drugim. Cywil ma około trzydziestu lat. Chwilę patrzy na mnie, podsuwa paczkę papierosów. Zapalam - on podaje ogień. Dalej nic nie mówi, przegląda kartki zapisanego

papieru. Po chwili mówi: - "Złoży pan zeznanie, gdzie pan był w dniu 15-go grudnia i co robił. Chodzi o to, by pan napisał, dlaczego wystąpiliście przeciwko władzy, co było tego powodem, co według pana spowodowało to wystąpienie, co chcieliście osiągnąć". Odpowiadam: - "W naszych postulatach jest wszystko". - "Zgadza się - on mówi. - Lecz nam chodzi o to, by każdy z was napisał, jak do tego doszło".

Wziąłem od niego papier i długopis, na szczycie arkusza napisałem swoje nazwisko i datę. Napisałem wszystko to, co według mnie jest nieprawidłowe w naszym życiu społecznym, to co zapamiętałem z naszych postulatów. Głównie pisałem o niesprawiedliwości, o tym, że ludzie dzieli się na lepszych i gorszych, o protekcjach, o braku szacunku do pracy, że jednostki bogacą się kosztem społeczeństwa. Dawałem przykłady, które znałem. Pisałem o tym, że socjalizm u nas to tylko puste słowa na użytek władzy, że panuje ogólnopaństwowe zakłamanie, że są dwie prawdy. Pisałem o tym, że ośmiogodzinny dzień jest fikcją, bo aby zarobić, trzeba pracować w nadgodzinach. Pisałem około półtorej godziny i jeszcze przez dwa dni po godzinie, tak że opisałem dokładnie warunki w Stoczni, sprawy związku zawodowego, który określiłem jako pomocnika administracji w poganianiu do pracy. Ostatni raz, jak byłem u tego cywila, powiedział: - "Wie pan, w rządzie są zmiany, nie wiemy jak się z wami ułoży, ale chyba będzie dobrze".

Siedzimy jeszcze dwa dni w niepewności. Postanawiamy z Płaczkim i inż. Wątrobą, że robimy głodówkę. Pytamy "Pechowca" jak to urządzić. On mówi: - "Trzeba przez okno wyrzucić miski, to będzie znak dla innych by przyłączyli się do nas". Lecz

do głodówki nie dochodzi. Przed kolacją - a jest 22 dzień grudnia, siódmy dzień naszego pobytu w więzieniu - strażnik oznajmia: - "Panowie, opuszczacie więzienie".

Po zdaniu rzeczy wprowadzają nas pojedynczo do pomieszczenia, w którym - jakby za stołem przydzielonym - siedzi kilka osób w mundurach i w cywilu. Jeden z nich mówi: - "Idźcie do domu, widzicie do czego prowadzi takie wystąpienie". Pytam, czy dostanę zaświadczenie, że tu byłem, odpowiada, że w zakładzie pracy wiedzą, gdzie byłem, zaświadczenie nie będzie potrzebne, teraz odwiozą nas do domów.

Wypuścili nas kilku, przed drzwiami stała nysa, zauważyłem, że numery rejestracyjne zaklejono szarym papierem, na którym napisano znaki "XX". Kierowca pyta o adresy - okazuje się, że wszyscy jesteśmy z Gdyni. Kierowca informuje, że będzie nas kolejno odwoził do domów, takie ma polecenie. Został jakoby zmobilizowany razem z wozem, jest budylerem z Wejherowa.

Gdy opuszczałem więzienie, powiedziano wyraźnie: "Idźcie do pracy". Ale zapomnieli widocznie dodać, że pracy nie dostanę. Miesiąc czekałem cierpliwie, pieniądze terminowo przysyłali, ale dręczyła mnie myśl, że nie pracuję. Poszedłem do kadr w Stoczni z pytaniem, dlaczego nie chcą mnie przyjąć do pracy. Kierownik kadr, pan Zawiaślak odpowiada, że nie wie, jest jakaś komisja, która ustala kogo przyjąć. Pytam, czy komisja mnie wezwie, odpowiada, że nie wie, otrzymuje wyniki wniosków komisji i przyjmuje lub nie, zależnie od zalecenia, osobiście o niczym nie decyduje.

Z kolegami znajdującymi się w takiej samej sytuacji jak ja, z Taborem, Grabowskim, Jerzykiem

idziemy do Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych, zgłaszamy się do inspektora naszego resortu, pana Kapki, przedstawiamy sprawę. Pan inspektor mówi: - "Nic o tym nie wiem, aby kogokolwiek nie przyjęto do pracy. Jestem zdziwiony. Przedzwoń, gdzie trzeba i wszystko się wyjaśni". Rozmawiał około dwudziestu minut, odkłada słuchawkę i mówi: - "Nic z tego nie rozumiem, musicie cierpliwie czekać". I to było wszystko, co załatwił związek w naszej sprawie.

Co robić? Tabor mówi: - "Idziemy do partii". Komitet Wojewódzki był w innym budynku, stary spalony, wchodzimy. Dyżurny milicjant pyta: - "Do kogo?" - "Do sekretarza". Dzwoni, mówi, że sekretarza nie ma, kieruje nas do jednego z zastępców. Przedstawiamy sprawę - znów to samo: telefoniczna rozmowa i wynik taki sam jak w WRZZ. Z tą różnicą, że Taborowi kazał zostać i powiedział mu, że przeciwko nam są zarzuty, których bliżej nie sprecyzował, i że dziwi się, że on, członek partii, tak postępuje.

Mija siedem tygodni - ja nie pracuję. Nie wiem dlaczego nie zwolniono mnie z obowiązku szkolenia junaków OHP, w każdą sobotę i niedzielę chodzę na zajęcia. Po kilku dniach przychodzi Tabor i mówi, że został przyjęty do pracy, zostajemy z Grabowskim, ale i on po kilku dniach załatwia sobie pracę w innym przedsiębiorstwie. Zostałem sam. Idę do Stoczni. Na punkcie informacji spotkałem "Brodacza" z K-1, rozmawiamy - nie został przyjęty do pracy, ma zamiar wyjechać w swoje strony gdzieś w kieleckie. Urząd Miejski nie chce mu przedłużyć meldunku, w Stoczni nie chcą go przyjąć, jako że nie zameldowany. Błędne koło, a wiadomo, że wszystko z góry ukartowane, perfidia. W dziale

148

kadr pan Zawiślak nie może mi nic wytłumaczyć, mówi: - "Jest postanowienie /tylko nie wiadomo czyje/, że ludzie, którzy uczestniczyli w rozruchach, nie mogą pracować w pryncypialnych zakładach Wybrzeża. Mogą podjąć pracę w gospodarce komunalnej, mam zalecenia znalezienia pracy dla tych ludzi i dla pana coś znajdę".

Gdzieś w końcu lutego, na początku marca przyszedł do mego mieszkania referent działu kadr, ob. Walder /znałem go, uczciwy i rzeczowy człowiek/ z propozycją przeniesienia z zachowaniem ciągłości pracy do innego zakładu. Propozycji nie przyjąłem.

Napisałem list do Rady Państwa, przedstawiłem sprawę. Otrzymałem odpowiedź z podpisem sekretarza kancelarii, że sprawę powinna rozpatrzeć kompetentna instytucja w Gdyni. Ale kto był kompetentny nie napisano. Pod koniec marca nie otrzymałem poborów. Poszedłem do prokuratury, przyjął mnie prokurator Kalinowski, przedstawiam sprawę. Wysłuchał i mówi: - "Pojedzie z panem zastępca prokuratora i na miejscu zbada sprawę". Jedziemy. W dziale kadr zażądał moich akt osobowych - nie było ich w kadrach, telefony i po jakimś czasie strażnik przynosi moją teczkę osobową. Prokurator prosi, bym zaczekał w korytarzu. Po godzinie siada obok mnie i mówi: - "Sprawdziłem i sam nie wiem o co chodzi. Są jakieś zarzuty, np. że w dniu piętnastego grudnia był pan na urlopie" /dyrektor Stoczni wydał zarządzenie, by wszyscy pracownicy wykorzystali urlopy w tym roku kalendarzowym, wypisano mi wnioski od dnia 14-go grudnia, a w uzgodnieniu z kierownikiem działu E faktycznie na urlop miałem iść w styczniu, co odnotowała kadrowa w swoim zeszycie i potwierdziła prokuratorowi/. Posłużyło to jako zarzut, że przyszedłem

specjalnie w dniu 15 do pracy celem wywołania zamieszek, co w świetle akt było oczywistą bzdurą, jak określili to sam prokurator. "Pieniądze panu załatwiłem - mówi dalej prokurator. - Jak mi oświadczone, nie otrzymał ich pan tylko przez czyjeś niedbalstwo. Zmieniają się warunki, jest inny rząd i będzie pan przyjęty, trzeba tylko jeszcze trochę poczekać".

Pod koniec kwietnia przyjęto mnie do pracy, załatwił tę sprawę prokurator i pan Cupisz. Oświadczone mi, że będę pracował na wydziale K-1, tam teraz potrzeba spawaczy, kadrowiec mówił jeszcze o tym, by z mojej strony nie było jakichś wystąpień, ale na wydziale atmosfera była dobra, nikt mi nie robił żadnych wstrętów.

Gdzieś w połowie maja złożył mi wizytę w domu jakiś cywil starszy wiekiem, przedstawił się: - "Jestem z Komendy MO w Gdyni, mam do pana kilka pytań". Pokazał legitymację - "Czy pan pracuje?" - pyta. - "Dlaczego pan pyta o pracę, czy milicja przejęła pośrednictwo pracy?" - "Nie - mówi - ale mam polecenie sprawdzić, co pan robi". Zdenarwowało mnie to, w ogóle miałem od grudnia do milicji uprzedzenie, więc mówię do niego: - "Jeśli macie do mnie jakąś sprawę, to proszę o wezwanie urzędowe". Zostawił takie wezwanie i poszedł. Na drugi dzień zaniósłem to wezwanie do kadrowca na wydziale, wziąłem przepustkę i poszedłem do komendy MO w Gdyni. W pokoju, którego numer był na wezwaniu, czekał ten sam cywil, który był u mnie w domu. - "Niech pan siada, porozmawiamy" - mówi. "Panie, o czym mamy rozmawiać? Jak byłem bez pracy, to nikt nie chciał ze mną rozmawiać, teraz pracuję, a co miałem do powiedzenia, to powiedziałem w czasie pobytu w Wejherowie." - "Niech się pan nie denerwuje, chodzi tylko o kilka pytań. Co

150

mówił prezydent miasta, jak byliście w Prezydium?"-
"Nic prostszego - mówię - niech go pan sam zapyta,
jest przecież na miejscu". Zmienia temat, pyta
o pracę, co mówią koledzy z pracy. - "W Stoczni
płacą mi za pracę, a co robią inni nie interesuje
mnie" - odpowiadam. On robi jakieś notatki, podpisuje
moją przepustkę i wychodzę. Od tego czasu
nie byłem więcej wzywany, chociaż na odchodnym
powiedział mi, że może mnie jeszcze wezwą.

Pracując na wydziale K-1 rozmawiałem z kolegami
o zajęciach grudniowych. Pokazywano mi "Głos
Wybrzeża", gdzie był fotomontaż pokazujący stoczniowców,
jak podpalają halę produkcyjną. "Głos
Stoczniowca" napisał sprostowanie, gdzie autor
artykułu z oburzeniem pisze o kłamstwie redaktorów
"Głosu Wybrzeża". Był to okres, gdy do Stoczni
przychodzili różni dygnitarze. Początkowo to
i rozmawiali nawet z robotnikami, temu lub innemu
uścisnęli rękę, z czasem - a wizytę dało się
zauważyć, bo zawsze na taki przyjazd glansowano
Stocznię - dygnitarzy zaczęli otaczać wyznaczeni
do tego ludzie, jak szli przez zakład, to zawsze
w jakiejś otoczce. Śmieliśmy się z tego, koledzy
mówili: - "Zobacz, grzechotnicy już na pozycji".

Początkowo myśleliśmy, że nastąpią zmiany
personalne. Tyle było gadaniny o błędach i wypaczeniach,
tylko nigdy nie wiadomo, kto jest temu
winien. Ta wielka anonimowość doprowadziła do
tego, że ci, którzy mieli udział w tych wypaczeniach
zaczęli szukać winnych i coraz śmielej głosić
aktualne hasła. Nie wiem, czy uważali nas, robotników
za ludzi nie myślących? My wiedzieliśmy,
że nie jest tak, jak usiłują nam wmówić. Pamiętam,
jak kowal pracujący z nami mówił: - "Są ludzie,
którzy zawsze jak śmietanka płyną na wierzchu.

bez względu na sytuację. O ludzi tego pokroju oparła się Targowica. Dla nich jest koryto, a dla nas dobro kraju i współobywateli". Może miał rację stary kowal tak mówiąc, ale na pewno się mylił co do pływającej śmietany, bo ponad wszelką wątpliwość wiadomo, że gówno też pływa po wierzchu.

Relacja Ryszarda Śwista,
pracownika zakładów "Unimor"
/obecnie "Radmor"/

W sobotę dowiedzieliśmy się w zakładzie /pracowaliśmy na pierwszej zmianie/, że coś się w Gdańsku dzieje, ale ponieważ ani prasa, ani telewizja nie donosiła, sądziliśmy, że to jest plotka, nie wiedzieliśmy, o co chodziło. Minęła niedziela, w poniedziałek poszliśmy do pracy i koledzy, którzy dojeżdżają z Gdańska, Wrzeszcza, Oliwy mówili, że stoczniowcy protestują w Gdańsku i że wyszli pod Komitet. Myśmy dalej pracowali, ale było więcej dyskusji niż pracy.

We wtorek rano przyszedliśmy do pracy na pierwszą zmianę. Nasi koledzy mówili: - "Jak to? Gdańsk i Komuna stoi, nasi koledzy strajkują, domagają się swojego, a my będziemy pracować?". Zażądaliśmy więc rozmowy z dyrekcją, aby nam wyjaśnili, o co się rozchodzi i w ogóle. Zebraliśmy się na wydziale mechanicznym, przybył do nas kierownik Młynczak, zażądaliśmy aby nam wyjaśnił sytuację i oświadczyliśmy, że przyłączamy się do strajkujących naszych kolegów w Gdańsku i Gdyni. Wówczas też dowiedzieliśmy się, że Stocznia Komuny Paryskiej wyszła na miasto, że poszli protestować, więc jeżeli Stocznia wyszła, to my jako zakład też popieramy stoczniowców i wyjdziemy do miasta.

Ustawiliśmy się w szyku i wyszliśmy na miasto. Szliśmy ulicą Czerwonych Kosynierów pod Komitet Miejski PZPR na Władysława IV. Był dzień pochmurny, mżawka, godzina przypuszczalnie 9.30. Cdy wchodziliśmy na wiadukt, obejrzałem się - koniec pochodu nie doszedł jeszcze do zakrętu. Było z półtora do dwóch tysięcy ludzi. Wszyscy szli, w zakładzie mało kto pozostał. Zdziwiłem się, kiedy pod Prezydium spotkałem pracującego u nas takiego spokojnego,

fajnego faceta, który pierwszy każdemu mówił "dzień dobry". Teraz go nie poznawałem. On pisał - ~~o tym~~ tego, żądamy tamtego. W życiu bym nie pomyślał, że ten człowiek potrafi być taki energiczny.

Gdy przybyliśmy pod Komitet Miejski PZPR, był tam już tłum stoczniovców ubranych po robocze-
mu - niektórzy ze szlifierkami, węzami, kluczami - którzy protestowali. Widziałem tam młodego człowieka, około 30 lat, który przemawiał do robotników. Myśleliśmy, że może spotkamy się z kimś z Komitetu Miejskiego, ale nikt do nas nie wyszedł. Drzwi były zamknięte na głucho i wówczas padło hasło, że idziemy pod Prezydium do naszego przewodniczącego, pana Mariańskiego. No i udaliśmy się tam, stoczniovcy i nasz zakład, który jest jednym z większych w Gdyni i tam wybrano delegację na pertraktacje z panem Mariańskim.

Nazwisk nie pamiętam, ale wiem, że z balkonu przemawiali pan Mariański i taki kędzierzawy pan, krępy, nieduży, z brodą, na dole ludzie pisali na kartkach - bo to głównie chodziło o podwyżki, bo przecież sytuacja w kraju była nie do zniesienia. Próbowali wprowadzić bodzce ekonomiczne, no i wykończyliby nas dosłownie.

Pan Mariański mówił: - "Ludzie, spokojnie, rozejść się, idźcie do pracy, ja to wszystko przekażę itd.". Potem przyszedł chyba Zarząd Portu. Przyszli szóstkami czy czwórkami, taki klin zrobili, to nas prawie wszystkich zepchnęli na boki, oni chyba chcieli wejść siłą do Prezydium. Ale robotnicy, którzy tam stali, mówili, że absolutnie nie ma nikt wchodzić do Prezydium, bo tam może być milicja, może dojść do krwawych starć. W końcu wybrano tę delegację, która poszła tam

na pertraktacje z Mariańskim. Dosyć długo nie wychodzili. Potem przyszli i powiedzieli, że wszystko będzie ustalone, wszystko przekażą. mamy iść do zakładów.

Stamtąd udaliśmy się na dół ulicą Świętojańską do "Dalmoru". Szliśmy całą ulicą, wielki tłum ludzi, w oknach też pełno ludzi, krzyczeli, brawo bili. Widać było, że się wszyscy cieszyli. Spiewaliśmy "Jeszcze Polska nie zginęła", "Boże coś Polskę", no i doszliśmy do "Dalmoru", tam była krótka masówka - wiec i wróciliśmy ulicą Marchlewskiego do zakładu.

Nie wspomniałem, że pod Prezydium ustalono, że mieliśmy jeszcze wybrać delegatów do Zakładowego Domu Kultury, tak, aby stworzyć taki komitet strajkowy. Przyszliśmy do zakładu, wybraliśmy delegatów, między innymi moje nazwisko padło /byłem w tym czasie mężem zaufania/ i wybrano mnie delegatem. O godzinie 16.30 byliśmy w zakładzie, wybór delegatów, w Zakładowym Domu Kultury mogłem być około godziny 18.00. Poszedłem tam z innymi delegatami z mojego zakładu, był taki kolega Sylwek /nazwiska nie pamiętam/, potem taki Jasiu świętej pamięci, w zakładzie z widzenia znaliśmy się, ale nazwisk człowiek nie pamięta.

Gdy przyszedliśmy do ZDK to była tam już spora grupa ludzi i byli już jacyś organizatorzy, wydawali już jakieś dyspozycje, rozmawiali z dyrektorem. Wydaje mi się, że to ten człowiek z brodą, taki kędzierzawy, nie wiem, czy to nie był Gwiazda, ale mówią, że nie - i on właśnie prowadził rozmowę z Mariańskim i przekazywał jej treść na dół z balkonu. I chyba już się zawiązywał komitet strajkowy. Nic z tego nie wyszło, bo wszystkich w nocy aresztowali. Tam, w ZDK, była, pamiętam,

jedna młoda pani, która mówiła, że młodzież z Prezydium MRN popiera protest. Miała maszynę do pisania. Był jeszcze dyrektor Zarządu Portu, który prosił, aby zagraniczne statki były załadowane i rozładowane, ale zdecydowano, że żadne statki nie będą obsługiwane, mamy ważniejsze sprawy.

Z naszego zakładu było sześciu delegatów, postanowiliśmy więc, że zostawimy w ZDK jednego czy dwóch na noc, a reszta, w tym ja, pójdziemy do domu. Rano miałem udać się do ZDK i wszystko przekazać załodze.

Ale to wszystko nam się nie powiodło, bo w nocy z wtorku na środę, była mniej więcej 4.30, ktoś puka do drzwi. Myślałem, że nie wystawiliśmy butelki do mleka, żona otwiera - ktoś nogę w drzwi włożył, przyszła milicja. Nastąpiło aresztowanie, nie było żadnego nakazu. Jeden milicjant i chyba dwóch żołnierzy w bosmankach, z bronią, mówili, że to tylko na chwileczkę, na rozmowę naprzeciw, do posterunku w Chylonii. Zacząłem się ubierać, wszedłem do łazienki - wszedł za mną, myślał pewnie, że tam jest okno, że mogę uciec, gdy zobaczył, że ciemna łazienka - wyszedł. Schodziliśmy po schodach - na dole stał jeszcze czwarty człowiek, a w samochodzie był piąty. Myśle: pięciu ludzi przyjechało po jednego! Gdy mijaliśmy III Komisariat w Chylonii, kierowca pyta: - "Zatrzymać?" - "Nie, jedziemy do Gdyni".

Zajechaliśmy na Portową. Tam praca wrzała, kraty wzmacniali, coś tam kuli. Spytali, co ze mną zrobić i zawieźli mnie do aresztu na Starowiejską. Było już tam może z dziesięciu ludzi. Po kolei nas wzywano, każdy się musiał rozebrać, przetrząsnęli wszystko. Na Starowiejskiej byliśmy krótko. Rano skuli nas parami w kajdanki, wsadzili

na samochód, chyba po ośmiu. Milicja siedziała na ławkach, a my na burtach, tak jeden drugiemu usiadł w kroku i jedziemy, nie wiemy dokąd. Zasłoni-li plandekę, ale jeśli człowiek w Gdyni się urodził, to zna okolicę, patrzymy - w kierunku Wejherowa, do więzienia. Rozmawialiśmy trochę ze sobą, dokąd jedziemy. Wówczas odezwał się taki młody milicjant: - "Siedzicie cicho, bo jak wam mordy skuję...". Widzimy, że to nie przelewki, ich było ośmiu w samochodzie, z przodu jeszcze dwóch, my skuci - przestaliśmy więc rozmawiać.

W Wejherowie wprowadzili nas do celi może metr szerokiej a cztery długiej. Była też ubikacja. Pierwszy raz się z czymś takim zetknąłem, byłem przerażony. Co tu się dzieje? Ciemno, papierosów nie ma, palić się chce. Przynieśli obiad, jeść nie mogłem, z ubikacji smród, nie szło nic jeść. Potem nas przydzielili do cel. Spaliśmy chyba po dwóch na łóżkach. Było paru młodych, przywiezionych ze Swierczewskiego, byli strasznie pobici. Na plecach leżeć nie mogli tylko na brzuchu. W Gdyni nas nie bili.

W Wejherowie, jak nas przydzielono do cel, to na noc musieliśmy rzeczy na korytarz wykładać, to w pierwszą noc było mało ludzi, potem patrzymy - korytarz się zapełnia. W naszej celi było dwudziestu, to razem było nas jakieś dwieście ludzi w tym korytarzu.

Przesłuchania prowadzili przeważnie oficerowie SB. Nieraz dwa razy dziennie. Pytali się w kółko to samo - co, jak, gdzie, kiedy. Musiałem w kółko opowiadać.

Był już chyba czwartek, palić się nam chciało i myśleliśmy, że jak nam nie dadzą papierosów, to odmówimy jedzenia. W piątek pytają, czy chcieli-

byśmy papierosy. Myślmy sobie: "Co się tak zmieni-
li?". W sobotę do łaźni nas zaprowadzili, mówimy:
"Coś jakby z tonu ktoś tu spuścił". Na przemówienie
Gierka byłem już w domu.

W poniedziałek normalnie poszedłem do pracy
na drugą zmianę. Nikt mnie nie pytał, gdzie byłem,
dostałem normalnie zapłacone i to pokrótce wszyst-
ko.

Rozmyślałem, za co nas to wszystko spotkało
i od tego momentu straciłem zaufanie. W końcu
doszłoby do tego, że człowiek swoich myśli nie
mógłby wypowiedzieć, jak niewolnik.

Relacja Tadeusza Nowaka /lat 19/
pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej
w Gdyni

Trójmiasto zawsze kojarzyło mi się ze Stoczną, nigdy nie wiedziałem, że są jakieś inne zakłady. Były ogłoszenia, że przyjmują do pracy, że zakwaterowanie zapewniają... W gazecie to wszystko jakoś tak inaczej wyglądało, jakoś ładnie. Wyobrażałem sobie, że po dwóch latach będę miał samochód, po czterech mieszkanie. Zresztą książeczkę mieszkaniową miałem już założoną, ale do chwili obecnej, choć to minęło piętnaście lat, nie mam tego mieszkania. Namówiłem dwóch kolegów - no i przyjechaliśmy z Gniewa tu, na Wybrzeże.

Przyjeśliśmy się do Stoczni im. Komuny Paryskiej 10 listopada 1970 roku, skierowano nas na taki kurs monterów - podstawy nauki spawania, trzy tygodnie to trwało, kończyło się egzaminem. Właściwie każdy zdawał ten egzamin. Byli na nim ludzie z całej Polski - lubelskie, białostockie.

Praca z początku mi się podobała, ale potem zmęczyła. Wcześniej rano wychodziłem do pracy, po pracy trzeba było się wykapać, bo się było brudnym, zjeść obiad, zrobić zakupy i właściwie spać. Tak życie się toczyło. Bez telewizji, bez radia, bez niczego. Kwaterę nam załatwiono w takim pięciosobowym pokoju w Rumii, więc i dojazd dość czasu zajmował.

Mój kolega, Gienek Lidzbarski, miał zamiłowania kolarskie, marzył, żeby być drugim Szurkowskim. Zapisał się do klubu, przywiózł sobie rower. On teraz miał zajęcia w niedzielę, ale ja nie miałem co robić. Pożyczyłem od Babci i kupiłem też sobie rower. Zarabiałem tysiąc sześćset złotych,

a trzeba było jakoś wyżyć. Musiałem gotowe posiłki kupować, bo ugotować sobie nie miałem gdzie. Najlepszą sprawą były zupy regeneracyjne w Stoczni, bo się brało kilka razy. Oszczędzałem na wszystkim, jak się dało, żeby oddać za ten rower.

O samej podwyżce cen to się dowiedziałem w domu, będąc u rodziców w niedzielę. Rodzice przyjęli to z jakąś taką złością, ja patrzyłem troszeczkę z boku. Nie zastanawiałem się nad tym. Tak, że nie można powiedzieć, że ja byłem zbuntowany przed tym wszystkim.

Przyjechałem do Gdyni, nic nie wiedziałem o poniedziałku w Gdańsku, zrezygnowałem prosto z pracy do domu. We wtorek przychodzimy, wszyscy się normalnie przebiegają, poszliśmy na dok, na K-3. Tam się zaczęły gromadzić grupki, głośno było, potem wszyscy poszli zobaczyć, co się dzieje. Wszystkie działy tak dobiegały. Była droga przez Stocznnię, po drodze mijało się dyrekcję. Pod dyrekcją się zatrzymali. Drugie zatrzymanie było przy wychodzeniu przez portiernię. Nie wiem, czy brama była zamknięta, wiem, że było jakieś niezdecydowanie, a potem wyszliśmy.

Ja z kolegą nie odgrywaliśmy większej roli, tylko staraliśmy się być na samym przodzie. Pochód szedł i szedł cały czas ulicą Polską - port dołączył i pochód stanął przed Komitetem, znaczy wszyscy zeszli się pod Komitetem. Tam było chyba jakieś podwyższenie, był trawnik, drzewa, taki duży plac, a do samego Komitetu prowadziły schody. I na tych schodach widać, jak do dziś pamiętam, to największą rolę odgrywał Hulsz i trzech inni: Słodkowski, Ilnicki i Walas. Z tym, że ich nazwiska poznałem później, wtedy nikogo z nazwiska nie znałem. Nikt ich nie wybił, najwięcej mówili,

160

byli najgłośniejsi po prostu. Chcieli rozmawiać z partią, ale był tylko portier.

Ja byłem zaskoczony. Je wcale nie wiedziałem, mieszkając w Gdyni, że tam jest Komitet. I ja cały czas myślałem, że władzą rządzącą w kraju - to jest ja wiedziałem, że Gomułka jeet pierwezym sekretarzem partii itd. - ale ja myślałem, że rządzi przewodniczący, że Miejska Rada.

Hulsz apelował, żeby nie dać się sprowokować, żeby zrobić drogę, przejście dla przedstawicieli władzy, na których czekano. No i przejście zostało zrobione, ale nikt z władzy nie przyjechał. Staliśmy tam długo, może ze dwie godziny i nikt się nie zjawił. Ktoś zaproponował, że idziemy do Miejskiej Rady. Szliśmy pokrzykując: "Precz z czerwoną burżuazją", "Dla Gomułki suche bułki", śpiewaliśmy "Międzynarodówkę", "Jeszcze Polska". Ludzie klaskali w oknach, sami wykrzykiwali te hasła. Koło mnie szedł Mizerski /jego nazwisko też znam dopiero teraz/ i rozmawialiśmy. On mi się przedstawił jako student, który był w 1968 roku wyrzucony podczas... w tym okresie za "Dziady" Dejmka, uwierzyłem mu. /Teraz wiem, że to jego bracia kończyli studia, a on miał wtedy średnie wykształcenie./ Był troszeczkę podobny do Lenina, i ja od razu na niego mówiłem "Lenin". Wydawał mi się mądrym człowiekiem, jakoś tak spokojnie podchodził, bez żadnego krzyku. Powiedziałem ludziom, że tu jest taki jeden student. Wszyscy zaraz - "Tak, tak". I właściwie w ten sposób Mizerski znalazł się w tej grupie, która rozmawiała z Mariańskim.

Delegacja weszła do Miejskiej Rady, oni tam długo rozmawiali, ludzie się niecierpliwicki.

Ja w tym czasie poszedłem na plac od ulicy Bema. Tam przyjechali żołnierze z Marynarki Wojennej. Wysiedli z samochodu, byli trochę speszeni, bo niektórzy starsi ludzie, takie babcie wołały: "Co? Do brata będziez strzelał?". Najgorszy był ten komandor, chyba komandor podporucznik, który dowodził tą grupą, był w takiej zupełnie głupiej sytuacji.

Pod Miejską Radą zrobiło się tłoczno, bo tam było kilka osób troszeczkę pijanych i oni też chcieli twierdo wejść, rozmawiać. Była tam take przepychanka i jedna szyba pękła. Utworzyła się zaraz służba porządkowa, jednak mimo wszystko przy wejściu do Urzędu Miejskiego szyba pękła. Ludzie się niecierpliwiili, nie wiedzieli ozy delegacja tam jest, czy ją zamknęli, w końcu pokazali się na balkonie, mówią, że zostały podpisanne postulaty. Nie pamiętam dokładnie, czy oni je przeczytali, ale wiem, że przez tubę chyba Hulsz mówił. Potem tak jeszcze ktoś mówił, zresztą wszyscy się pokazali, że są. Hulsz chyba jeszcze coś chciał powiedzieć, ale zapomniał. Powiedział tylko, że się spotkamy na rampie w "Dalmorze". Ja nie wiedziałem, gdzie to jeet, ale poszedłem z innymi.

Tam już wszystkie bramy były otwarte, na rampie jakaś delegacja studentów, nie wiem zresztą, czy byli to naprawdę studenci. Hulsz nas zaprowadził do "Dalmoru". On był już uważany za przywódcę, imponował jakąś rozważą wtedy. Choć im dłużej to trwało, tym bardziej się rozgrzewał. Początek miał dobry, spokojny, a potem w "Dalmorze" jsgo zschowanie było eż krzykliwe, coraz bardziej to przeżywał, coraz mocniej mu się udziślało. Pamiętam takie drobne epizody, że było dużo ludzi,

162

że przemawiali, że spotkamy się w Domu Kultury na ulicy Polskiej, godzina była ustalona. Potem przyszedli jacyś studenci, nie wiem, czy to była oficjalna delegacja wytypowana przez studentów, ale były jakieś grupy z Politechniki. Przyjechali, że popierają. Taki troszeczkę bałagan się zrobił, bo to oczekiwano od tych studentów więcej, a oni tacy jacyś nieśmiali, ale byli też zachwyceni, że studenci są, że popierają.

Wszyscy wracali do zakładów tak, jak z nich wyszli. Z tłumy portowcy odłączyli wcześniej - akrećcili do portu, Komuna na końcu.

Ja sam bym nie pojechał do tego Domu Kultury na Polską, zresztą nie wiedziałem dokładnie, gdzie to jest, no ale byłem z kolegą. Kolega tak samo by tego nie zrobił i nie pojechałby, gdyby nie ja. I tak jeden drugiemu dodawał odwagi. Właściwie pojechaliśmy z ciekawości więcej, niż interesował nas aspekt polityczny. Nasze przygotowanie polityczne było wtedy zerowe.

Poszliśmy na Polską. Znaleźliśmy się tam, gdy już było mało osób. Weszliśmy, usiedliśmy sobie z Lidzbarskim we dwóch, tam ktoś herbatę zrobił... Zresztą nie pamiętam, jak to się kolejno odbywało. Zrobiono składkę na herbatniki, na kanapki, ktoś poszedł kupić.

Przyjechał Mariański. Ale właśnie z tych rozmów dużo nie pamiętam. Ja pamiętam tylko, że on był zadowolony, że to wyszło tak inaczej, był zdziwiony, że wszyscy tacy młodzi. W tym okresie to chyba najwięcej Mariański rozmawiał z nami. No i Słodkowski z nim rozmawiał. Nie wiem, czy ktoś Słodkowskiego wybierał na przewodniczącego, nie byłem przy tym, ale był uważany za przywódcę, mówił: - "Kazałem przygotować itd.". Była jedna dziewczyna właśnie

z Urzędu Miejskiego od Mariańskiego, która pisała na maszynie.

W trakcie tych wszystkich rozmów wyszło, że trzeba napisać odezwę do mieszkańców Gdyni, żeby było jakoś inaczej, żeby nie niszczyć, nie palić, żeby odbyło się bez niszczenia sklepów, żeby ten protest odbył się porządnie. W związku z tym padła propozycja, żeby utworzyć w środę milicję robotniczą, która będzie czuwała nad wszystkim. Miała też być napisana odezwa do pracowników Stoczni Marynarki Wojennej, żeby nie wychodzili z zakładu. Właściwie nie pamiętam, co było tego celem, ale wiem, że taka odezwa miała być. Zresztą był tam jakiś przedstawiciel tej Stoczni.

Część ludzi odeszła. Oni - ci co musieli iść do domów - mieli być takimi naszymi łącznikami, którzy będą nas ubezpieczali. Ja tam nie miałem swojego łącznika, wszystko to było troszeczkę dziwne.

Ten pobyt w Domu Kultury, te rozmowy, wszystko to trwało długo. Mariański rozmawia, wyeyła po maszynę do pisania, potem proponuje, że jeżeli kto chce jechać do domu, może podwieźć, bo on był czarną wołgą. Na Mariańskiego patrzyłem, jak to młody człowiek na kogoś wysoko postawionego w urzędzie, a tu patrzcie! - nie my do niego, tylko on do nas przyjeżdża i to jeszcze jakoś tak inaczej próbuje rozmawiać. Mariański zresztą przewyższał tych wszystkich robotników, którzy z nim rozmawiali, sposobem mówienia i zachowania. Z Mariańskim rozmawiali Słodkowski, Muskała, Ilnicki, Hulsz. Nie pamiętam, w którym momencie Hulaz przybył, ale z pewnym opóźnieniem.

Mariański pojechał, maszynistka pisała, włączyliśmy telewizor, oglądaliśmy przemówienie Kociołka

/powtórzenie/. I wtedy ktoś zauważył, że jedzie ciąg samochodów, taka kolumna. Podjechali bliżej - milicja. Powstała panika. Co robić? Drzwi zamknąć? - nikt nie wiedział, co robić. Portier mówi: - "Ja pójdę, mam Virtuti Militari, mnie nic nie zrobią". Oni zaczęli walić w drzwi, wybili w drzwiach otwór - może metr, może osiemdziesiąt centymetrów, takie przejście w drzwiach. Wpadli z wściekłością, dosłownie z pianą na twarzy. Pierwszy dostał ten z Virtuti, a potem zaczęły te wszystkie papiery, wszystko co tam było fruwać. Walili pełnami aż furczało. Spinali wszystkich kajdankami po dwie osoby. Ja byłem sam spięty, nie wiem dlaczego, może nie miałem pary. Po tych schodach na dół niektórzy z nas spadali, i do samochodu. Najgorsze było wyjście przez tę dziurę w drzwiach. Jak się wychyliło na zewnątrz dostawało się pałą, a z tyłu kopali. Najwięcej dostawaliśmy w momencie przejścia przez tę dziurę i przez szpaler ustawionych za drzwiami milicjantów. Ubrani byli w czarne mundury, białe rękawiczki, jak drogowka. Ja szybko biegłem, żeby jak najmniej dostać. W samochodach staliśmy jeszcze co najmniej pół godziny zanim nas zawieźli do więzienia.

W więzieniu w Wejherowie ustawili nas w szeregu na korytarzu, wcześniej odebrali nam dowody osobiste, wyczytywali teraz nazwiska i przyglądali się nam. Do Hulsza jeden z milicjantów /ale to już byli inni, nie ci czarno ubrani/ powiedział - "Przed Domem Partii krzyczałeś, a teraz mówić nie potrafisz?!". Wydzierali się na niego i na Walasa i ich wzięli oddzielnie.

W mojej celi, według moich obecnych obliczeń, było nas dziesięć lub jedenaście osób. Był Mizerski, Słodkowski, Muskała, Malec, ja, Lidzbarski, był taki mały, krępy chłopak z portu, taki starszy facet również z portu, co wyrzucili mu legitymację

partyjną. Nie od razu brano nas na przesłuchania, najpierw zrobili nam zdjęcia w trzech pozycjach.

Na przesłuchaniu mówiłem to, co tu teraz mówię, że pozedłem z ciekawości. Największe wrażenie sprawiło na mnie, gdy oni przyparli mnie do muru, czy ja wiem, z kim tu jestem, że jeetem z kryminalistami? Jak wróciłem do celi, mówiłem - zresztą wszyscy mówili - o co mnie pytali, co odpowiadałem. Okazało się, że dwóch kolegów było kiedyś w więzieniu.

Uważaliśmy na siebie, żeby jak najlepiej wypaść, żeby nie mogli nam, jako komitetowi strajkowemu - jak siebie wówczas nazywaliśmy - zarzucić, że jesteśmy grupą nieodpowiedzialnych ludzi. Ja się mimo wszystko trochę nie podporządkowałem tym wszystkim regułom więziennym. Tam nie wolno było spać - a spałem i wszyscy się na mnie denerwowali.

Rozważaliśmy, co z nami zrobią. Pamiętam, że Słodkowski mówił, że uznają nas za więźniów politycznych, a wówczas będziemy się mogli uczyć. Ja się ucieszyłem. Zresztą w więzieniu tak źle nie było, było nawet wesoło. Malec bez przerwy opowiadał ciekawe rzeczy, jakieś kawały. Mnie tam było zupełnie dobrze. Towarzystwo mi odpowiadało, jedzenie dostałem, nie musiałem niczego kupować, martwić się jak zaoszczędzić. Jedyнным moim zmartwieniem było, żeby mi nie ukradli roweru, albo że koledzy będą go brali i zepsują. Zresztą to się potwierdziło, bo mi go zepsuli. A to był mój nabytek, który mnie dużo kosztował.

W czwartek znaleźliśmy z Walasem w ubikacji aktualny numer "Głosu Wybrzeża". Walas go schował za podkoezulek i potem go przeczytaliśmy. Tacy byliśmy ciekawi, że jeden drugiemu zaczął go

wyrywać. Jak szliśmy na przesłuchanie, to się człowiek denerwował, a jak mieliśmy tę gazetę, to się denerwowaliśmy, żeby ją przeczytać. Ciekawiło nas, co się dzieje, w głośnikach była puszczana wciąż muzyka.

Biegły te dni, zaczęli znowu brać na przesłuchanie. Poszła jakaś grupa - wrócili swoje rzeczy zabrać. Nie wiedzieliśmy, czy ich puszczają do domu, czy przenoszą do innego więzienia, oni mówili, że ich puszczają. Te może dwie godziny wydawały się nam bardzo długie. Ja byłem przekonany, że będziemy siedzieli, nie myślałem wcale o wyjściu, teraz dowiaduję się, że nas wypuszczają. Z tej czwartkowej gazety wiedzieliśmy, jaka jest sytuacja w Gdyni i Gdańsku i coś nam nie pasowało.

Potem ci panowie, którzy nas przesłuchiwali, oznajmijają nam, że zostaniemy wypuszczeni, ale żebyśmy nie wrócili na tę złą drogę, na którą weszliśmy, żebyśmy byli w zgodzie z prawem, że jesteśmy obywatelami Polski Ludowej, a komu zawdzięczamy to wszystko, to się dowiemy z jutrzejszej gazety.

Wypuszczali nas pojedynczo, więc po wyjściu poczekałem na Lidzbarskiego, przyjechaliśmy na kwaterę. Tam był nasz trzeci kolega, który przyjechał z nami z Gniewu. Przychodzimy - a on w ogóle na nas nie reaguje. My z Lidzbarskim uważaliśmy się troszeczkę za bohaterów, bo byliśmy w Komitecie Strajkowym, bo już nawet w więzieniu byliśmy, a on leży w łóżku przykryty poduszką jakoś tak dziwnie, że tylko oczy widać. Aż nagle wstał i mówi: - "Patrzcie co ze mną zrobili".

On miał długie włosy, a teraz zupełnie łysy był. Powiedział, że go w Gdańsku złapali, normalnie z chodnika zabrali, obcięli włosy, stłukli pałami.

Tak by się skończył ten okres. Dalej w Stoczni nie pracowaliśmy, z Lidzbarskim pojechaliśmy do domu.

Relacja Weroniki Mizerskiej
/z d. Szymańskiej/, lat 21,
pracownicy PMRN w Gdyni

Dziadek mój, Izydor Resmer, był pierwszym kowalem w Gdyni. Na początku II wojny światowej w kuźni mego dziadka na ul. Władysławowskiej 10, wykowane były kosy dla Gdyńskich Czerwonych Kosynierów, tam przechowywany był również sztandar chóru "Harfa", do którego należała moja matka. Chór ten miał program wychowawczy, poza śpiewem uczył jeszcze obywatelskiej, patriotycznej postawy. I taka właśnie patriotyczna postawa charakteryzowała mój dom.

W 1968 roku podjęłam pracę w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Miałam ukończone liceum ogólnokształcące. Więc była to najpierw praca praktykantki, potem młodszego referenta.

15 grudnia znajdowałam się w pokoju biurowym na III piętrze, gdy doleciały do nas odgłosy z ulicy. Pobiełam do pustego akurat pokoju kierownika, wyjrzałam przez okno. Zobaczyłam, jak na placu przed gmachem gromadził się tłum robotników w ubraniach roboczych, kaskach. Wypełnił się ludźmi cały plac, niektórzy powchodzili nawet na drzewa. Obserwowałam, jak kilka osób weszło do środka budynku i przebywało w nim długo. Tłum zaczął się denerwować, obawiano się, czy delegaci nie zostali aresztowani, ktoś wyszedł na balkon, uspokajał, że wszystko przebiega dobrze, że są w trakcie spisywania postulatów.

Po jakimś czasie na balkon wyszedł Mariański w towarzystwie dwóch mężczyzn, jeden z nich

odczytał postulaty, przywitano je okrzykami radości, po czym pochód odszedł ulicą Świętojańską.

Kobiety pracujące w Prezydium zwolniono do domów, wybiegłam więc na ulicę, dopędziłam pochód. Ktoś z maszerujących mówił przez tubę, że wszystkich chętnych zaprasza się na godzinę 16.00 do Zakładowego Domu Kultury na ulicy Polskiej. Poszłam do domu, poinformowałam matkę, że idę, że muszę pójść. Wzięłam ze sobą ręcznik i jabłka i poszłam.

Punktualnie o 16.00 byłam w ZDK. W salce na piętrze siedzieli mężczyźni - powiedziałam, że chciałabym im pomóc, umiem pisać na maszynie, mogę też redagować pisma - przyjęto mnie przyjaźnie. Atmosfera była ciepła, wszyscy mówili sobie po imieniu.

Zaczęliśmy od wyznaczenia osób z naszych zakładów pracy, które będą pełnić rolę łączników, a na wypadek aresztowania - zastępców. Następną listą zawierała skład komitetu strajkowego. Formalnych wyborów nie było, ale ustaliliśmy, że przewodniczącym będzie Stanisław Słodkowski, który zdobył już pewien autorytet. Jego zastępcą został Kazimierz Mizerski.

Po tym, jak zrobiliśmy składkę na kanapki, po które koledzy poszli do "Warsu" na dworzec, odwiedził nas Mariański. Poznał mnie, zaskoczyła go moja obecność. Pytał, skąd się wzięłam. Odpowiedziałam, że przyszłam pomóc. Mariański spytał, co może dla nas zrobić. Odpowiedziałam, że przydałaby się maszyna do pisania i że najlepsza byłaby ta walizkowa z sekretariatu. Mariański się zgodził, maszynę przywieziono. Jeden z członków komitetu miał ciężko chorą matkę.

Spieszył się do domu, Mariański odwiózł go samochodem.

Zsbraliśmy się do pisania odezwy do misszkańców Gdyni. Sformułowaliśmy ją ns brudno, potem wysłuchaliśmy telewizyjnego przemówienia Kociołka - podzistało ns nss uspokajająco. Zsczęliśmy przepisywać odezwę ns maszynie. Pissaliśmy z kolegą na zmianę. Przy maszynie właśnie siedziałam ja, gdy wpsdłs milicjs. Byli w pełnym rynsztunku bojowym, zrobił się popłoch i tskie zamieszanie, że nie wiadomo było, kto kogo bije. kzcucili się do stołu ustawionego w literę T, do zgromsdzonych tam kolegów, ja ssdziałam po przeciwnej stronie i wtedy nis oberwiałam. Dostał natomisst prowadzący mnie cywil, nim zdążył uprzsdzić milicjanta, żeby nie bił swoich. O mojej obecności w ZDK milicjanci wiedzieli, pytali bowiem, gdzie jest dsiewczyns.

Z holu na dwór wychodzić musiliśmy przez wybitą w drzwiach dziurę, z dwóch stron stali milicjanci i bili. Wprowadzono nss do dużego, ciężarowego wozu z budą, razem z Mslcem i Słodkowskim ssdziałaliśmy na poprzecznie ustawionej łswcs, zsraz zs szoferką. Słodkowski wziął ze sobą listę łączników. Zjsdz ją - powiedziałam i dałam mu jabłko do zagryzienia. Było mu nieporęcznie, bo skuty był kajdankami, wziął ods mnie wsuwkę do włosów, majstrował przy nich, als nis udało mu się otworzyć.

Zawieźli nas do więzienia w Wejherowie i tam oddzielili męzczyzn, mnie zaś po 2-3 godzinach przewisłi do więzienia ns ulicę Starowiejską.

Przesłuchiowano mnis jsdsn tylko raz, odpowiadałam lskonicznie, być może dlatego na tym

poprzestano. Przesz cztery doby siedziałem w celi ssma. Traktowana byłam w sposób ordynarny. Po czterech dnisch przeniesiono mnie do celi, gdzie były dwie przczs i 10 kobiet, których słownictwo i sposób zachowania wskazywał na rodzaj zswodu. Wypuszczono mnie w dzień wigilii. Przed uwolnieniem stosunek władz więziennych do mnie poprawił się.

Przez cały czas mojego pobytu w więziszniu rodzice byli nękani odwiedzinami panów w cywilu, którzy dopytywali się, gdzie jestem i grozili rodzicom. Mama przszła wtedy zsiłamanie psychiczne, którego ślady widoczne są do dziś.

Po świątach poszłam do pracy - na moim biurku stały czerwone goździki, prezent od kolegów. Kupili je przsd świątami, wróżąc, że jeśli nie zwiędną - zostanę zwolniona.

Relacja Andrzeja Niećki,
pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej
w Gdyni,
z września 1981 r.

Tego, co działo się w grudniu 70 r. u nas w Stoczni nie uważałem za strajk, uważałem za protst.

Pracowałem jako monter rurociągu, zarabiałem 1000 zł miesięcznie, 5 zł, 20 gr na godzinę. Uczęszczałem do Technikum Budowy Okrętów, później kształciłem się na technika urządzeń sanitarnych. W czasie lekcji dowiedziałem się, że jest strajk. Uderzyło mnie to. Jsk to strajk? W ustroju socjalistycznym, gdzie warstwa pracująca jest warstwą rządzącą - strajk? Czyli robotnicy strajkują przeciwko sobie? Ale przyjąłem to do wiadomości i udaliśmy się wraz z kolegami na miejsce, gdzie było największe zgrupowanie - przed Komitet Wojewódzki. Ludzi - trudno określić ilu - może tysiąc, może więcej, szpaler milicji... O jakiejś godzinie uderzyły na nas gazy łzawiące i inne środki używane na całym świecie do rozpędzania tłumów. Jakiś czas brałem udział w walkach ulicznych - milicja atakowała, my się cofaliśmy, gaz opadł - atakowaliśmy my. Potem doszedłem do wniosku, że nic tu po mnie. Wsiadłem w pociąg i przyjechałem do Wejherowa.

Wcześniej, z opanowanego przez stoczniowców radiowozu padło oświadczenie pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej, że jutro Komuna dołączy. Powiedziało to, nie wiedząc nawet, czy jest taka możliwość, ale był w pełni świadom, że to nastąpi. A przecież w układzie administracyjnym

między Stoczną Gdańską a Stoczną Komuny Paryskiej były istotne różnice. W Stoczni Gdańskiej zatrudniano w owym czasie około 15 tys. ludzi, kadry inżynieryjno-technicznej było 5 razy mniej niż robotników, natomiast w Stoczni Komuny tylko 3 razy mniej. A wiadomo, że wszyscy, którzy mają wykształcenie wyższe, przez ten prężierz PZPR muszą przejść. No może był pewien procent wybitnie zdolnych, których tolerowano, którzy opierali się, ale w naszej Stoczni była sytuacja trudniejsza.

Następnego dnia poszliśmy do pracy. Ale ludzie nie wychodzili z warsztatu. Przynajmniej tam, gdzie pracowałem, a pracowałem w rurowni. Ciekawe, że nawet na mólach nie podłączali ludzie palników, nie wchodzili na statek. I najciekawsza sprawa: dużo białych hełmów - Komitet PZPR itd. i przekomarzenie się w grupach. Po prostu chciano rozbić punkty zapalne. Nie dali rady. I decyzja krótka: idziemy. Idziemy do Komitetu Miejskiego. I jeden cel generalny: anulować podwyżkę.

Już nie będę mówić o tym, że szef Rady Zakładowej wyszedł i zaczął pluć - nie zwracano uwagi na niego. W ubraniach roboczych poszliśmy. Przeszliśmy przez port, Zakłady Rybne, Stocznę Remontową. Na wiadukcie chciała na nas wjechać straż pożarna. Pędzili jak szaleni, z wyciem syren, jak do pożaru. Determinacja w nas była taka, że nikt nie ustąpił z drogi. Czyli że ludzie liczyli się z tym, że ich straż tym samochodem uderzy. Wewnętrzne, psychiczne nastawienie było takie, że woleliśmy zginąć, niż zrezygnować ze swojego protestu.

Doszliśmy do Komitetu Miejskiego, ja znalazłem

się na samym przodzie. Wiemy, jak wygląda ten budynek, oszklony pawilon, wystarczyło ruszyć tylko. Ja podjąłem wewnątrz inna decyzję - nie ma być żadnych prowokacji. To znaczy ja wtedy nie myślałem tymi kategoriami, bo znając zasady marksizmu-leninizmu uważałem, że wszystko jest takie dobre, że nie trzeba takich gestów gwałtownych. Ale tłum napiera. Poprosiłem dwóch kolegów, żeby mnie podnieśli. Powiedziałem tylko dwa zdania: żądamy anulowania podwyżki cen i rekompensaty w prasie za oszczerstwa odnośnie wydarzeń dnia poprzedniego w Gdańsku. A, żeby nie stwarzać możliwości do interwencji, proszę o powołanie służby porządkowej. I dosłownie w chwilę - szpaler ludzi przed Komitetem się utworzył. Nie wiem skąd się opaski wzięły, ale były. Na negocjacje poszło do budynku kilka osób. Oni z woźnym rozmawiali, jak się okazało. I woźny - dyplomata ich załatwił. Wrócili i powiedzieli, że nie ma nikogo. W tej chwili mogę zdradzić tajemnicę, że w budynku Komitetu Miejskiego był przewodniczący ZMS i jego zastępca. A z sekretarzy - nikogo. Zostawili ich ludziom, żeby ich roznieśli, a sami wycofali się do Urzędu Miejskiego.

Zapadła decyzja: idziemy do Urzędu Miejskiego. Poszliśmy. Tym razem byłem bliżej końca pochodu. Reprezentowali nas ci, którzy byli z przodu. Weszli do środka. I bardzo dobrze się stało, że pierwsza sprawa jaką postawili, to było żeby zalegalizować komitet strajkowy. I Mariański to uczynił. Publicznie. I z nimi pertraktował. Ktoś z tej naszej delegacji wyszedł na balkon i przedstawił dziesięć czy dziewięć punktów, Mariański to poparł.

Stamtąd udaliśmy się do "Dalmoru" i tam uznaliśmy komitet strajkowy za naszą władzę. Obowiązki podzielono, ustalono, że siedzibą będzie Dom Kultury na Polskiej. Tam mieli dołączyć na drugą zmianę przedstawiciele - a raczej ja bym to nazwał samozwańcy, bo jak po pracy, w pomieszanym tłumie wybrać przedstawicieli. Chociaż część osób była w ten sposób wybrana. Podawano kandydatury, padały oklaski... Ja miałem przyjechać o dziesiątej, pełnić dyżur, bo tamci byli od siedemnastej - nie pojechałem. Może lęk, może intuicja, że nie trzeba jechać, może tchórzostwo - nie pojechałem i może dobrze zrobiłem, oszczędziłem sobie trochę pałek. No cóż, męczennikiem świadomym jest niewiele osób.

Następnego dnia pracy nie było, ludzie stali, helikopter ulotki rzucał, czołgami, autami pancernymi Stocznia otoczona, a determinacja była taka, że ludzie chcieli wyjść na ulicę, na te czołgi. Z tym, że nikt nie przypuszczał, że oni mogą strzelać. Uznałem, że nie trzeba tego robić. Trzeba najpierw porozumieć się z innymi zakładami, aby legalny komitet znalazł się na powrót w Stoczni, a do tego czasu wybrać komitet tymczasowy. Nie udało mi się tego zrobić, bo trudno z dziesięciu tysięcy ludzi wybrać jakiś komitet, bez żadnego programu, bez żadnego przygotowania. Tylko w momencie, gdy te właśnie dziesięć tysięcy stoczniowców chciało wyjść za bramę, skoczyłem na taki słup ogłoszeniowy i powiedziałem, że nie tędy droga. I co ciekawe - ludzie się wstrzymali. Wstrzymali się ci, którzy byli na przodzie, a ci z tyłu nie słyszeli, więc szli. Puściłem się biegiem pod dyktando.

Wyszedł dyrektor i zapytał, co jest? Taki ciekawy. Skądinąd dyrektor Tymiański to porządny człowiek. - "To jest, panie dyrektorze - mówię - że chciałbym do ludzi przemówić, pan ma u siebie radiowęzeł". On mówi: - "Zepsuty". - "No to tuba się chyba znajdzie?" Zezwolił, ale dał sugestię, żeby do "okrągłego jaja" - czyli stołu, przy którym podejmowano w Stoczni decyzje - dwadzieścia pięć osób poprosić. Oporowałem przeciwko temu, ale to przeszło. Usiedliśmy wokół tego stołu. Zabrałem głos i poprosiłem pana dyrektora o podanie w rozporządzeniu dziennym, że tych wszystkich, którzy są na sali, on powołuje do ochrony zakładu. Dyrektor w pierwszym porywie powiedział do swojego asystenta: spisać nazwiska, a rozporządzenie on zaraz podpisze. To wzbudziło sprzeciw obecnych na sali. Każdy się bał. Ale to był błąd z ich strony, ja uważałem, że to by nas zalegalizowało, ale obecni nie zgodzili się na to. A ja jestem pewny, że każdy kto znalazł się na tej sali został spisany w tym samym momencie, w którym tam się znalazł. Wtedy chciałem się wycofać, ale już było za późno. To teraz: co robimy. Ja mówię: - "Najpierw ten aresztowany komitet". Była godzina między dziesiątą a jedenastą. Chciałem do ludzi przemówić. Radiofonizacja była zepsuta, poprosiłem tubę - daną mi tubę. Okazała się też zepsuta - wyrzuciłem ją. Dano mi drugą - dobra była. Przemówiłem. Czy to teraz jestem w stanie odtworzyć? Powiedziałem, że chcemy ten stary komitet. Chcemy? "Chcemy" - odpowiedziano. - "No to go wywalczymy". A tłum: - "A nie, to Stocznnię spalimy z dyrektorem na czele". O! Takie zdania nawet padały. Ale

to były zdania pojedyncze. W tej chwili to bym powiedział nawet, że to była sprawa prowokatorów, tak patrząc z góry na to. Tego nikt z robotników nie mógł powiedzieć. W każdym razie propozycję moją, że wyjeżdżamy i wracamy za godzinę z komitetem strajkowym, a wy wszyscy stoicie tu przed dyrekcją i czekacie na nas, jeżeli nie wrócimy, to znaczy, że jesteśmy razem z nimi - przyjęto. Dyrektor - nie chciałbym Tymińskiego źle wspominać, to facet rozsądny - ale próbował wszelkich możliwości, żeby sytuację załagodzić, chciał, żeby się ludzie rozeszli, ale nie mógł tego zrobić. On mi proponował - no może się kiedyś z nim skonfrontuję, ale powiem - panie, jakie pan chce stanowisko w Stoczni? Bo miałem wpływ na ludzi. Ja jego poprosiłem tylko, żeby radiofonizację na następny dzień uruchomić. Obiecał mi. Chciał postawić mercedesa, żebyśmy pod Komitet pojechali. Nie, zażądałem nysę, jakąś taką starą, sfatygowaną. Pojechała. Na wszelki wypadek poprosiłem sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR, żeby się z nami udał. Chyba szczerze, bez strachu pojechał. Sugestia wysłania delegacji padła wtedy, przy tym stole. Wytypowano mnie i spontanicznie zgłosiły się jeszcze trzy osoby. Sekretarz był nam potrzebny, żeby udostępnić wejście, bo uznałem, że wojsko rządzi, trzeba pojechać do dowództwa Marynarki Wojennej, tam się czegoś dowiem.

Pojechaliśmy. I rzeczywiście, sekretarz umożliwił nam rozmowę. Tam był Szczerkowski i Janczyszyn, a Studziński był wtedy w Moskwie. Przy wejściu nie zażądali od nas nic, nawet dokumentów, wartownik obrzucił nas tylko wzrokiem,

ale nie macał nas. Rozmowa, szczerze mówiąc, waczeła się bardzo fajnie. Z tym, że ten nasz srad - jak tam nas było pięciu - tracił w niektórych momentach prymitywnym odcieniem. Oświadczone nam - powiedział to ten większy, to chyba Januszyszyn, że pod Flblągiem ustawione są dzieła, wycelowane w naszą Stocznię i że kamień na kamieniu nie zostanie. Potem zbuduje się nowa, też robota dla wielu ludzi będzie, a ludzi mamy dosyć. Ale my nie pozwolimy, żeby ktoś godził w nasz ustrój, myśmy o to walczyli. I co ciekawe, pokazywali nam bliźny - ten mały, to chyba Szczerkowski. Mówili też, że wystarczy rzucić kamieniem, czy wznieść okrzyk jakiś - a wojsko ma rozkaz strzelać. Postawili sprawę jasno, demagogii nie wciskali. W końcu przystąpiłem do sprawy, a co z komitetem? Więc oświadczył krótko: na ten temat nie będziemy rozmawiać, bo sztab, który kieruje tymi sprawami jest oddelegowany przez PZPR i mieści się w Urzędzie Miejskim. Uznałem, że byli szczerzy, tym bardziej, że mi podpowiedzieli, gdzie się mogą dowiedzieć.

Pojechaliśmy do Urzędu Miejskiego. I teraz moment, który mną najbardziej wstrząsnął: wchodzę przez główne wejście - a tam pies przy psie, a za każdym psem jeden gliniarz stoi. Wtedy chciałem zrobić jedną rzecz: w ogóle nie dyskutować i wyjść. Możliwości nie było. Oni nam powiedzieli tak: - "No to co? Jesteście prowokatorami - to mówił Legucki, on był jednym z sekretarzy Komitetu Miejskiego - że tylko was należy zamknąć". Ja powiedziałem - "Przepraszam, my przyjechaliśmy, żeby uwolnić ten komitet, który został aresztowany, a był zalegalizowany przez pana Mariańskiego". W odpowiedzi oświadczone, że

Mariański został zawieszony w czynnościach, bo działał nielegalnie. I pyta - "Co wy chcecie?" Odpowiedź krótka: anulowania podwyżki cen, wypuszczenia więźniów, trzecie - dochody i rekompensata w prasie. - "Czy panujecie nad sytuacją?" Kolega odpowiedział, że jak najbardziej, że groszek nie padnie na czołg. "No to dobrze" - mówi i wziął na bok sekretarza. Nie podobało mi się to, przez skórę wyczułem, że coś nie tak. Jak tylko drzwi się zamknęły za nimi, mówię do kolegi: "Słuchaj, dzwoń do Stoczni, że się piętnaście minut spóźnimy i niech nic nie robią, a jeżeli nie będziemy za pół godziny, to znaczy, że nas zamknęli". Zadzwoił, powiedział, a to przekazali przez głośnik ludziom. I to nas uratowało. Wrócił stoczniowy sekretarz, mówi: - "Ja jestem z wami". - "O co ci chodzi?" On mówi: - "Mnie proponowali, żebym ja został, was zamkną". Dosłownie powtarzam w tej chwili słowa Porzyckiego. To, że on nie wyraził na to zgody i ten telefon do Stoczni spowodowały, że oni zmuszeni byli nas wypuścić.

Wracamy. Ale tak: zadanie dostaliśmy od załogi przywieźć komitet strajkowy. A my nie wieziemy! Ludzie powiedzą: sprzedali nas! Nie wiedziałem, co zrobić. Sekretarz Porzycki zaczął płakać, mówi: - "Rozszarpią nas". Mówię: "Najpierw ciebie". Kierowca chciał zajechać z tyłu, ja mówię: - "Chłopie, dodaj gazu i prosto w tłum, zamknij oczy i jedź, oni się rozejdą". I tak było, podjechaliśmy pod samo wejście do dyrekcji. Ja sekretarza za frak i mówię: - "Dzięki temu człowiekowi jesteśmy wolni". Musiałem tak zrobić. Uratowałem sytuację w tym sensie, że nam uwierzy-

li, że zrobiliśmy faktycznie wszystko, co można było zrobić.

Przekazałem ludziom wszystko. Powiadomiłem ich również, że następnego dnia, o godzinie 5.30 przedstawię projekt programu komitetu tymczasowego, który powołamy. Przyjechałem do domu i zacząłem pisać. Skończyłem o godzinie wpół do czwartej. Pierwszym pociągiem przyjechałem do Gdyni. Schodzę z pomostu, naraz jakiś milicjant w czarnej skórze, z pałką, zatrzymuje mnie: - "Dokąd?" - "Do pracy idę". - "Praca wstrzymana". Mając w kieszeni te opracowane papiery, doszedłem do wniosku, że muszę się wycofać. I teraz sytuacja taka: z Wejherowa co 12 minut kolejka przyjeżdża, która przywozi około tysiąca osób, co sześć minut z kierunku Gdańska - też około tysiąca osób, a zatem co sześć minut tysiąc osób przybywa. W tym czasie, kiedy ja zszedłem z peronu i rozmawiałem z milicjantem, już dwie kolejki przyjechały, czyli dorzucono mi dwa tysiące osób z tyłu. Nie było siły, żeby się cofnąć.

I co ciekawe: pierwszy strzał, z czołgu, uważałem, że ze ślepego, zresztą możliwe, że ze ślepego był, a potem z broni maszynowej, PKM - i też uważałem, że nakrętki mają i ze ślepych strzelają. Okazało się jednak, że to były ostre. Zrobił się wir, takie zamieszanie, że ja po prostu zostałem wypchnięty na górę tego pomostu - kolejka wejherowska jeszcze stała, a ja miałem ten dokument. Myślę sobie - jak mnie z tym zamkną - prowodyr! Wszedłem do kolejki - pociąg ruszył. Pojechałem do Wejherowa, wziąłem żonę - mam rodzinę w Lubelskiem - pojechaliśmy tam.

Tu jeszcze wyjaśnienie, dlaczego nie zostałem

aresztowany w nocy z wtorku na środę. Było tak: mieszkałem w hotelu robotniczym w Gdyni. Przeniosłem się do Wejherowa, ale nie podałem nowego adresu. I jak zamykali ludzi, to za mnie zamknęli tego Jasia - nie pamiętam jak się nazywa - jeszcze pałą dostał i musiałem później litra postawić. Opowiadał, że przyszli do portiera, pytają o mnie. Portier mówi, że ja nie mieszkam - oberwał, że kłamie, wiedzieli, w jakim pokoju i na jakim łóżku śpię. Jasiu na nim siedział, to go wzięli. Dopiero na komendzie się wyjaśniło. Ale co dostał, to dostał.

Wróciłem w styczniu. Oczywiście bumażka - zwolniony z pracy. Idę do urzędu zatrudnienia w Wejherowie, popatrzyli: Niećko - nie ma pracy. Stałem wobec problemu, co ja będę robił? Coś mi się należało z poprzedniego zakładu pracy, poszedłem i spotkałem dyrektora ekonomicznego po drodze. On mówi: "Dzień dobry panu, myśmy tak pana szukali" - dał mi swoją wizytówkę, jeślibym chciał pracować dalej, mam się powołać na niego. Nie chciałem prosić, ale pracy nigdzie dostać nie mogę - poszedłem. Przychodzę, a ten z kadr mówi: "Pisz pan podanie". Ja mówię, że zostałem trochę nielegalnie zwolniony, bo związki zawodowe nie podpisały - a on: "Co pan tu dyskutuje, pisze pan albo nie?" Ja mówię: - "Chwileczkę, czy mogę zadzwonić?" - "Dokąd?" Zadzwoniłem do dyrektora ekonomicznego. Był akurat. Mówi - "Daj mi go". O czym rozmawiali - nie wiem - ale od razu, bocznym wejściem do szefa kadr. Prosi siadać, pall-malla podsuwa, chętnie bym może zapalił, ale ambicja robotnika... Sytuacja była taka, że mogłem sobie wybrać, co chcę robić w Stoczni. Kto wie, gdybym powie-

dział, że chcę zostać budowniczym, pewnie bym dostał biały hełm, ale podyskutowaliśmy i postanowiłem, że pójdę na ten sam wydział, gdzie byłem przedtem i będę robił to, co robiłem.

Wchodzę na wydział do kierownika, a tam siedzi sekretarz POP i mówi: "Uznaliśmy, że możemy pana przyjąć". No i wtedy się moja historia zaczęła.

Nigdy się nie spóźniałem do pracy. Zdarzyło mi się raz: 25 stycznia pół godziny zasnąłem. Przyjechałem i słyszę: Niecko, Niecko. Myślę, co tu jest grane, czy by już wszyscy wiedzieli, że ja jestem spóźniony? Okazało się, że jest spotkanie z Gierkiem w Warszawie i mnie wybrano jako delegata. Masówka zakończyła się o 7.20, o 8.00 spotkanie w dyrekcji, o 9.00 wyjazd. Podchodzę do dyrektora, mówię: - "Panie dyrektorze, ja do Wejherowa nie zdążę, a muszę się przebrać". - "Bierz pan taksówkę" - mówi. Wziąłem taksówkę na rachunek Stoczni - pojechałem.

Okazało się, że nie pojechaliśmy do Warszawy, tylko do Gdańska do WRN. Na sali, w tym okrągłaku, było około 350 osób. I moment ciekawy: jest tow. Gierek, tow. Jaroszewicz, tow. Szlachcic, tow. Karkoszka, który zabrał głos, króciutko nawiązał do sytuacji i mówi - "Kto chce zabrać głos?" - ale takim tonem, jakby nikt głosu zabierać nie miał zamiaru. Patrzą po sali - delegaci elegancko ubrani, w garniturkach, a ja taki skromniutki, krawat niejednego tyle kosztował, co moje całe ubranie. Cisza trwała jakieś 30 sekund. Wstałem. On mówi: "Towarzysz z miejsca, czy z trybuny?". Z miejsca, to by mnie nikt nie słyszał. Zasuwałem do trybuny. Powiedziałem o wykrzywieniu roli partii,

182

o tym, że związki zawodowe nie spełniają swojej roli, o źle działającej administracji, skrytykowałem głosy podawane w prasie, że będzie tania kaszanka i kości dla robotników i te najbardziej bolesne sprawy - dałem opis wydarzeń w grudniu, wyraziłem się dosłownie, że ludzie mordowano. Nie wiem, w jakąś euforię wpadłem i ludzie na sali słuchali z uwagą, czasami mi się to udaje. Jak zaproponowałem, żeby uczcić pamięć pomordowanych dwiema minutami ciszy, wszyscy - sala i prezydium - wstali. Dwie minuty nie trzymałem, podziękowałem i usiadłem. Po moim wystąpieniu skrócili wystąpienia do 10 minut. Wystąpiło ogółem około 50 osób. Potem odpowiadali siedzący w prezydium. Szlachcic miał ułatwione zadanie, miał tam swoich takich - na posyłki i gdy na sali mówiono o aresztowanych - polecał sprawdzić. Okazywało się, że to nieprawda. Przynajmniej tak mówił. Gierek trzymał się generalnie linii, że rząd będzie rządzić, a partia będzie partią. Gierek mówił przekonywająco, potrafił przy tym stworzyć taką atmosferę, że wszyscy czekali na ten moment, gdy powie: "Pomożecie?". To był majstersztyk i on w to wierzył, i to było przekonujące.

No i niby bardzo dobrze, ale mnie zaskoczyła jedna sprawa. Byłem zobowiązany przez kolegów do zabrania głosu, przedstawienia sprawy. Wydawało mi się, że się z tego wywiązałem. Patrzyłem na salę, na te zadowolone twarze, w większości pizate, w białych koszulach i pięknych krawatach. Od razu można było zobaczyć, kto tutaj jest robotnikiem, a kto tym, kto pilnuje robotników. Bo jeśli człowiek ma 50 lat i jest robotnikiem, to jego ręce nie są takie białe, jego twarz

nie jest taka gładka, nie jest tak pucułowata przede wszystkim, a takich była niestety większość. I dlaczego sądzę, że była tam jakaś manipulacja: najpierw, po słowach Karkoszki: "No to kto z towarzyszy zabierze głos?" - jeden czyta, drugi udaje, że pisze, wszyscy wyczekują, bo a nuż powie coś, co by akurat nie pasowało? I to, że ta awangarda PZPR nie zdobyła się na to, aby narzucić ton spotkaniu, to mi umożliwiło wystąpienie.

W przerwie, w ubikacji otrzymałem ustną propozycję. Znalazła się też butelka z C_2H_5OH i szklanka. Byłem zdegustowany. Tym ²₅ bardziej, że wieczorem w telewizji pokazano różne wystąpienia - moje przemilczano zupełnie. Dlaczego nie pokazano w telewizji tego, gdy mówiłem, że mordowano ludzi, a pokazano, że "pomożemy, towarzyszu Gierk". Mogę mieć żal? I mam do tej pory. Są dwie sprawy, o które dobijałem się przez lata: pierwsza, to dlaczego tak postąpiono w telewizji. Druga - decyzja o tym, że praca w Stoczni przerwana zapadła o godzinie 19. Dlaczego Kociołek o 20 i 21.30 w powtórzeniu, do pracy nawoływał i dlaczego te komisje, które miały to badać, tej sprawy nie wyjaśniły.

Zebrania z załogą nie było, wtedy, po tym spotkaniu w Gdańsku. Nie widziano wówczas potrzeby, aby zwoływać jakieś masówki, zebrania. Było to wręcz zakazane. To nie było potrzebne, nie trzeba było tworzyć fermentu, tym bardziej, że sporadyczne momenty przerywania pracy następowały.

Po tym wszystkim ktoś się tam gdzieś dopatrywał, że Niećko kiedyś do ZMS-u należał. Ja sobie nie przypominam, żebym się zapisywał, i zaproponowa-

nowano mi, czy bym nie chciał eksponować tych spraw, które widzę, na forum szerszym i już legalnie. Wyraziłem na to zgodę. I zaczął się etap mojej pracy społecznej. Był wtedy potrzebny jakiś robotnik - mówiąc po partyjnemu - bezkompromisowy, który by tę wolę ludu przedstawiał. Zostałem wybrany do prezydium ZMS w Stoczni, ba! do prezydium Zarządu Miejskiego ZMS. Zaczęli mnie znać ci, których nigdy nie znałem. Nawet trafiłem na plenum Zarządu Wojewódzkiego ZMS. Po roku czasu wybrano mnie na zlot przodowników. Nie wiem dlaczego. Może wskutek moich wystąpień, bo mnie jednak ludzie słuchali. Myślę, że gdy zapadła decyzja - i to nie na szczepku zakładu, ale na szczepku województwa - żeby się mną zająć, to oni tak samo jak ja wierzyli, że jest możliwa jakaś poprawa. I trzeba było autentycznych robotników, żeby o tym głośno mówili.

I dorobiłem się tej historii, że robotnik - a pracuję godzinę, a może wcale. Ja mam sto godzin pracy społecznej. Taki ze mnie robotnik, że mam pomocnika, który za mnie zasuwa. Ja mam płaconą średnią z trzech - a on pracuje za mnie. Tak nie mogło trwać długo. Okazja się stworzyła, że w gdyńskiej przemyśłowce źle się dzieje, młodzież się buntuje. Wymyślili: Andrzeja posłać, niech porządek zrobi. Uważałem, że dla mnie w Stoczni miejsca nie ma, że jeżeli będę pracował normalnie jako robotnik, bez poparcia instancji politycznych, to mnie mistrzowie uziemią. Propozycję przyjąłem. Przeniosłem się do Gdyńskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego. Przeniesienie służbowe, z jednym zadaniem partyjnym: zrobić porządek. Chodziło o sprawy takie: przy budowie fabryki domów

w Kokoszkach młodzież się buntowała, tam były zwichrowane patronaty - zrobić z tą młodzieżą porządek. Załoga nieduża - dwa tysiące ludzi na 50 placach budowy.

Przyjąłem się jako hydraulik, w tej grupie - nas hydraulików było chyba 13 - dość dobrze sobie radziłem i ta praca mi się podobała, bo była pięć razy lepsza, niż ta, jaką wykonywałem w Komunie, płaca mniej więcej ta sama. Ale obowiązek polegał na tym, by od września do grudnia tak poprowadzić sprawę, by mnie wybrano przewodniczącym ZMS. Sugestia ze strony Zarządu Miejskiego ZMS była następująca: jest hufiec OHP liczący 150 osób, zrobimy zebranie, liczymy, że przyjdzie 50 osób załogi, wyłożymy 100 ohapowców z nakazem głosowania na ciebie i nie ma sprawy. Nie zgodziłem się. Powiedziałem, że jeśli mam być wybrany, to niech to będzie wola załogi, a nie efekt nakazu danego ohapowcom. Zacząłem od strony rozrywkowej: wzmacniacz, kolumny, magnetofon - co sobota wieczorem. Po budowach się przewijałem, bo myśmy prowizorki robili, zdobyłem wielu kolegów. W grudniu nastąpiły wybory. Wszedłem do zarządu, ale była kwestionowana sprawa przewodniczącego. Z tym, że ustalono krótko: jeśli będę, to będę na etacie. Chcąc dobrze działać, muszę być na etacie. Chciałem uwić sobie gniazdko. Postanowiłem zrobić patronat - i to mi się naprawdę udało. Nie jest sztuką, jeśli ma się dziesięć czy dwadzieścia budów, zrobić jedną wzorową kosztem materiałów z tamtych budów, kosztem ludzi lepszych itd. Podpisaliśmy umowę patronacką, składającą się z 21 paragrafów, na szczęblu dyrekcja - nasz zarząd w obecności plenum Komitetu Miejskiego. Ja miałem wybór pracowników, materiałów - wszystko

do dyspozycji zapewnione przez dyrektora. Myśmy po prostu montaż robili na naszej budowie i nasz obiekt zamiast w 10 miesięcy - stanął w trzy. Euforia po prostu. Chciałem coś zrobić, żeby się wykazać, tylko za mocno uderzyłem i za dobrze. Było to niestety kosztem innych budów. Jechał np. samochód z płytami stropowymi, to my go potrafiliśmy krótkofalówką cofnąć, bo nam zabrakło do zakończenia stropu, to znaczy robił to dyspozytor na polecenie dyrektora. Tak samo ludzie - najlepszych fachowców braliśmy. Obiekt stanął w trzy miesiące. Wywołało to z jednej strony euforię w dyrekcji, z drugiej - niezadowolenie wśród ludzi, bo u nas zarabiali po 8-9 tysięcy, a na innych budowach po 3-4. Ponadto te sobotnie ubawy, nielegalne, bo tam urząd podatkowy się dochrzaniał, ale to już nieistotne było. Premie, nagrody - dawało się naszym ludziom. Zakończyliśmy bankietem, wycieczką do Niemiec.

No, ale co dalej? Chciałem robić drugi budynek, ale już wtedy mnie uziemili, że niby za drogo. Zabrano mi ludzi, dostawa materiałów była nie taka i trzeba było znaleźć jakąś załogę. Ale skąd, jak wszędzie brak, a przypadkowych brać nie ma sensu. Albo się podać do dymisji. Doszedłem do wniosku, że dla mnie miejsca w działalności politycznej nie ma. Żądano ode mnie efektów: daj nam czterech kandydatów do partii. Skąd wziąć? jak ludzie nie chcą? Działalność szkoleniowa: małe wykorzystanie lektorów. Zgoda, ale ludzi zniechęcają te wykłady. Dokumentacja z działalności: bardzo dobrze to prowadziłem u siebie, ale nic nie szło do Zarządu Miejskiego. Zarzucili mi, że mam bałagan, dwie komisje

rewizyjne, niezależnie od siebie mi przysłali. Coś trzeba zrobić, ale dylemat: gdzie ja się wycofam? Bo jestem spalony jako działacz polityczny, ale jako pracownik również. Był 1973 rok.

Znalazła się fucha, dość ciekawa: Zrzeszenie Ludowych Zespołów Sportowych. Jako odskocznia. I powolutku, powolutku do normy mógłbym dojść. I chyba to osiągnąłem. Tydzień czasu miałem na to, żeby przygotować zjazd. Zjazd zrobiłem, wybory wygrałem. Nauczyłem się w tej działalności politycznej, jak się takie rzeczy robi. W tydzień czasu zostałem prezesem, choć nikt mnie tam nie znał. Zostałem działaczem sportowym. Przesiedziałem tam dwa lata, do partii należałem przy Urzędzie Powiatowym. Zarzucili mi, że składek nie płacę. Więc na najbliższej egzekutywie złożyłem swoją legitymację kandydacką i od tamtej pory nie należę.

A ponieważ ta działalność niby sportowa też nie bardzo była mi w smak, zostałem zaopatrzeniowcem. Teraz jestem członkiem "Solidarności", wybrano mnie do Komisji Zakładowej.

Jedno jest pewne: cały czas mówiłem szczerze. Jest to wypowiedź robotnika, który przestał być robotnikiem, który chciał coś zrobić dla poprawy, ale który nie mógł. I wobec tego przestał.

Relacja Mariana Gintrowskiego

W dniu poprzedzającym opisane wydarzenia obstawiono czołgami, samochodami pancernymi i artylerią różnego kalibru Stocznnię Gdyńską im. Komuny Paryskiej oraz całą ul. Polską, począwszy od mostu kolejowego aż do Dworca Morskiego. Wojsko było w ostrym pogotowiu, o czym świadczyły taśmy ostrych nabojów pozakładane przy karabinach maszynowych.

Oprócz wojska, które zachowało spokój i powagę na samym moście kolejowym Gdynia-Stocznia, kręciło się kilkunastu milicjantów w hełmach, z granatami za pasem. Milicjanci ubrani byli w panterki. W dniu tym wieczorem wysłuchałem przemówienia Stanisława Kociołka. W swym przemówieniu wzywał wszystkich pracowników i robotników wszystkich stocznii oraz innych zakładów pracy, ażeby jutro przystąpili do pracy. Twierdził, że strajk nic nie da, bo rząd nie posiada pieniędzy.

Faktycznie, następnego dnia /nie pamiętam daty/ już na dworcu we Wrzeszczu o godz. 6.20 rano można było zauważyć dużo ludzi, którzy udawali się do pracy w Gdyni. w kolejce elektrycznej, która wówczas kursowała do Gdyni-Stoczni było dużo ludzi.

Podróż nie zapowiadała żadnej tragedii, która miała się rozegrać. Młodzież w wagonach dowcipkowała, nastrój był wesoły. Jednak już od Sopotu towarzyszył nam aż do Gdyni helikopter. Po przyjeździe na stację Gdynia-Stocznia pociąg się zatrzymał. Po automatycznym otwarciu się drzwi pasażerowie wysypali się na peron,

z którego schody prowadzą na pomost ponad torami. Po kilkunastu metrach pomostu znowu należy zejść na betonowy most kolejowy. Młodzi chłopcy, w wieku 18-20 lat, pierwsi pragnęli dopaść schodów, eżeby być pierwszymi na pomoście i ten moment najprawdopodobniej uretował większą liczbę ludzi od śmierci lub kalectwa. Gdy trójka młodych ludzi była w połowie schodów, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, padła salwa z pistoletu maszynowego i trzech młodych stoczniowców jak ściętych padło na stopnie pomostu. W tym czasie już duża grupa ludzi zbliżyła się do schodów. Strzelał już nie jeden pistolet maszynowy, ale dwa, a później trzy. Robotnicy cofnęli się za wagony.

Zauważyłem jeszcze kilku ludzi wijących się z bólu, na pewno rannych, w tym jedną młodą kobietę mniej więcej w wieku 24-26 lat, która prawdopodobnie została ranna w głowę z prawej strony, trzymała bowiem dłoń przy prawej skroni, przez rękę spływała krew. Krzyczała "Za co? za co? co robicie? za co?". Kobieta ta była w 7-8 miesiącu ciąży. Po kilku minutach upadła na peron i jacyś ludzie, najprawdopodobniej kolejarze lub tramwejarze, w kocu, znieśli ją na pobocze, na ulicę łączącą Stocznnię z Gdynią mostem. Tam zatrzymano autobus i umieszczono w nim ranną razem z tymi, co ją ratowali. W tym czasie zełogę pociągu przygotowała pociąg do powrotu. Kto jeszcze był na peronie i zdążył skoczyć do pociągu, ten prawdopodobnie uratował się. Między tymi ostatnimi znalazłem się również i ja. Pociąg ostrzelano z broni ręcznej, jednak już nieszkodliwie. Pociąg jadący wolno w kierunku Gdyni dał nam możliwość obserwacji ulicy, już

wspomnianej - z Gdyni-Stocznia do Gdyni - która biegnie równolegle do torów. Otóż na tej ulicy były już tłumy ludzi, prawdopodobnie z poprzedniego pociągu, którzy podążali pieszo do Gdyni. Helikopter pilotujący nasz pociąg do Gdyni obniżył lot i zaczął z broni maszynowej strzelać do bezbronnych ludzi, w większości kobiet. Widziałem, jak ludzie padali, jednak nie mogę stwierdzić, czy byli zabici lub ranni. Może to tylko była obrona, przywarcie do ziemi.

Jak się później dowiedziałem, prawdopodobnie w helikopterze oprócz pilota i strzelce pokładowego znajdować się miał sam tow. Kociołek, który akcją tą kierował i dał milicji taki rozkaz strzelania - jednak to słyszałem z opowiadania.

Jeszcze jeden ważny szczegół. Na pomoście przy Gdyni-Stoczni były pozakładane zwoje drutu kolczastego na całej długości, co również uniemożliwiało strzelającym milicjantom zmianę pozycji lub zbliżenie się do pomostu. Wojsko w tym nie brało udziału, biernie się tylko przyglądało wypadkom, które miały miejsce w pamiętnym dniu na peronie Gdynia-Stocznia.

Relacja Pawła Prangi,
pracownika Zarządu Portu Gdynia
/fragment większej całości, dotyczący
wydarzeń grudniowych/

W poniedziałek dnia 14 XII 1970 r. zostałem przydzielony do pracy wraz z innymi kolegami, do próbobrania jelit. Wszyscyśmy dyskutowali gorąco o podwyższonych cenach na wszystkie dosłownie artykuły żywnościowe, łącznie z dżemami. W pewnym momencie kolega Mieczysław Jarocki, którego lubiłem za prawdomówność i odwagę cywilną, poinformował nas wszystkich, że w Gdańsku wybuchły niepokoje w związku z podwyżką cen na żywność. Wyraziliśmy przypuszczenie, że niepokoje rozciągną się na Gdynię i inne miasta. Wszyscyśmy byli niezadowoleni z podwyżki cen. We wtorek rano, 15 XII 70 r., załoga Rejonu I o godz. 7.00 rano jeszcze przystąpiła do pracy, ale chodziły słuchy, że w sąsiadującej z Rejonem I Stoczni im. Komuny Paryskiej niektóre wydziały zaprzestały pracować.

W pewnym momencie w godzinach przedobiednich - dokładnej godziny nie pamiętam - do magazynu 14, w którym pracowałem, weszła grupa robotników apelując o przerwanie pracy, co też wszyscy pracujący w magazynie uczynili. To samo uczynili pozostali robotnicy w Rejonie I i częściowo w II. Wszyscy się udali demonstracyjnie na ulice Gdyni pod Zarząd Miejski i Komitet Miejski PZPR. Ja sam tego nie uczyniłem ze względu na silne bóle w łydce lewej nogi /zwężenie tętnic/. Kierownik Rejonu ob. Łatacz, jak i I Sekretarz POP Grabowski usiłowali uspokoić ludzi, ale bez skutku. Wszyscy mieli już dość tej całej gadaniny.

W środę dnia 16 grudnia nikt nie podjął pracy w Rejonie I, a w Rejonie II pracowały w magazynach i przy zakończeniu statków pojedyncze brygady. Rejon IV natomiast pracował normalnie. O godz. 8 uformował się pochód na ulicy Dokerów i ruszył w kierunku Nabrzeża Rumuńskiego. Pochód przystanął na chwilę przed Bazą Sprzętu Zmechanizowanego, mieszczącą się wówczas w magazynie "R". Po chwili pochód ruszył dalej w kierunku Nabrzeża Rumuńskiego i dołączył do zgromadzonych na placu między magazynem 19 i 20. Z rampy magazynu 20 przemawiali niektórzy robotnicy i to zupełnie rzeczowo, wskazując, że powodem złej sytuacji gospodarczej jest nieudolna praca, złe zarządzanie rządu i partii, szczególnie na odcinku rolnym. Jedni mówcy apelowali przy tym, by wyjść na ulicę, inni natomiast proponowali przemarsz przez port, by skontrolować czy wszyscy koledzy na II i III Rejonie przerwali pracę.

W IV Rejonie pracowano. W II tylko przy zakończeniu angielskiego statku i prawdopodobnie w magazynie "H" - długoterminowym.

Jeszcze na placu podszedł do mnie kolega Mieczysław Jarocki i oświadczył mi: "Ty, Pawełek, musisz z powrotem wrócić do Rady Zakładowej. Tyś był w porządku!". Ja na to odpowiedziałem: "Nie chcę o tym słyszeć! Trzeba by najpierw zmienić całą strukturę w związkach zawodowych, inaczej to nie ma sensu". Mówiłem, że mam pod tym względem doświadczenie z lat 1956-58 i prosiłem, by zaniechano wysuwania mej kandydatury, jeśli koledzy nie chcą, by mnie aresztowano. W tym momencie kolega Jarocki odszedł i gdy po chwili znów do mnie wrócił oświadczył: "Już

Pawełek jesteś zapisany!". Ja odpowiedziałem: "No, to moje aresztowanie pewne!".

Po wiecu utworzyliśmy pochód i udaliśmy się gremialnie do Rejonu II, idąc Nabrzeżami Rotterdamskim i Polskim, spędzając po drodze dźwigowych, którzy jeszcze pojedynczo przebywali na dźwigach. Na ulicy Polskiej stało pełno wozów pancernych.

Koło Dworca Morskiego nasz pochód, do którego dołączyli częściowo koledzy z II Rejonu skręcił w ul. Polską i stamtąd na Nabrzeże Duńskie. Po przekonaniu się, że dźwigi w Rejonie III stały bezczynnie, skręciliśmy drogą prowadzącą na ul. Chrzanowskiego koło V-go Komisariatu MO i stamtąd znów na ul. Polską i dalej, w kierunku Zakładowego Domu Kultury.

Cały czas, podczas pochodu przelatowały nad nami helikoptery, robiące - jak się później okazało - zdjęcia. Podczas powrotnej drogi namawialiśmy załogi wozów pancernych, by dołączyli do pochodu. Członkowie obsługi wozów pancernych wzruszali ramionami odpowiadając: "Nie możemy".

Po dojściu pochodu do Zakładowego Domu Kultury nastąpił krótki wiec, podczas którego kilku robotników przemawiało, upominając by się wystrzegać prowokatorów, którzy mogą rozbijać sklepy, kradnąć na konto klasy robotniczej, a nawet podpalać gmachy różnych instytucji, tak jak to miało miejsce w Gdańsku. Po wiecu odśpiewano "Międzynarodówkę" i pochód rozwiązano.

Charakterystycznym było w grudniu 1970 r. to, że pracownicy umysłowi, tak ZP Gdynia, jak i innych przedsiębiorstw, w swej olbrzymiej większości przyjęli postawę wyczekującą, bierną, nie biorąc w niczym udziału.

Cały aktyw partyjny, kierownictwo Rejonu oraz ZP Gdynia /dyrekcja/ wraz z Przewodniczącym RO Związkowej i Rada Zakładowa zabarykadowali się w swych biurach w I Rejonie, a nawet udali się do dyrekcji skąd obserwowali wypadki poprzez swych zaufanych donosicieli.

O godz. 23.45 zostałem raptownie obudzony przez funkcjonariusza MO, starszego sierżanta Hebra /obecnie mieszkającego w RFN/ oraz pracownika MO w cywilu, o nieznanym mi nazwisku. Kazano mi się ubrać i rzekomo tylko na 15 minut udać się w ich towarzystwie na komendę MO w Wejherowie. Od razu zorientowałem się co do powodu mego aresztowania. Żona moja dała mi do zrozumienia, że otworzyła drzwi na skutek pukania, myśląc, że syn Marian przyjechał na urlop z wojska. Przed domem stała już tak zwana "buda" milicyjna, do której kazano mi wsiąść. Muszę z całą obiektywnością stwierdzić, że pracownicy MO podczas aresztowania mnie, zachowywali się względem mojej osoby, jak i mojej żony, poprawnie.

"Buda" zamiast jechać na ul. Dworcową, gdzie mieściła się Komenda Powiatowa MO, skręciła na ul. Sobieskiego w prawo, pod bramę więzienną, gdzie kazano mi wsiąść. Od razu zorientowałem się, że te rzekome "15 minut" się cokolwiek przedłuży.

Gdy po odejściu eskorty zostałem ze strażnikiem, którym był mój kolega szkolny, poprosiłem go, by cichaczem powiadomił mą żonę, że przebywam w wejherowskim więzieniu, mówiąc mu przy tym, że ma małżonka będzie się bardzo niepokoiła o mnie, gdy po kilku godzinach nie wrócę do domu. Jak się później okazało, w ogóle mej żony nie powiadomił; okazał się kompletnym

tchórzem! Tłumaczył mi później, że nie znał mego adresu, co było nieprawdą.

Żonę mą powiadomił za pośrednictwem swej znajomej zupełnie mi nie znany młody funkcjonariusz więzienny, w stopniu plutonowego, którego o to poprosiłem dyskretnie. Powiadomienie mej żony było koniecznym warunkiem jej psychicznego uspokojenia. Wprost szalała z rozpacz. Biedaczka, przez lata zamartwiała się z mego powodu, znając mój bezkompromisowy charakter.

Z "izby przyjęć" zaprowadzono mnie do podziemi więziennych, gdzie wyfasowałem ręcznik, mydło, prześcieradło i koc z powłoką. Bezpośrednio stamtąd zaprowadzono mnie do celi w suterenie, jeśli się nie mylę była oznaczona numerem 8-ym. Okno celi znajdowało się na poziomie podwórza więziennego. Z okna można było obserwować codzienny spacer więźniów kryminalnych i więzienie kobiece mieszczące się w starym budynku. Nas politycznych na spacer nie wypuszczano nigdy i to widocznie dlatego, byśmy się nie orientowali ilu nas w Wejherowie siedzi. Prawdopodobnie 600 osób. By szykować miejsca dla politycznych, więźniów kryminalnych przenoszono do innych miejscowości.

Po wejściu do celi zorientowałem się, że jestem pierwszym więźniem tej celi. Co prawda leżał tam już jeden człowiek na łóżku, na piętrze, przy oknie, ale od razu zrozumiałem, że to "kapuś". Tenże rzekomy więzień opowiadał mi, że razem przesiedział już 13-cie lat za przestępstwa kryminalne, między innymi za pobicie milicjanta. Akurat! Trafił jak kulą w płot. Takie chuchro i pobicie milicjanta! Że me podejrzenia były słuszne, okazało się zaraz tego samego

dnia, to jest 17 XII 1970 r., gdy nas wyprowadzono na przesłuchanie, przeprowadzane zawsze wieczorem przez służbę bezpieczeństwa. Wtenczas kierowano owego osobnika zawsze w inne pomieszczenie, widocznie celem "wyspowiadania" go.

Około godz. 5-ej rano, gdy już się zadomowiłem w celi /przybyłem do niej krótko po północy z 16 na 17 grudnia/ przybył nowy więzień. Był nim ob. Langa z Wejherowa. Znałem go z widzenia - pracował jako operator sprzętu zmechanizowanego w Rejonie I. Jak opowiadał, zabrano go nad ranem z domu. Nie orientował się z jakiego powodu go aresztowano. Przypuszczał, że powodem aresztowanie było jego krytyczne ustosunkowanie do rzeczywistości. W celi były tylko 4 łóżka, które się wnet zapełniły "pacjentami". Dla pozostałych 4 więźniów rozkładano sienniki na noc na podłodze. Dla większej liczby więźniów nie było już miejsca w tak małej celi. Wszyscy więźniowie byli, jak sami twierdzili, zorientowani, co do powodu ich aresztowania.

Wyprowadzano nas do ubikacji dwa razy na dobę, rano i wieczorem. Potem rano myliśmy się. Do celi wniesiono kubeł w celu umożliwienia więźniom załatwiania swych potrzeb fizjologicznych.

Posiłki były 3 razy dziennie. Bodaj o 7.00 rano śniadanie składające się z zupy, kawy i chleba. Gdy była tylko kawa, to do chleba otrzymywaliśmy margarynę, marmoladę czy kawałek kiełbasy. Obiad jednodaniowy, kolacja miała miejsce, jeśli się nie mylę o godz. 18.00. Prawie zawsze zupa i chleb. Mnie, jako niewybrednemu człowiekowi wszystko smakowało, nie narzekałem na jedzenie.

W czwartek wieczorem przybył nowy więzień, ósmy, czyli ostatni. Od niego dowiedzieliśmy się o strzelaninie na pomoście przy przystanku Gdynia-Stocznia, jak i przed Zarządem Miejskim w Gdyni. Mówił o poległych i rannych, w tym kobietach i uczniach szkół. Przypuszczał, że będzie proces pokazowy i surowe wyroki. My, według jego zdania, jesteśmy zakładnikami. W pewnym momencie podszedł do mnie i powiedział: 'Panie Pranga! Pan także tu?'. Wtenczas wprost zdębiałem. Jak sam opowiadał, pracował w Stoczni Remontowej w Gdyni i też nie wie za co go aresztowano. Był to zupełnie młody człowiek, którego widziałem chyba po raz pierwszy w życiu. Od razu odniosłem wrażenie, że to nasłany szpicel.

Przez cały czas pobytu w więzieniu domagaliśmy się wszyscy widzenia z prokuratorem, ale bezakutecznie. Pragnęliśmy poznać powód naszego areztowania. Co dzień wieczorem, przy przesłuchaniach przez służbę bezpieczeństwa niczego się nie mogłem dowiedzieć. Ciągłe te same pytania, co robiłem 15 i 16 grudnia i gdzie przebywają moje dzieci oraz gdzie pracują.

W piątek dnia 18 grudnia w godzinach popołudniowych odwiedziła naszą celę umundurowana pracownica administracji więziennej. Każdemu z więźniów wręczyła wydrukowany formularz z następującym pytaniem: "Komu zwrócić pański depozyt, gdyby już pan sam nie był w stanie odebrać?". To nas zaszokowało! Przecież przy przyjmowaniu nas do więzienia pytano o adres i stan cywilny. W wypadku, jak ktoś był stanu wolnego, to logiczne, że w razie zgonu, rodzice byli uprawnieni do odbioru depozytu. W razie, gdy ktoś z żonatych by zmarł, należało depozyt zwrócić żonie. Nawet

198

rzekomy więzień, co miał 13 lat przesiedzieć w więzieniu za sprawy kryminalne, na zapytania zadawane przez więźniów, odpowiadał, że takiego formularza nigdy nie widział. Wszyscy pospuszczali głowy milcząc przez całe dobre dwie godziny. Wyglądało na to, że dają głowy. Niewesoła perspektywa przed nami. Pomyślałem sobie: "Istna tragedia-komedia! Oto ja, stary robociarz będę zlikwidowany za to, że nie cieszyłem się obowiązkowo z podwyżki cen. Wyrok w tej sprawie wyda sąd, który stoi wiernie na straży interesów klasy robotniczej, a wyda wyrok na robotnika, którego "interesów" strzeże czujnie ustrój socjalistyczny. Dzieci moje będą mieć łatkę na całe życie, jako dzieci "wroga ludu" słusznie skazanego przez Sąd Ludowy!"

Jedni się modlili, drudzy milczeli - patrząc tępo w podłogę. Rozmyślenia nasze przerywał strażnik więzienny, który otworzywszy drzwi celi kazał nam iść za sobą. Zaprowadził nas do pewnego pomieszczenia, gdzie każdego sfotografowano z wszystkich stron, z tabliczką na piersiach. Na tabliczce był wymalowany odpowiedni numer. Spisano ewentualne znaki szczególne oraz pobrano odciski z wszystkich palców z obu dłoni. Po tych czynnościach znowu nas zaprowadzono do celi.

Jedni siedzieli milcząc w zadumie, inni się modlili. Ja sam stałem się zupełnie obojętny na wszystko. Nic mnie nie obchodziło. Postanowiłem, że w razie skazania mnie pójdę odważnie na śmierć i w ostatnim momencie krzyknę: "Niech żyje Polska!". To śmieszne, ale nic innego, mądrzejszego, nie przychodziło mi do głowy.

W sobotę 19 grudnia ten sam rozkład dnia, jak zawsze. Po pobudce - śniadanie, później

obiad i wieczorem przesłuchanie przez służbę bezpieczeństwa oraz kolacja. Zawsze prawie te same pytania i odpowiedzi. Ludzie ze służby bezpieczeństwa byli zawsze elegancko ubrani, w czarne wizytowe ubrania. Zachowywali się poprawnie. Każdy z więźniów chodził zawsze do tego samego pracownika na przesłuchanie. Tego wieczoru ja sam odniosłem wrażenie, że coś się zmienia na naszą korzyść. Przesłuchujący mnie dawał mi dyskretnie do zrozumienia, że będziemy może wkrótce zwolnieni. Widać było po nim, że sam by tego pragnął. Wyczuwało się zupełnie inną atmosferę wśród strażników. Nawet jeden z nich, który często stawał przy naszym oknie, wychodzącym na podwórze więzienne, gładząc przeciwko nam, stał się jakby więcej ludzki w słowach. W czwartek 17 grudnia stanął na podwórzu więziennym koło naszego okna i mówił z rosyjską: "Nu polski chłob wam nie nrawitsa, łudszy hitlerowski?". Ciekawym było to, że ów strażnik nie miał z nami w ogóle styczności - pilnował kryminalistów podczas spaceru na podwórzu. Widocznie dokuczał nam "bezinteresownie" - z zamyślenia.

W niedzielę 20 grudnia po pobudce, jak zwykle wprowadzanie nas do mycia i ubikacji, potem śniadanie. Po śniadaniu znów obserwowaliśmy spacer więźniów z Wydziału Kryminalnego i oczywiście naszego strażnika "przyjaciela". Pobąkiwano o posiedzeniu Plenum KC PZPR w Warszawie, o jakichś zmianach na szczycie Partii. Po obiedzie jeszcze większe podniecenie. Wieczorem, może

200

około godz. 18 wywołano nas na korytarz. Okazało się, że jest pełen więźniów, takich jak my. Wtenczas okazało się, że jest dużo znajomych twarzy z Portu Gdynińskiego i Stoczni. Poznałem sam jednego z brygady manipulacyjnej z Rejonu I - ob. Klebę oraz jednego operatora sprzętu zmechanizowanego z Bazy Wózków Rejonu I. Nazwiska jego już nie pamiętam. Współtowarzysze niedoli twierdzili, że aresztowanych w więzieniu wejherowskim siedziało 600 więźniów politycznych. Wszyscy zdawaliśmy bieliznę i pościel więzienną.

Ci, co byli jeszcze na wolności w czwartek 17 grudnia opowiadali, że zginęli nie tylko dojrzały mężczyźni, lecz także uczniowie szkolni oraz kobiety.

Po zdaniu wyfasowanych rzeczy, odebraliśmy nasz depozyt. Kolejno wywoływano nas po nazwisku i po dokładnym sprawdzeniu personaliów opuszczaliśmy więzienie. Pozamiejscowych odwożono do domów samochodami. Miejscowi udawali się do domu pieszo.

Po wyjściu z więzienia odetchnąłem głęboko czystym powietrzem. Cieszyłem się wolnością. Jednak Wigilię Bożego Narodzenia spędzę na łonie rodziny, a nie w więzieniu, jak się na początku zapowiadało.

Po powrocie do domu, chcąc zrobić żonie niespodziankę, prędko się rozebrałem, zgasilem światło i położyłem się do łóżka. Gdy moja żona wróciła do domu, w pierwszej chwili nic nie zauważyła. Ubrenię schowałem. Gdy w końcu mnie zauważyła, uściskom nie było końca. Opowiadała, jak się o mnie dowiadywała na milicji. Tam jej powiedziano, że nic o mnie nie wiedzą. Wmawiali żonie, że pewno mnie wywieziono do Gdańska.

Gdy syn Marian po Nowym Roku przyjechał na urlop z wojska, opowiadał, że kilka dni spali w pełnym oporządzeniu. Wmawiano im, że hitlerowcy chcą opanować Wybrzeże. To już naprawdę żądactwo. Tak okłamywano i ogłupiano Naród. W poniedziałek 21 grudnia 1970 r. udałem się do pracy. Zgłosiłem się do Sekretarza POP Nr 1 na Rejonie I, Grabowskiego i zapytałem go, jaki był powód mego aresztowania? Chyba nie ten, że ludzis bezpartyjni wytypowali mnie do Rady Zakładowej, mimo że wiedzieli, że byłem członkiem partii? "Powinniście być zadowoleni, że członek partii ma taki mir u załogi". Sekretarz Grabowski mi odpowiedział: "Za co was zamknięto, to powinniście właśnie nam powiedzieć! Będą na pewno wyciągnięte wobec was konekwencje!". Gdy to usłyszałem całą siłą się jeezcze opanowałem, by nie wybuchnąć oburzeniem. Miałem nieprzepartą chęć uderzyć w tę bezmyślną gębę. Po kilku dniach znów rozmawiałem z Grabowskim. Wziąłem go, jak to się mówi "pod włos". Pokazałem mu dwie cegiełki na Fundusz Wyborczy PPS, mówiąc: "Funkcjonariusze więzienni nie mogli się nadziwić, że takiego człowieka kazano zamknąć". Grabowski na mnie popatrzył i poprosił, bym mu jedną odstąpił, co też uczyniłem. Poleciał z tym do I Sekretarza Komitetu Zakładowego, Brańki. Co mu naopowiadał to nie wiem. W każdym razie został zaraz wysłany do Warszawy jako przedstawiciel załogi do Gierka. Pewnie jako eyn przedwojennego działacza robotniczego. Widziałem go w telewizji na przyjęciu w KC. Uśmiełem się z tego serdecznie. Wyełał go w imieniu załogi Rejonu I Brańka, obecnie dyrektor do spraw osobowych. Poprosiłem Grabows-

skiego o zwrot cegiełki motywując to tym, że chce jedną cegiełkę zatrzymać dla siebie, a tę, którą on posiada podarować Muzeum Ruchu Robotniczego. Grabowski przyrzekł, że mi ją odda, co jednak do tej pory nie uczynił - upłynęło już prawie 10 lat. Wkrótce po powrocie z Warszawy został przeniesiony do KZ PZPR przy ZP w Gdyni jako III Sekretarz. Po latach został usunięty z KZ, za co nie wiem, jak słyszałem od postronnych osób, za pijaństwo. Obecnie pracuje, jak się dowiedziałem, w Gdyńskiej Stoczni Remontowej, na etanowisku kierownika Działu Gospodarczego.

Z partią się rozstałem w 1978 r. czy 1979 - przestałem płacić składki. W myśl statutu powinienem zostać skreślony po 3-ach miesiącach niepłacenia składek. Ale gdy po latach nikt się do mnie nie zgłosił po legitymację partyjną, przypomniałem sobie rozmowę z grupowym Lemińskim. Skarżył mi się wówczas, że proszono ich /grupowych/, by się składali na składki dla emerytów /2 zł miesięcznie/, by w ten sposób uregulować zaległe składki partyjne i w ten sposób zapobiec ich skreśleniu z listy członków partii. Pomyślałem sobie: może i za mnie taki biedak uiszcza składki partyjne? Wobec tego wysłałem list polecony z prośbą o skreślenie z listy członków partii. Gdy nie przyjechał do mnie nikt po legitymację, zerwałem zdjęcie z legitymacji partyjnej i ją samą wysłałem listem poleconym w połowie września br. do POP Nr 1 z prośbą o powiadomienie mnie o powziętej decyzji na piśmie. Dotychczas nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Przez całe 20 lat mej przynależności partyjnej prowadziłem uczciwą, otwartą grę. Białe nazywałem zawsze białym, a czarne zawsze czarnym, jak

przystało na uczciwego człowieka. Za to mnie też nie głąskano, szykanowano, gdy to tylko było możliwe w najrozmaitszy sposób.

Relacja Zbigniewa Grabowicza,
inżyniera Stoczni im. Komuny Paryskiej
w Gdyni,
złożona w październiku 1981 r.

15 grudnia. Na zewnątrz to był chyba normalny dzień pracy, ale wewnątrz wszystko się kotłowało. Nasi zwierzchnicy nieustannie apelowali o spokój, o umiarkowanie. Zastrzegam, że to wszystko jest w mojej pamięci troszeczkę zamazane. O nieprzyłączanie się do zebrzań, które się w Stoczni odbywały, nasi biurowi zwierzchnicy apelowali na pewno. Administracja apelowała, żeby każdy wrócił do swojego miejsca pracy, nie wychodzić, nie przyłączać się, nie dać się sprowokować. W naszej komórce biurowej był taki niby normalny dzień pracy, ale wiadomo, że nikt nie pracował. Wyznaczono dyżury rotacyjne od godziny 15 do rana. Wydeje mi się, że słusznie tak postąpiono, bo w tym czasie nie wiadomo było, co komu przyjdzie do głowy.

16 XII w godzinach południowych szef biura podjął decyzję, aby dokumentację, która jest w pracowniach w trakcie robienia, przenieść w jedno miejsce na II piętro, w obawie, aby nie uległa zniszczeniu. W wielkim porządku i dyscyplinie zostało to u nas w biurze zrobione. Oceniam, że było to około godz. 14. I była taka informacja ustna, że zostają tylko ci wyznaczeni na dyżury, reszta miała jak najszybciej opuścić Stocznę, bo istnieje obawa blokady

204

wyjścia ze Stoczni.

W mojej ocenie bardzo odważnie postępował ówczesny dyrektor Stoczni, Tymiański. Psychoza tłumu jest czasami dziwna, różnie może się zdarzyć. Dyrektor bardzo odważnie wchodził w ten tłum. Pamiętam jak dziś, że nawoływał przez głośniki: "Panowie, ja ze wszystkimi nie mogę rozmawiać. Mogę rozmawiać z kilkoma". Wszyscy krzyczeli jeden przez drugiego, on był w środku tego tłumu. Należy to ówczesnemu dyrektorowi zapisać jako wielki plus, że nie schował się w kącie. Chciał być z ludźmi, chciał z ludźmi rozmawiać.

Dyżuruwałem w nocy z 15 na 16 XII. I pamiętam taki epizod: przezedł jeden z 'naszych kolegów - też dyżurował - i mówi, że był w stołówce coś zjeść, pora była wieczorna, wracając spotkał dwóch młodych stoczniowców idących przez Stocznnię. Byli podekscytowani, zachwyceni, że teraz to będzie u nas tak jak w Chinach, wszystko po równo.

Po całą dobę trwającym dyżurze poszedłem do domu i już nie wróciłem, bo już Stocznia - wiadomo - była zamknięta, tak że dzień 17 grudnia spędziłem w domu. Mieszkałem wówczas dokładnie naprzeciw Komitetu Miejskiego w Gdyni. Z moich okien - mieszkałem na IV piętrze - miałem dokładny obraz tego wszystkiego, co się tam działo. W nocy z 16 na 17 przed Komitetem był straszny szum. To wszystko się działo w ciemnościach, widziało się tylko to, co można było zobaczyć przebijając ciemność. Prawdopodobnie w tym szumie, zamieszaniu, zostało wszystko z Komitetu ewakuowane. Tak, że później pilnowano

już tylko pustego budynku. Rano, gdy już można było wyraźnie zobaczyć, to obraz wyglądał tak: przed budynkiem stały dwa czołgi z lufami skierowanymi na nasz dom, inne czołgi z boku i za Komitetem - z pięć ich stało dookoła. Widać było, że w budynku Komitetu są ludzie. W każdym okienku od czasu do czasu pojawiała się jakaś głowa - albo w hełmie, albo w czapce wojskowej, czyli tam było pełno wojska. Przed budynkiem stały też warty, ale byli to żołnierze, to znaczy strażnicy ubrani byli w wojskowe mundury. Zachowywali się bardzo spokojnie.

Widziałem z okna, jak nieśli tego młodego, nieżyjącego człowieka na drzwiach. Szli ulicą 10 Lutego. skręcili w ulicę Władysława IV. Od momentu, gdy zrobiło się jasno, ciągle krążyły helikoptery, obraz był zaciemniony dużą ilością gazów. Potem, ale też w godzinach przedpołudniowych, zobaczyłem zaskakujący widok. Szła jakaś szkoła. Od dworca, ulicą 10 Lutego szły w szyku dzieci - trzecio- lub czwartoklasiści i skandowały: "Wojsko z nami". Dziś się dziwię, że nauczyciele - czy kto je prowadził - zdecydowali się wyprowadzić dzieci w taki burzliwy czas.

Wieczorem ulicą Władysława IV, to była eksponowana ulica, szczególnie na wysokości Komitetu Miejskiego, przechadzały się grupy w mundurach wojskowych, hełmach, z pałkami. Wydaje mi się, że zupełnie niepotrzebnie, bo ja nie zaobserwowałem, żeby były jakiegokolwiek próby zakłócenia spokoju. Poza tym nic się specjalnie nie działo. Taki stan trwał aż do momentu tego słynnego przemówienia Gierka. Dosłownie: przemówienie się skończyło - słyszymy szum - wszystko sprzed Komitetu zniknęło, odjechało. Znowu niestrzeżony.

Relacja Wojciecha Drożaka, lat 19,
pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej
w Gdyni

16 grudnie skończyło mi się zwolnienie lekarskie i 17-go poszedłem normalnie do pracy. Rano, o godzinie 5.30 znalazłem się na przystanku Gdynia-Stocznia. Przy skrzyżowaniu Marchlewskiego z Czechosłowacką stały czołgi, no i po prostu nie puszczano nas do Stoczni.

No i wówczas cały ten tłum domagał się, żeby jednak pójść do pracy, dzień wcześniej Kociołek przecież nawoływał. Tłum powoli zbliżał się do tych czołgów, przy których już grupka ludzi stała krzycząc: - "Chcemy chleba!" - i znaleźliśmy się w odległości jakichś dziesięciu metrów od czołgów, od tych wojskowych pojazdów. Wtedy nastąpił wystrzał z armaty, żeby nastraszyć ludzi, wystrzał z lufy czołgowej w kierunku lasu.

Ludzie zaczęli się wycofywać, uciekać. Ja się zagapiłem i dopiero po chwili zobaczyłem, że znalazłem się prawie sam. Odwróciłem się, zacząłem uciekać i w tym momencie spojrzałem na słup metalowy, na który akurat, pewnie przypadkiem, lufa czołgu była ekierowana. I na tym słupie był taki rozbłysk, jak zimny ogień, tylko ogromny. I stała tam kobieta około 40 lat i dostała tymi odłankami, tymi odpryskami, tak że po strzale był krzyk, przewróciła się. /Później, gdy już karetki przyjechały, widziałem ją w karetce. Żyła jeszcze, ale widok był straszny, twarz zmasakrowana, nosa, oczu nie było w ogóle widać, strzępy, po prostu strzępy z twarzy/. Jak podbiegłem do tego tłumu, to

akurat natknąłem się na mężczyznę w zielonym golfie, który miał w okolicy serca ranę - krew tryskała tak, jak z kranu, jak pod ciśnieniem, to było straszne. Co się z nim stało, nie wiem, bo oni - milicja czy wojsko - pochodzili coraz bliżej, ukryci za tarczami wysokości człowieka i znowu uciekaliśmy. Niektórzy przez płoty na boki, część po schodach na pomost. I w tym właśnie momencie, kiedy ja zmierzałem na pomost, została ranna kobieta w ciąży, również w twarz. Widziałem bardzo dobrze, że miała oko, cały policzek, okolice noza poszarpane. Mogła być w 7-8 miesiącu ciąży.

Milicja czy wojsko zbliżali się tymczasem coraz bardziej z tymi tarczami, w maskach gazowych i rzucali petardy. Więc te petardy braliśmy w ręce i odrzucaliśmy w nich z powrotem. Kamieniami rzucali też wszyscy, tak żeśmy właściwie opanowali sytuację i oni musieli się cofnąć. Jak pierwsze kolejki zaczęły odjeżdżać, a to były te stare, które można było otworzyć z zewnątrz, stoczniovcy skoczyli do kolejki w biegu, zaciągnęli hamulce i ludzie chowali się w kolejce. No to zaczęli strzelać w kolejkę. Pote. odjechała, więc nie mieliśmy tej osłony. Na peronie była poczekalnia, jeszcze parę miesięcy później budynek wyglądał jak po wojnie, tyle w nim było dziur od kul.

Później nadleciał helikopter, ale to było później, tak przed ósmą. Bardzo nisko się opuścił, tak że widać było siedzących w nim ludzi. Byli uśmiechnięci i rzucali petardy. Jedna spadła pod sam most, patrzyliśmy, jaką siłę ma. Dużą miała, staliśmy na pomoście i podmuch na nim poczuliśmy. I znowu zaczęli strzelać,

więc uciekliśmy na Czerwonych Kosynierów. Przejedźzał wtedy pociąg towarowy, chyba w kierunku Wejherowa. Maksymalnie zwolnił, pewnie dlatego, że na torach było dużo ludzi i gwizdał; maszynista dawał taki przerywany, ale długo trwający sygnał. I to było w trakcie tych strzałów.

Na Czerwonych Kosynierów zatrzymywaliśmy prywatne samochody, ściągaliśmy paliwo i podpáliliśmy pomost. Nie zajął się, bo grudzień, mokro. I cały czas trwała walka. Raz oni się cofali - jak spadł na nich grad kamieni, raz my - jak zaczęli strzelać. Rannych ładowaliśmy do prywatnych samochodów, nieraz na siłę, bo nie zawsze chcieli brać.

Ludzie się potem zaczęli rozchodzić, ja spotkałem kolegę i poszliśmy do niego, na ulicę Wolności; było wtedy około godziny 11, a o wpół do pierwszej pojechałem kolejką do domu.

To było straszne przeżycie. Później, w domu, to w ogóle byłem zdziwiony, że żyję, bo ja się przecież przy tych czołgach znalazłem w pierwszym szeregu. Matka nadę mną czuwała, bo zrywałem się po nocy i krzyczałem.

Relacja Eleonory Karczewskiej,
pielęgniarki Przychodni Przychyłkowej
Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni

17 grudnia 1970 roku obudziły mnie strzały. Nie wiedziałam, co się dzieje, ale wstałam, przygotowałam się do wyjścia do pracy. Pracowałam w Przychodni Przychyłkowej w Stoczni jako pielęgniarka. Strzały dochodziły z kierunku Stoczni, mąż postanowił mnie odwieźć samochodem. Gdy dojechaliśmy do placu Kaszubskiego, widziałam pochód idący ulicą Migają, koło szpitala, od Stoczni. Pełna ulica ludzi i śpiewy.

Ulicą Marchlewskiego grupki ludzi podążały w kierunku Stoczni. Nad pomostem - dym i ogień zupełnie jak w filmie. Pali się kolejka, po pomoście bieżą ludzie, ktoś coś rzuca, ktoś gdzieś biegnie. Gdy zbliżyliśmy się do pomostu, była za pięć ósma. I w tym momencie usłyszeliśmy łomot kamieni o blachę samochodu, rzucono z nasypu. Przypuszczam, że nie wiedzieli, kto jedzie, samochód był zamknięty. Mało szyb nie wybili.

Na wiadukcie milicja. Zatrzymali nas i dobiegł do nas taki oficer milicji, który akurat męża znał, mówi: - "Panie Karczewski, gdzie pan jedzie, przecież nie wolno tędy, wycofać się!" Mąż mówi: - "Nie mogę się wycofać, bo mi kamieniami rozwalą wóz". A ten milicjant mówi: - "No to jedź pan szybko do przodu, ale skręcaj w Polską, może pan zdąży przejechać". Więc skręciliśmy w Polską, wylawirowaliśmy między czołgami do Chrzanowskiego i wróciliśmy do domu.

Mąż odstawił wóz i poszliśmy do miasta zobaczyć, co się dzieje. Szliśmy Starowiejską w kierunku dworca. Mijały nas samochody osobowe z wystawioną chorągiewką, taką normalną, biało-czerwoną, jadące na sygnałach. Więc przypuszczałam, że wiozą rannych w zastępstwie karettek.

Doszliśmy do sądu. Kilka helikopterów leciało w stronę Czerwonych Kosynierów, czyli na drugą stronę dworca, dość daleko od nas, ale gazy dochodziły do nas, oczy piekły tak, że nie można było wytrzymać. Przeszliśmy Dworcową i zatrzymaliśmy się po drugiej stronie 10 Lutego, przy Poliklinice. Według moich obliczeń było między godziną 9 a 9.30. Słyszymy śpiew. Spod wiaduktu idzie pochód i już z daleka widać, że coś niosą. Przybliżyli się. Kilku mężczyzn niosło na drzwiach młodego chłopca. Całą szyję miał zakrwawioną, okropnie to wyglądało. Przeźroczysta bladeść twarzy, no tak jak u nieżywego, blondynek, króciutkie włosy, młodziutki, taki dzieciak po prostu. Patrzyłam z bliska. Niesiono go głową do przodu, chciałam zobaczyć, gdzie on jest pokaleczony. Przy uchu był zakrwawiony, mnie się wydawało, że jest to duża rana, całe rozerwane. Ubrany był jasno, biała bluza czy biała koszula, jakie spodnie miał - nie zwróciłam uwagi, ale wyglądał zupełnie inaczej niż na "Człowieku z żelaza".

Za nim dwie osoby niosły biało-czerwoną chorągiew rozciętą wzdłuż, bez drzewca. Na chorągwi była ogromna plama krwi. Byłam bliźutko, podeszłam i sprawdziłam, że to jest istotnie krew, a robiłam to dlatego, że wydawało mi się niemożliwe, że krew, tyle krwi.

Szliśmy chodnikiem obok tego pochodu. Na

wysokości 3 Maja było tak pełno ludzi, że nawet gdyby się chciało zejść na jezdnię, nie można było, chodniki i jezdnie były pełne. Wszyscy szli w kierunku Świętojańskiej. Ludzie śpiewali hymn czy Rotę, to było na zmianę śpiewane. Dołączyło mnóstwo ludzi. Ze sklepów wychodzili, ekspedientki stały w drzwiach, z okien wyglądali, tak że ludzi gromadziło się coraz więcej.

Gdy doszliśmy do skrzyżowania ze Świętojańską, gazów łązających było już tak dużo, że zatrzymaliśmy się na skwerze Kościuszki. Pochód skręcił w Świętojańską i poszedł do góry. Cały czas obrzucany był gazami. I mimo tego ludzie szli. Widziałam z bliska: spadł granat z tymi gazami, taki młody chłopak podleciał - odrzucił dalej. My poszliśmy do domu.

Mieszkam na Świętojańskiej, przy sztabie Marynarki Wojennej. Wszystko dookoła obstawione było przez wojsko w takich mundurach polowych, jak na filmie "Czterej pancerni i pies", bo dzieci pytały jeszcze, czy to Janek. O 13-ej wyszłam z domu ponownie. Jadaliśmy obiady na 22 Lipca, w starej gdyńskiej ubezpieczalni i jeszcze się zdziwiłam, że nikogo nie ma na tym obiedzie. I gdy wyszłam po obiedzie, nad Pogotowiem Ratunkowym było szaro od gazów łązających. Pomyślałam sobie: - "Boże, na to pogotowie, gdzie przywożą tylu rannych, to akurat rzucają tyle tych gazów".

Następnego dnia, w piątek, Stocznia była zamknięta, zastawiona czołgami, więc nawet nie ryzykowałam już podejścia. Podeszłam tylko pod Szpital Miejski i widziałam taki moment, jak stacja krwiodawców się organizowała. Autobus, taki normalny, komunikacji miejskiej, załadowany

ludźmi, jakiś mężczyzna wziął wiadro z farbą, pędzel zamoczył i posmarował na biało całe okna w autobusie, a za chwilę drugim pędzlem namalował na szybie czerwony krzyż. Na wszystkich szybach wymalował. I ten autobus odjechał w kierunku szpitala w Redłowie. To wiem, to widziałam.

Po dwóch czy trzech dniach dostarczono mi do domu nową przepustkę. Bo wszyscy dostaliśmy nowe przepustki. Kto miał przyjść do pracy, dostawał nową przepustkę, stare były nieważne.

Relacja Pawła Marczewskiego

Na przystanku Gdynia-Stocznia znalazłem się około godziny 8.00. Za wiaduktem kolejowym stała milicja w kordonach, na peronach i na pomoście stali ludzie, zdecydowana większość tłumu była jednak na Czerwonych Kosynierów. Ze szczegółów pamiętam parowóz pod parą, który długi czas gwizdał i stojącą kolejkę elektryczną. Na pomoście stali głównie młodzi mężczyźni, uderzając kamieniami w metalowe poręcze skandowali: "Milicja - Gestapo - Mordercy!".

W którymś momencie znalazłem się na pomoście i tak mnie, więcej w połowie jego długości zobaczyłem, że niosą ciało kilkunastoletniego chłopca. Za uchem miał krwawą ranę wielkości pół dłoni. Zapamiętałem też, że był w takich popularnych butach, pionierkach. Zniesiono go na Czerwonych Kosynierów.

Tam zatrzymywano samochody, ładowano rannych. Przy mnie jeden facet zapakował do warszawy chyba dwóch rannych. Jeden z nich miał wyciągniętą krwawą rękę i coś krzyczał. Inni ludzie też krzyczeli, płakali, sceny były dość dramatyczne. I ktoś poddał myśl, żeby ciało tego chłopca pokazać całej Gdyni.

Szliśmy w kierunku wiaduktu, po drodze znalazły się flagi, widziałem, jak jedną flagę rzucił ktoś z okna. Chcieliśmy przejść pod wiaduktem - nie udało się nam. Stały tam czołgi i skoty. Dowódca, oficer Marynarki Wojennej, wyszedł naprzód i zaczął krzyczeć histerycznie, że nie wolno i wyjął pistolet. Wtedy wieżyczki czołgów zwróciły się w naszą stronę. Część

ludzi, z nimi ja, uciekła, ukryła się po bramach, ale ci, którzy stanowili czołówkę pochodu, zostali. Doszło do drobnej wymiany zdań i pochód cofnął się do przejścia dworcowego, do tunelu. Tam po raz pierwszy pochód został zaatakowany z helikopterów. Stare wejście było wąskie i tam po raz pierwszy dobrano się nam do skóry. Jeden z mężczyzn dostał nawet pudełkiem z gazami w głowę, stracił przytomność, posadzili go pod płotem.

Wyszliśmy na 10 Lutego. Przy banku, na skrzyżowaniu 3 Maja stał czołg i skoty. Kolega idący obok mnie nie wytrzymał nerwowo, wskoczył na opancerzony samochód - tam jest taka wieżyczka z karabinem maszynowym - płaszcz rozchylił, przyłożył pierś do lufy karabinu maszynowego i mówi: - "Strzelajcie, sukinsyny!". Żołnierz, który był w wieżyczce, miał niewyraźną minę, oficer siedzący obok kierowcy sprawiał wrażenie poruszonego. Ja mówię - "Fred, chodź, idziemy dalej". On płakał, krzyczał. Facet ode mnie starszy, dojrzały, a jednak w ten sposób zareagował. Żołnierze byli jak sparaliżowani.

Doszliśmy do skrzyżowania ze Świętojańską. Skwer Kościuszki był zamknięty przez kordony milicyjne - jeden na wysokości kina "Goplana". Poszliśmy w górę Świętojańskiej. Przez całą drogę obrzucano nas gazami z helikopterów. Personel sklepów wyskakiwał z wiadrami, pudełka z gazem wrzucaliśmy do tych wiader.

Przy sklepie "Kosakowo" zrobili taki zrzut gazów, że tam było zupełnie biało i ja się cofnąłem. Najpierw na Bema, później na Władysława IV. I tam obserwowałem tę przepychankę tłumy z milicją, raz milicja się cofała, raz ludzie.

Helikoptery nadlatywały co i rusz i rzucały gaz i petardy. I zobaczyłem dwóch panów, tak około 30-35 lat, jeden rozchylił płaszcz, miał tam rurę, majstrowali przy niej i wystrzelili do helikoptera taką raketę okrętową, ale nie trafili.

Około 14-15 znalazłem się przy Pogotowiu Ratunkowym. Stało tam dużo ludzi, chcieli się dowiedzieć, ile jest ofiar. Stało tam też wojsko. Rozmawialiśmy z żołnierzami. I był taki moment, że z góry Władysława IV nadszedł milicjant, szedł swobodnie, pewnie u góry już ludzi rozpędzili i zaczął rozmawiać z jednym z oficerów. Ludzie byli najpierw zaskoczeni, ale tak pomału, pomału zaczęli się do niego dobierać, popychać, naciskać, dostał parę grzmotów. Wskoczył z tej kupy ludzi, uciekł ze 20 metrów i zaczął się odgrażać jak chłopak na podwórku, że ja wam jeszcze pokażę, my tu do was przyjeździemy.

Po kilkunastu minutach ulicą Władysława IV w dół, dwoma pasami zaczęły jechać wozy i radiowozy na sygnale. Rozproszyło to ludzi ostatecznie. Około 15-16 byłem w domu na ulicy Świętojańskiej.

Relacja Edmunda Peplińskiego

Potworne wrażenie na mieszkańcach Gdyni sprawiła noc ze środy na czwartek. Ulicą Świętojańską w dół, w stronę portu, długo w noc jechał ciężki sprzęt wojskowy. Ulice się trzęsły, domy się trzęsły; czołgi, transportery, ciężkie wojskowe wozy - to wszystko huczało, robiło olbrzymi hałas i tak przez wiele godzin.

Rano obudził nas gwar dochodzący z ulicy. Wstałem i podszedłem do okna. W górę Świętojańskiej, w kierunku Prezydium szedł pochód. Zaczęło dzień. Chwyciłem aparat i zrobiłem kilka zdjęć. Pamiętam, że robiłem na pół sekundy, to była długa ekspozycja. W oknach wystawowych paliły się jeszcze światła i na tle tych okien widać było maszerujący tłum.

W późniejszych godzinach, około 10 szedł następny pochód. Ten z chłopcem na drzwiach. Niesiono przed nim pokrwawioną biało-czerwoną flagę, długą tak, że sięgała w poprzek od chodnika do chodnika. Na zdjęciu jej nie widać, bo niesiono ją kilkanaście metrów z przodu, a ja czekałem na ten zasadniczy moment, żeby chłopca mieć na pierwszym planie. Jak się dobrze zdjęciu przyjrzeć, widać też, że między stopami umieszczony jest krzyż.

Zrobiłem to zdjęcie i wychyliwszy się przez okno obserwowałem. Na rogu Świętojańskiej i Kilińskiego uformowała się milicyjna zapora. Były tam gaziki, które stały tyłem do maszerującego tłumy wystawiając w kierunku pochodu działka z wyrzutniami granatników. Gaziki jechały do tyłu, w stronę nadchodzących.

Teraz nastąpiła scena, jakby specjalnie przygotowana dla filmu: gdy pierwsze granaty wybuchły, powstały obłoki dymu, za którymi szli milicjanci z wielkimi, krzyżackimi tarczami i nacierali na tłum. Dym przysłonił mi widoczność. Kiedy opadł, zobaczyłem, że drzwi z chłopcem leżą na jezdni. Po chwili robotnicy podnieśli je znowu i ponieśli dalej.

Po jakimś czasie wziąłem aparat i wyszedłem z domu. Sądząc, że uda mi się coś sfotografować poszedłem pod Prezydium. Aparat miałem duży, wystawał pod płaszczem, bałem się go odsłonić, bo to groziło linczem. Raz ze strony milicji, a dwa - ze strony robotników. Przed Prezydium było dużo ludzi, a na rogu Świętojańskiej i Czołgistów trwały ataki milicji na tłum i odwrotnie - tłum na milicję. Cały czas trwała tam strzelanina, a helikoptery zrzucały petardy i gazy łzawiące. Zrobiłem kilka zdjęć i wycofałem się. Wróciłem do domu i wziąłem samochód, aby pojechać do Gdańska.

Przy przystanku kolejki elektrycznej na Wzgórzu Nowotki trwała walka. Młodzi ludzie atakowali kamieniami, na torach mieli akurat kamienie odpowiedniej wielkości, milicja strzelała. Helikoptery latały nisko, - były otwarte, więc widać było siedzących w nich ludzi i to, że mają broń. Nie widziałem momentu, w którym z helikopterów strzelano, ale wiem, że strzelano, że byli zabici strzałem w głowę, w ramiona. Nie udało mi się tamtędy przejechać, wróciłem więc do punktu wyjścia.

Relacja Stanisława Kodzika, ucznia

Dojeżdżałem z Wrzeszcza. Kolejka odchodziła o 5.19, tak że w Gdyni-Stoczni byłem przed szóstą. Pierwsza kolejka nie odjechała, stała zablokowana tą, którą przyjechałem. Później przyjechała jeszcze trzecia. Ludzi było coraz więcej i zaczęliśmy wolno iść po schodach w górę, potem w dół. Sześciu milicjantów stało przy samym zejściu ze schodów i jeden z nich zaczął nam dyktować, co mamy robić. Zeszliśmy na dół i odepchnęliśmy ich do połowy wiaduktu, tam połączyli się z około trzydziestoosobowym plutonem pewnie swoich kolegów. Przez głośniki coś krzyczeli, żeby wracać, żeby nie robić zamieszania, ale nikt nie słuchał, no bo nie wiadomo było, kto mówi.

Najpierw poszła seria pocisków świetlnych, potem był wystrzał z czołgu. Ale wtedy jużemy ruszyli, ludzie taką ławą szli. Padać zaczęli najpierw nie ci z pierwszych szeregów, tylko z dalszych. Milicja strzelała pod nogi, co dawało rykoszety odbijane od kocich łbów. Jeśli ktoś był w wojsku, to wie, że wtedy powstają najcięższe rany. Obok mnie jeden dostał w krtań, drugi w nogę. Raniło nawet tych, co zostali w kolejce.

Byłem wtedy młodym chłopakiem, chodziłem do szkoły, to był właśnie ten wiek, kiedy człowiek jest porywczy, więc jak nas rozgonili strzałami, wróciliśmy i natarliśmy na nich kamieniami. Trzy razy odepchnęliśmy ich od pomostu, chcieliśmy pomost utrzymać. Jeden z milicjantów dostał tak, że kumple musieli go ciągnąć. W pewnym

momencie kolega dostał świecą łożącą w głowę. Strasznie go szczypało. Poleciliśmy do najbliższego mieszkania, podali mu wody, mydła, obmyliśmy mu głowę i wróciliśmy z powrotem.

Jechał pociąg ze Szczecina. Ludzie go zatrzymali i część pojechała nim do Wzgórza Nowotki. A my zatrzymaliśmy taką małą ciężarówkę i trzy wiadra benzyny wylaliśmy na pomost, podpaliliśmy, ale się nie zajęło.

Zaraz potem ruszyły dwa pochody - jeden ulicą Marchlewskiego, drugi Czerwonych Kosynierów, ja poszedłem w tym drugim. Skąd się wzięły drzwi, ja nie wiem. Na tych drzwiach położyli sztandar i nieśli zabitego na tym sztandarze. Pod wiaduktem nie chcieli nas przepuścić, ale jakoś przepuścili. Przeszliśmy 10 Lutego, Świętojańską, do Prezydium. I tam, przy Prezydium zaatakowała nas milicja. Było ich kilkuset. Jak się cofaliśmy, zobaczyłem, że rozbita została budka telefoniczna. Odgonili nas dość daleko, bo nie mieliśmy nic, żadnych kamieni.

Nabraliśmy potem kamieni z torów kolejowych w kieszenie - i na nich. Zaczęły się walki. Raz oni, to znowu my ich spychaliśmy. Mali chłopcy łatali z wiadrami z wodą i zaduszali petardy. Chłopaki po wojsku biegali obok nich i pilnowali, żeby petard nie brali do ręki, bo może ręce porozrywać. Dużo petard było odrzuconych z powrotem w milicjantów.

Potem nastąpił ostry atak milicji. Gonili nas przez tory aż do hotelu robotniczego. Uciekaliśmy zygzakami, bo strzelali z pistoletów. Przysiadali i strzelali. To jest rażenie na 50 metrów i każdy wie, z jakiej odległości on może trafić. Z 10-15 metrów to on mnie trafi,

ale z 50 i jeszcze jak latam zygzakami to mało prawdopodobne. Ja uciekłem na cmentarz i więcej już udziału nie brałem.

Relacja Edwarda Stasińskiego,
ucznia Technikum Hotelarskiego
w Gdyni

Byłem wtedy jeszcze uczniem Technikum Hotelarskiego, brakowało mi miesiąc do 19 lat. Tego dnia, 17 grudnia, miałem zacząć praktykę w Hotelu Nadmorskim, a przedtem jeszcze zgłosiłem się do lekarza, ale lekarz nie dojechał, komunikacja była wstrzymana i już na praktykę nie poszedłem. Gdy wychodziłem z Przychodni, zobaczyłem pochód idący ulicą Władysława IV w kierunku Prezydium - zrobiłem zdjęcie, ale z pochodem nie poszedłem. Dołączyłem dopiero do drugiego, tego który szedł od Prezydium w kierunku Stoczni.

Szliśmy przez 10 Lutego - poczta i bank obstawione wojskiem - koło sądu, przed którym stał czołg i ulicą Marchlewskiego. Przez cały czas latały nad nami helikoptery, rzucały gazy łzawiące, petardy, że ciężko było wytrzymać. No i doszliśmy do pomostu w Gdyni-Stoczni. Gdy się zbliżaliśmy, przez megafony zaczęli krzyczeć, żeby wiara poszła do domu, ale nikt tego nie słuchał.

Godzina była mniej więcej dziewiąta. Najpierw nastąpił odstrzał z czołgu, ze ślepego naboju, a potem rozległy się strzały. Ludzie mówili: - "A tam, ze ślepych strzelają". Dopiero jak zaczęli padać, pochód się rozpieczę. Uciekłem przez peron. Widzę: czterech mężczyzn niesie

dziewczyne. Podszedłem, chciałem jsj zrobić zdjęcie, ale na początku mnie odganiali. Później jeden mówi: "Niech robi, będzie na pamiątkę". Zdjęcie wyszło tak nisyraźnie dlatego, że zapomniałem przestawić odlagłość z dalekiej na bliską i ta twarz jest bardzo nieostra. Dziewczyna miała jasne włosy, biały szalik, lat 17-18. Zrobiłem to zdjęcie i szybko uciekłem. Widziałem jeszcze, jak zatrzymywano samochody - bagażówki, wozy prywatne, co było - i ładowano do nich rannych. Nie każdy chciał zabierać.

Ludzie skupili się koło skrzyżowania, zaczęli ich od gestapowców wyzywać, obrzucać kamieniami, no to oni znowu zaczęli strzelać. Wtedy ludzie uciekali. Widziałem, jak chłopak chciał przesadzić betonowy płot, nie zdążył, dostał po plecach i został tam. I wtedy pewnie poszli z tym niesionym na drzwiach, ale ja tego momentu nie widziałem, zostałem przy pomoście.

Ruszała kolejka w kierunku Gdańska, wsiałem, dojechałem do Gdyni Głównej. Tu stanąłem na rogu 10 Lutego i Dworcowej - tam jest taki sklep obuwniczy. Pod tunelem stał odkryty wóz pancerny z żołnierzami, od strony Czerwonych Kosynierów dochodziły strzały. Grupa młodych ludzi chciała przejść pod tunelem na Czerwonych Kosynierów, als żołnierze nie puścili. Oficer powiedział, żeby nie przechodzić, bo będziesz strzelał. Wtedy taki młody chłopak wyskoczył naprzód, rozdarł koszulę - "Strzelaj!". No i on strzelił, ale w powietrze. Grupa posuwała się dalej w stronę tunelu i oficer dał rozkaz żołnierzowi, który stał obok niego, żeby strzelał. I on strzelił, ale też w powietrze, nad głowami. Wiara się przstraszyła, zawrócili i poszli

10 Lutego w kierunku Świętojańskiej.

Ja poleciałem do domu na skróty, bo aparat mi się zaciął. Wpadłem do domu i zacząłem ryczeć jak bóbr. Ta zabita dziewczyna i ta bezsilność... Więcej na ulicę ojciec mnie nie puścił, pozostałe zdjęcia robiłem z okna, bo mieszkałem na Świętojańskiej. Staliśmy na balkonie, widzę - idzie mężczyzna, chyba po zakupy, bo z siatką. Akurat taka fala milicjantów przechodziła, to jak go dopadło czterech, jak go zaczęli tłuc pałami... Ludzie z okien zaczęli się na nich drzeć, od gestapowców wyzywać - zostawili go. Pozbierał się, ale po zakupy już nie poszedł. Pały mieli długie, bojowe, dowiedziałem się od kolegów, że to "siedemdziesiątki"; wielkie tarcze - taka tarcza przykrywała całego milicjanta - na wysokości twarzy okienko, a niżej napis: "Milicja".

Relacja Leona Kaszubowskiego

We wtorek 16 grudnia pracowałem na drugą zmianę i spotkałem pochód idący do Prezydium na ulicy Starowiejskiej. Starowiejską, a potem Świętojańską poszliśmy do Prezydium. Przewodniczący Miejskiej Rady wyszedł na balkon, mówił, że - ja wam ludzie nic nie mogę załatwić, bo oo on mógł załatwić?

I tam, na zapleczu Prezydium, od ulicy Bema spotkałem kolegę, który był w obstawie tego Prezydium. To był taki młody chłopak z Rzeszowskiego, mieszkał w Gdyni w hotelu robotniczym i potem do wojska poszedł, do Marynarki Wojennej. Z nim był taki dowódca, porucznik czy kapitan, rudy taki. Latał i bez przerwy straszył pistoletem, że jak się nie rozejdziemy, to będiesz strzelać. Ludzie do niego: - "Jak to strzelać? Do kogo będziesz strzelał? Spróbuj!". No bo przecież jak tak można.

Spod Prezydium wróciłem do domu, wsiadłem na motorower i do pracy. Na ulicy Polskiej naliczyłem dwadzieścia cztery samochody marki "Lublin" - to są te nasze samochody, te ruskie gaz 51, teraz się ich nie używa, bo przestarzałe - w których siedzieli jakby żołnierze, w takich panterkach. I jeszcze tak zdziwiłem się, czemu siedzą jak te mruki, nie rozmawiają ze sobą wcale. A przejechałem dwa razy, w tą i w tamtą stronę i wtedy policzyłem je sobie. Dwadzieścia cztery plus wóz pancerny.

W czwartek rano pojechałem motorowerem do pracy. Zaczynałem o pół do siódmej, więc wyjechałem przed szóstą. Jechałem Czerwonych Kosynierów

w kierunku Gdyni i przy pomoście już widziałem dużo ludzi. Stali na pomoście, na Czerwonych Kosynierów były grupy. Minąłem ich i pojechałem w kierunku dworca, pod wiaduktem, Dworcową i przy sądzie już nie można było przejechać. Przy sądzie stał czołg i wokół tyłu ludzi. I tam spotkałem mojego kolegę. I on mówi: - "Gdzie ty się pchasz?". A ja mówię: - "Czemu do pracy nie idziesz?". A on mówi, że tam nie puszczają. To ja mówię: - "Co ty gadasz? Nie puszczają? Dlaczego nie?" - i chciałem jechać. A on mówi: - "Stój, wariacie, dokąd jedziesz, przecież tam mogą strzelać!". Ja mówię: - "Co ty za głupoty gadasz, jak mogą strzelać? Do kogo?". I powoli ruszyłem. Ludzie się rozstępowali - cała Marchlewskiego pełna była ludzi, stali, szli w kierunku Stoczni, inni się cofali. W międzyczasie wyprzedziło mnie pogotowie ratunkowe, ja na gaz i za nim, zaraz za zderzakiem. Pogotowie powoli jechało, bo nie mogło inaczej... Aha, moment, to było potem. W tym czasie, kiedy mi ten kolega mówił: - "Po co jedziesz, wariacie?" - posłyszałem potężny huk, tak jakby z działa strzelono, ewentualnie petarda lub granat i potem rozległy się serie. Strzały seriami. I zaraz się to skończyło, to było krótko. No i wtedy ja ruszyłem.

Pogotowie ludzie przepuścili, z tym, że krzyczeli i uciekali w kierunku Gdyni, ale ja nie zdawałem sobie sprawy z tego, co tam zaszło i pchałem się do przodu. Podjechałem na ten wiadukt i zauważyłem kilka postaci leżących na ulicy, a tam gdzie to rondo, stali milicjanci czy żołnierze, którzy tarasowali ulicę Czechosłowacką, Marchlewskiego i do portu.

I cały czas przez megafon słychać było głos - jakaś babka mówiła - że prosi stoczniowców, robotników, żeby udali się do domów, że Stocznia zamknięta. W międzyczasie podjechała nysa, ludzie ją zatrzymali i włożyli pięć osób do tej nysy: kobietę, która ranna była prawdopodobnie w brzuch, miała pod płaszczem biały fartuch i na wysokości brzucha ten fartuch był zakrwawiony, mężczyznę w krótkiej, brązowej kurtce - on tak wyglądał, jakby nie miał twarzy, nosa nie rozpoznałem, ani oczu nie było widać i trzech innych mężczyzn. Karetka pogotowia zatrzymała się po prawej stronie, ale do tej karetki tych pięciu rannych nie zabrali.

Ja powoli zawracałem na tym rondzie i widziałem, jak nysa zawracała i odjeżdżała. I wtedy, jak już zawróciłem, to znów się rozległy strzały i obok mojego motoroweru, bo tam jest trochę pod górkę, widziałem, jak iskry leciały.

Pojechałem za tą nyską - trąbiła i ludzie się rozstępowali - pod Szpital Miejski i widziałem jak tych rannych czy zabitych wyjmowali. Lekarze byli przy wejściu do szpitala, stali na samych schodach, żeby szybciej pomóc. Stali tam też żołnierze. Zrobiła się panika, lekarze nie wiedzieli, kogo najpierw wyciągać z samochodu. Któryś z lekarzy krzyknął do żołnierzy, żeby przyszli krew oddać, ale oni powiedzieli, że nie mogą.

Potem jeździłem trochę po Gdyni, widziałem wszędzie grupy ludzi i zawróciłem do domu. Na Czerwonych Kosztyńców, przy pomoście zostałem zatrzymany przez robotników. Przewrócili mi motorower do góry nogami i wylali benzynę. Powiedzieli, że idą podpalać pomost, żeby się milicja nie dostała na Czerwonych Kosztyńców.

Motorower zaprowadziłem do znajomych, którzy niedaleko mieszkali, wróciłem i dołączyłem do pochodu, który właśnie szedł ul. Czerwonych Kosynierów w kierunku Gdyni. Podbiegiem do przodu i zobaczyłem, że nieśli na drzwiach młodego chłopaka. Pochód z chorągwiami i śpiewem przeszedł pod wiaduktem, 10 Lutego, do Świętojańskiej. Minęliśmy kino "Warszawa", może trochę dalej - znów rozległy się strzały. Ludzie zaczęli uciekać, ja uciekiem w kierunku Władysława IV.

W pobliżu sklepu z radiodbiornikami stali żołnierze, zmarznięci, głodni. Podeszliśmy do nich, chcieliśmy porozmawiać. Zaczęli krzyczeć, że będą strzelać, że użyją broni. No to my do nich: - "Do kogo chcecie strzelać, do robotników?". A jeden z nich powiedział, że nie do robotników, bo im powiedział oficer polityczny, że Kaszubi i Niemcy mordują Polaków i dlatego oni alarmowo zostali sprowadzeni z jednostki, żeby ratować sytuację. Zaczęliśmy się z tego śmiać: - "No popatrz tutaj, jacy Kaszubi, jacy Niemcy? I kto kogo morduje?". Kupiliśmy im w barze mleka i suchych bułek. Nie chcieli od nas brać, ale postawiliśmy na chodniku i później jednak wzięli. No bo przecież .byli głodni.

Po tych strzałach, którymi rozpędzili pochód na Świętojańskiej, ludzie się zebrali na Władysława IV i znowu szedł pochód, teraz w kierunku Stoczni. Też z chorągwiami, z tym śpiewem. Trzy helikoptery rzucały petardy, gazy łzawiące. Tak nisko leciały, że niektórzy rzucali w nie kamieniami. I w tym czasie, jak przechodziliśmy obok dworca, to akurat tak dobrze pamiętam,

było pięć po dziewiątej. Z tym całym pochodem udaliśmy się w kierunku Stoczni.

Ja, wiedząc już, że strzelają albo mogą strzelać, zszedłem z czoła pochodu, przelazłem przez ten betonowy płot i szedłem za nim. Tak, że pochód szedł ulicą, a ja równolegle, ale za tym płotem, od strony torów. I widziałem takiego mężczyznę, szczupłego, z siatką z chlebem, szedł na czele pochodu. Doszliśmy do pomostu i jak tamci weszli na wiadukt, a ja stanąłem na wysokości kiosku, którego w tej chwili nie ma, rozległy się serie. Ludzie się momentalnie rozpierzchli, dosłownie jakby szkło pękło - trach i nikogo nie ma. Pokładli się i czołgając puciekali. I zauważyłem właśnie, że na tym moście został ranny ten młody mężczyzna w okularach. Leżał, a obok niego leżała siatka. Do tego mężczyzny kulał się - nie czołgał, tylko się tak kulał - prawdopodobnie jego kolega, wilocznie chciał go ratować. I w czasie, gdy ten się kulał, ja zobaczyłem dziewczynę stojącą za kioskiem. I ona wyszła - bo po tych strzałach uspokoiło się - wyszła zza tego kiosku, stanęła tak z półtora metra od niego i w tej chwili usłyszałem strzał. I ta dziewczyna momentalnie ukięknęła na kolana i zwała się głową na bruk. Pomyślałem sobie: - "Zgłupiała, czy co? Raz strzelili i ona już leży?". Działo się to ze dwa metry ode mnie.

Gdy padł ten strzał, chłopak, który chciał się dostać do leżącego, zerwał się, zaczął uciekać i przeskoczył przez dziewczynę. Krzyknąłem do niego: - "Weź ją, podaj mi za płot". W tym miejscu brakło segmentów w płocie, były wcześniej powyjmowane. Wrócił i podał mi ją. Wziąłem

228

Ją na ręce tak, jak się bierze dziecko, przebiegłem przez tory i podałem następnemu, który leżał na peronie. To nie było więcej jak cztery-pięć metrów. Podałem do góry i wtedy chlusnęła na mnie krew, co się zebrała w płaszczu. Tak mnie krwią zalało, że miałem pełne rękawy, całe spodnie, buty pooblewane. Niedobrze mi się zrobiło i nie poszedłem już za tą dziewczyną, z którą tamten poleciał w kierunku Czerwonych Kosynierów. Obmyłem się trochę w kałuży, z butów i z kurtki dało się zmyć, ze spodni i z rękawów nie, obmyłem trochę ręce i poszedłem piechotą do domu.

Na drugi dzień poszedłem do domów położonych naprzeciw pomostu pytać ludzi, czy widzieli, co się stało z tą dziewczyną. Powiedzieli, że tak, widzieli, że niosą ją nieżywą. Dziewczyna mogła mieć 18 lat. Dokładnie pamiętam, że była niewysoka, ubrana w jasnoszary płaszcz, czerwone rajstopy i miała czerwoną torebkę.

Relacja Huberta Kaczkana

We wtorek to było. Stoczniołwcy w tych kombinacjach, z okularami spawaczy na drzewach pozawieszani byli jak śliwki. Jak tam ktoś miał bochenek chleba, to bochenkiem chleba się dzielili. Takie małe skandowanie było pod tym Domem Partii "Chcemy chleba" i inne, a jakie?... nie pamiętam, coś po prostu kontra cenom. Później starałem się być pod Prezydium, tak jakoś kręciłem się po całej Gdyni, to tu ciekawie, to tu zobaczyć, to tu. Początek i koniec trudno mi nawet określić tak w detalach. Człowiek spanikowany, no bo na dobrą sprawę w takim czymś, jak tu w Gdyni byłem po raz pierwszy. Pod wieczór, jak poszli do Domu Kultury obradować, to my nie mieliśmy już co robić i poszliśmy do hotelu. To był ten stary hotel na Rotterdamskiej. Ja jeszcze wtedy wyszedłem na miasto, jeszcze raz, jeszcze mnie to korciło. Połaziłem, ale już był całkowity spokój.

Jak z rana dowiedziałem się, że włamanie zrobili do ZDK-u i ich tam wybrali, no - zdziwiłem się. Przecież było umówione, że mają prawo przygotować jakiś tam dialog, czy coś takiego. Skoro na to pozwolili, to dlaczego taką agresję robią, napad taki?

W czwartek, jakoś za dziesięć szósta była, nasz gorący czas, bo to do pracy każdy się budzi, jak to łupło. Ja jeszcze w łóżku byłem wtedy, moment - i w hotelu milicjanci się znaleźli. Nie wiedzieliśmy o co chodzi? Kilku ich wpadło, mówią, żeby nie opuszczać hotelu. Wtedy Felek i Zbychu Dalecki zaczęli gwizdać. To 230

milicjanci w nogi. No to myślimy - skoro tak, to jest coś grane! Chłust z hotelu - idziemy na miasto.

Ale już WOP stoi po bramach, nie ma wejścia do portu. Chociaż niektórych wpuszczali. To ja mówię - nie ma głupich, jak niektórych wpuszczają, to potem nas mogą nie wypuścić. Wzdłuż Polskiej szpaler pojazdów, to cofnęliśmy się z powrotem. Jak jest Celna i kiosk spożywczy, przy tym kiosku w mundurach wojskowych takie młode chłopaki tam stały, to myśmy się tam jakoś prześliznęli przez nich, na skróty przez tory - i do dworca.

Przyszliśmy pod dworzec, patrzymy - jak jest sąd, to już stali w mundurach Marynarki Wojennej. Czołg przed sądem, na dachu żołnierze. No to - mówię - coś jest grane. Leon albo Napoleon - coś tu będzie. I znowu gdzieś się załapałem - szedł pochód do Stoczni. Nie wiem, w którym momencie padło to hasło, ale jak do Stoczni - to idziemy. Szturmówki są, idziemy.

Byłem gdzieś z samego przodu, weszliśmy na wiadukt, gdzie są te łuki, tak gdzieś do pół wiaduktu czołówka dobiła i oni tam zaczęli hałasować do nas z tych swoich pukawek. Powstał wtedy taki popłoch, panika, myśmy zaczęli uciekać, jeden w tą, drugi w tamtą. Tu gdzieś koło tego łuku taka babka, może z 20-22 lata, dostała rykoszetem w nogę. Trzymali ją, płakała i usłyszałem, jak ona mówi, że jej brata w Gdańsku zabili. Tam są takie betoniki, to ją przez ten betonik przerzuciliśmy na drugą stronę. My też żeśmy skakali przez ten betonik na peron. Zaczęli do nas grzać z tych karabinów, pistoletów i żeśmy wiali. Ta babka zagubiła mi się gdzieś

i nie wiem, co się z nią stało. I my na drugą stronę, za pomost.

I jak już za pomostem żeśmy się znaleźli, to dosłownie tam gdzie kiosk stoi, facet leżał. I znalazła się jakaś pani, chyba ze czterdzieści lat, powiedziała: - Antek czy Antoś, takie jakieś imię. I płakała nad nim. To nie wiem, czy to była żona, czy ktoś z rodziny? A gdy chodzi o wiek, to nie był żaden chłopak, on nie był taki młody, koło czterdziestki mógł mieć. I zaraz myśmy chcieli jakąś pomoc zorganizować, do szpitala zawieźć. Nic nie było, to tego gościa na ręce żeśmy wzięli. No i doszliśmy pod baraki, za restauracją "Brudas". Z tego baraku wyciągnęliśmy wtedy drzwi i później ktoś powiedział, że idziemy na dworzec czy pod Prezydium - nie wiem, jak to było - w każdym razie do centrum miasta.

No to myśmy szli, już śpiewanie było, hymny różne narodowe i myśmy szli przez dworzec, tym tunelem przeszliśmy przez hol, na drugą stronę. Teraz trudno mi powiedzieć, którą ulicą żeśmy szli - Jana z Kolna czy Między, w każdym bądź razie wyszliśmy na plac Kaszubski. Idziemy z tym człowiekiem i nagle z Najświętszej Panny Marii ksiądz wyszedł i wyniósł krzyż, taki długi, jaki się niesie na pogrzebach. Ktoś wziął ten krzyż i szliśmy do Prezydium.

I doszliśmy prawie do Prezydium. Od Prezydium jechał lublin, z taką krótką plandeką, cofał się w naszym kierunku i mieli tam karabin maszynowy i chyba zaczęli strzelać. No, jak zaczęli strzelać, wszystko się rozpięchło. Ale co z tym człowiekiem się stało, czy zostawili go na ziemi, czy wzięli gdzieś do bramy, tego

232

nie wiem. Przy starym CPN-ie przeszliśmy na drugą stronę, na Władysława IV.

Potem było trochę strzelaniny i myśmy się znaleźli koło "Delikatesów". Z tego końca gdzie jest sklep perfumeryjny, na wysepce stał czołg i dowódca czołgu w stopniu porucznika. Rozmawialiśmy z nim, no i w pewnym momencie szturchamy się, coś tu trzeba wymodlić. No, ale wiadomo, że jeden na jeden nie da rady. Jemu nie wolno broni oddać, głośno nie chcieliśmy krzyżeć, bo oni też by słyszeli. Nie wyszło. Nie byliśmy tacy zgrani. I od Świętojańskiej ten sam lublin jechał i strzelać zaczął. Ten dowódca tam stał, część wojska na maszynie, a dwóch czy trzech żołnierzy stało przy nim. I jak oni zaczęli strzelać, to to wojsko drgnęło, chcieli się schować do wozu. A ten porucznik powiedział: - "Stop, niech tylko któremu w mundur trafią".

No i to wojsko stało, ale my - to znowu musieliśmy wiać. I taki kolega Kazik Metelski z Białostockiego, co też był z nami, dostał w żołądek. Tak, że on teraz nigdzie nie pracuje, był jakiś czas w szpitalu, potem parę miesięcy w hotelu, dostawał jakąś zapomogę, z zakładu został zwolniony za porozumieniem stron.

Potem znowu znaleźliśmy się przy "Delikatesach". Z helikopterów garściami po prostu petardy rzucali. Jedna za drugą, jak na filmach wojennych czasem te bomby lecą, tak rzucali. I był taki młody facet - ja nie wiem, czy on z jakich saperów był, czy co - on widział w powietrzu czy leci coś groźnego, wtedy mówił: "Uciekać!" albo: "Nie podchodzić!" i faktycznie, wtedy to, co doszło do ziemi, to wybuchało. A te łożące, dymne to normalnie się tliły, paliły, można je było odrzucać.

Teraz - jak będziemy wracać? Głodni byliśmy, idziemy śmiało do mieszkania. W "Delikatessach" kupiliśmy salceson, caży - a jak? - i maszerujemy z powrotem do hotelu. To już było pod wieczór, wszystko już prawie było rozgonione. Szliśmy z powrotem tą samą ścieżką, ale oni stali już na rampie i zaczęli strzelać. Ja jeszcze mu pokazuję, że on ma coś z deklek nie w porządku, paru ludzi idzie a on strzela! Ja szedłem, brat, Rysiek Szałach, Franek, chyba tyłu naa szło. Wzięli nas na tę rampę. Chyba trzech czy czterech wyszło do nas z naganami w rękę, bohaterzy jak cholera. A tam - dowody osobiste. Dajemy dokumenty, a oni tak: jednego spławiają - rampa była podzielona furtką, oni się tam ustawili - i przepuszczają przez tę furtkę. Pierwszy chyba Franek szedł i jak przechodził między tymi gangsterami w milicyjnych mundurach, to oni mu wtedy - łup! Ja już zastanawiałem się, jaka to porcja będzie dla mnie. Poszedł Rysiek Szałach. Ale to kawał chłopca, chyba z metr dziewięćdziesiąt, tylko gałęziami tak machnął, przez tę furtkę chlust - i go nie ma. Nis zarobił. Później przechodził mój brat, taki młodzik, jeszcze nie wyrobiony w życiu. A ten mu tak z góry tą pałą w głowę, że przeszła od ucha do ucha, jakby się przykleiła. Ale jakoś nie wyrócił się, przeszedł. Ja też zwałem. Udało mi się, też nie zarobiłem ani jednej pały.

Wyszliśmy na Polską i znowu nas zaczepili. I znalazł się jakiś w stopniu porucznika milicjant i mówi: "My już ich mamy"; niby że mają nasze personalia. Jeden czy dwóch milicjantów poszło z nami aż na Celną, przeprowadzili nas. No

to przyszliśmy do hotelu i każdy swoje wrażenia opowiadał.

W hotelu gotowaliśmy sobie sami prowiant, żeby nie wychodzić, wychodzić nam zakazali. Przed świętami pojechałem do domu, a po Trzech Króli wróciłem do pracy.

Relacja inż. Ireneusza Dunsta, pracownika
Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni,
z października 1981 r.

Mieszkałem na ul. Czerwonych Kosynierów naprzeciw pomostu, w mieszkaniu położonym na I piętrze. Zimą mam widok na Czerwonych Kosynierów i na narożnik Czechosłowackiej i Marchlewskiego. przed szóstą zbudziły mnie strzały. Wyskoczyłem z łóżka - i do okna, bo sypialnię mieliśmy akurat w pokoju od ulicy. W domu zrobił się szum. Przepędziłem bractwo do drugiego pokoju, tego od strony lasu. Przypomniałem sobie rok 45, jak to człowiek pod oknami się chował, gdy strzelano, żeby nie oberwać kulki. Oczywiście płacz w domu, dziecko zaczęło beczeć. Żona jest nauczycielką, próbowała do szkoły się dostać, żeby dzieciaki porozprowadzać do domów. Lekcji już nie było.

Ciemności były. Widać było tylko pomost pełen ludzi, peron pełen ludzi - złąną, falującą masę. Oprócz strzałów słyszałem rozpaczliwe krzyki, ale słów nie można było rozróżnić, wszystko się zlewało. Pociągi w tym czasie jeszcze dojeżdżały, kolejki tak z Wejherowa, jak i z Gdańska. Tłum wysypywał się z tych

kolejek. Widziałem całą tę beznadziejność: ludzie, którzy byli w tej masie, to nawet gdyby chcieli się cofnąć, nie mogli, bo nie było dokąd. Całe schody, góra pomostu i peron były zapchane ludźmi.

Córce, gdy przechodziła, kazałem się schylić poniżej poziomu okien, bo kule zaczęły świstać. Z helikopterów zaczęto strzelać. Wyraźnie było widać, jak strzela facet z broni maszynowej z helikoptera w dół. W ogóle nie ma co mówić, że strzelanie z helikopterów to jest jakiś bluff. Było strzelanie z helikopterów na wysokości ulicy Czerwonych Kosynierów.

Relacja Andrzeja Gawlika z września 1980 r.

Jechałem do pracy. Nie było jeszcze szóstej. Autobus przy pomoście zawrócił i odjechał. Co robić? Chcemy iść do pracy, a tam przez megafony tylko szum: - "Panowie idźcie do domu". A my nie chcemy iść do domu, chcemy iść do pracy. Jedno podejście - "Panowie, idźcie do domu". Drugie podejście - "Panowie, idźcie do domu, proszę się rozejść". I nie wiem, czy trwało to 10 czy 15 minut, kiedy rozległy się strzały. /Brak ciągłości relacji - przyp.red./

A tego łepka, co dostał postrzał w głowę - tu, z prawej dziurka, a z lewej wyrwane pół czaszki - widziałem od momentu, jak go kładli na drzwi. Na Czerwonych Kosynierów, za tą knajpą, co się nazywa "Brudas", tam dalej są baraki, a za nimi była knajpa, do której się chodziło na piwo. "U Mietka", czy jak oni tam mówili.

236

I stamtąd te drzwi wzięli. Jego na drzwi - i ruszył pochód. Duży pochód. 10 Lutego, później Świętojańską. Pieśni po drodze śpiewali: "Jeszcze Polska nie zginęła", "Boże coś Polskę". Do kościoła NMP weszło dwóch czy trzech, wzięli krzyż i wsadzili mu ten krzyż między nogi. No i oczywiście obsypany kwiatami. No i dalej, Świętojańską do góry.

A przy Prezydium zaczęło się znowu strzelanie. Od Czołgistów, wsunięty w ulicę Świętojańską, stał kordon milicji. No i zaczęły się strzały. Ja doszedłem na wysokość tego starego CPN-u, tam teraz nowy blok postawili. Ci, co go nieśli, położyli go na ulicy, uciekli, nikt nie chciał kulki dostać, no nie? Do przyjemności to nie należało. Przeleciałem jakąś bramę, przez jakiś płot przeskakiwałem, przez Władysława IV i do Śląskiej.

Na Śląskiej - ja wiem - stałem godzinę, dwie. I mówię - no to trzeba iść do domu. Idę. Przeszedłem pod wiaduktem w kierunku Czołgistów - stoi patrol. Proszę dokumenty. Taki jeden się odzywa: - "Ty skurwysynu, ty masz za długie włosy, pozwól z nami". Ja mówię - "Czemu nie?". Idziemy. Przewodziło mnie trzech. Przed głównym wejściem do Prezydium stały dwa czołgi. Jak dochodziliśmy do drzwi, czułem, że coś się stanie. Nie zdążyłem się całkowicie zasłonić i dostałem w pysk, aż na czołg się przewróciłem. W pysk dostałem rsz, od pozostałych ciosów się zasłoniłem. No i wszedłem. Przez ten korytarz, do ostatniej sali na prawo, między milicjantami. No i każdy próbował sięgnąć pałką, a sięgali po nogach tymi siedemdziesięciocentymetrowymi pałkami.

Wszedłem na tę salę i chwilę siedziałem. Było tam już wielu mężczyzn "ostrzyżonych" i spałowanych. Siedzieli na podłodze jeden przy drugim, jak śledzie w beczce. Trudno mi powiedzieć, ilu ich było.

Za chwilę przyszło czterech czy pięciu milicjantów - "Rozbierać się". Zdjąłem płaszcz, byłem w marynarce i w polo. - "Marynarkę też zdjąć". Bo za grubo było. No i zaczęło się pałowanie. Potem: - "Klęknij. On ma trochę za długie włosy, trzeba mu je trochę skrócić, żyletki nie mamy, ale mamy scyzoryk". Ten scyzoryk nie ciął, to on mi normalnie rwał. I tak w pięciu miejscach. Tu trochę z boku, trochę tu - i rzucał te włosy na podłogę. I mówi: - "Podnieś te włosy skurwysynu, podłoga nie może być brudna, wkładaj te włosy do rozporaka". Chcąc nie chcąc, nie chciałem dostać pał, musiałem te włosy do rozporaka wkładać.

Jak już byłem "ostrzyżony", spałowany i czekałem nie wiadomo na co, weszło kilku ormowców. Był między nimi jeden, którego znałem, Rosiński. I ten pan Rosiński powiedział: - "To są ci, którzy mają za mało chleba". Ale on mnie wtedy nie widział. Zaczęli się rozglądać, szukali znajomych czy kogo, i on mnie zobaczył. Później mnie z tej sali wywołał i ze mną rozmawiał. Nawet parę papierosów mi dał. Wtedy był grzeczny. - "Andrzej, ja ciebie znam, jesteśmy dobrzy koledzy, postaram się ci załatwić. Idź na salę, ja będę działał".

Aha. Tam jeszcze była akcja, że wszedł marynarz - bo tam weszło jeszcze czterech czy pięciu gliniarzy - marynarz ze służby czynnej z pistoletem maszynowym i tych gliniarzy "grzecznie" 238

wyprosił: - "Proszę wyjść stąd, proszę ich zostawić, proszę wychodzić". Ja już tego marynarza później nie widziałam, choć kilka razy wychodziłem na korytarz i w sumie sprzątnąłem nawet cały korytarz. Jak szedłem do toalety, widziałem jednego lekarza - w białym fartuchu, z zawieszonym na szyi stetoskopem.

Około godziny 22 podjechała ta duża kabaryna i po kolei pakowali. Nie wiem, jak ten mój znajomy ormowiec zadziałał, ale ja do tej więziennej kabaryny nie wsiadłem i nie pojechałem do Gdańska. Dokumenty moje w każdym razie pojechały. Wszystkich wywieźli. Jak ludzi wyprowadzali, kazali im ubierać się w swoje ubrania - leżały złożone na kupę - i rewizja: lusterka, jakieś twarde rzeczy to wszystko zabierali, no i odjazd, odjazd. Mnie kazali posprzątać w tym pomieszczeniu. Trochę szkła tam było potłuczonego, jak pozamiatałem, wyglądałem tak, jakbym przez komin przeszedł. Potem mnie wypuścili. Mówię: - "Dajcie jakąś przepustkę, przecież godzina milicyjna". - "Idź, jakoś przejdiesz". No i szczęśliwie jakoś dotarłem do domu.

Po Nowym Roku parę dni, koło 5-6 stycznia, wróciłem do pracy. Szwagier mi wprowadził włosy wyrównał, jak mógł, ale i tak byłem przedmiotem zainteresowania załogi z powodu mojego wyglądu. Dostałem potem pocztą w kopercie wszystkie dokumenty - około 12-13 - i jeszcze musiałem opłatę na miejscu zapłacić. Wszystkie dokumenty oprócz dowodu, po dowód dostałem wezwanie na komendę jeszcze dwa-trzy dni później. Poszedłem do biura dokumentów na Portową i tam mi elegancko wydali. Nie pytali czy zgubiłem czy coś, tylko - proszę, oto dowód - dziękuję - to była krótka rozmowa.

Relacja Szymańskiego,
pracownika Zakładu Energetycznego
w Gdańsku

W czwartek, 17 grudnia, wzięłem samochód - pracowałem jako zaopatrzeniowiec w Zakładzie Energetycznym w Gdańsku - i wyjechałem służbowo do miasta. Przyjrzałem się temu, co się działo przy Prezydium MRN i zgłosiłem się razem z kierowcą do Szpitala Miejskiego w Gdyni, do dyrektora Gołębiowskiego. Takich ochotników z samochodami, jak my, było więcej. W szpitalu dostaliśmy białą chorągiew z czerwonym krzyżem, na plandecy wozu kierowca wymalował czerwone krzyże, a na burtach napis: Krwiodawcy. Na zlecenie szpitala jeździliśmy kilka razy do Stacji Krwiodawstwa w hedłowie. W tamtą stronę wieźliśmy ochotników krwiodawców, z powrotem przywoziliśmy różne lekarstwa. Zrobiliśmy tak pięć kursów. Za każdym razem wyglądało to tak samo: jechaliśmy Władysława IV, tłum demonstrantów się otwierał, wjeżdżaliśmy, ludzie podnosili plandekę, sprawdzali czy przypadkiem - tak przypuszczam - munduru jakiegoś nie ma i jechaliśmy dalej.

Za szóstym razem jechaliśmy do Banku Krwi we Wrzeszczu. Miałem pismo od dyrektora szpitala, już nie pamiętam jakiej grupy krwi zabrakło. Tym razem pojechaliśmy Świętojańską. Jechaliśmy na światłach i klaksonie. Na wysokości Prezydium zastąpili nam drogę oficerowie MO, było ich pięciu czy sześciu. Siłą rzeczy kierowca się zatrzymał. Otworzyli drzwi - kierowcę wzięli z jednej strony, mnie z drugiej. Chyba ze trzech oficerów milicji usiłowało mnie zasłonić przed

240

tłumem rozjuszonych milicjantów, którzy się w tym momencie na mnie rzucili. Każdy z nich trzymał pałkę w rękę i ponad ramionami oficerów dosięgały mnie razy. Do dziś mam w pamięci tych szeregowców, ich nieprzytomny wzrok, grymas wściekłości - zachowania zupełnie nie do pojęcia.

Z boku stał komandor Marynarki Wojennej, który trzymał w rękę kamerę, kręcił zdjęcia i jednocześnie wygrażał: - "Bandyto! Z więzienia nie wyjdiesz!".

Następnie dwóch, chyba szeregowych, milicjantów wykręciło mi ręce do tyłu i podprowadziło mnie do pułkownika MO, który akurat nadawał coś przez łoki-toki. Odniosłem wrażenie, że kieruje on akcją - pokazał ręką na wejście do gmachu Prezydium.

Od drzwi Prezydium aż do pomieszczenia Kolegium Orzekającego stał szpaler, a milicjanci oczywiście bili. Usiłowałem osłonić głowę rękami, a miałem na lewej ręce zegarek. I pamiętam, że któryś z nich szedł za mną i próbował trafić w ten zegarek. Udało mu się i zegarek się rozleciał.

Byłem w środku tego szpaleru, gdy zobaczyłem na lewo otwarte drzwi. Barkiem rozepchnąłem milicjantów i wpadłem do pomieszczeń piwnicznych. Słyszałem za sobą, jak ci, którzy mnie holowali, rzucają tarcze - wypadłem na zaplecze Prezydium, wskoczyłem na kibel, rzut na brzuch na ten okuty płot - i przeskoczyłem na drugą stronę. Stało tam wojsko, ale kątem oka zauważyłem jednocześnie grupę około 30-50 milicjantów. Podbiegłem do wojska i usiłowałem coś mówić do takiego młodego podporucznika. Ale już z Prezydium wyleciał goniący mnie, z tetetką w rękę krzycząc: - "Trzymajcie!". Dopadł do

mnie, znowu ręce do tyłu i jeszcze raz przez ten szpaler. Nic nie widziałem, niosło jak na skrzydłach. W momencie, kiedy wpadłem do sali kolegium ten, który się tak przytrzymał do mnie, zabrał mi dowód osobisty.

W pustej, pozbawionej sprzętów sali siedziało w kucki kilkudziesięciu młodych mężczyzn, wszyscy ze śladami pobicia. Milicjant popchnął mnie w kąt i zajął się 19-20-letnim chłopakiem, który wpadł za mną. Odniosłem wrażenie, że mnie uratowało to, że mając wtedy 23 lata wyglądałem znacznie poważniej.

Operacją znęcania się nad chłopakiem kierował porucznik milicji i pamiętam taki szczegół, że był bez czapki i włosy, takie typu hitlerowskiego, opadające na prawą stronę czoła, cały czas mu latały. Do pomocy miał pięciu czy sześciu milicjantów. Tak długo bili, aż chłopak osunął się na parkiet. Jeden z milicjantów kucnął, oparł się o niego ręką i bił dalej. Chłopak nie był już właściwie zdolny do reagowania, usiłował coś wyjęczeć - "Jestem robotnik, stoczniowiec". A tamten: - "Ja ci s... dam atoczniozca, robotnika". A porucznik powiedział: - "Nie bijcie go po głowie, bo to otępia i on nic nie czuje".

Tamten bił chłopaka, a do mnie podszedł ten kierujący akcją porucznik. Tłumacząc, że jechaliśmy tą zaimprovizowaną karetką do Wrzeszcza, pokazując zaświadczenie - nie słuchoał, nie chciał oglądać zaświadczenia ze szpitala, tylko odezwał się do mnie dosłownie tak: - "Wam dobrze z oczu patrzy, chodźcie, ja was wypuszczę". Zapytałem o dowód, a on: - "Chcecie tu pozostać?".

Wyprowadził mnie na ulicę Bema. Stały tam 4-5-osobowe grupki milicjantów co jakieś 10-15 metrów. Podprowadził mnie do pierwszej grupy, powiedział: - "Puścić wolno, podać po linii".

Wróciłem do domu. Nic nie czułem z tego podekscytowania. Cały czas nerwy mnie trzymały, dopiero pod wieczór zaniemogłem. Zemdlałem, potem wymioty, potworny ból głowy - moja głowa wyglądała tak, jakbym miał taki hełm, jakie kiedyś nosili kolarze. Matka wezwała pogotowie. W szpitalu leżałem od 17 do 24 grudnia. Na wigilię wróciłem do domu.

Relacja Barbary Jurkowskiej

Około godziny 13-13.30 szłam z ulicy Śląskiej, pod tunelem w stronę Pogotowia Ratunkowego na Żwirku i Wigury. No i na wysokości pogotowia stała wypalona, zimna kuchnia polowa i stał przy niej taki potężnych rozmiarów żołnierz służby czynnej, młody chłopak, nie wiem, czy już po przysiędze. Pytam go, skąd oni są. Mówi, że z Krakowa przyjechali, że jechali całą noc i że powiedziano im, że Niemcy zagrażają Polsce. Więc stał z takimi fioletowymi, zmarzniętymi rękami, w tych rękach trzymał taką dość dużą serdelową kiełbasę. I spojrzałam na te ręce i na tę fioletową twarz i mi się strasznie żal tego chłopaka zrobiło. I w tym czasie patrzę, a tu przyszły panie z tego domu, gdzie radia i telewizory, przyniosły w bańkach gorącą zupę: - "Jedzcie, dzieci". To było tak wzruszające, że popłakałam się.

I w tym momencie idzie tyraliera od Władysła-

wa IV i Świętojańskiej, pod kątem prostym zakręca całą ławą milicja, więc ja z powrotem w tym tłumie wracałam biegiem, ale to biegiem... Co młodszy, zgrabniejszy, biegli przez płot, przez tory kolejowe - a ja pod ten tunel. Myślałam, że ja do dziecka już nie dojdę, że mnie pod tym tunelem zatratują.

Relacja Cecylii Dobkowskiej,
złożona w styczniu 1981 r.

Strach

19 XII 70 r. siostra męża wyjeżdżała "Batorym" do Ameryki : w związku z tym urządzała pożegnalny wieczorek w Rumii wyznaczony na 17 grudnia. Mieszkamy w Gdyni przy ul. Czerwonych Kosynierów 49 i byliśmy świadkami całych zajęć na przystanku kolejki Gdynia-Stocznia. Mąż był na morzu, ale na m/s "Swietlik", który często zawijał do portu i teraz był termin jego powrotu. W domu byłam ja, moja mama /lat 68/, stała mieszkanka Białegostoku, nasza córeczka Jola /lat 11/ i syn - siedmioletni Darek.

17 XII 70 r. o godz. 15.30 postanowiłam pojechać do Rumii. Myślę, pójdziemy pieszo do Chylonii i stamtąd pojedziemy kolejką. Idziemy. Minąć trzeba przystanek "Stocznia". Nie minimy. Wejdziemy na pomost i zobaczymy. Na pomoście było kilkoro ludzi, też patrzą. Leżą drobne kamienie. Pod schodami prowadzącymi na ul. Marchlewskiego krew. Płoty murowane poprzewracane. Budynek kasy postrzelany. Na moście ażurowym na ulicy Marchlewskiego przechadzają się milicjanci w hełmach, z bronią pod pachą tak, jak

244

do strzelania, a nie na plecach. Cisza jak w kościele. Jedzie kolejka. To dobrze, prędzej jesteśmy w Rumii. Zaskoczenie, że przyjechałam z dziećmi i mamą. Smutne było pożegnanie - tylko płacz. Szybko czas upływa i czas by wracać do domu, a tu już jest godzina policyjna /jakoś nie mogę nazywać godziną milicyjną/. Zapraszają, żeby nocować. Ale nie zgadzam się. Cztery osoby to duży kłopot. Jedziemy do domu. Może wróci mąż, to co sobie pomyśli. Odprowadzili nas na dworzec w Rumii. Przyjechała kolejka w kierunku Gdyni. Wsiadamy. Żywego ducha nie ma na peronie. Kolejka pusta. Mama trzyma Jolę za rękę, ja Darka. Jest godzina 20. Idziemy przez kolejkę i szukamy, czy ktoś jedzie? Boimy się bardzo. Nikogo nie ma. Mama radzi, żeby wracać. Ja też się boję, ale mam taki charakter /stara harcerka/, że nie dam po sobie poznać, gdy inni boją się więcej. Jeszcze starałam się żartować: - "Mamo, przecież to nie hitlerowcy i na pewno nie będą strzelać do kobiet z dziećmi, a jak pociągną pałką po grzbiecie to dobrze nam zrobi na krążenie krwi". Skrzywiła się mama na to - ale szukamy dalej. Jest. Jest jakiś młodzieniec. - "Gdzie pan jedzie?" - pytam. - "Jestem piekarzem i muszę jechać do piekarni w Gdyni na noc do pracy". - "Proszę pana, będziemy się z panem trzymać jako rodzina". - "Dobrze" - mówił, ale sam jest smutny i niespokojny. W Chylonii spodziewa się kolegi. Wsiada i gdzieś nam znika. Znowu jesteśmy sami. Pociąg staje na "Stoczni". Nikogusieńko na peronie. Słabe oświetlenie i źle widać. A strach ma wielkie oczy, jak mówi polskie porzekadło. Sziakam mocno rączkę synka. Idziemy. Na pomoście,

na wprost schodów stoi mężczyzna w mundurze, pod pachą trzyma broń i patrzy na nas.

W imię Boże, myślę. Przecież to Polak, a my kobiety z dziećmi. I nie zostaniemy na tym pomoście. Idę pierwsza na schody i myślę: "A jednak...". Idę dzielnie, choć nogi uginają się od wewnętrznego drżenia.

Boże, to nie milicjant i automat – to oficer wojska polskiego w stalowym mundurze z wydłużoną aktówką pod pachą. Też przyszedł popatrzeć.

Nie biegniemy, ale idziemy tak szybko, że chyba w życiu tak szybko nie chodziłam, a moja 68-letnia mama z Jolą teraz już są przede mną.

Jedzie buda milicyjna zapakowana w kierunku Śródmieścia. "Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko..." odmawiam półgłosem. Przejechali.

Jeszcze mija nas powoli jadąca milicyjna warszawa. Przyglądają się nam, ale nie zatrzymali się. Bez tchu wpadliśmy do klatki schodowej. Już dobrze. Już po strachu. Już u siebie.

Teraz tylko myśl – a co z mężem? Może będzie szedł i nie będzie wiedział, że jest godzina policyjna... Przyszedł na drugi dzień z przepustką – mieli wiadomości z radia szwedzkiego.

**Relacja Stanisława Budzińskiego,
pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej
w Gdyni**

W dniu 16 grudnia 1970 r. Stocznia Komuny Paryskiej nie pracowała - trwał strajk. Około godz. 14.30 opuszczałem bramę Stoczni z kolegą Jurkiem. W drodze do domu mijaliśmy oddziały Wojska Polakiego, które kierowały się do bram Stoczni. Natomiast na skrzyżowaniu ulic Polskiej, Marchlewskiego, Czechosłowackiej stały wozy opancerzone i oddziały MO i SB. Z mieszanymi uczuciami udałem się na kwaterę w Gdyni-Cisowie. Porą wieczorową wysłuchałem apelu wicepremiera Kociołka, który nawoływał stoczniowców do podjęcia pracy w dniu 17 grudnia 1970 r.

Następnego dnia jak zwykle udałem się do pracy. Na peronie Gdynia-Stocznia zastałem tłum ludzi, niczego nie przeczuwając szliśmy z kolegami w kierunku zakładu pracy. Doszliśmy tylko do wiaduktu kolejowego, ponieważ dalej służby SB nie dopuszczwały. Stanęliśmy w miejscu - zwarta masa ludzi odśpiewała hymn narodowy oraz "Międzynarodówkę". Około godziny 6.10 rozległ się wystrzał armatni, po nim nastąpiła aeria z karabinu maszynowego nad głowami ludzi stojących na wiadukcie i pomoście. Następne strzały skierowane były do tłumu. Wówczas nie tylko ja, ale i wielu innych zobaczyło, jak pada kobieta - raniona? zabita? W tym momencie poczułem silny ból lewego policzka i zobaczyłem spływającą krew, padając poczułem, że robi mi się słabo. Gdy odzyskałem świadomość, zasłaniałem głowę rękoma widząc następną serię pocisków odbijających się od bruku w pobliżu mojej osoby.

Jednocześnie słyszałem ostrzeżenie młodego chłopca - "Uciekaj!". Niestety nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Ostrzał trwał. Poczułem, jak czyjeś ręce podniosły i wlokły mnie w kierunku ulicy Marchlewskiego, gdzie wniesiono mnie do samochodu nysa, w której zobaczyłem kolegę z wydziału Jacka Węglarza z rozszarpaną nogą. Zaraz potem straciłem przytomność i odzyskałem ją dopiero na łóżku szpitalnym. Tej nocy na sali zmarł spawacz Stoczni Komuny Paryskiej pan Dudzik lat 32. Nie wiem, komu zawdzięczam swoje życie - ale serdecznie dziękuję nieznanym dobroczyńcom.

Relacja Stanisława Steñki

Kazali iść do pracy, to poszliśmy, nie wiedzieliśmy, że tam będą strzelać. Było siedem po szóstej, szliśmy z kolegą przez pomost, pociągi nadjeżdżały. z tyłu ludzie nas po prostu pchali do przodu, nie można było się zatrzymać, szliśmy więc do przodu. Przez megafony mówili, żeby nie iść do pracy, ale to tylko częściowo było słyhać, a później w ogóle nic. No, a jak ludzie mieli nie iść do pracy, skoro wieczorem w telewizji nawoływali, żeby iść? To skąd można było wiedzieć, co jest prawdziwe - wczorajsze nawoływanie czy komunikat przez megafon? Wtedy ci zaczęli strzelać. Myśmy szli z przodu i widać było, jak poszła seria. Ludzie ratowali się kładąc jeden przy drugim, ja przeskoczyłem przez płot po lewej stronie, na dół, na tory. Dosyć dużo, około dwudziestu osób tam zeskoczyło.

Potem wyszliśmy do góry, już byłem w tłumie i nagle zostałem trafiony w nogę. Bałem się nawet krzyczeć, prosić o pomoc; dziwiłem się, jak to możliwe, że można zostać postrzelonym w tłumie. Dopiero później uświadomiłem sobie, że ta kula musiała się odbić. Na jednej nodze doskakałem do wiaduktu, wciągnąłem się po barierce do góry, odsłoniłem nogę - i już mi się ciepło robiło i ślao, więc krzyknąłem o pomoc. I wtedy wzięli mnie mężczyźni, przenieśli na Czerwonych Kosynierów. A tam już stała prywatna taksówka, którą pojechałem do szpitala.

W taksówce siedziałem z tyłu, po prawej stronie. Z przodu siedział mężczyzna postrzelony w bark - później widziałem go w szpitalu, a obok mnie facet, który mocno krzyczał, że boli. Po kilkuset metrach przestał krzyczeć, dostał drgawek, wzięłem go za rękę - to się obsunął nieżywy.

W szpitalu było pełno ludzi, krzyk i płacz. Mężczyźni postrzeleni krzyczeli, że boli, że zabijcie, dobijcie, a kobiety - pielęgniarki i salowe płakały.

Dziesięć minut po siódmej byłem już po takim prowizorycznym zabiegu - lekarze operowali najpierw cięższe przypadki - dopiero po dwunastej wzięto mnie na salę operacyjną. Leżałem razem z sześcioma kolegami ze Stoczni na oddziale ginekologicznym - bo miejsca nie było, dopiero po dwóch tygodniach wzięto nas na górę, na trzecie piętro.

Dwóch mężczyzn, których znam, zachowywało się dziwnie, tak jakby im się coś pomieszało. Chodzili i mówili, że są zbawcami. Do jednego z nich, leżącego naprzeciw mnie, przyszły w odwiedziny dwie dziewczyny, to kazał im przy-

nieść wody i nogi sobie myć. Widać, że coś z nim... A drugi stał się później agresywny, rzucał się, jak te chwile na niego przychodziły.

Ze szpitala wyszedłem 27 lutego, z gipsem na nodze chodziłem jeszcze do maja. Dwa lata byłem na rencie inwalidzkiej drugiej grupy. Do Poradni Zdrowia Psychicznego zacząłem chodzić, bo jak spałem w nocy, to czasami tak mnie szarpało, budziłem się i nie mogłem zasnąć. Chodziłem do tej poradni półtora roku, tabletki brałem. Potem przeszło, ale do dziś mam przeculicę.

Relacja Stanisława Drogocza,
junaka hufca OHP w Gdyni,
wersja z maja 1981 r.

Jak przeżyłem Grudzień 70 roku

Pamiętam, że w środę 16 XII nie szliśmy do pracy. Komenda Hufca zabroniła opuszczania terenu zakwaterowania, słyszeliśmy od przechodniów, że w Gdańsku jest strajk, oraz że są ranni i zabici. Wtedy zrozumieliśmy dlaczego nie poszliśmy do pracy. Cały ten dzień minął na młodzieńczych, często bardzo wybujałych dyskusjach. W nocy ostre dyżury oraz służby. Noc minęła spokojnie, mimo tego prawie żaden z moich kolegów nie mógł zasnąć, a opowiadaniom i dyskusjom nie było końca. Dopiero nad ranem zasnęliśmy jak suszy. Rano dowiedzieliśmy się, że została wywieziona broń z magazynu oraz inne materiały wybuchowe, które nasza komenda posiadała na naszym terenie. Niewiadome nam było, kto to uczynił i na czyje polecenie. Cały ten dzień rozpoczął się jak każdy inny.

250

Rano zbiórka, sprawdzanie obecności i tak dalej. Podczas zbiórki komendant oświadczył, że przyjadą po nas autobusy, które odwiozą nas do Tczewa, ponieważ stamtąd każdy miał połączenie w kierunku swego stałego zamieszkania. Wszyscy bardzo czekali na te autobusy, ale - no cóż - autobusy mają tę zaletę, że lubią się spóźniać, no i nie wszyscy się na nie doczekali. Wszyscy junacy byli ubrani w mundury wyjściowe. Mundury mieliśmy kolorem podobna do lotnictwa, na głowie furażerki z białym, wyszywanym orłem. Przebywając od dłuższego czasu na swojej sali wraz z innymi kolegami słyszeliśmy odgłosy strzelaniny oraz innych wybuchów. Odgłosy te systematycznie narastały i było je słychać coraz to bardziej wyraźnie. Wraz z innymi kolegami otworzyliśmy okno, aby zobaczyć dokładniej, co się tam dzieje. W tym czasie zaczęły nadbiegać tłumy ludzi gdzieś z kierunku ulicy Śląskiej w kierunku ul. Witomińskiej, to znaczy tuż przed naszymi oknami. Słychać było nie tylko strzały, ale również nieludzkie, rozpaczliwe wołanie o pomoc. Widziałem biegnącą kobietę, która trzymała za rączkę chłopca, który nie biegł, ponieważ nie mógł zdążyć. Jego nóżki były bezwładnie ciągnięte po bruku. Dziecko przeraźliwie krzyczało. Kobieta zmieszana się z tłumem. Przedtem młody mężczyzna o czarnej czuprynie złapał chłopczyka wpół i biegł. Zniknęli w tłumie całkowicie. Odwróciłem wzrok i ujrzałem kilku młodych mężczyzn i chłopców, którzy przeskoczyli przez płot i wskoczyli przez nasze okna na moją salę. Ubraliśmy ich szybko w nasze mundury, co jak się później okazało nic nie pomogło. Zamykałem okno, kiedy podbiegł pod nie milicjant

w polowym mundurze. Stałem w tym czasie w oknie. Króciutkie spojrzenie na siebie - dreszcz mnie obleciał. Zobaczyłem wściekłe oczy, w których było coś, czego nie da się opisać. Milicjant w jednym ręku trzymał dużą tarczę, w drugiej pistolet - jak się później dowiedziałem o nazwie tetetka. Trwało to sekundy, zaczął strzelać w moim kierunku. Któryś z kolegów krzyknął: "Irek nie bój się, on ma ślepe naboje". Sam również tak myślałem. Strzały były oddawane z odległości 4 może 5 metrów. W pewnym momencie przed oknem rozprysła się ziemia, wtedy się przestraszyłem, ale było za późno, ponieważ następny strzał był dla mnie fatalny: kula z pistoletu przebiła ścianę i utkwiała w moim prawym kolanie. Czy było to możliwe? Tak, to był barak z trzciny obrzucony tzw. rapówką. Po kilku strzałach w to samo miejsce tynk odleciał. Następny etap był straszny. Po otrzymaniu postrzału przewróciłem się na podłogę, przytomności nie straciłem. W tym czasie cały teren OHP był zajmowany przez MO oraz osobników w nieznanych mi mundurach oraz w mundurach wojskowych. Posypały się petardy z gazem łzawiącym oraz świece dymne. Staliśmy na swojej sali jak skamieniały - ja także przy pomocy kolegów. W miejscu, w którym przednio leżałem była kałuża krwi. Poprosiłem kol. Kazimierza Kaczmarka, aby przykrył tę krew chodnikiem. W tym czasie na korytarzu słychać przeraźliwe krzyki naszych kolegów, 'pomieszane z wrzaskami porządkowych /MO/, którzy krzyczeli: "Spierdalać, wypierdalać skurwysyny, na dwór, pod ścianę i ręce do góry". Odgłosy te zbliżały się w naszą stronę, to znaczy do końca korytarza i nagle drzwi mało z futryn

nie wyleciały. Myślałem, że to bomba, ale na szczęście to była tylko służba porządkowa. Czy na szczęście? Uzbrojeni po zęby z tarczami, pałami, pistoletami oraz gazem łzawiącym i świecami dymnymi. Koledzy, którzy trzymali mnie pod ręce, zostali odepchnięci tarczami, a przy tym używano również tych "malutkich pałeczek". Z krzykiem, z tymi samymi słowami co uprzednio, wszyscy moi koledzy opuścili już salę. Zostałem sam. W pierwszym momencie myślałem, że mnie zostawią, ale zaraz się przekonałem, że od myślenia na tej sali był kto inny. Otrzymałem kilka uderzeń tarczą, między innymi w bok prawej nogi. Byłem tak przestraszony, że bólu nie odczułem. Usłyszałem te same słowa, które już uprzednio słyszałem - na dwór. Zostałem wypchnięty na korytarz. Teraz zobaczyłem - z sali tego nie widziałem - biegnącego kolegę przede mną, którego z dwóch stron okładano pałami, kolbami oraz kopniakami. Korytarz miał około 30 metrów długości i 1,80 szerokości. Co 3-4 metry stała "ręka sprawiedliwości". Miałem wtedy 17 lat i bardzo pragnąłem żyć. Jak udało mi się przebiec, nie pamiętam. Nie wiem ile razy uderzono mnie, ponieważ tak szybko nie umiem liczyć. Po wybiegnięciu na dwór można było otworzyć oczy, nie było tam tyle gazu i świec dymnych. Zobaczyłem, że wszyscy moi koledzy klęczą przed barakiem z rękoma do góry. Sprawdzano czystość rąk. O co chodzi? Higieniści przyjechali, czy co? Ale to nie higieniści, to "sprawiedliwość", bo jeżeli ktoś miał brudne ręce, to znaczyło, że brał udział w walkach na ulicach i rzucał kamieniami, a wyrok był wykonywany natychmiast. Wyrok z paragrafu 1

- pała, 2 - rączka pistoletu, 3 - buciki skórzane. Innych paragrafów nie było, żadnej biurokracji, szybko, sprawnie. Zostałem zmuszony do klęknienia wraz z innymi. Kula w kolanie - nie potrzeba więcej pisać, to mówi samo za siebie. Przyszła jeszcze moja kolej na sprawdzenie rąk. Kolega, który wiedział, że jestem ranny, obejrzał się. Za to otrzymał potężne uderzenie w tył głowy. Dzięki niemu ominięto moje ręce, ale nie ominięto kopnięcia mnie w nogi, ponieważ klęczałem za szeroko, a czy mogłem inaczej? Po tym kopnięciu zauważyłem, że komendant, nazwisko zdaje się Lenczewicz, próbował interweniować chyba w sprawie tego uderzenia w tył głowy, a może i w mojej sprawie, nie wiem. Nie wiem, czy komendant wiedział, że jestem ranny, nie widziałem końca interwencji, czułem bardzo ostry ból. Zrobiło mi się ciepło i słodko - straciłem przytomność. Odzyskałem ją na obcej sali, chyba pie.wszej z brzegu korytarza. Otworzyłem oczy, widziałem nad sobą przełożonych oraz kolegów. Ktoś badał puls, kilku płakało z bólu trzymając się za głowy, za brzuchy oraz za inne części ciała. Ponownie straciłem przytomność. Mimo iż założono mi opaskę za kolaniem, utraciłem dużo krwi. Nie pamiętam, czym zostałem zawieszony. Jak za mgłą widziałem przed pogotowiem na Żwirki i Wigury kilkanaście osób, słyszałem głosy kobiet i mężczyzn. Któraś z kobiet płakała, mówiąc przy tym: "Zobacz Basiu, taki młody, jak oni mogą, czy oni Boga w sercu nie mają?". Czyżby ta kobieta nie wiedziała, że Bóg był z nami, a z nimi rząd i partia i ten, który wydał rozkaz strzelania? Lekarz dyżurny, nie pamiętam nazwiska, stwierdził ranę postrzałową

kolana prawego. Po opatrzeniu i otrzymaniu kilku zastrzyków zostałem odwieziony - to już pamiętam - karetką pogotowia jakimiś okrężnymi drogami do Szpitala Morskiego w Redłowie. Po przybyciu tam długo nie czekałem. Kilka minut i znalazłem się na sali operacyjnej. Nie wiem, jak długo trwała operacja, pamiętam jak doktor, który mnie operował, powiedział przed operacją, że narkozy jest mało i trzeba ją zostawić na poważniejsze rany. I słowa: "Siostrzo, znieczulenie miejscowe". Otrzymałem jakiś zastrzyk, chyba jak to się mówiło "głupiego Jasia", przestałem się bać i ból jakby trochę minął. Później kilka zastrzyków w kolano. Są to fragmenty, które pamiętam i utrwaliły się najbardziej. W czasie operacji trochę bólu czułem, ale był moment, że nie wiedziałem, co się działo. Ktoś, jakaś pielęgniarka biła mnie po twarzy. Otworzyłem oczy. Pierwszy moment - krzyknąłem, myślałem, że znowu przyszła "sprawiedliwość", ale to był koszmar, zostałem szybko uspokoiony. Teraz również słyszałem: lekarz powiedział: "No, już po operacji" i dodał "Masz synu szczęście w nieszczęściu, że kula nie przeszła na wylot, bo nie byłoby co składać" i wręczył mi, a raczej wcisnął kulę do ręki, którą usunął w czasie operacji z prawego kolana. Przewieziono mnie na oddział chirurgii na I piętro, ostatnia sala po lewej stronie za dyżurką. To była duża sala. Byłem chyba 8 lub 9. Było kilka łóżek wolnych. Do rana sala była zapełniona. Byłem najmłodszy. Najstarszy miał około 60, może więcej. To był bardzo fajny dziadek, rozweselał nas wszystkich i dodawał otuchy. Dziadek nie był w wypadkach grudniowych, leżał tam przed

nami. W kilkanaście godzin później poznałem mego towarzysza z grudniowych wypadków - kol. Tadeusza Wesołowskiego. Postrzał lewego podudzia, rana strasznie poszarpana, kula przeszła na wylot. Poznałem kolegę ze Stoczni, nie pamiętam nazwiska ani imienia - postrzał w ścięgna pięty. Następny kolega - postrzał w rękę, nadgarstek, grozi mu bezwład ręki. Były jeszcze inne, których nie pamiętam, ale wiedzieliśmy, że na innych salach, na izolatkach leżą nasi koledzy z bardzo poważnymi postrzałami, które niejednokrotnie kończyły się tragicznie. Coraz bardziej zacząłem tęsknić za mamą, za tatą i za braćmi, których miałem dwóch. Mijały dni a mnie nikt nie odwiedzał. Koledzy z OHP rozjechali się do swoich rodzin, a ja zostałem sam, oczywiście nie w całkowitym tego słowa znaczeniu, bo kolega Kazimierz Kaczmarek, który pochodzi z mojej wsi, o zajściu, jakie nas tu spotkało powiadomił moich rodziców. Nie mógł jednak dokładnie określić, co stało się później. Wiedział, że jestem ranny w nogę i widział jak nieprzytomnego odwożono. Dokąd - nie wiedział. Reakcji moich rodziców nie będę opisywał, jest to dla mnie zbyt trudne. Ojc'ec poruszył niebo i ziemię, aby mnie odnaleźć i nie pomogła mu w tym nawet legitymacja partyjna. Bracia powrócivszy z internatu nie mogli uwierzyć w to, co rodzice opowiadali, pierwsze słowa, kiedy przybyli do domu - "Brat wasz Renek nie żyje" - tak mnie tam wszyscy nazywali. Nie mogąc mnie odnaleźć uważali i mieli prawo tak uważać, że nie żyję. Po tygodniu, może później, zaczęli szukać, cała rodzina - wszystkie szpitale w Trójmieście. Czy było tak trudno odnaleźć? Tak, ponieważ przy przyjęciach do szpitali

ranych, nie zawsze zdążono zapisać nazwisko lub zarejestrować na izbie przyjęć. Dwa razy byli bardzo blisko mnie, ale ja o tym nie wiedziałem. W Szpitalu Morskim w Redłowie odpowiadano im, że niestety takiego tu nie ma. Ich rozpacz wzrastała coraz bardziej. Zaczęto od początku, zaczęto od OHP. Tu ktoś wiedział, że stąd zawieziono mnie do pogotowia. W pogotowiu sprawdzono: tak, był. Dowiedzieli się, że rana ta nie zagrażała memu życiu. Teraz szybko, gdzie został odwieziony? - do szpitala w Redłowie, ale tam go nie ma. "To niemożliwe" - odpowiada ktoś na pogotowiu. "Byliśmy dwa razy". W grudniu 70 roku wszystko było możliwe. Było już bardzo późno, ostatni pociąg w stronę domu już odszedł, co robić... Mama prosi resztę rodziny, aby jeszcze raz pojechać do Redłowa. Znają tam już moją rodzinę. Chyba instynkt matczyny, bo co innego. Zaczyna się telefoniczne sprawdzanie po oddziałach. Na izbie przyjęć dużo mniej zarejestrowanych niż przebywających na oddziałach. Ojciec ostro - "Co za bałagan" - nie wiedział, co tu się działo. Jeszcze raz: "Jak nazwisko i imię syna?" - Ireneusz Drogocz. Chwila ciszy, napięcia i niepokoju, może jest. Młoda kobieta trzymająca słuchawkę zaczyna szlochać, rodzina zdrętwiała. Pierwsza myśl - nie żyje, ale lekarz powiedział na pogotowiu... Przerwa. No te rozmyślenia to były łyzy radości obcej kobiety. Odpowiada: "Jest, żyje, na chirurgii na I piętrze".

Dalej tego opisać się nie da. Następnego dnia rano, a raczej tego samego dnia, bo było po północy, odwiedziła mnie rodzina. Rozmowom, opowiadaniom, nie było końca. A radość - o tym także pisać nie sposób. Pytanie, kto bardziej

ucierpiał, ja czy rodzina? Czy jest ktoś w stanie opisać przeżycia tych rodziców, którzy szukali w podobny sposób swoich synów, córek i nigdy ich nie odnaleźli.

Milicjant, który do mnie strzelał, to dobrze zbudowany mężczyzna, wysoki, z czarnymi wąsami. Wciąż mam go przed oczyma.

x x

x

Po wyjściu ze szpitala około trzech miesięcy chodziłem z nogą w gipsie. Otrzymałem w tym czasie kilkanaście tysięcy odszkodowania. Po zdjęciu gipsu sanatorium w Swieradowie, nie żałowałem pieniędzy na swoje leczenie i zabiegi. Brałem dodatkowe kąpiele, masaże. Pieniądze ubywają. Po odbyciu leczenia przez blisko rok otrzymywałem rentę inwalidzką. Przez następne lata było lepiej, ale nie na długo. Zaczęło się coś psuć. Woda w kolanie, kilka bolesnych punkcji i noga w gips. W tym czasie byłem już żonaty i miałem dwoje dzieci. Wszystkie moje choroby związane są z grudniem 70 roku.

Jedno złe stąpienie nogą i historia się powtarza. Pęknięcie łąkotki prawego kolana - kilka miesięcy noga w gipsie, co nie daje rezultatu. Pozostaje tylko operacja. Ponieważ nie mogłem poruszać się na własnych nogach, zgodziłem się na operację; czy miałem inne wyjście? Do szpitala w Dzierżoniowie przybyłem 29 IV 76 r. Po trzech dniach zostałem operowany, usunięto łąkotkę kolana prawego. Po operacji czuję się tak, jak w grudniu 70 roku. Mam przed oczami obraz osoby, którą trudno zapomnieć.

Po trzech miesiącach zostałem wypisany ze szpitala. Czyżby to koniec grudniowych kłopotów? Jednak nie. Jest rok - patrzę na kalendarz - 81. Jestem na zwolnieniu lekarskim. Zdjęcie Rtg wykazało zwyrodnienie kości stawu kolanowego. Wykupuję zastrzyki polskiej produkcji. 5 takich zastrzyków nic mi nie pomaga. Lekarz, dr Dyr, przepisuje zastrzyki szwajcarskie, 5 sztuk, wszystkie w kolano. Został mi jeszcze jeden, ale poprawy żadnej. Nie wiem, co będzie dalej, noga coraz bardziej boli.

Jestem przekonany, że spotkam w swoim życiu tego, który zrobił mi tyle krzywdy. Teraz ja spojrzę na niego tak, jak on w 1970 roku na mnie. Czy potrafię to zrobić? - oceńcie sami.

Relacja Jacka Węglarza /lat 23/,
pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej
w Gdyni

15 zrobił się wielki szum, więc wyszliśmy na miasto. Poszliśmy przez port, wzięliśmy ze sobą portowców, szliśmy dalej przez Zakłady Rybne - wzięliśmy stamtąd ludzi i w pochodzie szliśmy pod Komitet Miejski PZPR. Komitet zamknięty, żadnej osoby nie było, nikt z nami nie chciał porozmawiać, więc udaliśmy się w pochodzie pod Prezydium. Pod Prezydium też najpierw nikt nie wychodził, ale w końcu odważył się pan Mariański. Kazał wybrać z tłumu przedstawicieli, którzy przedstawiają postulaty. Była wielka dyskusja w tym gmachu, więc wyszedł pan Mariański. Powiedział, że dobrze, podpisuje sam strajk okupacyjny, dopóki się to nie wyjaśni, będzie strajk okupacyjny.

Ludzie się domagali, żeby to wszystko poszło przez telewizję warszawską. Pan Mariański powiedział, że na telewizję warszawską nie ma żadnego wpływu, może najwyżej przez telewizję gdańską. To zaczął się znowu szum - "Nie! My chcemy na całą Polskę". I z tym pismem, że mamy podpisany strajk okupacyjny, cofnęliśmy się z powrotem do Zakładów Rybnych.

W Zakładach Rybnych były przemowy, student nawet jeden przemawiał, który miał pretensje do nas, robotników, że oni nam w Grudniu jednak jakąś pomoc dają, a jak były rozruchy studenckie robotnicy nie chcieli pomóc, miał trochę żalu do robotników. Wtedy była wybrana policja robotnicza. Zaznaczono, że komitet strajkowy pozostaje

260

tu, w Młodzieżowym Domu Kultury i proszono, aby przedstawiciele zakładów tam składali postulaty.

Na drugi dzień do roboty przyszliśmy. Był strajk okupacyjny, nie pracowaliśmy. Szum się wielki zrobił, że Stocznia obstawiona jest przez wojsko, przez milicję. Szybko pobiegliśmy - akurat ten "Pentagon" był budowany - na dach; rzeczywiście: Czechosłowacka i Polska były obstawione, na Polskiej wojsko stało, na Czechosłowackiej milicja, uzbrojeni po zęby. Puścili nas jednak, wyszliśmy z tej Stoczni do domu. Ale przedtem dowiedzieliśmy się, że komitet strajkowy rozbili, pozamykali członków i porozbijali wszystko. Wielki szum się zrobił. Dyrektora wzięli jako zakładnika - ma jechać do miasta i komitet strajkowy przywieźć do Stoczni. Zaczął się tłumaczyć, że nie ma na to wpływu, ale wreszcie pod naciskiem ludzi w służbowy samochód wsiadł, pojechał. Na czas nie zjawiał się, ale przez radiowęzeł ogłaszano komunikaty: "Stocznio! wstrzymajcie się, jesteśmy w drodze powrotnej". Niestety, komitetu strajkowego nie przywiózł do Stoczni. Dyrektor obiecał, że jak na drugi dzień rano z komitetem się nie zjawi, to w pochodzie pójdzie w pierwszym rzędzie z nami na miasto. Niestety, do tego nie doszło, bo już ta masakra była.

We czwartek jechałem na pół do siódmej do roboty z Gdańska-Oliwy. Przyjechałem do dworca Gdynia-Stocznia - zjechały się tam dwie kolejki, ta z Gdańska spotkała się akurat z tą z Wejherowa. Wsiadł tłum ludzi. I w tym tłumie ludzi podążaliśmy na dół, z pomostu na wiadukt. Atmosfera już była napięta, bo już ludzie, którzy wcześniej

wiedzieli o co chodzi... bo już milicja czy czołgi... Myśmy o tym za bardzo nie wiedzieli, więc szliśmy tak jak wszyscy wysiedliśmy. Powstrzymały nas strzały wtedy. Szedłem w pierwszym czy drugim szeregu, już teraz nie wiem, ale w czołówce, dostałem wtedy. Nie słyszałem żadnych ostrzeżeń i stwierdzam, że żadnych ostrzeżeń nie było. Może wcześniej były - tego nie powiem, ale jak ja się znalazłem w tym miejscu nic nie było. No i padły strzały. Po pierwszych strzałach padłem. Dostałem po nogach. Z Gdańska różne wersje były, bo to strzelali wcześniej w Gdańsku, więc myślałem, że dostałem jakiś paraliżujący pocisk. Bólu nie poczułem w pierwszym momencie, tylko gorąco mi się zrobiło strasznie, obróciłem się wkoło swojej osi i padłem na ulicę.

Padając na ulicę straciłem chyba, zdaje mi się, że straciłem na jakiś moment przytomność i dopiero po jakimś czasie słysząc, że pociski koło głowy świstają, podniosłem się, skoczyłem do barierki, złapałem się barierki, spojrzałem na nogę - patrzę, że noga wisi, krew się leje, więc zacząłem krzyczeć. Zlecieli się koledzy, dwóch do mnie podskoczyło, wzięli mnie pod pachy, ściągnęli pod płot. Jeden zdjął szalik, związał mi od razu nogę szalikiem. Żadnej komunikacji nie było, żadnych karettek ani samochodów - nie było możliwości odwiezienia rannych do szpitala, więc nas układano pod płotem. Wtedy jechała jakaś nyska czy żuk, więc ten tłum zatrzymał tę nyskę, żeby nas zabrać spod płotu do szpitala. Kierowca trochę stawiał opór, bo się bał, że on nie przejedzie przez szpaler milicji. On wiedział, że szpital jest obstawiony

milicją. Tłum jednak nalegał tak mocno, że otworzył drzwi, załadowali nas. Poukładali nas tak jak śledzie, jeden na drugim, żeby jak najwięcej nas weszło, jeden drugiego okrwawił, było nas dziesięciu albo ponad dziesięć osób w tej nysce.

Wsiadła z nami do tej nyski jakaś lekarka. Nie znam jej nazwiska. Powiedziała, że ona jedzie z nami razem do szpitala. Kierowca podjechał pod szpital, pod szpitalem był już wielki tłum ludzi, więc ludzie nas już wyciągali z tego samochodu, układali nas na posadzce w holu szpitala. Zbiegły się siostry, zaczęły płakać. Przyleciał lekarz, zaczął te siostry ochrzaniać - "To ludzie ranni, tu nie ma co panikować" - tylko żeby się za robotę brały.

No i wtedy powoli nas zabierali stamtąd. Właśnie mojego kumpla, Stanisława Budzińskiego, który miał postrzał w policzek - ten pocisk przelykiem poszedł i koło kręgosłupa - wzięli na kozetkę, za taki parawan. Pierwszy raz w życiu widziałem, że w ten sposób może głowa się powiększyć. On chyba dwa razy powiększoną miał głowę, tak napuchł. Mówić nic nie mógł. Nas wzięli do góry. Próby krwi nie pobierali, bo z tych kałuż brali krew. I czekaliśmy na operację. Na te operacje to się długo czekało, bo w pierw z postrzałem żołądka brali, myśmy czekali, bo mogliśmy jeszcze wytrzymać, to na końcu. Wpierw postrzały głowy i żołądka. Lekarze operowali bez przerwy. Tylko wyskakiwał zapalić papierosa, wypić kawę - i z powrotem, non stop operacje trwały.

Potem wzięli mnie na operację. Ja byłem w dżinsach, to wiadomo było, że ta noga wisiała,

nie było możliwości rozbierać, bo nie było nawet czasu - obcięli nogawkę i operowali nogę. Po operacji znalazłem się na oddziale jakimś kobiecym - bo tam miejsca nie było na chirurgii i ortopedii. Po operacji przebudziłem się. Siostra do mnie przysłała. Powiedziała: "To ja panu ulżę, rozbiorę pana, ten drugi but ściagnę, ulżę panu". Ściągając drugi but z nogi mówi: - "Panie, panu z drugiej nogi krew leci!". Zobaczyła, że druga noga też postrzelona. Więc automatycznie - na wózek i z powrotem na salę operacyjną. Po tej drugiej operacji to już obudziłem się chyba na drugi dzień, bo była podwójna narkoza.

Pamiętam, jak na drugi dzień - nie wolno było odwiedzać, bo to była godzina policyjna - dostał się do szpitala mój tata. Dali mu fartuch biały i przez kaplicę wszedł do szpitala. Nie mogłem rozmawiać, nic... Później przyszedł do mnie lekarz, powiedział mi: "Jacek, dziękuj doktorowi Okoniewskiemu, że masz nogę, bo bawił się z tobą jak zegarmistrz. Wiązał te nerwy, żyły żeby ci tę nogę uratować". Taką opiekę, jaką miałem w szpitalu, to mało kto mógł mieć. Taką opiekę, jaką mieliśmy po wypadkach grudniowych. Na naszej sali było gdzieś sześć, siedem osób z wypadków.

Po jakimś czasie przyszedł do nas prezydent miasta, pan Mariański. Przyszedł akurat w dzień odwiedzin, więc wyprosił rodziny z sali, przyszedł z jakimiś dwoma panami przeproszać nas. Wyjaśnił, że nie mogli zapobiec. On nam podpisał ten strajk okupacyjny, ale zdjęto go ze stanowiska, więc na nic nie miał wpływu. Wręczył nam wtedy po pięć tysięcy złotych.

W tym szpitalu leżałem pół roku bez przerwy na jednym łóżku. Po pół roku doktor Okoniewski powiedział: - "Jaosk, niemożliwe żebyś ty tu leżał, bo to ci się tu nie goi, musisz zmienić klimat i jedzenie". Miałem przeszczep robiony z jednej nogi na drugą. Mówi: "Zagojone miałeś, teraz znowu zaczyna się ślimaczyć, więc warunki szpitalne ci nie odpowiadają. Do domu i co drugi dzień na opatrunek". Jeździłem co drugi dzień na te opatrunki, załatwiłem to ze Stoczną, że płaciła za taksówki. Doktor Okoniewski odszedł ze Szpitala Miejskiego. Doktor Teleszyński powiedział "No panie, tak dłużej nie może być, amputacja nogi, wtedy szybko się zagoi i do roboty". Nie mogłem się na to zgodzić, zdecydowaliśmy się na prywatne leczenie.

Pojechałem na konsylium do Warszawy, powiedzieli, że nogę będą ratować. To był doktor Szulc. Powiedzieli, że nawet mi ją uruohomią. W Warszawie leżałem dość długo, bo czekałem żeby dostać ścięgno z banku części zamiennych. Czekałem na jakiegoś trupa, bo powiedzieli, że tak poharatany jestem, że nie chcieli mi tej drugiej nogi przy okazji ciąć. Znalazło się to ścięgno, wzięli mnie na operację. Na stole dostałem zapaści, więc zrobili tylko uaztywnienie stawu skokowego, który mam zabity na dwa gwoździe platynowe. Zrobili też przeszczep ścięgna, przedłużyli, bo miałem końską szprotawę, stopa leciała na dół, ustawili mi stopę. Było to mniej więcej trzy lata po grudniu.

Po tej operacji leżałem dłuższy czas, aż wszystko się dobrze zagoiło. Wypuścili mnie do domu. Ale co jakiś okres miałem się zgłaszać. Załatwiany był zawsze samolot sanitarny i podróż

odbywałem w ten sposób, że sanitarka mnie zabierała i sanitarka mnie przywoziła. Potem dostałem skierowanie do szpitala sanatorium w Reptach Śląskich. Tam doprowadzili mi jakoś nogę do takiego stanu, że do tej pory chodzę o lasce.

Będąc w Reptach Śląskich dostałem pismo - byłem cały czas na drugiej grupie inwalidzkiej - że mam się stawić na komisję lekarską. Gdy stanąłem na tę komisję, zabrali mi drugą grupę i dali trzecią. Automatycznie musiałem podjąć pracę. Renta na życie nie wystarczała, bo miałem żonę i dziecko na utrzymaniu. Ale nie mogłem się zgodzić z tym, że w trakcie leczenia zabrali mi tę rentę, więc odwołałem się do sądu.

W sądzie powiedzieli: - "Panie, jak pan tak długo mógł się leczyć i żadnej rehabilitacji". Ja powiedziałem, że na rehabilitację mnie lekarze nie puszczali, bo miałem ciągle stany ropne. Na to sędzina powiedziała: - "Jak ktoś ma wrzody, to też tak się ciągnie?". Ja mówię: - "Pani, jak pani wrzody porównuje do mojej nogi, to przepraszam bardzo" - no i wyjścia nie było. Zabrali mi drugą grupę, dostałem trzecią.

Podjąłem pracę z powrotem w naszej Stoczni Komuny Paryskiej, tylko że już nie nadawałem się na swój wydział mechaniczny, więc dostałem się na wydział rehabilitacji. Na tym wydziale rehabilitacyjnym pracuję do dziś. Wzywają mnie na komisje lekarskie co rok albo co dwa lata, bo do tej pory renty stałej nie mam, tylko czasową. Nie wiem, czy myślą, że mi druga noga odrośnie.

Leczenie mnie nic nie kosztowało, wszystko lekarze załatwili z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Mówili, że mają człowieka po wypadkach grudniowych i wszystko było opłacane z ubezpieczalni.

Relacja Wiesława Kasprzyckiego,
syna Henryki Halman,
z października 1980 r.

Matka wychowywała mnie sama. Żeby nas utrzymać, dorabiała jak mogła, ciągle brała dodatkowe dyżury, widywaliśmy się rzadko. Codziennie rano budziła mnie telefonem, w czwartek też zadzwoniła: - "Nie wychodź nigdzie, straszne rzeczy się dzieją". Obiecałem, bo nie chciałem jej denerwować, ale nie było mowy, żebym został w domu i nie zobaczył, co to się dzieje - miałem siedemnaście lat.

Parę minut po szóstej wsiadłem do autobusu linii 119 - mieszkaliśmy na Czołgistów - dojechałem do sądu, poszedłem w kierunku Gdyni-Stoczni. Mijałem ludzi podenerwowanych, krzyczących - nic nie rozumiałem. Wszedłem na pomost - padła seria pocisków. Miały czerwony kolor. Mówiono mi później, że to były pociski świetlne czy sygnałowe. Zbiegłem na dół, na tory, tam gdzie większość ludzi się znajdowała.

Z ulicy Czerwonych Kosynierów ruszył pochód, utworzył się tak jakoś samorzutnie, na przedzie ktoś niósł flagę - ja pamiętam, że czerwoną nie biało-czerwoną - no i śpiew.

Wyprzedziłem pochód, pobiegłem do przyjaciela, Grzegorza Głowackiego - nie zastałem go w domu. Dobiłem do pochodu, ale przy Władysława IV odłączyłem się. W bloku położonym dokładnie naprzeciw Miejskiej Rady też miałem kolegę - w mieszkaniu nie było nikogo. Później dowiedziałem się, że z całą rodziną został aresztowany, bo miał kolekcję białej broni - tak mówiono.

Potem - bo to przecież była taka bieranina w tę i z powrotem - znalazłem się razem z grupą ludzi w bramie bloku, gdzie teraz jest "Motocech". Po drugiej stronie była grupa milicjantów. Pamiętam dokładnie mężczyznę w panterce, z dwiema gwiazdkami, który trzymał w ręku pistolet i strzelał. Jakaś kobieta krzyczała przez okno: "Bandyto, co robisz?!". To pamiętam. Ale czy kogoś trafił czy nie - nie widziałem.

Gdy uspokoiło się na tym odcinku, poszedłem okrężną drogą do domu. Gdzieś zapodziały mi się klucze, a poza tym - głupio się przyznać, nie byłem już przecież smarkaczem - zapragnąłem do mamy. Szedłem aleją Czołgistów w górę, natknąłem się na oddział milicyjny. Pierwsza rzecz: pokazać ręce. Pokazałem i pytam, czy mogę przejść, bo chcę iść do matki. Zezwolili. Uszedłem cztery pięć kroków - poczułem ból w karku i straciłem przytomność. Odzyskałem ją w momencie, gdy przenoszono mnie przez obrotowe drzwi do Prezydium. Znalazłem się na posadzce. Dopadło mnie trzech, zaczęli kopać. Nie straciłem wtedy przytomności, to było tylko takie przywitanie. Kazano mi się podnieść, poprowadzono na pierwsze piętro.

Na pierwszym piętrze po lewej stronie była wnęka z wieszakami, jak w szatni. Tam mi kazano usiąść obok dwóch - chyba młodszych, bo mniejszych - zabezpieczanych chłopaków. Siedziałem tam - z określeniem czasu to będzie krucho - aż doprowadzono innych, tak że zebrało się ze dwadzieścia osób. Wtedy przyszło trzech czy czterech w panterkach, z pałami takimi do ziemi - mogli się na nich oprzeć jak na mieczu - kazali zejść na dół. Zaprowadzili nas do sali kolegium, sprawdzili stan, kazali usiąść na podłodze, ręce trzymać za sobą. Wszyscy posłusznie usiedli. Zamknięto drzwi, więc zaczęliśmy szeptać.

Wpadło dwóch - bili jak popadnie i gdzie popadnie.

Kiedy sala dobrze się napełniła - może po dwóch godzinach - przyszedł ktoś wyższy rangą, kazał usiąść jak poprzednio - po turecku, z rękami do tyłu - ale w szeregach. Zaczęli nas "strzyc" takimi myśliwskimi nożami. Ja nie miałem długich włosów, to bardziej cierpiałem. Równocześnie przynieśli taki drewniany fotel - jest tam do dziś, siadają w nim przewodniczący kolegiów - wybierali niektórych, kazali przekładać się przez ten fotel i bili.

Nadszedł jakiś nowy, też w panterce. - "Co wy tu robicie?" - sprawiał wrażenie zaskoczonego. - "Daj spokój - powiedział jeden z pozostałych - chodź do bufetu, napijemy się czegoś". Minęło może z pół godziny, wrócili i ten facet, który się dziwił, stał się gorszy od kolegów. Bili. Na oślep, na odlew, gdzie popadło. Cofaliśmy się pod jedną ścianę, pod drugą. Skóra po uderzeniach zaczęła pękać, krwawić, na podłodze zrobiła się maź z krwi i włosów.

Zaczęli wzywać na przesłuchanie, na pierwsze piętro. Tam wchodziło się za jakieś przepierzenie i na prawo do pokoju. Jak się później dowiedziałem, był to ówczesny pokój Prezydenta Miasta. Duże puste biurko, czterech drabów pod ścianą i za mniejszym biurkiem jeszcze jeden drab. - "Nazwisko". Ten przy biurku odszukał moje dokumenty - zabrali je na początku - policzył w imieniu i nazwisku litery, ilość zapisał w kółku na kartce i kazał mi położyć się na stół. Nie zrobiłem tego, cofnąłem się tylko wstając z krzesła - bo kazano mi usiąść - tych czterech tylko na to czekało, momentalnie rozłoży-

li mnie na stole. Dostałem tyle razy, ile było liter. Miałem zdjęcie dziewczyny, dzisiejszej żony, z podpisem, że na zawsze itd. i imię na dole. Zapisał to imię, policzył litery, te draby znowu mnie rozłożyły na stole. Zerwałem się, ale jakoś tak niezręcznie, że spadłem na podłogę i tam mnie skopali. Tak samo liczyli jeszcze lata.

Potem mnie wyprowadzili. Zszedłem z półpiętra - ten, który liczył litery, zawołał mnie. Ci, którzy mnie prowadzili, zostali na miejscu - podszedłem do niego do góry. Rękę miał w rękawicze, w pięści trzymał tuleję, dość dużą, jak dziś pamiętam: mosiężną. Dostałem tym w twarz. Spadłem na dół, na wycieraczkę. Plułem krwią, ale zęby nie wyleciały, tylko później - ale to już stwierdzili lekarze - okazało się, że wszystkie są obłuzowane, latały tak w górę i w dół.

Podniesiono mnie pod rękę - bo iść po takim czymś to nie da rady - i zawleczono z powrotem do sali kolegium. Tu wszystkim kazali się rozebrać i złożyć ubranie ładnie w kostkę. A potem znowu bicie. O wyjściu do ubikacji nie było mowy, ludzie załatwiali potrzeby wprost na sali, odór był potworny. A przede wszystkim wygląd tej sali - włosy, krew i odchody - naprawdę cyrk.

Na ścianie, na prawo od wejścia, wisiał biały orzeł wycięty ze styropianu. I ten orzeł cały był zachlapany tą mazią. Dopiero dziś widzę w tym jakiś symbol, wtedy o tym nie myślałem, może byłem za młody?

Byliśmy więc nadzy. Teraz zaczęły się takie różne zagrywki. Na przykład kazali człowiekowi

wstać, podejść do ściany, krok do tyłu i oprzeć się kciukami o mur. Nie wiedziałem, o co chodzi, a to przecież momentalnie mdleją palce. Wystarczyło, by ktoś ukląkł czy ugiął się tylko, a bito i kopano go tak, że szybko podnosił się znowu. Z opowiadań dziadka znam sposoby znęcania się nad ludźmi w Stutthofie, ale o czymś takim nie słyszałem. To nie było aż tak, żeby krew tryskała, nie było ran otwartych, ale ludzie mieli ciała granatowe. Nie siniaki, potłuczenia, pręgi - granatowe ciała od karku do ud poniżej pośladków. Co jeszcze? Bito w pięty - potworny ból. Rozstawiali po kątach, jednym kazali wstawać, drugim siadać. To była zabawa. Oni to robili nawet ze śmiechem. Stali w grupce, rozmawiali ze sobą, naraz jeden zaplawał ręce, łapał pałę i bił.

Mnie tłumaczono inaczej, ale ja uważam, że człowiek normalny nie może tak postępować, dlatego sądzę, że oni brali jakieś środki. Można kogoś pobić w nerwach, nawet mocno pobić, ale musi być jakaś przyczyna. A nie tak, że wchodzi do sali - byliśmy jeszcze w ciuchach - podchodzi do kogoś, chwyta za ubranie, uderza pięścią, człowiek pada, a on spokojnie odwraca się i zaczyna rozmowę z kolegami. No to ja nie uważam tego za normalne, musiał być jakiś narkotyk.

Pamiętam, że w PMRN znajdowały się także kobiety. Nie wiem, co się z nimi stało - w pewnym momencie przestałem je widzieć.

Co jeszcze pamiętam? Powiedziano, że możemy wyjść do ubikacji. Nikt nie chciał się ruszyć, bo utworzyli szpaler, stali z pałami różnej wielkości - od małych do tych do bioder, z kaskami trzymanymi za zapięcia. Wygarnęli

nas siłą - zrobił się jeden krzyk - straciłem znowu przytomność. Obudziłem się - leżałem pod ścianą. Ktoś podawał mi wodę, kto? - nie wiem. Troszkę oprzytomniałem - ludzi już nie było, nie wiem, co się z nimi stało.

Kazali mi wstać i iść na górę. Nie wiem, czy upodobali mnie sobie. Nie mogę powiedzieć, że wyżywali się na mnie, bo właściwie wszystkich nas traktowali równo, więc o co chodziło? Do mnie mieli taką zawziętość chyba dlatego, że młody stoczniowiec - młody bandyta. I zaprowadzono mnie z powrotem do tego, którego nie zapomnę do końca życia. I znowu - nazwisko, liczenie liter i bicie.

Ja już w tym czasie nie miałem sił, nie broniłem się, nie wiem czym mnie bił - traciłem co chwilę przytomność, oblewano mnie wodą i znowu... Pamiętam jeszcze, jak mnie niesiono na noszach... Może mnie się tylko wydaje, że tak długo mnie nieśli w dół? Potem leżałem na podłodze i z tego już pamiętam bardzo mało, jakieś urywki rozmów, szum... I wiem, że pilnowało mnie dwóch milicjantów. Jeden z nich jeszcze mnie podniósł, uderzył w twarz, upadłem - ale to są już takie mgliste wspomnienia.

Pamiętam jeszcze, że znowu mnie bili. Ale to już było w szpitalu, w malignie.

"Stan po przebytych mnogich urazach, szczególnie czaszkowo-mózgowym, kręgosłupa i nerek. Przebyty zespół stłuczenia pnia mózgu. Padaczka pourazowa".¹

"Pęknięcie lewej nerki, stłuczenie obu nerek,

1. Wypis ze szpitalnej karty informacyjnej Wiesława Kasprzyc-
kiego.

złamaniu kompresyjnie w kręgu piersiowego, wstrząs mózgu, padaczka pourazowa".

To, że żyję, jest wyłączną zasługą lekarzy i w ogóle Służby Zdrowia. Nie wiem, jak i po co przybyło do Prezydium pogotowie, ale przybyło i mnie zabrało. Przypuszczam, że lekarz użył jakiegoś podstępu, bo ledwie sanitarka nieco odjechała, zaczął ją gonić gazik milicyjny. I tak dojechali do szpitala - obydwie wozy na pełnym gazie, obydwie na sygnale. Milicjanci wyskoczyli z wozu - "Bierzemy go, mamy swój szpital, tam go wyleczymy". Ale wokół zebrał się już personel szpitala, pielęgniarki, palacze - nie dali mnie. I dziś, gdy odwiedzam matkę - pracuje dalej w Szpitalu Miejskim w Gdyni - spotykam niektórych z nich, mówią: "Widzisz, nie daliśmy cię, dlatego żyjesz". I to jest święta prawda.

-
1. Druk "Zgłoszenie wypadku PZU": nazwisko i imię: Wiesław Kasprzycki, lat 17, miejsce wypadku: PMRN w Gdyni, data wypadku: 17.12.1970.

Relacja Henryki Halman, pielęgniarki,
matki Wiesława Kasprzyckiego,
z listopada 1980 r.

Syna od 9 miesiąca do 17 roku życia wychowywałam sama. Mąż po powrocie z wojska zostawił nas samych. W grudniu 1970 r. pracowałam jako pielęgniarka w Szpitalu Miejskim w Gdyni. Syn uczęszczał do 2 klasy szkoły zawodowej przy Stoczni Komuny Paryskiej.

W nocy z 16 na 17 miałam dyżur w szpitalu. Słuchałam przemówienia Kociołka. Po jego przemówieniu słyszymy łomot, szum - otwieramy okna - widzimy, że jesteśmy obstawieni wozami pancernymi. Dostaliśmy rozkaz, żeby przygotować materiały opatrunkowe i rozłożyć bieliznę. Jak zobaczyłam co się dzieje, to zadzwoniłam o godz. 5 rano do syna, żeby nie wychodził z domu. - "Do szkoły nie pójdziesz..." - "Mamusiu, ale jak nie pójdę, to mnie z niej wyrzucą". Ja mówię: - "Nie martw się, najwyżej dostarczę dla ciebie zaświadczenie lekarskie, na moją odpowiedzialność nie idź". - "Tak... to sobie pośpię".

Przed 6-tą słyszymy strzały. Zbiegamy na dół do izby przyjęć. Zaczęli nam zwozić - to było coś okropnego - trupy. Zabici podczas wojny, wkraczanie Rosjan - to było nic. Chodziliśmy odtąd we krwi. Na II piętrze była sala operacyjna. Nikt się nie zastanawiał, nie czekał na wózek i nikt nie patrzył, czy to lekarz czy nie. Wszyscy wynosili rannych. Ale były takie przypadki, że dochodzimy do samochodu, otwieramy drzwi, a tu już trup leży. Nie zapomnę tego - jestem w izbie przyjęć - wprowadzają

274

kilku stoczniowców... jeden bledziusieńki na twarzy, szczupły, niepozorny. Drugi barczysty blondyn trzyma się za szyję, z której krew mu leci. Dochodzę do tego krwawiącego, bo chcę mu opatrunek założyć i od razu przenieść na salę operacyjną - nie - on się odwraca oparty o mur i mówi: - "On ma dzieci, ja jestem sam. Mnie nic nie jest - jemu!". Ja chcę do niego podejść, zobaczyć, gdzie on ma coś krwawiącego, bo nic nie widziałam - a on tak mi się usunął - klap. Boże kochany. Ile takich osób, cośmy nieśli - do sal operacyjnych już nie wnosiliśmy, no bo już koniec. I tam w szpitalu pokotem tak leżeli. Książd później przyszedł. Chodził ze stulą i wszystkich tam... przywieźli rannego z postrzałem w nerkę. Tę nerkę mu amputowano. Polecono opróżnić dla niego separatkę na chirurgii kobiecej. Zastanawialiśmy się, dlaczego tutaj. Okazało się, że jest to milicjant i że w ten sposób chcą go ochronić przed stoczniowcami. W ciągu dnia wpadła Służba Bezpieczeństwa i milicja: Krzyczeli - "My was s...syny zamordujemy! Wy buntowników ratujecie - ujawnić tych rannych". W obawie przed władzami, chcąc bronić tych ludzi, to my zmienialiśmy diagnozy. Tak, że później trudno było ustalić liczbę ofiar. Każde zejście śmiertelne musieliśmy podawać do sekretarza partii w szpitalu. Lekarze zmieniali rozpoznania przyczyny zgonu, żeby nie podawać, że po wypadkach grudniowych. Po północy z 17 na 18 przyjechali samochodami i część zmarłych zabierali do kostnicy. Naliczyliśmy tej jednej nocy około 40 zabranych osób. O 2.00 w nocy zabrali też karetką tego rannego milicjanta. Było to niedługo po operacji. Uczynili to mimo

naszego oburzenia - okropne.

Wieczorem już zamknęliśmy drzwi do szpitala - bo co chwila podchodziła milicja i chciała do nas wejść. Drzwi pilnowali palacze. Jak się trochę uspokoiło, to stamtąd oglądaliśmy naszą wojskową obstawę. Stali przed samochodami i mieli rozkaz strzelać, jeżeli ktoś podszedłby na odległość 5 metrów nie reagując na krzyk ostrzegawczy. To było straszne. Czegoś takiego się nie spodziewaliśmy. Ci żołnierze, głodni, zmarznięci, podeszli do portierni. Żal nam się ich zrobiło. Pytamy ich, skąd są i czy wiedzą, co się tu dzieje. Odpowiadają, że przyjechali tutaj walczyć z jakimś desantem. Nis wiedzą nawet gdzie są. Jechali przez 4 dni. Są głodni. Więc nabieraliśmy w szpitalu, czasem od chorych, suchego chleba, papierosów, kawy, zupy i to wszystko podaliśmy żołnierzom.

Wieczorem zaczęłam się denerwować brakiem wiadomości od syna. Telefony bowiem nie działały. Poszłam do dyrektora Gołębiowskiego, żeby mnie zwolnił do domu na godzinę. Dyrektor dał mi przepustkę, a ja zostałam jeszcze żeby zcewnikować tego rannego milicjanta. Potem tak około 6-7 wieczorem poszłam do domu. Syna nie ma. Szukam po sąsiadach - widzieli go - ale gdzie teraz jest nie wiadomo. W domu cisza. Naraz telefon się odzywa. Podbiegam do telefonu, słyszę taką wiadomość: "Proszę pani, proszę się nie denerwować o syna. Jest w Prezydium. Jutro go sobie pani odbierze...". A nie wiedzieliśmy jeszcze co się dzieje w Prezydium... Biegnę do Prezydium... - hurma milicjantów z tarczami - idź ty taka owaka... Ja mówię - "Panowie - idę po syna do Prezydium, jestem pracownikiem Służby

276

Zdrowia, zaraz wracam do pracy". Pokazuję legitymację, dowód, przepustkę. Nooo!!! - jak ci zaczęli mnie wyzywać - ty taka owaka - wracaj!!!... Ja mówię, że muszę iść, chociaż się dowiedzieć. Nie!!! Nic z tego. Wracam do domu. Płaczę. Znowu telefon. Dzwoni dyrektor Gołębiowski: "Słuchaj, nie wychodź do szpitala, przysyłamy po ciebie karetkę, syna mamy w szpitalu". Przyjeżdżam do szpitala i od razu idę na izbę przyjęć - a oni mnie wszyscy obstąpili... To nie był człowiek... tak pobić... to było straszne... Oni mnie tam nie chcieli wpuścić, tyle mi serca okazali. Wyglądał jak klocek. Wszystko na nim równe było od pobicia. Miał pękniętą nerkę, uszkodzenie kręgosłupa z pęknięciem dwóch kręgów i wstrząs mózgu. Był nieprzytomny i jedno stale wykrzykiwał: "Nie bijcie mnie. Ja was proszę, wszędzie mnie bijcie, tylko nie po głowie" - i modlił się. Mówił: - "Tam uderzyli - polali wodą i na nowo". Więc oni brali ich na I piętro na przesłuchanie, a w piwnicy bili. Tak z podniesionymi rękoma, nagusieńko został i nagusieńko przywieziony do szpitala. Bez niczego. W jaki sposób syn tam się dostał, dowiedzieliśmy się później, gdy odzyskał przytomność. Było to 24 grudnia. Syn opowiadał, że jak wstał to postanowił przyjść do mnie do szpitala. Ubrał się w granatowy mundur stoczniowy i wyszedł na ulicę Czołgistów. Tam szli milicjanci z tarczami. Dopadli do niego, uderzyli go w żołądek. On już nic nie wiedział. Scenę tę widziała moja koleżanka N., która mieszka na Działyńskiego. Zaczęła krzyczeć: - "Panowie! puśćcie go, ja go znam, to syn mojej koleżanki...". Za to jeszcze oberwała

w gębę. Zobaczyła jeszcze, jak go wlekli do Prezydium... Zawróciła tutaj do szpitala... Później opowiadali palacze, że syna przenosili z karetki na wózek siłą, bo pod szpitalem byli już milicjanci. I tak syn został uratowany...

Kuracja trwała 3 lata. Syn wyszedł z tego z 80% utratą zdrowia. Została z tego padaczka pourazowa. Czterokrotnie odciągałam go od popełnienia samobójstwa. Jak zobaczył milicjanta to dostawał furii... Ale udało się, ukończył szkołę, ożenił się, został ojcem dziewczynki...

Relacja Krystyny Zajczonko

Brat wyszedł z domu przed siódmą, miał jakieś zaliczenia na WSWF-ie, potem mama, na końcu ja - jechałam na dziewiątą. Komunikacja autobusowa była wstrzymana, razem z innymi pieszo dotarłam do Wzgórza Nowotki. Tam już helikoptery, gazy... Czas jakiś przebywałam w tamtym rejonie, napatrzyłam się dość, tak że do domu wróciłam roztrzęsiona, zapłakana od gazu.

Koło trzeciej dzwonek do drzwi, poskoczyłam - może Waldek? Otwieram - jego koleżanka i kolega: - "Czy Waldek w domu?" - "Nie, pojechał na uczelnię". - "No, bo prawdopodobnie on jest ranny" - mówi dziewczyna. Widzieli, że został ranny, pytali w szpitalu w Redłowie, tam go nie ma.

Pojechaliśmy z mamą do znajomych, którzy mają telefon, był czynny, dzwoniły po szpitalach - nigdzie nie ma. Na koniec dzwoniły do szpitala w Redłowie, mimo że ten kolega sam sprawdzał - tak, był taki. Opatrzono go i poszedł do

domu. Upewniam się, powtarzam nazwisko - okazuje się, że Zajączkowski. Ale jedziemy z mamą do domu, może wszystko im się pomyliło, może Waldek już w domu.

Była godzina siódma-ósma, już po godzinie policyjnej, oczywiście patrole chodziły, idziemy Kielecką w górę. Z góry biegnie jedenastoletni najwyżej chłopiec, zatrzymuje się przy nim gazik milicyjny, wyskakuje z niego dwóch byków, w normalnych milicyjnych mundurach i do chłopca. - "Skąd wracasz?" - "Od babci z Witomina". - "Dokąd?" - "Do domu". - "My ci damy do domu!" - i dawaj chłopaka tłuc. Rzuciłyśmy się z mamą do tego chłopca, a oni: - "Odejdźcie, bo i wy dostaniecie". Chłopaka wyrwałyśmy, uciekł, a przy nas zatrzymał się prywatny samochód, kierowca krzyknął: - "Szybko do środka". Wsiadłyśmy, a ten gazik ruszył za nami, ale potem nas wyminął i pojechał dalej.

O godzinie 21-ej przyszedł do nas do domu młody, jasnowłosy mężczyzna. Wyjaśnił, że jest sąsiadem, mieszka w sąsiednim bloku, a pracuje w pogotowiu jako sanitariusz. Prosił, żeby nikomu nie mówić, że przyszedł do nas, bo zabroniono mu informować kogokolwiek. Wśród rannych, których zabierał ze Wzgórza Nowotki był Waldek. Mówił, że koledzy Waldka wrzucili go siłą do karetki, mimo że Waldek już nie żył, a pogotowie trupów nie bierze. Sanitariusz sprawdził po drodze do szpitala dokumenty Waldka, zobaczył, że to sąsiad i przyszedł. Był absolutnie pewien, że Waldek jest w Redłowie.

Na drugi dzień pojechałam do szpitala w Redłowie. Ordynator powiedział, że się mylę, że takiego nie ma. Stałam z innymi przy schodach,

koło takiego bocznego pomieszczenia, nie wiedziałam co robić. Po chwili przyszedł jakiś mężczyzna z listą i mówi, że nazwisko takie figuruje. Że osoba ta nie żyje. Wydadzą jego dokumenty i ubranie, ale pokazywać nie będą.

Trzeba było pomyśleć o pogrzebie. Znajoma załatwiła miejsce na cmentarzu w Sopocie, bo tam chciałyśmy z mamą, a ja poszłam do Urzędu Miejskiego po akt zgonu. Urzędniczka dała mi go, patrzę - a tam "zmarł 20 grudnia". Zdenerwowałam się, /z tym, że ja nie pamiętam, którego byłam w Prezydium po akt zgonu, natomiast to, że napisano w nim datę śmierci 20 grudnia, pamiętam doskonale", powiedziałam, że ja tego nie wezmę, co to w ogóle znaczy i przy tej pani podarłam. Powiedziałam, że brat został zabity 17-go i tak ma być. Urzędniczka gdzieś wyszła, zostawiła mnie samą w pokoju. Na oknie leżały dwie spore kupki papierków. Skojarzyło mi się, że to akty zgonu, podeszłam i zobaczyłam, że akty zgonu wystawione są na dni, które dopiero nastąpią. Wróciła urzędniczka i wystawiła nowy akt z dobrą datą.

W sobotę przyjechali znajomi, żeby zabrać nas z mamą do siebie. W ostatniej chwili zdecydowałam, że nigdzie nie jadę. Została ze mną córka tych państwa. Około 23-ej usłyszałyśmy jakiś turkot, wstałyśmy, podeszłyśmy do okna. Małokacką w górę jechały wozy pancerne, dużo, i w tym momencie przy drzwiach rozległ się dzwonek. Otwieram. Stoi dwóch czy trzech facetów. - "Czy to mieszkanie państwa Zajczonko?" - "Tak". - "Proszę pani, chcieliśmy poinformować, że Waldemar Zajczonko nie żyje". - "Wiem o tym". - "Skąd pani wie?" - "A co to pana obchodzi, wiem i tyle". - "Za chwilę jest pogrzeb". Ja

mówię: - "Źadnego pogrzebu teraz nie będzie, mamy nie ma, zresztą po nocy nikogo nie będziemy chować". - "W takim razie pochowamy bez was". - "Ani się ważcie!" - skoczyłam do nich z pazurami, zaczęłam protestować. - "W takim razie może panie pojedą z nami na cmentarz, tam jest osoba, która może zmienić decyzję".

W biurze na cmentarzu witomińskim było sporo osób, między innymi również ksiądz kapelan z Sopotu. Przechodząc obok kostnicy widziałam przez niedomknięte drzwi sporo stojących trumien. Pytam: który z panów tu decyduje, bo ja stanowczo nie zgadzam się na taki pogrzeb. Wskazują mi pana, który ze mną przyjechał. No to już nie wytrzymałam i powiedziałam, co o tym wszystkim myślę, wyzwałam ich od najróżniejszych. Ksiądz wstał - "Jak państwo uzgodnią sprawę, proszę mnie powiadomić" - i wyszedł. I był tam kierowca, chyba z Urzędu Miejskiego, stanął koło mnie, złapał mnie za rękę i szepnął: - "Niech pani nie ustępuje". Jak to usłyszałam, to jeszcze bardziej na tych facetów wskoczyłam, że mowy nie ma, nie zgadzam się, mamy już miejsce na cmentarzu w Sopocie, zresztą mamy nie ma. - "Można przywieźć mamę". I zwrócił się do tego kierowcy, żeby pojechał z nami po mamę. Po drodze kierowca wyjaśnił nam, że decyduje nie ten, który ze mną przyjechał, lecz ten, który siedział za stołem i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby się zgodził.

Przyjechaliśmy na miejsce, opowiedziałam mamie co i jak, mama, ci państwo, u których była, ich córka, która ze mną jeździła, przyjaciel brata - wszyscy wepchnęliśmy się do tej wołgi. Na cmentarzu już było mniej ludzi. Stał tam

duży samochód z milicjantami czy żołnierzami, bo to mundury takie, że licho wie. Stawiamy sprawę ostro. - "Dobrze, jedziemy na cmentarz w Sopocie" - zdecydował ten z za stołu, taki postawny, dobrze zbudowany mężczyzna.

Pojechaliśmy w eskorcie. Na Malczewskiego wielkie wozy - nie wiem, czy to na nas czekali, czy już jakieś pogrzeby się odbyły. Mamie towarzyszył ten, który przyjechał do nas do domu. Mówił, że ma dzieci w tym samym wieku, że czuje się tak, jakby jego dziecko było chowane i płakał. Ten sam ksiądz kapelan odmówił modlitwy, tylko już nie pamiętam, czy on czekał na nas, czy my czekaliśmy na niego.

22 grudnia przyjechał ojciec. Do statku na redę podpłynęła pilotówka, ojciec czuł jakieś nieszczęście, myślał, że to ja, bo zawsze byłam w gorącej wodzie kąpana. Rozmawiają z ojcem, że pan jest chory /ojciec miał kłopoty z dyskiem/ i takie tam. Wtedy już ojciec wiedział, że nieszczęście, bo skąd ta troskliwość? Powiedzieli mu wreszcie i przyprowadzili do domu. A potem były święta...

To już tyle lat, a rodzice tak żyją, aby żyć. Mama jest przeciwna rozmowom na ten temat, mówi, że to nic nie da. Ja nie jestem mściwa, nie chodzi o to, żeby kogoś powiesić, ale żeby więcej takich rzeczy nie było, to jednak trzeba tych ludzi do odpowiedzialności jakiejś pociągnąć.

Relacja ojca Zbigniewa Nastalego

16 grudnia siedziałem z synem tu, w tym pokoju. Po dzienniku wysłuchaliśmy komunikatu, że wszyscy mają następnego dnia przystąpić do pracy. Syn uczęszczał do szkoły zawodowej i pracował jako uczeń w Stoczni Remontowej w Gdyni, ja pracowałem w Zarządzie Portu. No więc w czwartek rano do pracy pojechaliśmy, ja na wcześniejszą godzinę, syn później.

Przed szóstą byłem w Gdyni. Wysiadając na dworcu głównym słyszałem strzały, ale nikt wtedy jeszcze nie wiedział, co się dzieje. Do portu nas nie wpuszczono, cofnęliśmy się więc na plac Kaszubski. Do szpitala przywożono właśnie rannych, pomagałem wynieść z karetki pogotowia kobietę. Wtedy byłem pewien, że ta kobieta jest w ciąży, ranna była właśnie w brzuch. Dziś stwierdzić mogę tylko, że miała duży brzuch i właśnie ten brzuch był zakrwawiony. Wróciłem do domu około 16-17. Syn nie wrócił.

Myśleliśmy, że został u znajomych, pociągi przecież nie kursowały, od razu z Rumii wracały do Wejherowa. Poczekaliśmy dzień i rozpoczęliśmy poszukiwania. Żona pojechała do Gdyni. W Szpitalu Miejskim oficjalnie poinformowano, że nie ma takiego, ale pielęgniarka kazała poczekać i przyniosła zakrwawioną marynarkę syna i legitymację ubezpieczeniową. Szepnęła też, że zwłoki zostały wywiezione do Gdańska, ale dokładnie gdzie - nie wie.

Byłem w pracy, port był obstawiony wojskiem, ale żona przedarła się do mnie. Zwolniłem się

i pojechaliśmy do Akademii Medycznej w Gdańsku. Tam nam oświadczono, że Zbigniew Nastaly nie znajduje się ani na terenie szpitala, ani w prosektorium. Pojechaliśmy po szwagra i z nim rozpoczęliśmy poszukiwania na nowo. Boczna brama, przez znajomych, szwagier zaprowadził nas na teren Akademii i załatwił, że pozwolili mi samemu wejść, przekonać się naocznie, że w prosektorium nie ma syna.

Była to duża sala, tak z 10 na 10 metrów. Na podłodze, w czterech rzędach leżały nagie zwłoki. Trupów było dużo, w szufladach z prawej i lewej strony i na podłodze po dwa rzędy z każdej strony. Pytałem tego, który mnie tam zaprowadził, czy to wszystko z wypadków grudniowych, powiedział, że nie. W drugim rzędzie po lewej leżał mój syn. Podszedłem blisko, obejrzałem go dokładnie. Kula weszła u nasady włosów - udzielono mu w Szpitalu Miejskim w Gdyni pomocy, włosy nad czołem były wygolone - wyszła podstawą czaszki. Na piersi miał karteczkę z literami "NN".

Tego samego dnia wieczorem, około godziny 23-ej przyjechali z Gdańska dwaj panowie, oświadczyli, że za chwilę na cmentarzu w Oliwie odbędzie się pogrzeb syna i najbliższa rodzina, tzn. żona, ja i najstarszy syn możemy pojechać. Ale postawiliśmy sprawę twardo, znaleźli się drugi samochód i pojechaliśmy w dziewięć osób. Zabraliśmy ubranie, obudziliśmy ogrodnika i kupiliśmy kwiaty.

Samochody zatrzymały się przy cmentarzu oliwskim, nikomu nie pozwolono wysiadać, bo tam odprawiano pogrzeby. Mnie zabrano do Akademii Medycznej, abym rozpoznał syna, tłumaczyli

się, że nie miał żadnych dokumentów. Syna ubrali do trumny w przywiezione przeze mnie ubranie i wróciliśmy do Oliwy. W tym czasie na cmentarzu oliwskim żona widziała dwa pogrzeby. Kazano siedzieć w samochodzie, ale żona wysiadła i zobaczyła. Cmentarz obstawiony był czołgami, samochodami z wojskiem lub milicją - oni mieli takie same mundury.

Sam pogrzeb trwał krótko. Był ksiądz, odmówił modlitwy. Śpiewać nie było wolno, ale że nas było więcej osób, zdobyliśmy się na odwagę i zaśpiewaliśmy "Witaj Królowo".

Mieliśmy kłopoty z otrzymaniem aktu zgonu. Byłem w prokuraturze w Gdyni - powiedzieli, że o niczym nie wiedzą, nie wiedzą czy ktokolwiek został zabity. Poszedłem do Miejskiej Rady. Tam był jakiś pełnomocnik i tam w końcu metrykę zgonu otrzymałem, ale ze stwierdzeniem, że zmarł. Upominałem się, żeby napisali, że został zabity - powiedzieli, że takiej metryki nie mogą wystawić.

Pod koniec stycznia lub w lutym 1971 roku zacząłem się starać o ekshumację. Żonie zależało koniecznie, żeby syn na swoje urodziny - 18 marca miał skończyć 18 lat - był już na cmentarzu w Wejherowie. Otrzymałem zezwolenie chyba jeden z pierwszych. Tym razem trudności żadnych nie robiono, koszt ekshumacji i pogrzebu pokryła Wojewódzka Rada Narodowa. Pogrzeb odbył się w biały dzień, zwłoki przywieźliśmy z Oliwy do Wejherowa i tu uroczystie pochowaliśmy, ale nie wiem czemu nie jechaliśmy trasą główną, tylko okrężną przez Nowy Dwór.

Miałem trochę osobistych kłopotów. Powiedziałem kiedyś, że jak ulica Sobieskiego jest długa

i szeroka, na każdym drzewie będzie wisiał jeden z tych, co strzelali do bezbronnych dzieci. Za to zostałem zatrzymany przez milicję. Ale prokuratura nie wytoczyła sprawy. Sporządzono protokół, jest w nim nazwisko tego, który na mnie doniósł, i sprawę umorzono. Przecież ja się opierałem na faktach. Jeśli Polak strzela do Polaka, no to za to chyba nie można mu dać Virtuti Militari, bo on sobie zasłużył na co innego za bratobójstwo. A ten, który doniósł, już nie żyje. Któregoś dnia po prostu zmarł pod płotem.

Żona po śmierci syna zaczęła chorować. Dostała jakiegoś ataku, w nocy wypadła z łóżka i była cała sztywna - odwieźliśmy ją do szpitala. W szpitalu zachorowała dodatkowo na żółtaczkę, w Akademii Medycznej leżała trzy miesiące. Zaniki pamięci, zawroty głowy nie ustały do dziś. Była na rencie chorobowej, później otrzymała jeszcze 700 złotych za syna, bo Zbyszek był najstarszy, mieliśmy jeszcze sześcioro dzieci i WRN przyznała na pewien okres te 700 zł jako rekompensatę. Ale Zakład Ubezpieczeń skomasował te dwie renty i żona otrzymywała razem 1050 złotych. A w 1979 roku zabrali żonie i jedną, i drugą, a kobieta w takim stanie nie może iść do pracy, muszę sam się starać, abyśmy mogli wyżyć.

Relacja Leonardy Wycichowskiej,
z października 1980 r.

Syn Zbigniew w 1970 roku miał 19 lat. Pracował w Stoczni Marynarki Wojennej w Gdyni. Ja pracowałam w Szpitalu Morskim w Redłowie. Mieszkaliśmy z rodziną w Gdyni na Kamiennej Górze. W czwartek, 17 grudnia syn był na urlopie, a ja miałam mieć nocny dyżur w szpitalu. Już rano zaczęliśmy się niepokoić o młodszego syna, Mirka, który pojechał do szkoły we Wrzeszczu. Zbyszek powiedział, że pojedzie po niego do szkoły, a ja wybrałam się do sklepu po zakupy. Widziałam, jak od strony Świętojańskiej szły tłumy ludzi w stronę Prezydium. Naprzeciw nim wybiegło chyba wojsko. W powietrzu unosiła się cała chmura gazów łzawiących. Ludzie przecierali oczy chusteczkami, ligniną. Nad tym wszystkim latał helikopter, z którego albo strzelali albo wyrzucali gazy. Żołnierze rzucali petardy. Powodowało to potworny huk. Ci śmielsi chłopcy podbiegali do petard, które jeszcze nie wybuchły i odrzucali je w stronę Prezydium. W pewnym momencie jeden z nich, najmłodszy, wyglądający na około 12 lat wybiegł szybko na ulicę i po chwili patrzę - leży rozciągnięty na jezdni. Całą głowę miał zalaną krwią. Ludzie go szybko wynieśli w stronę Prezydium. Nie wiem czy zginął, czy został ranny. Nastąpiło zamieszanie, wtedy już: nie było opamiętania w ludziach. Zaczęli wyrwać z ziemi płyty, kamienie... Pod Prezydium, pośród zebranego tam tłumy zauważyłam Zbyszka. Pytam: - "Zbyszek! Co tu robisz?". A on na mnie krzyczał: - "Niech mama idzie do domu!

Co mama robi!". Wróciłam do domu i raczej spokojnie czekałam na synów. Zbyszek zawsze był poważny, do niczego się nie mieszał.

Przed 18-tą przybiegła sąsiadka i mówi z płaczem: - "Miałam telefon, Zbyszek jest w szpitalu, nie dożyje do rana - i przerwali rozmowę. Nie wiem nawet z którego szpitala dzwonili". Jeszcze to do mnie nie docierało. Patrzę na nią i pytam, czy ona czegoś nie pokreśliła. Ale mąż był w domu i mówi: - "No i co!". Zaszła między nami sprzeczka. Pomyślałam: pobiegnę najpierw sprawdzić w Szpitalu Miejskim, a później pojedę do Redłowa. Przed szpitalem stał starszy milicjant - patrzy tak na mnie, może poznał, że byłam zdenerwowana. Pokazuję mu legitymację, mówię, że muszę się tutaj dostać koniecznie, bo tu jest mój syn i ja do pracy muszę... Ale on mówi: - "Proszę panią to nie Szpital Morski tylko Miejski, pani coś tu kręci!". Ja mówię: - "Nieee! Ja muszę dostać się do syna!" - "Nie wolno!! My możemy panią zawieźć do Redłowa, jak pani ma dyżur". Zgodziłam się na to. Po przyjeździe wpadłam od razu do ogólnej Izby Przyjęć. Pytam znajomą: - "Czy tu mojego Zbyszka nie przywieźli?". Patrzy na mnie... nie wierzy, sprawdza w spisie - nie ma. Idę więc z płaczem do ordynatora. Powiedział mi, że skontaktuje się ze swoją córką, która ma praktykę w Szpitalu Miejskim. Wiadomość przyszła szybko: - "Jest i jeszcze żyje". Wszyscy zajęli się mną bardzo serdecznie. Ordynator powiedział, że rano będę mogła zobaczyć się z synem. Nie mogłam doczekać do rana. O 5-ej pojechałam z jakimś doktorem do Gdyni. W szpitalu wiedzieli, że przyjadę, ale narobiłam tam zamieszania. Na oddział wpadłam

w ubraniu. Zanim założyli mi fartuch, słyszę: - "Mamo!". Obróciłam się, patrzę - jest! Boże! Żyje jeszcze. Okryty tak, że ubrać go nie było można. "Mamusiu, powiem ci coś bardzo ważnego!". Ja mówię: - "Zbyszek, jak się tam dostałeś, powiedz! Mówiłeś, że wrócisz, gdzieś ty poszedł? Ja myślałam, że ty byłeś u Jolki, a ty?". On mówi: - "Mamusiu, czekałem na pociąg. Długo nie jechał. Aż w końcu przyjechał i przywiózł dużo młodzieży. Krzyczą: "wypuścili nas z budy, idziemy do domu!". I wszyscy - starsi i młodszy hurmem do Prezydium. Jak zaczęli strzelać - wszyscy rzucili się do ucieczki. I ja uciekałem. Wiem, że biegłem pod górkę, pod tory - i obróciłem się - i już potem nie wiem co było". Ja mówię: - "Boże jedyny, Zbyszek, cztery rany! Przestrzał serca, płuc i prawej ręki". Wszyscy dziwili się, że jeszcze żyje. A ludzi zginęło wtedy wielu. Lekarze z Miejskiego mówili mi o tym i panowie, którzy pracowali w kotłowni. Ci z kotłowni opowiadali, że w nocy podjeżdżały samochody i kazali im tych zabitych tam wnosić. A oni odpowiadali, że myśmy ich nie zamordowali, to ich kłąć nie będziemy, kto ich pomordował, to niech ich wkłada. I koleżanki ze szpitala w Redłowie mówiły, że mają dużo zabitych.

Syn miał dobrą opiekę w szpitalu. Wszyscy się nim zajmowali. Dyżurowaliśmy też z mężem przy Zbyszku. Zmienialiśmy się o szóstej. Na początku zrobili mu operację serca, ale się obudził i nie można było już płuc operować. Zaczęły ropieć. Lekarze czekali z tą drugą operacją, aż syn nabierze sił. Ale raczej od początku twierdzili, że nie będzie żył - a ja nie chciałam się z tym pogodzić. To było

coś okropnego. Raz widzę - lekarze zabierają wszystko, co tu stało, tacę... Wiedziałam już, co to znaczy. Był pod tlenem tyle tylko, co się tam poruszało... Więc go zaczęłam szarpać za nogi i mówię: "Zbyszku, oddychaj!". I jakoś to poskutkowało. Zaczął normalnie oddychać. Wszyscy lekarze wrócili z powrotem - i krew na rano i profesora Mlekołaja przywieźli. On jest specjalistą od płuc. On popatrzył i mówi, że tutaj nie da się go zoperować, a do Akademii nie da się przewieźć, bo by im zmarł po drodze. Słyszałam, jak oni między sobą mówili: "Czemu ona go tak męczy?". Jaki ja miałam straszny żal do nich! Ale nic nie mówiłam. Tłumaczyli mi potem: "Niech pani zrozumie, musiałyby być jakiś cud".

Pamiętam, na kobiecym oddziale Szpitala Miejskiego leżała 23-letnia dziewczyna z przesłabniętym płucem. Przewożono ją później do Prabut. Przed wyjazdem ktoś ją przyprowadził pod rękę do Zbyszka. Chciała się z nim pożegnać. Nawet nie wiem, jak miała na imię. W lecie 1971 zmarła.

11 stycznia, za dwadzieścia szósta syn kazał mi iść do domu. Już nie było słyhać głosu, lewą ręką napisał na bibułce, żeby tatuś przyszedł. Poszłam do domu. a mąż nawet nie ogolony szybko pobiegł do szpitala. Patrzy - biegną wszyscy do sali syna - cofają się i męża też cofnęli, ale on chciał tam wejść, więc go puścili. On - tak się mężowi wydawało - wołał: "Tato, umieram!" - ale tego nie było słyhać. I to był koniec. Potem mężowi dali coś na uspokojenie. Ktoś go przywiózł do domu. Mąż mówi: "Mielismy Zbyszka i nie ma". Głowę opuścił na stół, zaczął strasznie płakać. Ja zaczęłam krzyczeć.

Na drugi dzień przyjechali z Wojewódzkiej Rady Narodowej składać kondolencje. Przywieźli 25 tysięcy złotych i powiedzieli, że mam podpisać aekcję zwłok 1: - "Pani wie, że pani syn zmarł na wrzód żołądka". Ja siedziałam i myślałam, byłam bardzo zaskoczona. Na szczęście w mieszkaniu był mąż. Usłyszał i mówi: "Co?! Wrzód żołądka?!". Strasznie krzyczał. "Gdzie masz ubranie? Gdzie nasz to ubranie?!". Znalazłam je. Mąż rozkłada, pokazuje dziury po kulach i krzyczy: "A to co jest? To jest wrzód żołądka?".

Następnego dnia przyjechali przeprosić, że to była pomyłka, że tak im powiedziano w szpitalu. Mężowi powiedzieli, żeby pojechał po zwrot pieniędzy za trumnę, którą kupił za własne pieniądze. Mówili też, żeby się nie martwić o pogrzeb syna. Oni mają samochód, stosownie ubranych ludzi, zawiczą syna do kaplicy, a później zaniosą na cmentarz. Zaprotestowali na to koledzy syna ze Stoczni. Powiedzieli, że Stocznia ma własne autokary, samochód i oni sami poniosą trumnę, a nie ktoś obcy. Na pogrzebie było duże napięcie. prosiłam nawet kolegów syna, żeby był spokój, bo na cmentarzu widać było pełno takich obcych podejrzanych osób w cywilu. Ze Stoczni przywieźli krzyż. Włożyli tam zdjęcie syna i umieścili napis: "Tu spoczywa w Bogu nasz ukochany syn, brat, kolega. Zginął w wypadkach grudniowych 1970 roku".

Męża na pogrzebie nie było. Rano wyszedł, tak jak był umówiony, po odbiór pieniędzy. On do dziś nie wie, gdzie był, nic nie pamięta. Siostra męża, oburzona, że nie był na pogrzebie, przyszła go skrzyczeć. Mąż znalazł się w domu

wieczorem, wyglądał strasznie. Mówi, że doszedł tylko do placu Kaszubskiego.

Relacja matki Apolinarego Formeli

Syn miał 20 lat. Ukończył Szkołę Rybołóstwa Morskiego w Gdyni i miał zamiar kontynuować studia dalej. Był marynarzem i pracował w przemyśle rybnym. Mieszkał w Gdyni. Ja z córkami mieszkaliśmy w Rumii. O śmierci syna dowiedziałyśmy się późno - 8 stycznia 1971 r. Nie zawiadomił nas o tym nikt z władz. Uczynili to koledzy syna, którzy stwierdzili 17 grudnia jego zaginięcie. I oni rozpoczęli poszukiwania na własną rękę. Ci koledzy, którzy byli u mnie, odnieśli rany w Gdańsku, jeden w nogę, drugi w plecy. Szukałam razem z nimi. Byliśmy w szpitalach, na milicji... Ale tam syna nie było. Prawdopodobnie syn otrzymał postrzał w głowę 17 grudnia w Gdyni na Waszyngtona, między Stocznią a Zakładami Przetwórstwa Rybnego. Leżał jeszcze 113 godzin w szpitalu w Redłowie, zanim umarł.

Dopiero w prokuraturze zdobyliśmy prawo wglądu do zdjęć i tam go rozpoznaliśmy. Powiedziało mi, że był bez dokumentów. Ale przecież on wyjechał z dokumentami. Żaden obywatel nie chodzi bez dokumentów. Chociażby tę przepustkę do pracy musiałyby mieć. Dyrektor szpitala twierdzi, że syn był nagi. Kolega, który był u nas, mówił, że syn przed wyjściem był ubrany w garnitur. Jak to się stało, że on wszystko stracił, nikt nie wie.

Na pogrzebie nie byłam i nie wiem, kiedy się odbył. W prokuraturze wskazano mi tylko

numer grobu syna na cmentarzu w Gdańsku przy ulicy Kartuskiej. Byłam na tym grobie, ale nie wiem, mnie się wydaje, że to nie on tam leży.

Przeżyłam wiele nieprzyjemnych sytuacji. Prokurator skomentował śmierć mojego syna w ten sposób, że nie trzeba było rozrabiać i występować przeciwko Polsce Ludowej. Jak usłyszałam to określenie, to myślałam, że go rozsadzę. I to zakłamanie. Miałam gazetę. Mój syn był ostatni - 29 na liście zabitych w tej gazecie. Ja ich się zapytałam, dlaczego 29, a nie więcej. Jeżeli taka ilość dokumentów leżała, to nie 29. Bo byłaby to mała kupka, a nie kupa, która dosłownie była taka. Więc pytałam się, gdzie jest reszta? Pytano Gierka, czy zginęły kobiety. Powiedział, że nie. Dlaczego kłamał, przecież ginęły kobiety, dzieci. Widziałam na własne oczy, bo przy moim synu leżała dziewczyna 17-letnia, która zginęła.

Proponowali pieniądze. Jaką cenę dawali, nawet nie wiem. Ja im powiedziałam, że za człowieka ceny nie ma. Jeżeli żeście go zabili, to przynajmniej mi nie róbcie tego, nie prowokujcie mnie.

Pisałam list. Tam były ostre zdania. Napisałam, że oni mi dziecko wzięli, że oni są mordercami. List został doręczony Babiuchowi. Otrzymałam nieprzyjemną odpowiedź. Nawet groźili, że mnie zamkną. Mnie wtedy nie zależało, czy mnie dzisiaj zamkną, czy mnie jutro zamkną. Tylko koleżanki mówiły - "Co robisz? Dzieci masz na wychowaniu, dlaczego się nie zastanowisz?".

Bardzo dużo chorowałam. Leżałam w szpitalu i tam profesor mówi - "Dziecko, co robisz,

mają z tym nic wspólnego, tylko tow. Bejm w Gdańsku. A jak poszło się do towarzysza Bejma to: - "Ja? Ja przyszedłem po Grudniu". Taką pan dostał odpowiedź: przyszedliśmy po Grudniu. A przecież pamiętam, że ten człowiek, który wyszedł wtedy, jak szukaliśmy syna, to był Bejm. Ja później go poznałem, bo on ma tu zrośnięte. I na pogrzebie on też przy chowaniu był.

A jak byliśmy u prokuratora, to pokazał nam w takiej dużej księdze, jak syn jest odrysowany do połowy i gdzie strzał dostał. Przeczytał jego opinię od kiedy zaczął chodzić do szkoły, aż po dzień zgonu. I jeszcze mówili: - "Niech pan powie, czemu to jakiś chuligan czy złodziej nie zginął, tylko ludzie najlepszej wagi zginęli".
M a t k a : Przecież myśmy chcieli dać do adwokata sprawę. Pamiętasz, co nam adwokat powiedział? - "Z kim chcecie wygrać, z kim? Z państwem?"

Relacja ojca Stanisława Sieradzana

To był czwartek, 17 grudnia. Syn wyszedł jak zwykle przed siódmą do szkoły, a ja o siódmej do pracy. Na ulicy zobaczyłem, że coś się dzieje - ustawione działa, wojsko, kocioł z kawą - czyli, że wojsko musiało już w nocy przyjechać.

Moja spółdzielnia mieściła się na ul. 10 Lutego. Przyglądaliśmy się z okna, później zeszedliśmy na dół. Była gdzieś godzina ósma, gdy widziałem jak nieśli tego chłopca. Czterech niosło go na drzwiach, a obok szła dziewczynka - jakieś 18-19 lat - z flagą biało-czerwoną. Ta biała część była zakrwawiona. Widziałem

298

to z odległości jakichś czterech metrów. On był przykryty też /flagą - przyp.red./ ten chłopiec, tylko głowę miał odchyloną, błądy był. No i oni poszli w stronę Urzędu Miejskiego. My nie poszliśmy z nimi, tylko drugą ulicą. Oni nie doszli do Urzędu Miejskiego, zostali zatrzymani przez uzbrojoną milicję. Były strzały w tłum, więc go zostawili i rozbiegli się po bramach.

Myśmy dalej obserwowali tak bokiem. Była godzina 9. Zaczęły krążyć helikoptery, jeden, drugi. Rzucali koło Prezydium petardy i gazy. Koło Prezydium zebrał się ten cały tłum stoczniovców i na nich rzucano gazy łzawiące, żeby tam nikt nie wyszedł i nie przemówił do ludzi.

Ja nie uważam, żeby tam były jakieś wystąpienia. Po prostu dzieci się tam z nimi chandryczyły. Milicja z tarczami jak Krzyżacy nacierała na tych małych chłopców. Ci uciekali, ale później wracali i te petardy łapali w ręce. Koło chłopca, mógł mieć osiem lat, spadła petarda. Złapał ją i w mig w milicję odrzucił. No i tak się to działo gdzieś do godziny dwunastej. Widziałem, jak ciągnęli chłopca do Prezydium bijąc go pałką w pizszcele, w nogi.

O godzinie 14 przyszedłem do domu. Starszy syn też przyszedł, a młodszego nie było. Jest druga, może przyjdzie o trzeciej, może o czwartej. Ale wieczór się zbliża, a jego nie ma. Przez noc, rano - nie ma. No to zacząłem szukać. Może w szpitalu, może na milicji - bo dużo tych chłopców zabrali do piwnic Urzędu Miejskiego. Byliśmy z żoną przekonani, że syn tam był i że ich stamtąd porozwozili do więzień, bo rozwozili do Sztumu, do Wejherowa. Ale niczego nie można się było dowiedzieć. Nikt nie chciał,

ówi: - "Przyjedźcie do mnie w poniedziałek, będą fotografie, rozpoznacie swoich, wtenczas będziemy rozmawiać".

A tu o godzinie 11 w nocy przyjeżdżają do nas do domu. Byli u nas sąsiedzi, siedzimy, rozmawiamy, a tu wchodzi człowiek i mówi, że on tu jest samochodem, chcecie nie chcecie jedziemy do Wrzeszcza, bo za godzinę będzie zakopany. Jak tu nie jechać? Zabraliśmy się - córka, jedna, druga, sąsiad z dołu, jeszcze parę osób i my z żoną. Zapytaliśmy, jak syn jest ubrany, on mówi - w piżamie. Ale w piżamie nie będziemy przecież chować. Więc ubranie prędko, koszulę. Wszystkośmy zabrali i tylko butów zapomnieli.

W trumnie leżał nagi. Nie szedł do roboty nago. Gdzie jest ubranie? Nikt nie wie nic. W kostnicy była służba cmentarna, ubrali go, wynieśli.

M a t k a : Jezus! Zobaczyłam, że zapomniałam butów. To jeden kolega, Marecki się nazywa, zdjął swoje buty. Córki dały mu skarpety i pończochy jeszcze jedne i on w pończochach szedł. A Zygmuntowi ubraliśmy te buty.

O j c i e c : Pytają: - "Chcecie księdza?" - "No chcemy, tak". No to zawołali. Wyszedł ksiądz - raz, raz - już. Na samochód i wjechali na Srebrzysko, gdzieś lasem. A noc, godzina dwunasta. Jak przyjechaliśmy, to zatrzymali nas w samochodzie. Siedzieliśmy, a przed nami szedł pogrzeb. Takie małe dziecko, żona, ze trzy osoby i to wszystko. A teraz wy następni. Latarnia jedna w ręku, zakopali do pół grobu i już odjazd do domu. A tu już drudzy czekali, też byli przywiezieni. Stali i płakali. Widzie-

296

liśmy. No i tak się odbyła ta cała ceremonia.

A jak to potem było, kiedy tego ubrania szukaliśmy - to trwało miesiąc. Nikt nic nie wiedział. Ani prokurator w Gdyni, ani główna komenda milicji. Nic. Tam tak ostro się odzywali. U Mariańskiego też byliśmy, on wtenczas przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej był. Żona zajechała aż do Karkoszki, wtenczas Karkoszka jeszcze był. No i Karkoszka to załatwił, za dwa dni przywieźli. Przywieźli w takiej dużej torbie papierowej: ubranie, buty, koszula. Krwawe było ubranie całe, sweter. A tu, w tej mniejszej torebce: zapalki, papierosy, parę złotych, skarpetki, chusteczka do nosa i ten chleb, co do roboty miał. A na jednej i drugiej ten numer 432 był wypisany. W gazecie stoi 23 chyba zabitych, to skąd ten numer się wziął?

M a t k a : Córka pracowała w "Sopotplast" i tam właśnie Karkoszka przyjechał. Pracownicy mówili - "My tu mamy jedną, co jej brat zginął". Wysłuchał, rozmawiał z córką i potem przysłali po nas samochód i nas zawieźli do Karkoszki. I tam orzekli, że będzie przewieziony do Gdyni i o terminie zostaniemy powiadomieni. I tak było.

O j c i e c : Pisaliśmy do gazet różnych i wszędzie. Opisałem wszystko jak było. Odpowiedź dała "Przyjaciółka" i "Głos Pracy". Powtarzali, że poniósł pan stratę, ale nie ma pan kogo skarżyć. Może pan skarżyć skarb państwa, ale ze skarbem państwa pan nie wygra. A poza tym wszędzie, jak usłyszeli, że tu taki człowiek z Grudnia, to się wszystko chowało, uciekało. Do Gierka też adresowaliśmy. Biuro Polityczne dało odpowiedź po trzech dniach, że oni nie

zastanów się. On zginął, nie wstanie, a Ciebie do Kocborcwa zawieźć nie chcę". Oni mnie tam trzymali bardzo długo i uświadamiali mi, że muszę to zwalczyć. Moje życie było zagrożone, bo wydawało mi się, że dla mnie życia nie ma. To, że żyję, zawdzięczam profesorowi.

Postawiłam synowi pomnik. Państwo na ten cel przysłało pieniądze, ale im odesłałam i wydałam własne. Na tablicy jest napisane, że zginął śmiercią tragiczną i data. Kto popatrzy na datę, to się zorientuje, w jakiej sytuacji to nastąpiło.

Relacja rodziców Zygmunta Polito z września 1980 r.

O j c i e c : Jak syn nie wrócił z roboty, to wszyscy go szukali. Córka chodziła po wszystkich szpitalach. Osiemnastego żona szykuje się do roboty, a ja przyszedłem po nocnej zmianie, trochę zjadłem i położyłem się. Żona pracowała w szkole. No i przychodzi ze szkoły jedna kobieta i mówi, że kierownik ją przysłał, że ma iść do szpitala, że syn tam jest. Zabraliśmy się oboje, wzięliśmy taksówkę z postoju i pojechaliśmy do tego szpitala na placu Kaszubskim.

Przyszedł lekarz jakiś, wpuścił nas do jednego pokoju, do drugiego, za sobą zamknął drzwi, oglądnął się jeszcze. - "Jesteście rodzice?" - "Tak". - "On tu był, ja go tu miałem godzinę czasu, ale już nie żyje, zabity. Oni przyjechali, zabrali ciało i powieźli do Gdańska. Jedźcie szukać do Gdańska". I powiedział jeszcze: - "Idźcie do telefonu i dzwońcie do naczelnego

prokuratora w Gdańsku". Ale tam nikt się nie odzywał w tym Gdańsku, więc myśmy wsiedli do pociągu i pojechali. Wzięliśmy z domu pieniądze, żeby tam kupić trumnę i przywieźć.

Ale gdzie tam! Nie było się kogo spytać, nikt nie powiedział gdzie, co, jak. Nie tylko my, cała masa ludzi chodziła. Ten szuka syna, ten szuka żony, ten córki... Był człowiek, co szukał dwóch synów, mówił, że jest z Elbląga. I tak wszyscy chodzili, chodzili, a już było po 12-ej. Ja wszedłem do jednego pokoju, były tam dwie dziewczynki, młode takie. Ja im mówię - taka i taka sprawa. - "Idź pan do pokoju" - ja już zapomniałem, jaki numer, coś ponad 300. Wszedłem tam, patrzę. Siedzi jeden człowiek. Mówię mu - taka a taka sprawa. - "Zaraz dam odpowiedź, proszę poczekać na korytarzu".

Papierosa wypaliłem tak do połowy i on już wyszedł. Przy nim milicjant stoi przy drzwiach z karabinem. Ludzie ich obstąpili. No i gada, gada, tak kręci - fotografie będziemy robić, będziecie rozpoznawać, tego, owego - to było bezsensowne. Jeden, drugi mu zaprzeczył, więc mówi: - "A skąd wy jesteście?" - "Z Gdyni". - "To czego tu szukacie, jedźcie do Gdyni". - "Tak? - ja się odezwałem i mówię - dzisiaj sobota, pojedziemy, pocałujemy klamkę i ludzi się pan pozbył". - "Nie, nie, będę dzwonił do prokuratora, on poczeka".

Więc szybko na dworzec. Tak to wszystko runęło do pociągu. Przyjechaliśmy tu. No ten stoi, ręce rozłożone. - "A gdzie wyście byli?" - "W Gdańsku". - "Oni wam nic nie powiedzieli, a co ja mam do gadania". No, ale żeby pozbyć się tych wszystkich, bo cała kupa ludzi była,

no nie chciał po prostu rozmawiać. W szpitalu też: nie ma, nie ma. I tak cały piątek, sobota.

W sobotę wieczorem - godzina tak 20-20.30 - przyszło do domu dwóch panów z Urzędu Miejskiego. Tak normalnie, służbowo. "Czy mieszka tu Stanisław Sieradzan?" - "Mieszka". I jeden z nich mówi: - "Mamy przykrą wiadomość, Stanisław nie żyje, proszę się ubierać, będzie pogrzeb, nysa czeka".

To nas zaszokowało. Ubraliśmy się szybko, jeszcze syna zabraliśmy od kolegów i sąsiada i pojechaliśmy do kostnicy tą ich nysą. W kostnicy na witominie trumny. Jedna taka najdłuższa - to syn zaraz poskoczył, otworzył. I tam Stasiu leżał. W piżamie szpitalnej. On był wysoki - 185 cm - piżama sięgała mu do kolan. Jak myśmy to zobaczyli... Syn wyglądał tak, jakby się śmiał. Powiedziałem: - "Stasiu, dlaczego ty się śmiejesz". I no rzecz pewna, nie mogliśmy się na to zgodzić. Ja mówię: - "To bandytc lepiej się chowa. Przecież on musi być pochowany według takiego obrządku, jaki chrześcijaninowi przysługuje. Nie tak go zakopać w nocy".

Po rozmowach, jeden z tych panów - z kimś rozmawiał, ale z kim, nie wiem - oświadczył, że pogrzeb odbędzie się według życzeń rodziny, więc proszę rodzinę odwieźć do domu. Odwieźli nas do domu, powiedzieli, żeby obrządek pogrzebu uzgodnić z księdzem. Poszedłem do księdza, to była jeszcze sobota. Chciałem, żeby pogrzeb odbył się w dzień, ale ksiądz - który też rozmawiał z władzami - mówi, że na wszystko się zgodzą, ale żeby pogrzeb odbył się w dzień, to się nie zgodzą, musi być po godzinie milicyjnej. Może być msza, będzie autokar i inne samocho-

dy, tak że nas wszystkich zabiorą.

No i przed tym jeszcze przyjechała nysa, wzięliśmy ubranie i pojechaliśmy do Gdańska do Akademii Medycznej. W kostnicy go oglądaliśmy. Przewróciliśmy go na bok - kulę dostał w bok, dostał postrzał w bok, tak skosem.

W poniedziałek go przywieźliśmy. Była msza. Rodzina przyjechała z Warszawy, sąsiedzi - razem około 50 osób. Podstawiony został autokar i zdaje się dwie nysy. Do kościoła wszystkich zawieźli. Po mszy trumna była otwarta w kościele. Potem zabrali na nysę i pojechaliśmy na Witomino. Grób był już wykopany. Dwa samochody oświetliły miejsce mogiły reflektorami. Był ksiądz Stanisław z parafii. Po pogrzebie rozwieźli wszystkich, gdzie kto mieszkał. Autokarem, gdzie było większe zgromadzenie, nysą - gdzie mniejsze.

Po paru dniach przyszedł ten sam, co nas zawiadamił o śmierci. Przyniósł 20 tysięcy złotych. - "Czy to jest zapłata?" - pytam. - "Nie - mówi - to jest na pomnik, to do niczego nie zobowiązuje, takie jest zarządzenie władz".

Naturalnie byłem później u prokuratora miasta Gdyni. Zameldowałem, że popełniono morderstwo. Oświadczył mi, że on nic o tym nie wie, żeby do prokuratora wojewódzkiego.

Pojechałem do Prokuratury Wojewódzkiej. Też sekretarka: - "W jakiej sprawie?" - "Morderstwo popełniono". - "Gdzie? co?". Ja mówię. - "Ach, tak". I potem prokurator: - "My nic nie możemy zrobić, czekamy na decyzję, jesteśmy bezsilni". Tak mi odpowiedzieli. Zbyli po prostu. Porozmawiał. Mówi, że w Gdańsku też to było.

Zresztą, co tu więcej mówić. Wszystko to jest wiadomo. Co jeszcze można dodać do tego?

Na oficjalnej liście figuruje 28 osób. Musiało być więcej. Poszedłem po rzeczy syna do szpitala - odbierałem kurtkę, zegarek, takie rzeczy. W pokoiku takim może 4x4 wokół pod ścianami były takie pakunki powiązane i wszędzie była kartka NN, NN, NN, czyli nieznany, nieznany, nieznany. Ja sobie nie wyobrażam, żeby mieszkaniec Gdyni, czy w ogóle Polski, był nieznanego nazwiska. No bo gdzieś pracował, gdzieś był zameldowany. To znaczy, że oni nie byli podani na tej liście zabitych.

Próbowałem ustalić, jak syn zginął. O 11 w czwartek kolega mieszkający na ul. Partyzantów, tu niedaleko Prezydium, jak jest to lodowisko, widział go, jak szedł aleją. Później, za jakieś pół godziny widział go drugi raz. Około godziny 12 przyjechało 9 "suk" z tymi komandosami, dziewięciu ich było w każdej nysie. Zrobili kocioł. Tam była przeważnie młodzież szkolna. Długo część skryła się w kościele Franciszkanów - to ksiądz opowiadał. Jak się tam skryli - zamknął drzwi i nie wpuścił tych /milicji - przyp.red./. Oni się tam pomyli, bo to ręce mieli brudne. A ci, którzy nie zdążyli się skryć do kościoła, to widocznie padli tam. Bo syn musiał paść z lekkiej broni, nie z maszynowej czy pepeszy, tylko z lekkiej ręcznej, bo miał kurtkę przestreloną na wysokości łokcia. I to akurat jak ręka do tyłu przeszła. Żeby w łokieć dostał, to by się odbiła i już, a tak to kula wpadła i została w środku. To musiał strzelać jakiś zdegenerowany człowiek, bandyta, żeby do uciekającego z tyłu, w plecy strzelać. To nie był człowiek.

Relacja ojca
Janusza Żebrowskiego

Syn nie wrócił do domu jeden dzień, drugi dzień. Chodzę, pytam tych, których wypuszczono z aresztów, z więzień - nikt nic nie widział. Po trzech dniach poszedłem do znajomego milicjanta i mówię: - "Panie Rysiu, pomóż pan syna odnaleźć". Obiecał, że zadzwoni następnego dnia do mnie do pracy. Dzwoni - godzina była wpół do jedenastej, że mam do niego przyjść. Idę - a już córka schodzi po schodach i płacze. Mówi: - "Tatusiu, trzeba iść do prokuratury". Ja się nie spytałem, jak się prokurator nazywa, w jakim pokoju urzęduje, nic. Przeszedłem do sądu, pytam - doprowadzili mnie do prokuratora. Kazał usiąść, usiadłem. - "Jak syn ubrany był?" - pyta. Mówię, że nie wiem, w jakim ubraniu z domu wyszedł, bo ja wyszedłem wcześniej, wiem co miał. - "Sweter wrzosowy miał?" - "Miał". - "Spodnie piaskowe miał?" - "Miał". - "Buty zielone miał?" - "Miał, ale gdzie on jest?". A on: - "Panie Żebrowski, nie żyje". - "Gdzie jest pochowany?" - pytam. - "Nie wiem". Mówię: - "Zdjęcie musi być". On mówi, nie ma na razie zdjęcia, pan przyjdzie na drugi dzień.

Przeszedłem na drugi dzień. Wyjął album, otworzył, pokazał zdjęcia. No to miał centkę na lewym oku i na piersi coś, ale nie można było zobaczyć, bo do połowy było zdjęcie /trzy zdjęcia; jedno z przodu i dwa z boków/. Pytam: - "Gdzie leży?". To oni wysłali mnie do Gdańska, do Wydziału Spraw Wewnętrznych. I tam mnie poinformowali, powiedzieli, żeby iść do grabarza

na cmentarzu Emaus, za Gdańskiem. Pojechałem. Grabarz pokazał mi grób. Był bez tabliczki, ale z krzyżem. - "Sam tam leży?" - pytam. "Sam. Tych z grudnia jest tu dwunastu, ale wszyscy leżą w oddzielnych mogiłach". Przyjechałem z powrotem do Gdańska, do tego zastępcy kierownika Wydziału Spraw Wewnętrznych Sępa. Pytam go, czy będzie można ekshumację przeprowadzić. Kazał mi przyjechać za trzy dni. Przyjechałem. Zaprosili mnie do gabinetu, był tam Bejm, Gromadzki i Sęp, postawili kawę, ciastka. Pić się chciało, to ja tę kawę wypilem. Wręczają mi kopertę. Pytam, co w niej jest? Dziesięć tysięcy na zapomogę. Ja mówię: - "Syna mi oddajcie, żadnej zapomogi nie chcę". Zdenerwowany byłem, zapłakany, wstaję, sięgam do kieszeni po rękawiczki - patrzę: koperta, odwijam - pieniądze. Rzuciłem im te pieniądze pod nogi. Wtedy Bejm mówi, że godzi Polski poniżam. A ja mówię: - "Wyście je może podnieśli? Syna mi oddajcie".

Pismo ze zgodą na ekshumację otrzymałem 4 marca. Pojechało nas pięciu z rodziny. Jak już zaczęli go wykopywać, mnie wzięli na bok, do takiego pokoiku obok kostnicy. Odkryć nie dali. Włożyli trumnę w drugą, cynkową, na wóz i przyjechalim na cmentarz w Gdyni-Leszczynkach. A za nami jechały trzy wozy milicji. Po co oni jechali - nie wiem. Pochowaliśmy.

Ale nie miałem spokoju. Nie wiedziałem, czy przywożem syna, czy kogoś innego. Mnie to dręczyło. W święta Wielkanocy, z pierwszego dnia świąt na drugi, wykopałem ze szwagrem trumnę, odkryłem. Ten sam. Pochowany w swoim ubraniu, tylko bez kurtki; kula w lewym oku i w sercu. A na pierai karteczka: Janusz Żebrow-

304

ski, urodzony w 1953 roku. Syn chodził do ogólniaka na Czołgistów, miś przy sobie legitymację szkolną, wiedzieli jak się nazywa, gdzie mieszka i nie powiadomili mnie. Gdybym nie chodził, nie szukał, to do dziś bym nie wiedział, bo oni by zatuszowali sprawę. Zakryłem trumnę.

Z tydzień po tym wszystkim przywożą pieniądze do mieszkania. Żona ich przepędziła. Przyjeżdżali tak trzy razy.

Jak tylko pochowałem syna, umieściłem tabliczkę: Został zastrzelony przez MO w zajściach grudniowych. To "MO" mi zamazali. Zrobiłem drugą tabliczkę, nową, znowu mi zamazali. Poszłem na milicję, powiedziałem, że jak złapię tego, co mi grób dewastuje, to nie odpowiadam za siebie. Powiedzieli, że nic nie wiedzą. Czatowałem w nocy, ale nie znalazłem nikogo. Potem wystawiłem pomnik i dali spokój.

List Renaty Kropielnickiej,
córki Emiliana E. Bilińskiego

10 X 1980 r.

Do Komitetu N.S.Z.Z. "Solidarność"
w Gdańsku

Słyszałam, że ma być tablica poświęcona ofiarom zająć z roku 1970. W związku z tym, jeżeli moje dane o Ojcu będą wystarczające /niczym więcej nie dysponuję/ byłabym szczęśliwa gdyby nazwisko Jego zostało umieszczone na tej tablicy.

Mój Ojciec Emilian Edward Biliński, ur. 9 marca 1910 r. we Lwowie, zamieszkały w Gdyni ul. Świętojańska 54 I p, oficer Marynarki Handlowej, weteran II wojny światowej na terenie Anglii, Iraku, Afryki. W czasie zamieszek grudniowych 1970 r. zmuszony był wyjść z domu na ulice Gdyni i został ciężko pobity, wskutek czego miał połamane żebra i jak się potem okazało odbite nerki i żołądek. Najpierw był opatrzony przez lekarza prywatnego, ale stan zdrowia Ojca się pogarszał i musiał się poddać leczeniu szpitalnemu. Niestety, po długich i ciężkich cierpieniach zmarł 29 maja 1971 roku w szpitalu w Gdyni. Pochowany został na cmentarzu na Srebrzysku pod Gdańskiem. Osobą, która to może potwierdzić jest administratorka domu, w którym Ojciec mój mieszkał. Zajmowała mieszkanie obok mieszkania Ojca przy ul. Świętojańskiej 54 I p. - Pani ta udzieliła pierwszej pomocy mojemu Ojcu.

Z poważaniem

Renata Kropielnicka /z domu Bilińska/
04-327 Warszawa, ul.Kordeckiego 29 m.9

Relacja lekarza /anonimowa/

Grudzień w Gdyni przeżyłem bardzo ciężko.

Mieszkam w Sopocie. Z wielkim trudem w dniu 17 grudnia dostałem się do szpitala, ponieważ komunikacji nie było. Przygodną, sopocką karetką pogotowia dojechałem tutaj. I kiedy zobaczyłem na ulicach, co się dzieje, ten tłum rozbieganych ludzi koło Prezydium MRN, gazy łzawiące... A w szpitalu - kiedy dojechałem tutaj - zobaczyłem na oścież pootwierane drzwi, masę wózków w nieładzie, no i tę krew na podłodze, to zrobiło na mnie bardzo silne wrażenie. I od pierwszego momentu rodzi się pytanie, że właściwie jak to jest, że swoi strzelają do swoich? Dostyć często w tym szpitalu powtarzało się to spostrzeżenie. Jak to jest? Dlaczego? Jak tak można? No bo przecież my tutaj na naszym oddziale spotykamy się dość często z różnymi wypadkami, czasami z rozbojami, no krew nie jest dla nas niczym nowym, ale jeżeli ona się leje niepotrzebnie... Z perspektywy czasu właściwie to nic się nie zmieniło. Tak samo jak dotychczas zadają sobie pytanie, "dlaczego"? Dlaczego wtedy tak się akurat stało? A to cośmy robili tutaj, w szpitalu, to po prostu była normalna, codzienna praca, no może wtedy trochę bardziej wzmożona. Czuliśmy się jak w szpitalu wojskowym, jak w szpitalu wojennym, no tak to wyglądało.

Już wcześniej, przede mną, działało kilku starszych kolegów i oni segregowali chorych, wyszukiwali tych, którzy wymagają natychmiastowej pomocy, czy szybszej pomocy, inni musieli poczekać. To, że ja przyszedłem później do szpitala,

bo dzieliła mnie większa odległość, spowodowało, że nie byłem bezpośrednio zaangażowany przy tych najtrudniejszych, najcięższych przypadkach. Zacząłem od takiego mężczyzny, który miał ciężkie postrzały obydwu nóg. Potem się nim interesowałem dosyć długo, on do nas przychodził, bardzo miły chłopak, zresztą tu wszyscy byli mili, wszyscy byli młodzi. A on mi utknął najbardziej w pamięci. A drugim człowiekiem, którego zapamiętałem, kiedy zjawiłem się w szpitalu, był pan, który leżał u nas na ortopedii i przez cały czas jęczał. Nawet środki farmakologiczne nie łagodziły jego bólu i ten jęk cierpiącego człowieka pozostał mi długo w pamięci. Po zabiegu - był operowany - umarł. I to właśnie ten jęk pozostawił takie przykre wrażenie, które pamiętam do dziś. No, a z tych innych rzeczy, to ciągle ta groza i niepewność, jaka od samego początku do końca była tego dnia w szpitalu. I chorzy na dole, którzy czekali na naszą pomoc. Oni czekali nie tylko na pomoc medyczną, ale na jakieś wsparcie duchowe, bo oni przez cały czas nie wiedzieli, jakie będą ich dalsze losy. Bo nawet chodziły tu takie słydy, że ich wezmą gdzieś od nas - dlatego te listy były robione - no i czekali na jakieś nasze słowo otuchy, tak samo, jak i na ten nóż, który miał ich ratować.

Relacja pielęgniarki
/anonimowa/

To było straszne. Urodziłam się po wojnie i nie pamiętam tych czasów, niemniej jednak to co widziałam przed moim blokiem, co się tam działo - wyskakujących z nysek z pałkami i z tarczami milicjantów - zrobiło na mnie wrażenie straszne. Do pracy przyszłam na noc i - tu przeżyłam drugi straszny moment - mieliśmy 18 rannych na oddziale, z tego dwóch w nocy przywiezłam z sali operacyjnej. Wszyscy wrzeszcze-
li, wołali: "Chcemy zabić milicjantów", przypusz-
czam, że byli w szoku. Część z nich majaczyła. Widok był straszny, nie tylko pacjentów, ale też widok stanu porządku na oddziale spowodowanego wypadkami. No cóż mogę... Drugi raz nie chciałabym tego przeżywać. Do dziś pamiętam dwudziestotrzy-
letniego chłopca, który z ciężko rannych przeżył najdłużej - do 11 stycznia - no, niestety, 11 stycznia zmarł. Strasznie przeżywaliśmy, nie tylko pielęgniarki, ale i lekarze jego śmierć. Mieliśmy nadzieję, że ten najciężej ranny zostanie uratowany. No, niestety, skończyło się źle. Przypuszczalnie tamci... Bo zmarło mi w nocy dwóch. Jeden chłopiec mający chyba 18 lat, a drugi pacjent gdzieś około lat 40.

Po prostu to, co widziałam i to, co przeżyłam, kiedy jako pielęgniarka byłam pomocna tym ludziom, trudno przekazać innym, każdy musiałby widzieć to sam. Tego nie można sobie wyobrazić, jak się opowiada innym, że było tak i tak. Bardzo trudno jest wyrazić słowami widok oddziału, widok pacjentów.

Relacja lekarza
ze Szpitala Miejskiego w Gdyni,
złożona w październiku 1980 r.

W szpitalu siedziałem od poniedziałku, zarządzane było bowiem pogotowie sanitarne. W środę wieczorem zamknęli nas tutaj wozami, wojskiem itd. Pierwsze słowa żołnierzy po wyskoczeniu z wozów brzmiały: "Gdzie są ci Niemcy?!". Ich przywieziono, aby - jak im tłumaczono - ratowali Gdynię przed powstaniem niemieckim. Wszystko to wytworzyło silne napięcie i wrogi stosunek całej naszej załogi szpitalnej do tych żołnierzy, którzy równocześnie byli przecież naszymi żołnierzami. No bo oni są przeciwko nam, oni nam nie pozwalają wychodzić, oni są ustawieni z bronią przeciwko miastu itd. A równocześnie te same kobiety, które były pełne strachu i nienawiści, za parę godzin przychodzą do dyrekcji czy administracji i mówią: "Ale im trzeba jeść dać, bo siedzą tu głodni". I nakarmiły ich.

W czwartek zaczęło się makabrycznie. O wpół do szóstej ta strzelanina i detonacja. Wyskakuję z dyżurki, patrzę, co się dzieje, chwilowo spokój - a potem krzyk z dołu, z izby przyjęć. Krzyk i lament kobiet.

Pierwszymi, którzy przywieźli nam rannych i zabitych byli taksówkarze. Myślę, że to trzeba podkreślić. Oni się tam znaleźli, czy tam pojechali, brali, kogo widzieli - zabitych i rannych. O dojeździe karettek sanitarnych nie było mowy, bo ulice były zablokowane, bo tam było pełno ludzi.

Pierwsi byli zabici. Jak zszedłem na dół,

pięć trupów młodych chłopaków pod tym zegarem w izbie przyjęć leżało. Ponieważ transport był potem już ciągły - i taksówkarzy, i wozów, i naszych karettek - no to zaczęli dowozić nam rannych więcej, coraz więcej. To byli często bracia, synowie czy ojcowie naszych pracowników, bo to jest po prostu ściśle powiązane: ona pracuje tu jako salowa czy pielęgniarka, a mąż w Stoczni na stanowiskach od robotnika do inżyniera włącznie. Dodajmy do tego napięcie, jakie się wytworzyło wskutek zamknięcia nas przez wojsko. Pierwsze chwile były makabryczne.

Szpital na tyle zdał egzamin, że natychmiast ewakuowało się wszystkich łżej chorych, wszystkich nie wymagających natychmiastowego zabiegu operacyjnego. To jest głównie szpital zabiegowy, aczkolwiek z dużymi oddziałami internistycznymi, tak że się na tych kilkadziesiąt osób od razu sala opróżniła. Operacyjnie nie byliśmy na taką ilość przygotowani i od razu nam zabrakło płynów transfuzyjnych, materiałów opatrunkowych itd. Otwarto więc po prostu dodatkowe magazyny wojskowe czy MOP-owskie, z których się uzupełniło. Specjalnym transportem, najczęściej pod ochroną milicji czy wojska, dowieźli nam płyny transfuzyjne, krew, materiały opatrunkowe. Operatywa ruszyła na wszystkich salach operacyjnych, pięciu, plus dwóch salach zabiegowych, które przerobiono od razu na sale operacyjne, tak że na sześciu - siedmiu szła operatywa od razu.

Relacja mężczyzny mieszkającego
w pobliżu cmentarza w Witominie
/anonimowa/

I teraz nie wiem, czy chowanie tych trupów było w piątek? W każdym razie myśmy stali koło takich trzech drzew przy cmentarzu, tam mieliśmy zbiórkę. Stoimy i patrzymy, a była już godzina policyjna, patrzymy - jeden samochód jedzie, drugi, trzeci, czwarty - jadą w dół, do miasta, tak jakby jednostka wojskowa Marynarki Wojennej na Witominie się opróżniała, jakies. działa wiozą. Masa tego, ze czterysta wozów.

Przejechały. I wtedy zajechał samochód, warszawa to była. Światłami zaświecił - a już ciemno się robiło - i prosto jedzie. Myśmy stracha dostali, że nas zauważyli, skoczyliśmy do domu kamieniarza na dach. Usłyszeliśmy, tak się nam przynajmniej zdawało, że ktoś w tej warszawie broń wyciągnął. Z tego dachu do wapna wpadliśmy i szybko przez płot. Warszawa zgasła światła, w samochodzie ciemno, nikt się nie rusza, tak stała z godzinę, potem zapaliła światło i podjechała pod kostnicę. Wtedy żeśmy weszli na dach, z dachu mieliśmy dobry widok i co żeśmy widzieli: zajeżdżały wozy, nysy z łączności, pomarańczowe nysy dwie lub trzy. Zajechały pod kostnicę. Z kostnicy wynosili worki i ładowali do tych nys ile się dało, a drzwi na siłę zamykali. Hałas duży był przy tym. I nysy jechały w stronę Witomina i dopiero jakies czterysta metrów dalej skręcały na cmentarz. I tak trwało gdzieś do piątej rano.

Rano umówiliśmy się, że idziemy do kościoła. Więc rano lecimy zobaczyć i tak żeśmy szli,

jak te nysy jeździły. I żeśmy weszli w taką alejkę, żywopłot jest po jednej i drugiej stronie. Ziemia tej alejki była świeżo skopana, była miękka, zapadała się pod stopą, na nóżkach świerków była świeża ziemia - to wiadomo, że było kopane. Na całej długości alejki było ze sześć takich miejsc świeżo skopanych, o szerokości trzy - cztery metry.

Ale skąd się wzięły trupy w kostnicy, to nie wiem. Pod kostnicą jest kotłownia i jest takie pomieszczenie, gdzie była dawniej sekcja zwłok, więc może były tam, ale kiedy je przywieziono, nie wiem.

Relacja pielęgniarki /anonimowa/

Pamiętam około godziny szóstej strzały. Wysłałam szybko syna do brata i biegiem przyszedłam do szpitala. Zastałam straszny tłok. Część ludzi pracowała biegając z noszami z ludźmi do rentgena, do izby przyjęć. Ja wbiegłam na pierwsze piętro, gdzie zastałam pana dr Henryka Szkolnickiego, który czekał już na mnie, żeby zrobić miejsce dla ludzi, którzy przyjdą z portu. Wypisałyśmy szybko pacjentów - było ich chyba dziesięciu - i robiłam miejsce dla ludzi w ciężkim stanie, którzy napływali z izby przyjęć po opatrunkach, częściowo rozebrani. Dociskałyśmy ranę przez uciskowe dodatkowe opatrunki, błyskawicznie załatwiałyśmy krew i woziliśmy na blok operacyjny. Pamiętam takiego chłopca - 17 lat, miał postrzał głowy, zmarł o godzinie 10.45. Przyszła jedna z pielęgniarek z dwoma osobami i z noszami i chcieli natychmiast

zabrać. Nie zezwoliłam, za co miałam później przykrości. Uważałam, że mimo tej strasznej tragedii, te dwie godziny zgon musi mieć poszanowanie; że powinien być zatrzymany tak, jak każdy, który umiera w szpitalu. Z koleżankami woziłam na blok operacyjny, przywoziłam. Zapotrzebowanie na krew, karetki. Padałyśmy z nóg, bo to był dyżur ranny, dyżur popołudniowy i nawet w nocy gdzieś koło godziny pierwszej, drugiej przywoziłam z bloku operacyjnego pacjentów, dla których musiałam zapotrzebowanie zrobić na leki, płyny infuzyjne. Był młody człowiek, miał postrzał serca. Operował go dr Okonek. Pragnął żyć. Zmarł o godz. 18-ej. Jego ostatnim życzeniem było szklankę kakao mu dać do picia. Rozpacz w oczach, ból straszny. Przychodził dyrektor Gołębiowski i pani dr Stengert, która nie żyje - robiła spisy obecnych, którzy przyszli po postrzale. Oni płakali: "Oddziałowa, czy nas wywiozą stąd, czy nasze rodziny nie będą miały przykrości?". O godzinie 4 rano zmarł następny pacjent. To był dzień 18-ty. Z koleżanką Skrzyńską zrobiłyśmy toaletę pośmiertną i został zwieziony do kostnicy, a tam już sporo było trupów. Przygotowałam dla zmęczonych lekarzy chirurgów koło północy gabinet ordynatorski, gdzie na noszach, na materacach przygotowałam im poślanie po ciężkim dyżurze - od siódmej rano operowali do północy. Jedna sala operacyjna jeszcze była czynna po północy. Położyłam następnie koleżanki z dyżuru rannego i popołudniowego w dyżurce lekarskiej, a sama z koleżanką Skrzyńską pozostałam w nocy. Następnego dnia, późnym popołudniem poszłam do domu. Wracając skonana widziałam, przed kościołem NMP mężczyzna siedł

wysoki, z głową owiniętą białym bandażem. Zatrzymał się samochód. Podeszli do niego dwaj mężczyźni, wsadzili do samochodu i samochód ruszył. Niedaleko widziałam, jak jakieś dwie panie młodego chłopca, który miał opaskę na głowie, wprowadziły do bramy, żeby nie spotkał go ten los, co tego człowieka poprzednio.

Przyjęty był też na oddział milicjant z raną postrzałową brzucha. Niedługi okres czasu, z tego względu, że stoczniowcy powiedzieli, że nie może on tu być, bo go zabiją. W związku z tym uzgodniłam z dr Szkolnickim, że przewiozą go na kobiecą chirurgię, a stamtąd był przewieziony do Wojskowego Szpitala w Gdańsku.

Relacja pielęgniarki /anonimowa/

Miałam dyżur nocny. Widziałam w czasie dyżuru nocnego przez okno, jak ustawiało się wojsko - przy wejściu, po przeciwnej stronie. Następnie później byłam świadkiem, jak przywieźli pierwszych rannych. Padły pierwsze strzały o godzinie szóstej i tuż po szóstej traktorem zostali przywiezieni ranni. Kilku nie żyło. Szczególnie pamiętam i chyba do końca życia nie zapomnę jednego widoku. Zbiegłam na dół, wniosłam na noszach, ponieważ winda była zajęta, wniosłam na noszach chorego i następnie schodząc po drugiego, widziałam na własne oczy, jak przed rentgenem leżał człowiek. Człowiek - to był robotnik w roboczym ubraniu. Już nie żył. W lewej kieszeni miał chleb. Kula przeszła przez ten chleb, następnie poprzez ubranie. Na miejscu został zabity. Ponieważ byliśmy w tym czasie bardzo zajęci, gdyż rannych przywieziono - nie pamiętam ilu - ale bardzo dużo,

więc jak już stwierdziliśmy, że nie żył, zostawiliśmy go w tej pozycji, w jakiej został położony. Dopiero po dwóch czy trzech godzinach został przewieziony do prosektorium. To był obraz niesamowity. Poza tym o 7.00 godzinie chodził ksiądz z Komunią, bo zawsze o 7.00 godzinie jest Komunia w szpitalu, zatrzymał się nad tym człowiekiem, który już nie żył i tam ostatnie namaszczenie mu dawał. Później pamiętam, jak wyjmowaliśmy kule. Ja pracowałam na trzecim piętrze, na urologii, gdzie obecnie jest chirurgia. Więc wyjmowaliśmy kule. U takiego młodego chłopca wyjmowaliśmy kule z kończyny dolnej. Mnóstwo zabiegów się w tym czasie robiło. Poza tym myśmy siedzieli sześć dni tutaj, równe sześć dni. Po sześciu dniach dopiero wyszliśmy na ulicę. Człowiek był zupełnie jak pijany. Spaliśmy, jedliśmy tutaj. W ogóle atmosfera wśród pracowników była bardzo serdeczna. Dzieci nie było. Ranni to byli dorośli, w większości to byli pracownicy Stoczni. Widok niesamowity, że to tak nagle.

Później jeszcze pamiętam obraz taki z 17 XII, jak grupa ludzi się zebrała i szli i śpiewali jakąś pieśń kościelną ul.. Migaly na dół. I jak zobaczyli, że rannych się wnosi do szpitala, ten tłum nie wytrzymał psychicznie. Chcieli porwać kamienie - ponieważ po drugiej stronie cały czas stało wojsko, znaczy takie samochody wojskowe ciężkie, więc chcieli porwać kamienie z bruku i rzucać w te osoby wojskowe. Ale pan magister - kierownik szpitala, zauważył to i wybiegł i prosił, bo wojskowi mieli rozkaz strzelania - pan magister wybiegł w białym fartuchu i bardzo prosił, żeby jednak nie rzucali,

316

żeby się uspokoił, w ogóle prosił, żeby zachowali ostrożność i spokój. Poza tym te różne manifestacje to pamiętam, tych pierwszych rannych też, bardzo dobrze. Pamiętam, że właśnie z ginekologii wywoziliśmy wszystkie kobiety, bo ginekologia zajmuje tę dolną kondygnację, więc wywoziliśmy wszystkie kobiety do domów, ponieważ to były lekkie przypadki i tam lokowało się właśnie najciężej rannych. Nasi lekarze cały czas operowali. Ja pomagałam pani dr Stengert, która już nie żyje, asystowałam, razem z nią operowaliśmy. Więc pamiętam, że sześć, siedem godzin, osiem godzin trwał zabieg. Zabiegi były bardzo długie, nie było materiału opatrunkowego.

Relacja inż. Ireneusza Dunsta,
pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej,
złożona w październiku 1981 r.

Wybory delegatów na spotkanie z Gierkiem były dość ciekawe, bo jak na każde takie wybory nazwiska ktoś typował z góry. I ani nazwiska Waldka, ani mojego nie było. Nasze nazwiska podano z sali i na tej zasadzie nie byliśmy typowani. To było dość dziwne, bo byliśmy z jednej pracowni, głosowała cała załoga biura.

Po tych wyborach powiedziano nam, że jedziemy do Warszawy na spotkanie z Gierkiem. Skoro do Warszawy - to trzeba było skoczyć do domu, opowiedzieć się, wziąć tę szczoteczka do zębów. Wyskoczyłem i wróciłem z powrotem. Pojechaliśmy autokarem. Jechał z nami dyrektor Tymiański. Atmosfera ogólnego podekscytowania, ale nastrój wesoły. Powiedziano, że to nie był bunt przeciwko

władzy, lecz uzasadniony strajk, bo klasa robotnicza była maltretowana itd. W ostatnim momencie dowiadujemy się, że jedziemy nie do Warszawy, lecz do Gdańska, bo tu przyjechała delegacja rządowa ze Szczecina. Wsiadamy z autokaru - a tu właśnie wycofują się czołgi do swoich jednostek. Słysząc turkot tych czołgów, człowiek jeszcze podekscytowany z Grudnia tą strzelaniną, która tutaj się odbywała, mówimy - no, to teraz jesteście załatwieni. Albo jesteście delegatami, albo zakładnikami, nie wiadomo kim jesteście. Odczekaliśmy do 11.10, a wyjechaliśmy o 8 rano. Był 25 stycznia 71, znajdowaliśmy się w sali Wojewódzkiej Rady Narodowej.

O godz 11.10 na salę weszli Gierek, Jaroszewicz, Babiuch, Szlachcic, Karkoszka. Gierek przeprosił zebranych za to, że najpierw pojechał do Szczecina. Pracował tam do drugiej w nocy. Pojechali najpierw do Szczecina ze względu na bardzo ważny charakter tego spotkania. Chciał, żeby potraktować to spotkanie jako rozmowę i poprosił o rozpoczęcie. Powiedział m.in., że dopiero rano dowiedział się o tym, że będzie to spotkanie. Sala potwierdziła, że też dzisiaj się dowiedziała o spotkaniu. Jego wystąpienie nie będzie bardzo składne - jak powiedział. Mówił o jakichś przygnębieniach i że widzi, że związki zawodowe przestały istnieć, przestały bronić ludzi pracy, partia również czekała na uboczu na rozwój wypadków. Mówił o wypadkach w Gdańsku i Gdyni. Była mowa o tym, że pierwszy kamień, który padł w Gdańsku, padł 40 minut po zastosowaniu gazów łzawiących w stosunku do demonstrantów. I wówczas zaczął się strajk. Była mowa o wystawieniu pomnika dla tych, co

318

zginęli. Uczczono ciszą poległych w wypadkach. Taki był początek.

Pierwszy wystąpił kierowca z Hydrosteru, nie znam nazwiska. Postulaty miał tego rodzaju, żeby godziny nadliczbowe dla kierowców - oni bardzo mało zarabiali - były bez podatku. Powiedział, że z czynów społecznych nie ma żadnych rezultatów. Żądał cofnięcia podwyżek cen. Widać było, że on występował w imieniu jakiejś grupy. Domagał się innego traktowania kierowców, podwyżki o dwa złote na godzinę, żeby mogli zarabiać 1.900 zł. Ludzie odpowiedzialni za wypadki grudniowe, za kryzys, za zniewolenie powinni zostać ukarani. Twierdził, że dużo jest takich członków partii, którzy robią wszystko, żeby chronić swoje stanowisko, że weryfikację w partii należałoby zrobić. Że związki zawodowe nic nie dają - że wyjeżdżają zagranicę. Zmniejszenie etatów w związkach zawodowych, a funkcje powinno się pełnić społecznie. Że exposé ogłoszone przez premiera było tylko dla gryzipiórków - tak się wyraził. Powinny być przewidziane nagrody za oszczędzanie materiału. Wprowadzić podatek od wynagrodzenia dla wojska i MO - bo my mieliśmy podatki, a oni otrzymywali pensje bez podatków.

Później wystąpił pan Hetmańczyk od nas ze Stoczni. Mówił, że nie można obwiniać tylko tych trzech ludzi - tam chodziło o Gomułkę, Kliszkę i Kociołka. Że jesteśmy współgospodarzami. Gomułka nas okłamał i pytanie było: jakie wytyczne przywiózł do Gdańska wówczas Kliszko. Jakie są powiązania rodzinne między ludźmi zajmującymi stanowiska w rządzie i w wojsku. Mówił o wiarygodności prasy, chodziło o prawdę w prasie. Pytanie było: czego dotyczyły rozmowy ZSHR

i NRD. Mówił, że składki partyjne są zbyt wysokie, że KC nie rozlicza się z tych składek. Składki związkowe są zbyt wysokie. Była mowa o Spychalskim. Chodziło o jakieś kapitały zagranicą i o to, żeby odebrać te kapitały. Żeby dopiłnować winnych, żeby nie prysnęli. Żeby dodatek morski przywrócić. Wiek 60 lat - podstawą do pójścia na emeryturę. W prasie podano, że średni zarobek stoczniovców wynosi 3.500 zł /to był dość wysoki zarobek/, pytał skąd się ta cyfra wzięła.

Sildadtke - również przedstawiciel Stoczni Komuny Paryskiej, on był wówczas przewodniczącym Rady Oddziałowej na śluearni - jak zawsze zaczął od kawału. Potem mocno wystąpił przeciwko Kruczkowi. "Nie wiem, dlaczego pan Kruczek został przewodniczącym CRZZ".

Przedstawiciel Stoczni Północnej: nie było mowy o niszczeniu Stoczni, a żywności, jak strajkowali, nie przywożono. Odczuwają bardzo ciężką sytuację mieszkaniową. Chodziło o to, żeby poszczególne Stocznie dostały jakąś pulę mieszkaniową i oczekiwanie nie było dłuższe niż 2 .. 3 lata. Żądał podwyżki płac o 30%.

Te wystąpienia wyglądały w ten sposób, że było podium z mikrofonem i w kolejce ustawiali się ludzie, którzy chcieli coś powiedzieć, tak że jeden schodził, a drugi wchodził podając wyraźnie nazwisko. To miała być rozmowa, więc nie było żadnego zapisywania się do dyskusji.

Przedstawiciel Stoczni Gdańskiej mówił o zdrowotności ludzi pracy, o pracy służby zdrowia, o jej mankamentach. Stwierdził, że jeśli chodzi o wypadki grudniowe, to ponieważ Komitet Zakładowy Stoczni Gdańskiej, jak i Rada Zakładowa nie chcieli iść z nimi - to poszli sami.

Przedstawiciel Elomoru stwierdził, że władze schowały się za lufy armatnie, stamtąd rozmawiali, przytoczył Marzec i że milicja zawiadła zaufaniem. MO kierowała się tylko butą.

Kolejny pracownik ze Stoczni Komuny Paryskiej, z wydziału K-3 stwierdził, że widział, jak dziewczyna dostała kulą w plecy i upadła. Za zerwanie flagi z kirem należy ukarać. I znowu postulaty: wypłacić zasiłki chorobowe tym, którzy zostali ranieni, usunąć Kociołka i Cyran-kiewiczza, renty 100%, pytanie kto wydał rozkaz strzelania, podatek od zarobków wojska i MO, zmniejszyć fundusz reprezentacyjny, upaństwić przedsiębiorstwo Inco /współwłaścicielem Cyran-kiewicz/.

Przedstawiciel Stoczni Północnej: nie ma zainteresowania dla pracy, ten system go nie tworzy. Żeby podnieść wydajność, jakość pracy, należałoby wytworzyć nowy system. Czy każdą zmianę w KC muszą robotnicy opłacić własną krwią? Kto zwalniał pracowników Stoczni po rozruchach? Wielu pracowników zostało zwolnionych, co prawda później wielu przywrócono, ale pierwszy odruch był, że tych najbardziej aktywnych, których rozpoznano, to zwolniono. Stwierdził, że 2/3 administracji to wrogowie klasy robotniczej. Było to typowe wbicie klina pomiędzy pracowników umysłowych a robotników.

Edward Nowicki ze Stoczni Gdańskiej poruszył sprawę utrzymania wysokości zarobków, żeby rodziny utrzymać, że należy poprawić błędy poprzedników i wyrobić taki styl rządu, żeby zaczął wzbudzać zaufanie i wyrobić zaufanie u narodu do władzy. Oprzeć się na klasie robotniczej. Gomułka oparł się na inteligencji. Żądał

nowych wyborów do KW, do komitetów zakładowych, weryfikacji w MO - tej dokonać biorąc pod uwagę posiniaczone plecy robotników.

Jędrzejewski z CTO lub COKB, z biura konstrukcyjnego. Są dwa oblicza tego samego społeczeństwa: jedno na pokaz, drugie w domu. Należy wytworzyć taką atmosferę, aby każdy człowiek miał tylko jedno oblicze. Mówił o dysproporcjach płacowych /chodziło o stworzenie bodźcowego systemu płac/ i o opłacalności przemysłu okrętowego /Kliszko stwierdził, że Stocznia należałoby zaościć/. Bodźcowy system płac to taki, który by preferował dobrą robotę. Nikt nie potrafił tego skonkretyzować, jak to sobie wyobraża. I sekretarz KC powinien dobrać sobie taki aktyw, żeby móc dobrze pracować.

Stocznia Gdańska: jak już Stocznia przystąpiła do pracy, to wówczas milicja zaczęła wyciągać ludzi na przesłuchania i w ten sposób zrobiono niesamowite zamieszanie. Była mowa o tym, żeby zamrozić normy pracy, o zezwoleniu na budowę kościoła na Przymorzu. Już wówczas po raz pierwszy padło żądanie, żeby wprowadzić kartki żywnościowe. To była sprawa przede wszystkim mięsa. Stwierdzono, że człowiek nie powinien więcej kandydować na stanowisko w partii jak dwa razy. Żądano, żeby przebieg tego spotkania był pokazany stoczniovcóm. Tak się nie stało, jedynie zdawaliśmy sprawozdania w miarę możliwości rzetelnie.

Od 11.10 do 16.20 odbywało się to spotkanie. O 16.20 wystąpił Jaroszewicz. Stwierdził, że rozumiemy, że był taki okres, kiedy do dyskusji nie było klimatu. A klimat po VII Plenum wyzwolił wiele problemów. Trzeba sobie zdać sprawę, że ta ilość problemów jest trudna do oceny

322

w ciągu dzisiejszego zebrania i dlatego nie dziwcie się, że problematyka przez was zgłaszana będzie musiała być przeanalizowana i wnikliwie rozpatrzona - to są jego słowa. Znajdujemy się w określonej sytuacji gospodarczej i o tym każdy musi wiedzieć. Mamy olbrzymi 25-letni dorobek, a jednocześnie mamy niełatwą sytuację gospodarczą. Nasze trudności zależą od obiektywnych i subiektywnych czynników. Zwróćmy uwagę na subiektywne przyczyny. Jeśli mamy zakładać nowe stosunki między klasą robotniczą a partią i związkami zawodowymi to musimy brać pod uwagę czynniki subiektywne. Nie możemy zapominać o subiektywnie wytworzonych warunkach. Mamy duże zaangażowanie inwestycyjne i nie możemy zahamować energetyki. Nie wolno pracować bez wyprzedzenia, zwiększenia tego wyprzedzenia. Nie można wyhamować rozwoju hutnictwa. Żeby rozwinąć hutnictwo, trzeba mieć węgiel koksujący. Handel zagraniczny. Kupno maszyn i urządzeń, surowce konsumpcyjne. Kupujemy z ZSRH zboże - 2 mln ton, a 5 mln ton z rynków kapitalistycznych. Kredyty długoterminowe - oprocentowanie jest 9% rocznie. Nie zawsze nasze maszyny znajdują nabywców w krajach kapitalistycznych. Chcielibyśmy zmniejszyć inwestycje, to nie zawsze można uczynić, można będzie z inwestycji trochę zaoszczędzić. Powiększenie budownictwa mieszkaniowego: jedno mieszkanie kosztuje średnio 200 tys. zł. Zamiar przyjęcia 8,6 mld na podwyżki. Plan, który został zrobiony, nie zawierał płać na pokrycie wzrostu wydajności pracy. W 71 roku płace mogą nawet spaść. Opłacić należy wydajność pracy i te bodźce gomułkowskie zostaną odroczone. Na podwyżkę emerytur z tytułu pracy

w PRL jeszcze nie przewidziano pieniędzy. 4,2 mln ludzi zarabia poniżej 2.000 zł. Zostały przyjęte dodatkowe zgłoszenia, 6-7 mld zł produkcji dodatkowej. Pomimo że były krzywdy i niesprawiedliwości, to jednak trzeba pracować. Spłacamy długi, nie chcemy też poderwać zaufania i trzeba handel zagraniczny rozwijać. W rozmowach z ZSRR starano się poprawić stosunki handlowe, gdyż opodatkowanie pożyczek z ZSRR wynosi 2%, a nie 9% jak z krajów kapitalistycznych, Niemiec czy Francji. Są w ogóle trudności w handlu zagranicznym z krajami zachodnimi. Z ZSRR sprowadzono 12 tys. ton olejów roślinnych dla produkcji, kilka tys. ton smalcu z Czechosłowacji /wtedy to było takie słynne: 60 ton mięsa zakupiono na rynkach kapitalistycznych/. Znowu była mowa o wysokich zarobkach, że trzeba będzie obcinać. Poprawić położenie klasy robotniczej w PRL. Opracować system, który podnosić będzie normy i zarobki, wykonać jakieś zmiany w systemie premiowania. W administracji centralnej - stwierdził Jaroszewicz - będzie zablokowany przyrost etatów. A jeżeli chodzi o administrację w zakładach, to zależna jest ona od dykcji przedsiębiorstwa. Ceny. Niezadowolenie z tej podwyżki i powrót do dawnych cen. Kontrola cen będzie bardzo surowa. Będzie ściśle przestrzegana polityka Biura Politycznego i rządu jeżeli chodzi o ceny. Ryby - padł wniosek, żeby na Wybrzeżu obniżyć ceny ryb i faktycznie od następnego dnia cena została o 10-15% obniżona. To był chyba jedyny rezultat tego spotkania. Emerytury miały w najbliższym czasie podskoczyć o jedną grupę. Polityka wobec krajów trzeciego świata. Pytano się, ile płacimy na Wietnam.

Padło stwierdzenie, że minimalnie partycypujemy w pomocy dla Wietnamu, że ta pomoc ma charakter symboliczny i jest to pomoc w towarach. Na zakończenie padło stwierdzenie, że zostanie powołana specjalna komisja państwowa dla zbadania wypadków grudniowych i dla rozpatrzenia postulatów.

17.10 - wystąpił Szlachcic. Wystąpienie było bardzo kajakące się, może się rozplakał, w każdym razie gdybym nie patrzył na niego, myślałbym, że płacze. Mówił o tym, że 81 osób przebywa w areszcie, w tym jest 24 etoczniowców, 66 zostało oskarżonych o rabunek, 5 zatrzymano za posiadanie broni. Jest 180 rannych cywilów. Zostaną wyciągnięte wnioski w etosunku do każdego, kto użył niewłaściwie broni. Stwierdził, że MO i wojsko nie otrzymało rekompensaty na te podwyżki. Omówił pensje MO. Wstępujący milicjant na stażu zarabia 1910 zł, po 10 latach 2830, po 20 latach ma 3000 zł. W Gdańsku są 23 wakaty. Że już teraz MSW będzie działać prawidłowo.

Gierek. W najbliższym czasie ma wejść do produkcji 1 mln 900 tys. osób z wyżu demograficznego i tym ludziom trzeba przede wszystkim zapewnić pracę i jest nastawiony optymistycznie, jeśli o zapewnienie tej pracy chodzi. Potrzebny jest tylko spokój, praca, rozsądek i trochę czasu. Rok 71 należy wykorzystać, aby w maksymalnym stopniu załatwić wszystkie drobne i duże sprawy, które narosły na przestrzeni ostatnich lat. Wiemy, co należy robić w budownictwie, skorygować wszystko do V Zjazdu Partii, prosić o cement dla budownictwa i fabryki domów w NRD. Inne sprawy: poprawić - jeśli będą artykuły - sytuację rynkową. Można iść na pożyczki, ale później trzeba je spłacać. Trzeba szukać

rezerw, nie mamy tych rezerw. Zaniedbania są ogromne. Jedyna rada to praca. W tym wielkim wysiłku nie zapomniemy o zmianach kadrowych. Pod koniec roku będzie nadzwyczajny zjazd partii. Przegrupowanie nastąpi w resortach, w kierownictwach. Występuje choroba niekompetencji, która nas drogo kosztuje. Wielu ludzi nauczyło się tylko słuchać. Wielu nauczyło się pokazywać za siebie, że to nie ja, tylko ktoś tam. Należy oddzielić sprawy, które należą do partii od spraw, które powinien wykonywać rząd. Na szczeblu centralnym nie pozwalano pracować w ten sposób w tym rozdziale: rząd - partia. Premier bardzo często dowiadywał się o niektórych decyzjach rządu z prasy. Trzeba dążyć do tego, żeby rząd był rządem. Rząd odpowiada i doprowadza sprawy do końca. Z dni grudniowych wyciągniemy wnioski. Partia musi zająć się sprawami, które do niej należą, musi przestawić się na nowe drogi. Inne organizacje niezależne, kiedy odbędą się wybory - to samo. Wprowadzić aktyw robotniczy partyjny i bezpartyjny. Prosił o wyrozumiałość i cierpliwość, żeby nie warunkować zaufania od wykonania zgłoszonych postulatów. Nie mamy innych celów, niż wy wnioskuje. Aby w partii działało się lepiej musi być krytyka i samokrytyka. Powołany będzie rzecznik, który będzie informował o pracy rządu. Jest potrzeba ustalenia kadencji władz. Osobiście Gierek chce doprowadzić partię do najbliższego zjazdu. Nawet mówił, że chyba mu się to nie uda. Jego stwierdzenie: "Ja dam początek do ograniczenia kadencji". Ostatnie wydarzenia, każdy niepokój na Wybrzeżu jest argumentem dla niektórych ludzi dla potwierdzenia zasadności użycia broni. Robił jakieś powiązania

wydarzeń z RFN. Apel był o zaufanie, wiarę, pomoc, o coraz lepszą pracę, wyrozumiałość, cierpliwość.

I na tym się skończyło spotkanie w Gdańsku, po tym krzyku: "Pomożecie!". Dostyc późno już było.

Potem, po przyjeździe do Stoczni, odbyły się masówki z wszystkimi ludźmi, którzy w biurze w tym dniu byli. To było po pracy. Przekazaliśmy wiernie treść spotkania. W Stoczni powstała komisja, na której czele stał Skowron, dla realizacji zgłoszonych postulatów.

Postulaty naszej Stoczni:

146 płacowo-bytowych, 216 - ogólnokrajowe i polityczne, 85 - na temat wypadków grudniowych. Razem 447. Wnioski wewnętrzne do wykonania w Stoczni: socjalne, kulturalne i BHP - 92, norm i płacy - 106, organizowanie stanowiska pracy - 85, kadrowe i międzyludzkie - 48, do organizacji społeczno-politycznych - 42, inne - 6. Razem 379. Ogółem wszystkich 826.

Relacja Zygmunta Rosiaka,
dyrektora Zarządu Portu Gdynia
/w momencie składania relacji - I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR w Gdyni/

/Relacja zaczyna się od drugiej strony, pierwsza zaginęła - red./

Pochód, który uformował się we wtorek, wyszedł ze Stoczni. Szedł i zabierał z sobą ludzi ze stanowisk pracy tak, jak woda płynie i porywa z sobą to, co na drodze. Na podkreślenie zasługuje jednakże, że załoga Portu Gdynińskiego była wyjątkowo spokojna, nie przerywali pracy na stałe,

odrywali się małymi grupkami. Poza Rejonem I, który jest rewolucyjny do dziś, portowcy niezbyt chętnie brali udział w manifestacji. Przyczyna leży być może w tym, że Port ma dłuższe tradycje niż Stocznia i że w skład załogi wchodzi stosunkowo mniej ludzi młodych.

Sroda była dniem niepokoju o losy komitetu strajkowego. Nikt - łącznie ze mną, nie wiedział gdzie i dlaczego ich wywieziono. Uformował się niewielki pochód, ale nie próbował wyjść na ulicę, zresztą od godziny 11.00 we środę Kołobrzezka Brygada blokowała Port. Żadnych agresywnych działań w stosunku do mnie, jako dyrektora Portu, ani w stosunku do moich współpracowników nie było. Nie było też żadnych prób wandalizmu. O tym, jakoby sekretarz POP Stoczni Komuny Paryskiej Porzycki prowadzony był przez stoczniowców z nożem przyłożonym do gardła, nie słyszałem.

W Zarządzie Portu Gdynia nie było lockoutu. Minister Szopa pytał w rozmowie telefonicznej czy istnieje potrzeba militaryzacji Portu i Stoczni - odpowiedziałem, że nie ma takiej potrzeby.

We środę nadeszło polecenie ministerstwa nakazujące wyprowadzenie statków z portu, bo ktoś rzucił pogłoskę, że będą palone polskie statki. Po rozmowie z dyrektorem koordynacyjnym Zjednoczenia Przemysłów Morskich, Mieczysławem Dąbrowskim zdecydowałem nie wprowadzać polecenia w życie. Nie widziałem realnej groźby, natomiast straty ekonomiczne spowodowane wyprowadzeniem i wprowadzaniem na powrót statków byłyby duże, nie mówiąc już o dezorganizacji pracy.

W nocy z 16 na 17 grudnia ulokował się

w Porcie, w budynku dyrekcji sztab wojskowy Marynarki Wojennej składający się z sześciu przestraszonych i nie bardzo wiedzących jał działających osób. Dowódca Piotrowski dostał zawał serca i leżał przez cały czas na kanapie. Zadaniem ich było strzeżenie obiektów państwowych.

Na czwartek przewidywało się normalną pracę, toteż pozostawiłem na dyżurach drugi garnitur kierowniczy, pierwszy zaś, wraz ze mną, udał się do domów, by następnego dnia przystąpić do normalnej pracy.

W czwartek rano obudziły mnie serie strzałów z broni maszynowej. Spojrzałem na zegarek: była godzina piąta. Zadzwoniłem do Portu, by przysłano mi przepustkę. Usłyszałem, że nie ma komu jej wydać. Zadzwoniłem do głównego księgowego z poleceniem uruchomienia finansów i gospodarki - aby dać jeść ludziom przebywającym w Porcie na dyżurach, następnie do dyrektora technicznego, że przy Portowej Straży Pożarnej na Chrzanowskiego robimy zbiórkę, żeby zawiadomił ludzi z kierownictwa. Ubraliśmy strażackie hełmy, wsiedliśmy w strażacki wóz i na sygnale popędziliśmy do wejścia. Żołnierze wóz strażacki przepuścili i w ten sposób znaleźliśmy się w budynku dyrekcji. Tu dokonałem podziału pomieszczeń - poleciłem by sztab, związek, partia, zajęły oddzielne pomieszczenia i zabrały się do pracy.

17 lub 18 mieliśmy wizytę generała Szlachcica. Był ostentacyjnie srogi. Tonem agresywnym powiedział: "Nie umiecie panować, to was zmienimy". Szlachcic wizytował wtedy wszystkie większe zakłady.

W nocy z czwartku na piątek podpisałem pięć

i pół tysiące przepustek dla pracowników Zarządu Portu Gdynia. Upoważniały one nie tyle do wejścia na teren zakładu pracy /trudności z wpuszczeniem pracowników nie robiono/, ile stanowiły glejt do poruszania się po mieście, jako że było to drugiego dnia po wprowadzeniu godziny policyjnej. Zs udział w strajku i demonstacjach nikt z Zarządu Portu Gdynia nie został zwolniony.

Normalna praca zaczęła się po świętach Bożego Narodzenia. Do świąt było trochę organizacyjnego chaosu wywołanego również tym, że statki omijały port, a towar z głębi kraju płynął nieregularnie.

Relacja ks. Franciszka Kaszubowskiego

17 grudnia wybrałem się do Gdyni, bo od kilku dni nie było u nas chleba. Nie byłem zorientowany w sytuacji, bo do nas, do Kosakowa, gdzie byłem proboszczem dochodziły tylko strzępy informacji. W nocy słyszeliśmy hałas wydawany przez czołgi ciągnące od strony Rumii do Gdyni, ale co się dzieje, nie wiedzieliśmy. Więc jechałem szulając piekarni, ale wszystkie były zamknięte. Gdy mijałam Szkołę Morską usłyszałem atryzały. Była godzina 9 - 9.30. Dojechałem do pomostu przy Gdyni-Stoczni, ludzie zatrzymywali samochody. Podbiegli robotnicy - "Mamy rannych, czy pan zabierze?". Do mojego samochodu /to była warszawa/ wsadzono trzech młodych chłopców w wieku 25-30 lat. Jeden miał przestrzał przez płuca, broczył krwią i charczał, ale był przytomny i mówił, charcząc: - "Ja - panu - zabrudzę - samochód". Byłem tak wstrząśnięty. Jedziemy do szpitala.

330

Pod wiaduktem stały czołgi. Dawałem sygnały światłem i trąbieniem. Jeden czołg się cofnął, zrobił mi miejsca, przejechałem. Z 10 Lutego skręciłam w lewo, do ul. Starowiejskiej. Widziałem na dachu poczty karabiny maszynowe, Dom Partii obstawiony, ale ja jechałem na sygnale, widzieli, że kogoś wiozę i nikt mnie nie zatrzymał. Przed szpitalem czekali już lekarze i pielęgniarki, zatrzymywali tylko tych, którzy byli w beznadziejnym stanie, a tak, to opatrunek - i wysyłali do domu. Mnie poinformowali, żeby nie jechać z powrotem, tylko w kierunku Gdańska.

Całe miasto było zadymione gazami łzawiącymi, okna miałem otwarte, jechałem bardzo wolno. Przedemną szły grupy robotników. Szły w kierunku Miąjskiej Rady Narodowej ulicą Władysława IV. Minąłem trzy lub cztery grupy robotników po około 300-500 osób. Przedostatnią grupę od czoła zaobserwowałem dokładnie. Na przedzie szły dwie dziewczynki w wieku 16-18 lat. Jedna blondynka z długimi włosami, druga czarna. Niosły transparent z napisem: "Krew naszych braci!". Prostymi literami wypisany, zrobiony pewnie naprędce. A za tym transparentem nieśli polską flagę narodową unurzaną w krwi postrzelonych.

Minąłem te grupy, jechałem dalej. Przy stacji CPN stały grupy milicjantów. Przejechałem obok nich i skręciłem w lewo, w ulicę Kopernika. Tam zaparkowałem samochód i wysiadłem. Na uliczce równoległej do Kopernika stały autokary z milicją, kilkanaście autokarów wypełnionych milicją. Siedzieli wszyscy grzecznie, nikt nie wychodził, nie stał przed wozem.

Pobiegłem zobaczyć, co się stanie z tymi

ludźmi z pochodu. Prawdopodobnie w czasie, gdy manewrowałem samochodem, pierwsza grupa już przeszła, już była rozbita, bo słychać było krzyki. Milicjanci ciągnęli ludzi za ręce -- jeden za jedną, drugi za drugą, a ciągnięty nogami kopał po ulicy - wciągali do Urzędu Miejskiego. Właśnie nadchodziła grupa z tymi dziewczynkami niosącymi transparent. Widziałem transparent i widziałem te dwie dumne dziewczynki. Wtedy usłyszałem strzały, serie z pistoletów maszynowych i strzały pojedyncze - i ta grupa się rozbiegła. Uciekali w kierunku wału toru kolejowego, a na ulicy zostało kilkanaście osób. Transparent upadł. Co się stało z tymi dziewczynkami, nie wiem.

Wsiadłem w samochód i drogą przez Mały Kack, lasami, pojechałem w kierunku Kosakowa. I w lesie spotkałem grupę milicjantów, może dziesięciu, tacy milicjanci z wiejskich posterunków, zatrzymują mnie. Widziałem, co milicja robi na ulicach Gdyni, byłem przerażony. Tymczasem oni wystraszeni tak samo jak ja pytają: - "Panie, co się tam dzieje w Gdyni?". Widzę, że proste chłopcy, ale... milicjanci, mówię więc co się dzieje, ale ostrożnie, że strzelanina, że strajk. Któryś z nich wykrzyknął: - "No to chłopaki, idziemy dalej w krzaki" - i poszli.

Relacja Hugona Malinowskiego,

I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR
w Gdyni /większa część relacji zaginęła,
publikujemy dwa ocalałe fragmenty/

/.../ Na telefoniczne polecenie udałem się
wraz z zastępcami Gruszką, Leguckim i Piekutowskim
do Sztabu Marynarki Wojennej. Ze sztabu połączyłem
332

się z Karkoszką przebywającym w Pruszczu Gdańskim, który polecił, aby wszystko zabezpieczyć, bo Komitet Wojewódzki płonie. W mojej obecności telefonował ze sztabu do komendy ówczesny komendant MO w Gdyni, Józef Bejm polecając by na ulicy nie było ani jednego milicjanta. Z pytaniem o sytuację zadzwonił Józef Cyrankiewicz. Po tej rozmowie admirał Janczyszyn powiada: "Towarzyszu Malinowski, partii nie ma, ja przejmuję dowodzenie".

Dowiaduję się, że ludzie zgromadzili się pod Komitetem Miejskim, chcą ze mną rozmawiać. Chcę jechać. Komendant Bejm mówi: "Nigdzie nie pojedziecie, chyba że dowódca odpowiednio zabezpieczy budynek". W chwilę potem jednak do Komitetu pojechałem /tuż przede mną znaleźli się tam podchorążowie Marynarki Wojennej/. Nie chciałem przepychać się przez tłum, zjechałem więc od ulicy Mściwoja, przebieżłem przez płot, wchodzę do budynku - ale przed nim już pusto, ostatni ludzie odchodzą.

/.../ Inaczej wyglądała sprawa Babiucha, który był za Gomułki kierownikiem wydziału organizacyjnego, przez niego przechodziły wszystkie informacje, był prawą ręką Kliszki. Myślałem, że krew mnie zaleje, gdy usłyszałem Babiucha mówiącego: "My, nowe kierownictwo". Gdy o tragedię grudniową chodzi, nie ma co kręcić, trzeba powiedzieć, że odpowiedzialny jest Kliszko. Warto jednak pamiętać, że decyzję podejmuje się w oparciu o posiadane informacje. Kliszce przekazywano informacje przesadzone, alarmujące, że w Stoczni rośnie wandalizm, kierownictwo pod groźbą utraty życia zmuszane jest do podporządkowania, że w skład komitetu strajkowego

weszli kryminaliści. Inna sprawa, że gdy je prostowaliśmy, naszych argumentów nie przyjmował do wiadomości.

Dlaczego do krwawej tragedii doszło właśnie w Gdyni, która nie dała przecież żadnego powodu? Gdynia była niemile widziana jako dziecko, które urodziło się nie w tym ustroju. Miasto było zawsze w cieniu swojego dużego brata Gdańska. Projekt pięciomiasta, który usiłował wprowadzić w życie Tadeusz Bejm, było to nic innego, jak próba likwidacji Gdyni. Pamiętam zatroskanie Cyrankiewicza, który mówił, że zlikwidowanie granic miast nie wystarczy, bo ludność i tak będzie pamiętała, że to Gdynia.

Po wydarzeniach grudniowych skończyła się moja polityczna kariera. Nie chciałem rezygnować ze stanowiska I sekretarza Komitetu Miejskiego, uważałem bowiem, że będzie to równoznaczne z obciążeniem mnie winą, zostałem jednak zmuszony do rezygnacji. Minister Szopa zdecydował, że wysłany zostałem na Węgry jako attaché ds. Żeglugi i Portów. Byłem tam pięć i pół roku.

Notatka z rozmowy z zastępcą naczelnika
więzienia w Wejherowie Biegajem,
z lipca 1981 r.

W 1970 roku pracował w więzieniu w Gdańsku. Ludzi aresztowanych, łapanych na ulicy, ocenia na kilka tysięcy. Pamięta 13-letniego chłopca i 80-letniego starca, który wszedł do przychodni po protezę. Po zmianie ekipy rządzącej - rozkaz wypuszczenia wszystkich. Prokuratorzy zaczęli wypisywać nakazy zwolnienia, ale że nakazów aresztowania nie było, zatrzymani nie byli zewidencjonowani, na oczekaniu robiło się listę. Służba więzienna nie miała nic do powiedzenia.

"To wszystko nie miało nic wspólnego z prawem".

Notatka z rozmowy z prokuratorem
rejonowym w Wejherowie, z lipca 1981 r.

Prokurator pytany o wykaz osób z komitetu strajkowego trzymany w więzieniu w Wejherowie, stwierdził, że zarówno prokuratura w Wejherowie, jak i archiwum więzienne akt takich nie posiada. Osoby zatrzymane na ulicach w grudniu 1970 roku wywożone były do więzień w Gdańsku, Wejherowie i Starogardzie Gdańskim.

Notatka z rozmowy przeprowadzonej
z kmdr por. dr Zdzisławem Betlejewskim
w lipcu 1981 r.

Od 15 do 20 grudnia był w punkcie pomocy
lekarskiej w Prezydium MRN w Gdyni.

17 grudnia około godz. 7 na wprost Prezydium zatrzymał się pochód. Ciało na drzwiach otoczyli ludzie z chorągwiami. Chcieli rozmawiać z Mariańskim. Tłum rósł.

Milicjanci, którzy czekali w autobusach, zaatakowali tłum. Użyto helikopterów. Kmdr Górecki - dowódca obrony PMRN - naciskany przez milicjantów, by otworzył ogień, nie zgodził się.

Około godz. 14-ej jeden z milicjantów został postrzelony w plecy. Stał plecami zwrócony w stronę PMRN. Wśród wojska rannych nie było.

Dwóch chłopców przyprowadziło zszokowaną dziewczynę lat około 18. Mówiła: - "Brata mi zabili, leży przed Prezydium".

Notatka z rozmowy z dr Jaszczenką,
kierownikiem Zakładu Anatomii
Patologicznej szpitala w Redłowie,
przeprowadzonej we wrześniu 1981 r.

Akta ośób sekcjonowanych zabrała prokuratura wraz z ciałami. Przewieziono je do Akademii Medycznej.

Karetka pogotowia przywiozła do szpitala w Redłowie 17.12. zwłoki. Obok nich leżała flaga i krzyż na drewnianej, czworokątnej podstawie, około pół metra wysoki. Zabity miał dokumenty. Był to Zbigniew Godlewski z Elbląga, syn oficera LWP.

Page 1 of 1